

Grabowski, Zbigniew Ryszard

W skorodowanym zwierciadle pamięci : szkic autobiograficzny

Kwartalnik Historii Nauki i Techniki 50/2, 7-202

2005

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej Bazhum, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych tworzonej przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie ze środków specjalnych MNiSW dzięki Wydziałowi Historycznemu Uniwersytetu Warszawskiego.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Zbigniew Ryszard Grabowski

W SKORODOWANYM ZWIERCIADLE PAMIĘCI
Szkic autobiograficzny

Żyłem w ciekawych czasach, przed czym przestrzegał Lejzorek Rojtszwanic. O najgorszych latach, o latach wojny i okupacji przez blisko pół wieku starałem się zapomnieć. Studiowałem, zostałem chemikiem i w chemii udało mi się zbadać i wyjaśnić kilka zagadek, co przyniosło mi dużą satysfakcję z własnej pracy. Poznałem wielu wybitnych ludzi nauki. Miałem grono serdecznych przyjaciół. Osiągnąłem wszystko, czego człowiek nauki może sobie w Polsce wymarzyć – tytuły, nagrody, medale. Nie zaszkodził mi nawet dość powszechny antysemityzm, którego nieomal nie odczuwałem. W postępowaniu starałem się być uczciwy, w wypowiedziach – szczery; nieraz mi to utrudniało życie¹. Ożeniłem się bardzo szczęśliwie – i minęło już półwiecze naszego małżeństwa. Mamy córkę i syna, z których jesteśmy dumni, troje wnuków, w których pokładamy nadzieje. Żyję niespodziewanie długo i dopiero teraz, po pełnym aktywności życiu, powracam pamięcią do przeszłości. Nadszedł czas refleksji.

* * *

Dziękuję serdecznie tym, którzy stworzyli podstawę tego, o czym piszę – a więc moim wszystkim współpracownikom, koleżankom i kolegom, z którymi

¹ Ale dopiero po otwarciu archiwów, z materiałów udostępnionych przez IPN, ze zdumieniem dowiaduję się jakim niepokojem i poczuciem zagrożenia przejmowało to śledzące mnie służby Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (*vide infra*, rozdział *W państwie policyjnym*).

miałem szczęście spędzić swe życie w nauce. Dzieciom, wnukom i przyjaciołom – że i poza nauką życie to nabierało sensu i radości.

A przede wszystkim dziękuję mej Żonie prof. Annie Grabowskiej – w tekście nazywanej po prostu Anką – mojej towarzysze życia i pracy, będącej ponadto moim sumieniem. Co więcej, to jej ciągłym wysiłkom i trosce zawdzięczam, że pomimo wszystko udało mi się dożyć tak późnego wieku, w którym to piszę.

Historykowi nauki prof. Stefanowi Zameckiemu – dziękuję za zachętę do napisania tego tekstu.

Pamięci moich Rodziców poświęcam.

DOM RODZINNY

Urodziłem się w 1927 r. w rodzinie żydowskiej z pochodzenia², ale w pełni zasymilowanej, w środowisku polskiej kultury, tradycji i patriotyzmu. W naszej rodzinie postacią dominującą był niewątpliwie Dziadek ze strony Ojca, Izrael Abrahamer³, typowy *self-made man*, który z robotnika, potem czeladnika młynarskiego stał się mistrzem młynarskim i piekarskim, dorabiał się własną ciężką pracą w ostatniej dekadzie XIX wieku, by zostać stopniowo właścicielem dużego młyna⁴, piekarni⁵, kilku domów – jednym z zamożniejszych ludzi w Krakowie. Byłem jego najstarszym wnukiem (dziewczynki mniej się liczyły w rodzinie). Najprzyjemniej było, gdy zabierał mnie czasem do Zielonek, gdzie był młyn, dom, wielki ogród i sad. Jeździliśmy małym dwuosobowym konnym powozem, *gigiem*. Dziadek sam powoził i opowiadał mi przy tym wiele, np. że „w Krakowie można żyć, ludzie są na ogół przywoici i uczciwi. Ale Warszawa – sami złodzieje, oszuści, naciągacze. Wystrzegaj się w życiu Warszawy!”. A tymczasem przyszło mi prawie całe życie spędzić w Warszawie...

Dziadek miał co najmniej dziesięcioro rodzeństwa – tych, którzy dożyli dorosłości. Wśród nich wszystkich był podobno jedynym *mającym głowę do interesów*; wspierał też swe rodzeństwo i ich rodziny ilekroć zachodziła potrzeba, pomagał im założyć piekarnię, sklep lub inny warsztat stający się dla nich źródłem utrzymania.

Babcia moja, Anna⁶, (Fot.2) była znanej dobroci – i słynna w rodzinie z natchmiastowego odczuwania – na odległość – nieszczęść zachodzących wśród najbliższych. Była kiedyś na kuracji w Karlovych Varach. Nagle spakowała

² Do 1942 r. nazywałem się Ryszard Adolf Abrahamer.

³ Ur. ok.1870 r., prawdopodobnie w Rabce. Został zamordowany w1942 r. przez Niemców w lesie tynieckim.

⁴ *Górne Królewskie Młyny* w Zielonkach koło Krakowa.

⁵ W zbudowanym przezeń domu przy ul.Łobzowskiej 5.

⁶ *Hani*, z rodziny Zollmannów, z Rabki. Zmarła ok.1935 r.

swoje walizki, kazała się wieźć na stację i wróciła najbliższym pociągiem do Krakowa. Tu okazało się, że właśnie w tym czasie jej córeczka Helenka wypadła z wózka i poważnie się potłukła.

Innym razem, szereg lat później, Babcia przebudziła się z przerażeniem, bo spadł z hukiem obraz ze ściany. Krzyknęła „nieszczęście!” i zaraz potem: „A gdzie jest Alek??” – Dziadkowie wiedzieli, że ich syn Alek gdzieś wyjechał, prawdopodobnie do Tarnowa. Babcia zapytała zaraz: „Czy jest rewolwer?” Okazało się, że rewolweru w szufladzie nie było. „Dzwoń, szukaj Alka!” – Ale gdzie go szukać? – „Dzwoń natychmiast ... do Gdańska.” W Grand Hotelu w Sopocie okazało się, że rzeczywiście Alek strzelił do siebie z rewolweru i wkrótce potem zmarł.

Relacje z tych wydarzeń, żywo powtarzanych i komentowanych w rodzinie, zawsze były dla mnie, racjonalisty z przekonania, kłopotliwym zaburzeniem mego światopoglądu.

Dziadkowie mieli pięciu synów⁷, (Fot.1) z których najstarszym był mój ojciec⁸, i młodszą od niego o 15 lat jedyną córkę, Helenkę (Fot.10). Synowie trzymeni byli przez Dziadka żelazną ręką, córeczka natomiast była oczkiem w głowie rodziców. Każdy z synów miał opanować jakieś rzemiosło – aż do stopnia *mistrza* – w jednym z zawodów potrzebnych w przedsiębiorstwie Dziadka. Samek został więc młynarzem, Henryk – piekarzem, Alek pomagał swemu ojcu kierować biurem, Józek został inżynierem-ciepłownikiem. Helenka natomiast studiowała i uzyskała na UJ doktorat historii sztuki.

Ojciec był przypadkiem wyjątkowym. Gdy zdał maturę, wybuchła I wojna światowa. Znalazł się w armii austriackiej, walczył na froncie karpackim, został ciężko ranny i w rosyjskiej niewoli tylko dzięki swemu uporowi uniknął amputacji nogi. Przeżył w niewoli tyfus, wyłysiawszy przy tym całkowicie, przeżył rewolucję w Tule, w centralnej Rosji. Po powrocie, jako politycznie podejrzany, wolał wyjechać z Krakowa na studia za granicę. Studiował ekonomię w Wiedniu i w Berlinie. Nie dane mu było jednak wówczas te studia ukończyć – jak było przyjęte – doktoratem. W 1924 r. jego brat Alek popełnił samobójstwo⁹. Po jego śmierci Dziadek wezwał telegraficznie Ojca do przerwania studiów i natychmiastowego przyjazdu w celu przejęcia kierownictwa biura rodzinnego przedsiębiorstwa, przede wszystkim spraw importu i eksportu zboża i mąki.

Ojciec mój (Fot.5, 9) był człowiekiem bardzo mądrym, wysoce wykształconym i myślącym, o szerokich zainteresowaniach. Po wojnie pracował w przedsiębiorstwach handlu zagranicznego, skąd został usunięty po zasadniczym konflikcie z wicepremierem Gede, gdy Ojciec odmawiał zgody na niekorzystną dla Polski umowę z ZSRR. Wkrótce potem miał ciężki zawał serca. Gdy z niego wyszedł –

⁷ Szymon (*Jozue*), Józef, Alek (*Eliasz*), Samek (*Salem*) i Henryk (*Herman*).

⁸ Szymon (*Jozue*) 5.X.1895 – 2.IV.1969. Od 1942 r.: Czesław Grabowski.

⁹ Zadłużył się z powodu kobiety. Podrobił na wekslu podpis swego ojca (a mego dziadka) i – ze strachu przed nim – popełnił samobójstwo...

pracował w Zakładzie Nauk Ekonomicznych PAN, uzyskał doktorat w wieku 66 lat, a wkrótce potem, mając 69 lat, habilitował się. Był autorem dwu książek^{10, 11}.

Matka moja, Roma z Szereszewskich¹², była artystką-rzeźbiarką. (Fot.3, 4) Urodzona w Łodzi, w znacznie trudniejszych warunkach materialnych niż mój ojciec, studiowała w krakowskiej ASP u prof. Laszczki i we Wiedniu u prof. Hanacka. Brała udział w kilku wystawach zbiorowych, działała w Związku Plastyków. Wszystkie jej przedwojenne rzeźby – z wyjątkiem architektonicznych¹³ – zaginęły zabrane przez Niemców. Ojciec jej, Adolf (Abraham) Szereszewski¹⁴, zmarł przed moim przyjściem na świat, a jej matka a moja Babcia, Helena z Frommerów¹⁵, mieszkała w Łodzi, stąd znałem ją niewiele. Dwaj bracia Babci – Hipolit i Wiktor Frommerowie – sfinansowali studia mojej matki. Syn Wiktora, Jan Frommer, jest obecnie moim jedynym bliskim krewnym, który zdołał przeżyć i mieszka w Polsce.

Wychowałem się w niejasnej atmosferze światopoglądowej. Ojciec był racjonalistą, agnostykiem, o sympatiach socjalistycznych, podczas gdy Matka prześlągnięta była duchem romantyzmu, otaczała kultem Marszałka Piłsudskiego, a przede wszystkim czciła piękno – i na swój głęboko indywidualny sposób poszukiwała Boga. W domu nie było żadnej określonej religii. Gdy miałem już powyżej 10 lat, w największe żydowskie święta Ojciec zabierał mnie czasem do postępowej synagogi¹⁶, której przewodniczącym był Dziadek, ale znacznie częściej chodziłem z naszą gospożą do kościoła, a w Boże Narodzenie była u nas za-

¹⁰ Czesław Grabowski: *Problemy planowania gospodarczego we Francji*. Warszawa 1964 PWN stron 250; *Współczesne teorie procentu*. Warszawa 1966 Państw.Wydawn.Ekonomiczne stron 511.

¹¹ A. Chlebowski, W. Sadowski: *In Memoriam: Czesław Grabowski 1895–1969*. „*Ekonomista*” 1968, nr 5; D. K.: *Czesław Grabowski*. „*Życie Gospodarcze*” nr 15 (13.IV.1969) s.4.

¹² 26.VIII.1897 – 21.XII.1970. Od 1942 r.: Joanna Grabowska, w rodzinie – Inka.

¹³ Na domu i w podwórku przy ul. Asnyka 10 w Krakowie.

¹⁴ 1859–1925. Urodzony jako Abram Szeraszew w Radziłowie – w tym właśnie Radziłowie na Podlasiu (blisko Jedwabnego), gdzie 7 lipca 1941 r. praktycznie wszystkich Żydów wymordowali ich sąsiedzi, zachęteni do tego przez Niemców. Dziadek mój wyemigrował za młodu z Radziłowa do Płocka, potem do Łodzi. Gdzieś w latach 1880–1890 zmienił nazwisko na Szereszewski. Na moje specjalne podziękowanie zasłużyli pracownicy Archiwów Państwowych: Dyrektor Archiwum w Płocku mgr Leszek Franciszkiewicz oraz archiwistka w Łomży mgr Danuta Bzura, dzięki których bezinteresownej i życzliwej pomocy zdołałem odtworzyć dzieje rodziny aż do pierwszej połowy XVIII wieku.

¹⁵ 1867 – 1942 lub 1943; zginęła w getcie łódzkim.

¹⁶ O tej postępowości wnioskuje stąd, że Dziadek Abrahamer golił się starannie, a szukając w archiwach metryki ślubu moich rodziców – znalazłem je w zespole ślubów „*postępowych*”.

wsze choinka i śpiewało się kolędy... Wielkanoc za to – święto Paschy – całą szybko rosnącą (i licznie i wzrostem) rodziną obchodziliśmy uroczyste u Dziadków i stamtąd wyniosłem to, co z tradycji żydowskiej zdołałem zapamiętać.

Z mojego pokolenia najbliższy mi był mój brat stryjeczny, Witek, młodszy odemnie o 2 lata, chodzący do tej samej szkoły co ja i mieszkający w sąsiednim mieszkaniu¹⁷. (Fot.7)

Wojnę zdołało przetrwać tylko niewielu – głównie ci, których Rosjanie wywieźli ze Lwowa na Sybir. Pod niemiecką okupacją zginął Dziadek rozstrzelany przez Niemców w Tyńcu, kilkoro jego rodzeństwa, babcia Helena Szereszewska w łódzkim getcie, siostra mego Ojca Helenka z mężem¹⁸ w Rawie Ruskiej. A stryj mój, Samek, został zabity już po wojnie, gdy wrócił z Węgier do swego młyna w Zielonkach...

PRZED WOJNĄ. SZKOŁA

Chodziłem do krakowskiej szkoły powszechnej męskiej # 1, św. Wojciecha, założonej jeszcze w XVIII wieku przez Komisję Edukacji Narodowej. Był to długi drewniany budynek przy ul. Biskupiej, parę kroków od domu Dziadka przy Łobzowskiej 5. Dyrektorem szkoły był pan Haraszin, brat znanego aktora Wyrwicza. Zapisując się, poszedłem do niego z Ojcem. Z ich rozmowy na temat lekcji religii dowiedziałem się, że jestem Żydem. Był to dla mnie pewien wstrząs. Dyr. Haraszin pokazał mi stare karty księgi uczniów i odczytywał nazwiska sławnych ludzi, biskupów i rabinów, senatorów i generałów, uczonych i artystów, którzy ukończyli szkołę św. Wojciecha. Powiedział: „staraj się chłopcze, aby i twoim nazwiskiem szkoła mogła się w przyszłości pochlubić!”. Niestety, niewiele jest do chlubienia się, – zwłaszcza, że nazwiska po paru latach już nie używałem, a potem i szkoły nie stało. Po wojnie ją zburzono; dziś jest tam skwerek o bardzo kiepskiej reputacji, tak jak przed wojną w Warszawie ulica Freta, a potem Chmielna. Kraków jest klerykalny, więc obrał w tym celu ... *ul. Biskupią*.

Szkołę lubiłem, miałem tam wielu dobrych kolegów i wiele zdołałem się nauczyć, choć w klasie było tłoczno, aż 60 chłopców, w tym kilkunastu Żydów. W czasie lekcji religii z księdzem mieliśmy wolne godziny i nasi koledzy-katolicy zazdrościli nam tego. My zaś popołudniami mieliśmy czasem jakieś lekcje religii, ale nauczyliśmy się na nich zaledwie liter hebrajskich. Dzięki temu jed-

¹⁷ Mieszkaliśmy na III piętrze domu przy al. Słowackiego 4 w Krakowie. Witek przeżył okupację na *aryjskich papierach*, został wykupiony z Gestapo, brał udział w Powstaniu Sierpniowym w poczcie harcerek. Po wojnie studiował elektrotechnikę, został syjonistą i wyemigrował do Izraela.

¹⁸ Wspomnienie o Helenie i Marianie Horowitzach zamieścił w paryskiej „Kulturze” Juliusz Mieroszewski (*Londyńczyk*).

nak mieliśmy swój szyfr: tekst po polsku, ale alfabetem hebrajskim. Tak zaszyfrowane liściki kursowały po klasie, ku zazdrości kolegów.

O klasę wyżej ode mnie chodził Janek, obecnie znany w dziedzinie inżynierii chemicznej na Politechnice Śląskiej prof. Jan Bandrowski. W mojej klasie był znany po wojnie pisarz Jerzy Korczak. O dwie klasy niżej chodził mój kuzyn Witek. W szkole powszechnej – państwowej – nie zaznaczały się różnice wyznaniowe uczniów, ani status majątkowy ich rodzin. Do moich bliskich kolegów należeli Kazik Klimala, syn stolarza, i Józek Bulaga, syn dozorczy. A z pośród moich klasowych kolegów-Żydów przeżyło, poza mną, trzech – na ogół dzięki ucieczce za granicę, póki nie było za późno.

Czytałem bardzo dużo. Czytać nauczyłem się jeszcze przed szkołą, na zupełnie po temu nieodpowiedniej lekturze procesu Gorgonowej. Na podłodze rozkładałem wielkie płachty „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, kładłem się na gazecie i sylabizowałem to, czym wówczas wszyscy się pasjonowali. Mając 10 lat przeczytałem *Trylogię* i znałem ją wkrótce na wrywki. Kiedyś zламаłem rękę i składano mi ją pod narkozą. Gdy budziłem się z narkozy, chirurg wykonał test, mówiąc wyraźnie: „No i Zagłoba Bohuna usiekl...” Ja, jeszcze nieprzytomny, sprostowałem ze złością: „nie Zagłoba, tylko pan Wołodyjowski!”

Trylogia miała na mnie duży wpływ, pomagała mi budować własną skalę wartości – patriotyzm, lojalność. Moje dzieciństwo upływało jeszcze pod znakiem niedawno odzyskanej niepodległości. Matka opowiadała mi o rusyfikacji i zakłamaniu w szkole pod carskim zaborem. Wkrótce przyszły dalsze istotne dla mnie lektury. *Kajtuś Czarodziej* Korczaka nauczył mnie wiary w siebie. Z autorów, których książki pochłaniałem w wieku 10–12 lat, największy wpływ na mój światopogląd wywarli Herbert Wells (*Historia Świata*), Bertrand Russell – od nich czerpałem idee pacyfizmu i jedności świata; Wacław Gąsiorowski. Jego *Anarchiści* (książka, napisana w czasach caratu pod pseudonimem *Wiesław Sclavus*, ukazywała tak ideały wolności, jak i groźby, które niesie realizacja utopii). W świat przyrody wprowadzały mnie inspirujące popularne książki biologiczne Jana Dembowskiego, Maeterlincka, De Kruifa, astronomiczne Jeansa i Eddingtona.

Kilka miesięcy przed wojną przeżyłem pierwszy kontakt z uniwersytetem. Czytałem o tym, że nieznane są przyczyny epok lodowych i epok ocieplenia Ziemi. Napisałem więc do Obserwatorium Astronomicznego UJ z zapytaniem: czy Słońce nie jest może nieperiodyczną gwiazdą zmienną? Odpowiedziano mi, że bym zwrócił się do swego nauczyciela w szkole (a żaden z moich nauczycieli nie miał pojęcia o istnieniu gwiazd zmiennych!). Było to moje pierwsze – wśród licznych w późniejszym życiu – rozczarowanie *nauką uniwersytecką*.

W szkole przeprowadzono nam kiedyś testy na iloraz inteligencji. W mojej klasie najlepszy okazał się Bolek Eckhardt¹⁹, potem Henryk Ehrlich, potem ja (miałem IQ 123 czy też 133). Informowanie nas o tych wynikach było dość nie-

mądrze, bo pamiętam, że uważaliśmy się potem za coś lepszego od reszty, od klasowego *plebsu*.

Z nauczycieli pamiętam właściwie tylko troje: panią Malenowską, pana Głębowicza i pana Bartę. Najwięcej zawdzięczam pani Malenowskiej, wychowawczyni mojej klasy: patriotyzm, miłość ojczystego krajobrazu, języka, literatury. Jak dziś pamiętam lekcję o Polesiu, o tamtejszej przyrodzie i o bagnach, o tym jak to można się przemieszczać tylko ostrożnie, z kępy na kępę, najlepiej w szerokich poleskich łąpaciach. Ale nie zapomniałem także, jak pięknie opowiadała o Syberii, gdzie urodziła się jako córka zesłańca – powstańca styczniowego: o krajobrazie tajgi z nisko świecącym słońcem, o ludziach tamtejszych, którzy byli biedni i dobrzy, o carskim ucisku i katordze. Ona pierwsza przekonała mnie, że nie wolno mówić, że *Rosjanie są źli*; że są wśród nich niektórzy źli, jak w każdym narodzie, ale większość to ludzie dobrzy i serdeczni.

Kiedyś jeden z kolegów w kłótni nazwał drugiego bolszewikiem. Ten poskarżył się matce. Przyszła więc do szkoły pani Szczurowska, winowajca nie chciał przeproszać, a wtedy nasza wychowawczyni wygłosiła do nas przemówienie: „ja wiem, że się przezywacie, że używacie brzydkich słów. Ale są słowa brzydkie i jeszcze brzydsze. Ale najgorsze przezwisko, pamiętajcie, to „bolszewik”! Nigdy tego nie używajcie, musicie mi przyrzec!” Tak, bo w owych czasach to *przezwiśko* niosło z sobą groźbę więzienia...

Syn pani Malenowskiej, Jurek, chodził do naszej szkoły o dwie klasy wyżej odemnie. Wychowywała go sama i wciąż się o niego martwiła; wokół niego obracało się całe jej życie.

Innym bardzo dobrym i lubianym nauczycielem był polonista pan Głębowicz. Przemawiał on mniej do naszych serc, a bardziej do rozumów. Uczył dobrze i był zawsze sprawiedliwy. Nie pamiętam go mówiącego o czymkolwiek z patosem, albo uczącego nas *explicite* patriotyzmu. I on też miał jedyne go syna, jeszcze trochę starszego od Jurka Malenowskiego.

A najdziwniejsze było to, czego dowiedziałem o ich losach wojennych. Po wkroczeniu Niemców pani Malenowska drżała wciąż o swego Jurka. By go uchronić od łapanek i obozów – zapisała się na *Volksliste* (!) – choć na pewno nic z Niemcami wspólnego nie miała. Wnet jednak Jurek jako *Volksdeutsch* został powołany do wojska. Matka zdołała jakoś zdobyć świadectwa lekarskie, które wybroniły go od pójścia na front. Przydzielono go wobec tego do *Bahnschutzu*²⁰. Tam musiał łapać ludzi i być świadkiem (a może i uczestnikiem?) męczenia ich

¹⁹ Bolek miał dużą, łysawą głowę. Często prowadziliśmy z nim długie, zażarte dyskusje; Bolek oświadczał, że jest Niemcem, i że jak przyjdą Niemcy, to będzie Żydów mordował („no, z wyjątkiem ciebie, bo ty przecież jesteś moim przyjacielem”). Po wojnie nie zdołałem się dowiedzieć, co z nim się stało.

²⁰ Umundurowana, uzbrojona niemiecka straż ochrony kolei.

w bunkrach. Podobno matkę przeklinał za to, co z niego zrobiła. A w czasie odwrotu Niemców – uciekli wraz z nimi do Niemiec czy Austrii...

Razem z moim bratem stryjecznym Witkiem odwiedziliśmy po wojnie pana Głębowicza. Był dla nas bardzo serdeczny, ale ogromnie smutny i samotny. Jego jedyny syn walczył w AK – i zginął.

Zupełnie, ale to zupełnie inne wspomnienia łączą się z panem Bartą. Był on moim nauczycielem śpiewu, a że nie mam słuchu za grosz – nie umiałem powtórzyć żadnej nuty ani melodii. A pan Barta z satysfakcją wywoływał mnie prawie na każdej lekcji i kazał śpiewać, doprowadzając całą klasę do śmiechu, a mnie do rozpacz. W pierwszych latach wojny (będąc jeszcze pod wpływem lektury *Trzech Muszkieterów* i innych powieści Dumasa) marzyłem, jak to po wojnie wrócę do Krakowa – na czarnym koniu, w czarnej pelerynie, w czarnym kapeluszu rajtarskim i z maską na twarzy. Złapię pana Bartę na łąsku, przytrzęcę do siodła i pognam konia, po brukowanych „kocimi łbami” ulicach Krakowa. Pan Barta będzie krzyczał i jęczał: „ktoś ty? co ja ci zrobiłem?” Dopiero wtedy zatrzymam konia, odsłonię maskę – a on zadrży – i to będzie moja słodka zemsta...

Nigdy też nie miałem zdolności sportowych. Na lekcjach gimnastyki byłem z reguły ostatnią ofiarą. Z Witkiem i naszym przyjacielem Staszkiem Jeziorowskim²¹ utworzyliśmy 3-osobowy klub piłkarski i graliśmy z innymi w Parku Krakowskim, ale ja zwykle tylko traciłem punkty, miast je zyskiwać. Dostawszy pierwszy rower – długo nie umiałem opanować trudnej sztuki jazdy na nim.

* * *

Do harcerstwa ZHP Żydzi nie byli przyjmowani. Należałem więc do żydowskiego harcerstwa „piłsudczykowskiego”, które było jednak jakoś afiliowane przy ZHP; mieliśmy identyczne stopnie, tylko zamiast krzyży – lilijki z gwiazdą Dawida. W wieku 12 lat miałem już stopień wywiadowcy, zdobyłem wiele sprawności – nawet dziś dość egzotyczną, jak *cerowacza skarpetek* – i byłem zastępowym. Była to jedna z trudniejszych moich funkcji w życiu: musiałem mój zastęp zuchów uczyć piosenek harcerskich!

Około 25 sierpnia 1939 r., gdy sytuacja polityczna stała się już bardzo groźna, rodzice odwołali mnie z obozu harcerskiego. Wróciłem do Krakowa (Fot.6), akurat by wziąć udział w naradzie rodzinnej u Dziadka. Rozłożył on na stole dużą mapę Polski i opierając się na doświadczeniach I wojny światowej orzekł: „z Krakowa trzeba uciekać, to za blisko niemieckiej granicy. Od południa jest nadto Słowacja, z północy Prusy Wschodnie. Nie wykluczone, że i Rosjanie wkroczą ze wschodu. Ulokujemy się więc w centrum – o tu – i wskazał palcem Nałęczów. Całkiem bezpiecznie może i nie będzie, ale co najmniej przez pierwszy rok wojny tam przecież nie dojdą!”.

²¹ Staszek zginął w konspiracji AK.

Dzień, czy dwa dni później siedzieliśmy już w zarezerwowanym przedziale w pociągu do Warszawy: Dziadek, ciotka Helenka z mężem Marianem, moja Matka i ja. Ojciec ze swym braćmi Heniem i Samkiem mieli pozostać do ostatniej chwili w Krakowie, by zapewnić dostawy mąki i chleba dla wojska. Aby mogli potem uciec, zakupiono samochód marki *Vauxhall* i zaangażowano szofera, bo oni przecież nie umieli samochodu prowadzić²².

Rankiem znaleźliśmy się w Nałęczowie. Zamieszkaliśmy w pałacu Małachowskich, który szczycił się pobytami Bolesława Prusa, Stefana Żeromskiego, a jeszcze wcześniej – księcia Józefa Poniatowskiego. Spotkaliśmy tam znajomych z Krakowa, Bincerów, których córka Krysia była moją dobrą koleżanką, złośliwi koledzy nazywali ją moją narzeczoną²³. Gdy razem zwiedzaliśmy zażytkowy budynek, otwarto dla nas pokój księcia Józefa. Wyciągnąłem się na jego obszernej kanapie, a Krysia obok mnie. Dorośli zaczęli chichotać, że księżę Józef też tak sobie poczynał ze swoimi narzeczonymi – a ja nie bardzo rozumiałem z czego oni się śmieją. Byłem przecież jeszcze dzieckiem – i nie zdawałem sobie sprawy z tego, że są to właśnie już ostatnie dni mojego dzieciństwa.

WOJNA. ROK 1939

1 września posłyszeliśmy pierwsze wybuchy bomb, jeszcze dalekie. Niemcy napadli na Polskę. Wbrew przewidywaniom Dziadka, Niemcy zbliżali się niesamowicie szybko od zachodu, ale i z północy, z Prus Wschodnich. Nie było łączności z Krakowem, który prawdopodobnie został szybko zajęty. 7 września opuściliśmy Nałęczów – autobusami, okazjami, wynajętymi furami konnymi – uciekaliśmy na wschód, za Bug, który miał podobno być następną linią obrony. Jeszcze między Nałęczowem i Lublinem dosięgło nas bombardowanie; uciekliśmy z szosy w pola, chowając się w bruzdach, podczas gdy niemiecki lotnik krążył nisko i ostrzeliwał nas i innych uchodźców z karabinu maszynowego. W Lublinie przeżyliśmy w czasie obiadu silny nalot, który wyburzył wiele domów przy Krakowskim Przedmieściu. Tam też przegonił nas uciekający z Warszawy konwój samochodów rządowych z premierem Sławojem-Składkowskim.

²² W tych czasach, gdy stacji obsługi było niezwykle mało, a samochody były zawodne – kierowca musiał umieć rozpoznać awarię, dokonać samemu naprawy, no i wozić ze sobą mnóstwo narzędzi i części zamiennych.

²³ Wkrótce potem straciłem Krysię z pola widzenia. Dopiero jakieś 40 lat później, gdy byłem w Paryżu, niespodziewanie odezwała się przez telefon – z lotniska, odlatując właśnie z Europy. Przypadkiem dowiedziała się o mnie. Nie było już czasu, żeby się spotkać. W długiej rozmowie telefonicznej opowiedzieliśmy sobie o naszych losach, przypomnieliśmy sobie spotkanie w Nałęczowie. Jej, po wielu przygodach, udało się dostać do Brazylii. Była tam tancerką, poślubił ją tamtejszy milioner, znakomicie jej się podobno powodzi...

Za Bugiem, na Wołyniu, przeżyliśmy znowu chwile grozy w Zdołbunowie. Małe, żydowskie miasteczko zostało tuż przed naszym przybyciem strasznie zbombardowane i spalone, dworzec był zniszczony. Jak najszybciej przejechaliśmy furą przez Zdołbunów, zewsząd słysząc płacz i rozpaczliwe krzyki. Pamiętam też, słyszane i przedtem w Lublinie, krzyki: „szpieg, szpieg – lusterko!” W podnieceniu szukania wszystkiemu winnych i rzekomo wszechobecnym szpiegów niemieckiej V kolumny podejrzewano każdego, kto się przejrzał w lusterku o sygnalizowanie czegoś tym lusterkiem niemieckiemu lotnikowi...

Mijaliśmy na Wołyniu starannie zadbane wsie i gospodarstwa kolonistów czeskich, osadzonych tam jeszcze przez carycę Katarzynę w XVIII wieku. I w końcu dotarliśmy na skraj świata – do Ostroga nad Horyniem. Ostrog, stara siedziba ruskich kniaziów Ostrogskich, był niewielkim, głównie żydowskim, miasteczkiem. Horyń był rzeką graniczną, dalej już były Sowiety. Zatrzymaliśmy się w domku niewielkiej, rudej ale antypatycznej Żydówki. Był to już 14 lub 15 września 1939 r.

Następnego dnia moja Matka zobaczyła na ulicy zaparkowany samochód Vauxhall, ze znanym jej numerem rejestracyjnym – samochód, którym Ojciec ze swym bratem Henrykiem mieli opuścić Kraków. Dzięki policji odnalazła kierowcę, który zeznał, że dowiózł ich do Warszawy, a tam samochód wraz z kierowcą został zarekwirowany z nakazem odwiezienia do granicy sowieckiej pani ambasadorowej Grzybowskiej – żony polskiego ambasadora w Moskwie. Jak się okazało, przywiezienie jej było prawdą, ale chyba nie rekwizycja. Prawdopodobnie został za tę kradzież samochodu sowicie opłacony. Policja zatrzymała samochód do wyjaśnienia sprawy. Nam on i tak niewiele mógł pomóc, bo benzyny już w tym czasie nigdzie nie było. Rosło za to przerażenie, co się stało z Ojcem i jego bratem.

Rankiem 17 września obudził nas ciężki, monotony huk – przez miasto jechała wielka kolumna sowieckich czołgów i ciągnących armaty traktorów. Jak się później dowiedzieliśmy, przed świtem Rosjanie zaatakowali placówkę pograniczników. Po krótkiej walce wszyscy ponoć zginęli. Ale w mieście wojsko nic o tym nie wiedziało. Rosjanie wkroczyli do miasta wykrzykując, że „jesteśmy sojusznikami, idziemy walczyć z Niemcami, razem pójdziemy na Berlin!”. Uradowany dowódca niewielkiego polskiego garnizonu wysłał oddział ułanów, by jechali przed sowieckimi czołgami i spędzali z drogi uchodźców, oczyszczając drogę sojusznikom! Dopiero koło południa zebrano pozostałych w Ostrogu polskich żołnierzy, otoczono i rozbrojono... Zaczęła się sowiecka okupacja.

OKUPACJA SOWIECKA 1939–1941. LWÓW

Z pierwszego dnia okupacji pamiętam wysłuchaną przez radio mowę Mołotowa, że „Polska, bękart traktatu wersalskiego, nie była zdolna do istnienia, przestała istnieć i nigdy już nie powstanie”. Wujek Marian Horowitz tłumaczył nam z rosyjskiego, a ja płakałem. A wieczorem pomagałem wujkowi Marianowi zakopywać w ogródku jego krzyż *Virtuti Militari* i inne orderzy z wojny z bolszewikami 1920 r.

W kilka dni potem dowiedzieliśmy się przypadkowo, że Ojciec jest w Sarnach na Wołyniu. Był tam razem ze stryjem Heniem, rannym od postrzału z niemieckiego samolotu. Po odnalezieniu się z Ojcem zamieszkaliśmy we Lwowie, gdzie spędziłem okres okupacji sowieckiej, kończąc dwie (dla mnie – jedyne) klasy gimnazjum.

11 listopada 1939 r. uczestniczyłem w harcerskiej manifestacji – zapewne pierwszej pod sowiecką okupacją. Po szkołach poszła wiadomość szeptana zaufanym, że zbieramy się na cmentarzu Orłąt Lwowskich. Zeszło się nas chyba kilkaset osób. Byliśmy bardzo przejęci, w uroczystym nastroju śpiewaliśmy znów aktualny hymn *Jeszcze Polska nie zginęła* i inne pieśni patriotyczne. Gdy czujki dały znać, że zbliża się milicja, padł rozkaz rozejścia się. Rozbiegliśmy się migiem we wszystkich kierunkach, skacząc przez ogrodzenia. Taka była moja pierwsza w życiu manifestacja.

W szkole – z językiem wykładowym polskim – byliśmy intensywnie rusyfikowani (6 godzin rosyjskiego tygodniowo) i ukrainizowani (4–5 godzin), podczas gdy język polski był zaledwie w wymiarze 2 godzin. Młodzież była z reguły nastrojona patriotycznie, a niechętna wobec nachalnie zewsząd propagowanego komunizmu. Tylko bardzo nieliczni zapisywali się do „Komsomołu”; w mojej klasie była tylko jedna komsomołka, Ukrainka.

Uczyłem się dobrze, świadectwa miałem celujące. Był to mój okres poetycki, byłem ogromnie pod wpływem poezji, w tym i wspaniałej romantycznej poezji rosyjskiej, z której wiele wierszy pamiętam po dziś. Kiedyś nauczycielka rosyjskiego zadała nam jakieś wypracowanie domowe – a ja napisałem je bardzo rytmiczną prozą, brzmiącą jak wiersz, choć nierymowany. Byłem z tego bardzo dumny, aż tu okazało się, że dostałem za to dwóję – „za kpiny z zadania”. A tak naprawdę, uczyłem się głównie z książek oraz na niemal codziennych spotkaniach grupki moich krakowskich kolegów szkolnych, którzy uciekli do Lwowa, tak jak i my. Prowadziliśmy tam żywe i ważne w tym wieku dojrzwiania rozmowy, dyskusje, referowaliśmy sobie wiele z przeczytanych książek, formowaliśmy swoje światopoglądy. Nie przeczuwałem, że wkrótce tylko ja spośród nich pozostanę przy życiu.

Matka moja pracowała w *fabryce rzeźb*, ale zarabiała bardzo niewiele. Zwalczano wtedy indywidualność artysty, usiłując sztukę sprowadzić do rzemiosła – i to

najlepiej wykonywanego zespołowo! Ojciec był *planowikiem* w „Mjasotrzeście”, ale jego wynagrodzenie też było bardzo niskie. Ja czasem coś dorabiałem nosząc meble przy przeprowadzkach, bo byłem już silnym, 13-letnim chłopcem.

Bezpośrednim szefem Ojca był wspañiały człowiek, a niezadługo nasz serdeczny przyjaciel, Aleksiej Iwanowicz Timczenko. Timczenko, Ukrainiec z Kijowa, był synem popa i z tego powodu po rewolucji został *liszeńcem*, tj. pariasem pozbawionym wszelkich praw obywatelskich. Przeżył więzienia i czystki, wywózki i terror. Zachował jednak wiele szczerego humoru i miał bardzo dobre serce. Uczył nas, jak przetrwać rządy sowieckie. Mnie chyba lubił, dostawałem od niego w prezencie ciekawe książki. Zawdzięczamy mu bardzo wiele – z Ojcem był zupełnie szczerzy.

Kiedyś, w czerwcu 1940 r., uprzedził mego Ojca: „razem ze mną mieszka Sobolew, on należy do NKWD. Powiedział mi, że tej nocy nie będzie go w domu. Oznacza to, że będzie jakaś akcja, wywózki. Nie nocujcie dziś w domu!”. Wobec tego schowaliśmy się w stołówce Związku Plastyków. Wieczorem ukryliśmy się we trójkę pod okrągłym stołem, zakryci długim obrusem. Potem stołówkę zamknięto. A później – stopniowo pojawiali się i inni, wychodząc spod różnych stołów, m.in. Adam Ważyk (!), czołowy wtedy komunistyczny politruk literatów we Lwowie...

Rano byliśmy wprawdzie bardzo śpiący, ale nam to natychmiast przeszło, gdy okazało się, że do domu w nocy przyszło po nas NKWD. Ojciec, jakby nigdy nic, musiał iść do pracy (gdzie w tymże „Mjasotrzeście” pracował i ów Sobolew), a ja do szkoły.

Timczenko nas nauczył, że jeśli NKWD przyjdzie aresztować ludzi według listy, a kogoś nie zastanie, to należy jeszcze przez 2–3 noce nie spać w domu – „oni przychodzą zawsze nocą!” – a potem już dana wywózka zostanie zakończona i można będzie spać spokojnie – aż do następnej.

Tej i kolejnych nocy wywieźli mnóstwo ludzi włąb Rosji, na Ural i do Kazachstanu, głównie Żydów, którzy uciekli przed Niemcami. Wywieziono mego stryja Józka z żoną i małymi dziećmi, wielu krewnych i przyjaciół naszej rodziny. Wzięli też w nocy Dziadka. Gdy o tym dowiedziała się ciotka Helenka (która wtedy też była we Lwowie), zaalarmowała swą szkolną koleżankę, a we Lwowie czołową komunistkę, Wandę Wasilewską. Biegała wzdłuż zamkniętych już pociągów, odnalazła Dziadka – i dzięki Wandzie Wasilewskiej zdołała go stamtąd wyciągnąć²⁴.

²⁴ Pomagając Helence wyciągnąć Dziadka, Wanda Wasilewska powiedziała jej: „zrobię to dla twego ojca, ale to się i tak dla Was źle skończy!” I rzeczywiście. Dziadek miał dosyć. Postanowił wrócić do domu: „wołę zginąć u siebie w domu, niż na Syberii”. Wrócił do Krakowa, pod niemiecką okupację, przeprowadzony przez *zieloną granicę*. A latem 1942 r. Niemcy wypędzili wszystkich Żydów z okolic Krakowa do getta w Skawinie. Niemcy robili *selekcję*: wszystkich starszych ludzi zabrano do tynieckiego lasu i rozstrzelano. Jego też. A Helenka zginęła rok później wraz z Marianem, już pod okupacją niemiecką, zażywając truciznę, gdy na skutek donosu szło po nich Gestapo.

Między innymi wywieziono wtedy i moją ciotkę Olę Lisiewiczową z paromiesięczną córeczką Teresą. Im udało się lepiej, niż pozostałym wywiezionym: przebywający w Anglii jej mąż, płk.-pilot Mieczysław Lisiewicz²⁵ dzięki gen. Sikorskiemu ściągnął je już w 1941 r. do Londynu.

Tęże nocy wywieziony został brat cioteczny mojej Matki, dr inż. Rudolf Frommer²⁶ ze swą piękną żoną-pianistką Tolą (Fot.8) i 67-letnią matką Matą. Wywieziono ich na północny Ural gdzie rąbali drzewo w lesie jako drwale (Toli ręce drwała nie pozwoliły potem już nigdy myśleć o koncertowaniu) – ale starszuskę-matkę oddzielono od nich i wywieziono kilkaset kilometrów dalej na północ. Dopiero przez korespondencję z nami, *via* Lwów, dowiedzieli się nawzajem o sobie. Zebrała się wtedy u nas rada rodzinna i uchwalono, że ponieważ Stalin znany jest szeroko jako *przyjaciel dzieci*, najlepiej niech dziecię niewinne wstawi się za nimi. Kazano mi napisać list do Stalina. Było to zimą 1940/41. Napisałem więc, pod dyktando, swoimi rosyjskimi kulfonami, że jako 13-letni celujący uczeń z takiej to a takiej klasy i szkoły, proszę towarzysza Stalina, by sprawił aby stara matka mogła być razem z pracującymi tu a tu swymi dziećmi... W parę tygodni potem dostaliśmy listy, że są razem! Był to mój – na szczęście jedyny – kontakt z tow. Stalinem; ale jakże skuteczny!

Z początkiem 1941 roku przyszedł do nas na kolację Timczenko i tłumaczył, że tutaj wcześniej czy później wybuchnie wojna niemiecko-sowiecka, a nas wtedy nic dobrego nie czeka. On zaś ma przyjaciela w Ałma-Ata, stolicy Kazachstanu, tuż koło chińskiej granicy w górach Tian-Szań. Pisał do niego, i ten jest gotów Ojca zatrudnić w tamtejszym przedsiębiorstwie. Dostalibyśmy służbową *komandirowkę* do Ałma-Aty i tam byśmy spokojnie żyli aż do końca wojny... Mnie to pociągało jako niesamowita przygoda życiowa, ale Rodzice, dziękując mu serdecznie za tę przyjacielską troskę, odmówili...

Zajmowaliśmy dwa pokoje w ogromnym mieszkaniu przebywającego za granicą honorowego konsula Belgii p.Szarskiego przy ul.Nabielaka. W różnych pokojach mieszkało tam wielu ciekawych ludzi, m.in. dwie komunizujące panie-muzykolog, Łobaczewska i Lissa, jakaś śpiewaczka operowa, której arie urozmaicały wieczory. Mój pokój to była wspaniała biblioteka, z mnóstwem w skórę oprawnych różnojęzycznych *dział zebranych* wybitnych pisarzy. Rodzice zajmowali sąsiedni pokój. Czytałem ile tylko mogłem. Wkrótce na podstawie moich lektur doszedłem jednak do wniosku, że każdy chłopiec, który miał coś w życiu osiągnąć, najpóźniej w wieku 13 lat uciekał z domu, zaciągając się w jakimś porcie jako *majtek* na statek i wyruszając w świat. A ja już miałem przecież 13 lat!

²⁵ W I i II wojnie światowej adiutant i przyjaciel gen. Sikorskiego, lotnik-poeta, pisarz, autor znakomitej książki dla młodzieży *Trop nad jeziorem* – której byłem pierwszym, *próbnym* czytelnikiem. Po II wojnie światowej jeden z oficerów Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie pozbawionych przez rząd komunistyczny obywatelstwa polskiego. Przez pewien czas prezes związku pisarzy polskich na obczyźnie.

²⁶ Po wojnie profesor ekonomiki leśnictwa na SGGW.

Pewnej nocy obudziłem się z przerażeniem – dookoła wszystko szeleściło i szurało. Zapaliłem lampę – obrazy chwiały się na ścianach, lampa u sufitu, meble skrzypiały. Zrozumiałem natychmiast, że to trzęsienie ziemi. Wołam Rodziców – a tu już spokój dookoła. Rodzice mnie wyśmieli, że coś mi się przyśniło. Dopiero potem w gazetach pisano o trzęsieniu ziemi w Rumunii, które „dało się odczuć nawet we Lwowie”. Było to pierwsze – i zapewne jedyne przeżyte przeze mnie trzęsienie ziemi. Warszawa leży na szczęście z dala od strefy sejsmicznej²⁷.

22 czerwca 1941 r. o świcie obudził nas niesłyszany od dwu lat huk wybuchających bomb. Niemcy przystąpili do ataku na ZSRR. Pół dnia już trwała gwałtowna wojna nim radio rosyjskie podało o tym pierwszą wiadomość. Wieczorem przyszedł do nas pożegnać się mój kuzyn Janek Abrahamer, niezwykle zdolny matematyk, student lwowskiego uniwersytetu. Widziałem go wtedy ostatni raz. Wraz z wieloma innymi kolegami – Żydami zgłosił się ochotniczo do walki z Niemcami, do armii sowieckiej. Jak się wkrótce dowiedzieliśmy, Rosjanie cały ich oddział wyprowadzili za miasto i tam ich wszystkich rozstrzelali!²⁸

Następnego dnia Rosjanie zaczęły panicznie uciekać ze Lwowa. Odezwała się uliczna kanonada ukraińskiego powstania, pojawiły się napisy o *samostijnej Ukraini*²⁹, oraz *Lachy i Żidy het' za San!* W dzień potem powróciły jednak ciężarówki z zawröconymi z drogi Rosjanami i sowieckie wojsko. Rozgorzały intensywniej walki uliczne. Po dalszym jednym czy dwu dniach przyszli jednak Niemcy.

OKUPACJA NIEMIECKA WE LWOWIE

W więzieniu u *Brygidek* odkryto zwłoki więźniów zmasakrowanych przez NKWD tuż przed oddaniem Lwowa. W odpowiedzi na to ... nastąpiły pogromy Żydów. W naszej okolicy Żydów mieszkało niewielu, tak że z początku nas to omijało. Ale już po kilku dniach na ulicy złapali Ojca i zaciągnęli go do straszego obozu Janowskiego. Szczęściem powrócił wieczorem, pobity, wynędzniały, w zniszczonym ubraniu – ale żywy i cały! Nie chciał nam nic mówić o tym, co tam się działo, tylko powtarzał: „to było straszne... o nic mnie nie pytajcie...”

Gdzieś w połowie lipca 1941 r. front przesunął się już daleko na wschód, zwycięstwo Niemców wydawało się przesądzone. Doszedłem do przekonania, że czas najwyższy opuścić dom i zaciągnąć się na statek. Postanowiłem uciec Niemcom, iść przez Bałkany do Turcji i tam gdzieś dołączyć do polskich sił zbrojnych, na polski okręt. Zebrałem mapy kolejnych krajów – Polski, Słowacji, Węgier, Rumunii, Bułgarii i Turcji – wziąłem kompas, plecaczek z bochenkiem

²⁷ A jednak... 21.IX.2004 r. przeżyliśmy na Mazurach słabe trzęsienie ziemi!

²⁸ A jego siostrę Irenę i ojca – brata Dziadka – zabili w Krakowie Niemcy.

²⁹ Te marzenia o niepodległej Ukrainie zostały wkrótce potem stłumione przez Niemców, na których Ukraińcy tak bardzo liczyli.

chleba, i w gimnazjalnym płaszczu i harcerskiej czapce opuściłem pokrywom domu, zostawiając rodzicom list, żeby się nie martwili, że nie chcę żyć pod okupacją, że sobie poradzę, a im będę dawał o sobie znać...

Szedłem na południe, polami, czasem drogą, czasem przysiadając się na chłopską furkę. Pod wieczór jeden z napotkanych chłopów spojrzał na mnie krytycznym wzrokiem i powiedział, żebym dalej w tę stronę nie szedł, bo tam zaczynają się już wsie ukraińskie, a oni widząc mnie w takim mundurku – ani chybi poderzną mi gardło... Było już ciemno, wszędzie obowiązywała godzina policyjna. Poszedłem w wysokie zboże, żeby nie było mnie widać. Położyłem się w zbożu, owinąłem się płaszczem, usiłowałem zasnąć. Mżył deszczyk, zrobiło się chłodno. I dopiero wtedy przyszło mi na myśl, jakież świństwo zrobiłem rodzicom. Żal i wyrzuty sumienia kazały mi wstać i wracać, polami, nocą, w stronę Lwowa.

O świcie zbliżałem się ku miastu. Na Wzgórzach Wóleckich (na których kilka dni wcześniej – o czym nie miałem pojęcia – Niemcy rozstrzelali lwowskich profesorów, Boya-Żeleńskiego, Bartla, Ruziewicz i innych) ujrzałem z daleka dwie postacie. Byli to moi rodzice! Mimo godziny policyjnej, szukając mnie, krążyli dokoła miasta. Nigdy nie zdołałem ich za to naprawdę przeprosić (a co gorsza, w trzy lata później uciekłem znowu...). A sam uznałem się za pokonanego przez los, bo przecież nic nie wyszło z mego zaciągnięcia się na statek – straciłem już chyba ostatnią szansę, by kimś w życiu zostać?

Wkrótce jednak musieliśmy opuścić to piękne mieszkanie i bibliotekę. W tłumie przeprowadzających się jak kto mógł, przenieśliśmy nasze bardzo niewielkie bagaże uciekinierów do tworzącego się getta. Ojciec w swej pracy (którą oczywiście po wkroczeniu Niemców utracił) zaprzyjaźnił się był z bardzo zdolnym młodym adwokatem, Izydorem Reislesem³⁰ (Fot.18), zięciem słynnego lwowskiego obrońcy Leiba Landaua. Zamieszkaliśmy w małym pokoiku w ich wspólnym mieszkaniu na ul. Jachowicza, już na terenie getta. W tym okresie getto nie było jeszcze zamknięte murem, ale trzeba było nosić opaskę z gwiazdą Dawida, czego unikałem, gdy tylko mogłem. Mój szkolny kolega Zbyszek Gajewicz dał mi swoją legitymację szkolną i z nią poruszałem się po całym mieście. Wtedy po raz pierwszy bywałem Zbyszkim.

Na terenie powstającego getta Niemcy rabowali i strzelali. Co noc słychać było strzały. Pamiętam też jak kilka razy, po *godzinie policyjnej*, wkraczało z hałasem do mieszkania paru umundurowanych Niemców, w hełmach, i grożąc bronią stawiali nas pod ścianami, a sami otwierali kolejne szafy i szuflady, zabierając co tylko znaleźli cenniejszego – jakieś kosztowności, pieniądze, srebrne nakrycia stołowe. Resztę rozrzucali po pokojach i z hukiem wychodzili.

³⁰ Po wojnie: prokurator Jerzy Sawicki (proces Majdanka, Norymberga), profesor prawa na UW, „Lex” jako autor popularnych książek o prawie, w latach 60. szeroko znany ze swych pogadanek telewizyjnych jako *profesor z fajką*.

Ale i wśród Żydów w tej dzielnicy było mi obco. Pamiętam, jak poszedłem wykupić kartkową porcję naszego czarnego chleba. Stałem w skłębionej kolejce podenerwowanych ludzi. Ktoś coś do mnie powiedział, a ja nie rozumiałem po żydowsku. Podniósł się oburzony krzyk całej kolejki, wypchnięto mnie z niej z wściekłością i krzycząc, żebym sobie poszedł do *gojów*, uniemożliwiono mi kupienie chleba.

Tymczasem warunki życia w getcie pogarszały się z dnia na dzień, następowały kolejne akcje, wywózki, mordy. W najbliższym czasie miano getto zamknąć zupełnie, odcinając nas od *aryjskiej* części miasta. Dawno już postanowiliśmy uciekać, a teraz powstawały warunki po temu; dzięki pomocy przyjaciela prof. Witalisa Szarskiego – prof. Huberta, prawnika z Uniwersytetu Jana Kazimierza – Rodzice uzyskali oryginalne dokumenty jego krewnych, ludzi w podobnym do nich wieku: Czesława Grabowskiego, byłego polskiego posła w Brazylii, i jego żony Joanny. Oboje zmarli za granicą, tak, że nie było to odnotowane w tutejszych aktach metrykalnych.

Ze mną sprawa była jeszcze ciekawsza. Niejaka pani Biłobranowa, piękna i młoda kobieta, niedługo przed wojną sądzona była za jakieś ciężkie przestępstwo (oszustwo czy też szpiegostwo?). W każdym razie w procesie, w którym ponoć nie miała żadnych szans, nasz przyjaciel, adwokat Izydor Reiser, wybronił ją i została uniewinniona. Odtąd była mu niezwykle wdzięczna i chyba kochała się w nim. Jemu przekazała dokumenty swego męża, swoje własne – jego żonie Hance, córce Leiba Landaua³¹.

W każdym razie usłyszawszy o potrzebie dobrych *aryjskich* papierów dla mnie – wykradła metrykę i różne świadectwa szkolne swemu siostrzeńcowi, memu rówieśnikowi Zbyszkowi Szychowskiemu z Sokala, i przekazała mi wszystkie te dokumenty. Odtąd aż do końca okupacji byłem *Zbigniewem Szychowskim*. Ze względu na to, że mój imiennik żył i o niczym nie wiedział, obiecałem jej, że po wojnie tego nazwiska nie będę używał.

W czasie, gdy Rodzice jeszcze przygotowywali naszą ucieczkę, ja już uszedłem z getta i mieszkałem przez tydzień czy dwa przy ul. Sapielny u Mani Bett, uciekiniarki z Wiednia, a dalekiej kuzynki mojej Matki³². Mieszkała ona ze swym przyjacielem (a o takim konkubinacie mówiło się wówczas szeptem, ze zgorzzeniem) znanym wówczas *astrologiem* Janem Starżą-Dzierzbickim. Był to człowiek bardzo sympatyczny i pełen artystycznej fantazji. Spędziłem u nich kilka miłych dni. Nie znam dalszych losów Mani, słyszałem jednak, że wojny nie przeżyła.

³¹ I tak kilka miesięcy później została przez kogoś rozpoznana i zamordowana przez Niemców w Warszawie.

³² Matka mojej babci Szereszewskiej była z tej rodziny – Fanna Bett.

NA „ARYJSKICH” PAPIERACH – WARSZAWA

Ucieczkę zaplanowaliśmy do Warszawy, bo to i duże miasto, gdzie łatwiej się ukryć, i licząc na to, że w Warszawie, zwłaszcza po *stronie aryjskiej*, mało kto moich rodziców zna. W kwietniu 1942 r. razem – ale osobno, udając nieznanomych – wyruszyliśmy pociągiem do Krakowa. Tam, schowani głęboko w do-
rożce (żeby dobrze w Krakowie znane twarze Rodziców nie rzuciły się w oczy) pojechaliśmy by przenocować u przyjaciółki rodziny – Tiki Schröderowej³³. Na-
zajutrz równie ostrożnie i bez niepożądanych przygód udało nam się dotrzeć po-
ciągiem do Warszawy.

Na peronie czekał na nas mój nieznan mi jeszcze nowy wuj Antoni Dreling – mąż Stachy, siostry mojej Matki. Antoni był typem *Colas Breugnon*’a: weso-
ły, gawędziarz, kobieciarz, z niebywałą głową do interesów. Pochodził z rodzi-
ny niewielkich ziemian z Nowogródziny. Jego ojca zamordowali tam w 1939
roku bolszewicy. Będąc katolikiem i rodowitym szlachcicem – Antoni był zara-
zem jedynym członkiem naszej najbliższej rodziny swobodnie mówiącym po
żydowsku! W czasach przedwojennych bez tego nie zdołałby sprzedać płodów
ich gospodarstwa na targu w Nowogrodzku, robić tam interesów. Antoni odegrał
w naszym życiu ogromną rolę, po wielokroć zawdzięczaliśmy mu ocalenie.

Przyjechaliśmy więc do ich mieszkania przy Wareckiej 9, a wkrótce potem
wprowadziliśmy się (prawie bez rzeczy, ale wnosząc dla pozorów jakieś pożyczo-
ne puste walizy) do dużego pokoju, wynajętego w wielkim mieszkaniu pp.
Wrzecianów przy ul. Zielnej 45 m.6, na rogu Próżnej. Poza nami mieszkał tam
jeszcze młody kleryk, Stanisław Kowalski i było wiele pokoi pustych lub zapeł-
nionych meblami. Wkrótce zorientowaliśmy się, że Wrzecian skupuje *pożydow-
skie* meble z zacieśnionego już w najbliższej okolicy, a wkrótce i gwałtownie
zlikwidowanego „małego getta”, którego mury przebiegały wzdłuż sąsiedniej
ulicy Granicznej.

W ciągu pierwszych miesięcy pobytu po *stronie aryjskiej* starałem się nau-
czyć *jak być niewidocznym*, może raczej: *niedostrzegalnym*. Nie wystarczało sta-
rać się wyglądać jak inni – a nie było to łatwe z moim mało *aryjskim* wyglądem
– trzeba było zachowywać się możliwie swobodnie, jak inni, nie rzucać się
w oczy. A gdy spotykałem kogoś nieznanego, choćby sprzedawcę w sklepie,
zawsze uważnie obserwowałem jego zachowanie. Jeśli po spojrzeniu na mnie
wyszedł na chwilę na zaplecze – był to dla mnie sygnał, że lepiej się stąd ulotnić.
Jeśli w oczach spoglądającego na mnie człowieka dostrzegłem nagły błysk zro-
zumienia – wiedziałem, że bezpieczniej będzie odtań tego człowieka unikać.

³³ Zofia Schröder zwana Tiką była to osoba niezwykła, wdowa po legionowym poe-
cie, niemal członek naszej rodziny. W czasie okupacji nie tylko my mogliśmy się ukryć
w jej mieszkaniu. Odbywały się tam również zakonspirowane przedstawienia Teatru
Rapsodycznego, w których występował m.in. młody aktor Karol Wojtyła.

Żyło nam się ciężko, bo zawsze przytłoczeni obawą, a i pieniędzy nie mieliśmy, ale w momentach naprawdę krytycznych wspomagał nas zawsze Antoni. Matka dotarła do jakichś źródeł szmuglowanej kawy ziarnistej i dostarczała ją do paru barów kawowych. Ojciec znalazł zatrudnienie jako *akwizytor* w firmie „Żubr”, produkującej namiastki przypraw spożywczych: niby-pieprz, niby-ziele angielskie itp. Musiał w związku z tym często bywać wśród hurtowników spożywczych na Pradze, która była jego „rejonem akwizycji”, pić z nimi, jeździć tramwajami. Każdego dnia rano żegnaliśmy się ze świadomością, że to już może być ostatnie pożegnanie. Ojciec zawsze miał jednak i w tych czasach w kieszeni jakiś małego formatu podręcznik wyższej matematyki, a obok zeszytik ze słówkami angielskimi, bo przez całe życie w każdej wolnej chwili czegoś się uczył. W domu najchętniej czytał po grecku Tukididesa, którego znalazł u jakiegoś bukinisty.

Do lat 18 – do końca wojny – właściwie nie widywałem dziewcząt. Jedyłą, którą czasem widywałem, była nieco młodsza ode mnie znajoma, piękna Hania Pasierbińska, ale ona otoczona była zwykle gronem adoratorów, gdy ja musiałem ukrywać nawet swoje istnienie.

Mężczyźni narażeni byli bardziej niż kobiety, bo nosili na sobie nieusuwalne piętno przymierza Abrahama z Panem Bogiem. Ale moja Matka przypomniała sobie, co czytała kiedyś w książce *Hellenizm a Judaizm* znakomitego znawcy antyku, Tadeusza Zielińskiego. Na zawodach sportowych epoki hellenistycznej, gdzie biegano nago, żydowscy atleci wstydziła się swego obrzezania. Zwracali się do ówczesnych chirurgów, którzy mieli sposób, by ten znak Przymierza usunąć³⁴. Matce, która sprzed wojny znała wielu lekarzy, dzięki wszechstronnej pomocy mego nowego wuja Antoniego, udało się pewnego dnia przekształcić jadalnię Stachy i Antoniego w prowizoryczną salę operacyjną, a na stole operacyjnym znaleźliśmy się kolejno – ja, Ojciec i stryj Henryk. Operacja była bolesna, a co gorsza – bezskuteczna. Udała się tylko u stryja Henryka – i to go szczęśliwie uratowało, gdy kiedyś próbowano go szantażować – choć na ogół jego właśnie przez cały czas niemieckiej okupacji najmniej o *nie-aryjskość* podejrzewano.

Rok 1942 był kolejnym strasznym rokiem niemieckich zwycięstw, a dla Żydów – postępującej zagłady. Niemcy panowali nad całą Europą, od Pirenejów po Kaukaz i od Nordkapu po Kretę. W Afryce Niemcy nacierali na Egipt. Wydawało się, że nie ma już nadziei. I wtedy właśnie, w lipcu 1942 r., miałem sen, który odegrał wielką rolę w moim życiu. Śniło mi się, że minęło dalszych 10 lat, jest lipiec roku 1952, Niemcy panują wszędzie, a ja jestem we Francji i działam w *maquis*, w konspiracji. Byłem w Lyonie, wszedłem do umówionego domu. Na klatce schodowej było dość ciemno, wchodziłem po schodach – aż tu na piętrze przede mną otwały się drzwi, ktoś wyskoczył z pistoletem i strzelił wprost we mnie. Poczulem ból, przewaliłem się do tyłu, po schodach – i nie żyłem. Przebudziłem się – nie ze strachu; z ulgą! „A więc mam przed sobą jeszcze 10 lat ży-

³⁴ Tadeusz Zieliński. *Hellenizm a judaizm*. Toruń 2000 Wyd. Adam Marszałek, s. 112

cia. Nie mam się teraz czego bać!” Wiara w ten sen dopomogła mi w najtrudniejszych chwilach – pod ostrzałem w Powstaniu, podczas śledztwa w Gestapo – wiedziałem, że przeżyję³⁵.

Byłem jednak zgnębiony perspektywą zwycięstwa Niemiec. Zastanawiałem się, gdzie się podziąć, by w opanowanym przez Niemców świecie uniknąć prześladowania. Widziałem dwa takie kraje, sprzymierzone jakoś z Niemcami, a więc takie, które mogą przetrwać, zachowując swój charakter: Japonię i Hiszpanię. W Hiszpanii wszyscy mają wygląd podobny do Żydów, więc nie będę się tam wyróżniał; dla Japończyków zaś wszyscy biali są zapewne nieodróżnialni. Chcąc być przygotowanym, zdobyłem samouczki japońskiego i hiszpańskiego i zacząłem się uczyć. Japoński okazał się zdecydowanie za trudny. Uczyłem się więc z samouczka hiszpańskiego – do czasu, gdy po kilku miesiącach losy wojny zaczęły się odmieniać: Niemcy ponosili klęski.

CHEMIA WKRACZA W MOJE ŻYCIE

Tymczasem tu, po stronie *aryjskiej*, życie toczyło się na pozór normalnie. Z początku nie bałem się nawet chodzić po ulicach, jeździć tramwajami po odległych dzielnicach, poznawać nieznaną mi uprzednio Warszawę. Na plan miasta systematycznie nanosiłem zniszczenia z czasu oblężenia w 1939 roku. Przez cały czas okupacji uczyłem się sam, a gdy byliśmy razem – prosiłem czasem Rodziców o pomoc. Matka poduczała mnie historii sztuki, francuskiego i rosyjskiego, wprowadzając w poezję w obu tych językach. Ojciec miał bardzo szeroką wiedzę. Przekazywał mi nieco swego entuzjazmu do analizy matematycznej i humanistyki, ucząc mnie wiele o różnych kulturach, o historii, o historii nauki.

Kiedyś spróbowałem jednak zaryzykować i pójść do jawnie istniejącej szkoły tzw. zawodowej (bo gimnazja były zamknięte). Program obejmował tam niektóre przedmioty gimnazjalne oraz inne – narzucone przez Niemców. Tego dnia, gdy przyszedłem pierwszy raz na lekcje, zaczęło się akurat od *Rassenkunde* – nauki o rasach! Nauczyciel wzywał kolejnych chłopców, cyrklem i linijką mierzył im różne parametry czaszki i definiował cechy „rasowe”. Potem wskazał na mnie. Znowu mierzył mi różne odległości ucho-nos i coś tam jeszcze, stwierdzając *wyraźne cechy rasy ... mongoloidalnej*. Nastąpiły śmiechy uczniów, które były jednoznaczne. Na przerwie wyszedłem szybko ze szkoły i wróciłem do domu okrężną drogą, patrząc, czy nikt z kolegów klasowych za mną nie idzie. Oczywiście, więcej już takich prób nie podejmowałem i uczyłem się sam.

Podręcznik dla klasy III gimnazjalnej wywołał u mnie zainteresowanie chemią. Upřednio, we Lwowie, zachęcała mnie do tego moja kuzynka, Hania

³⁵ Wiele lat później, po roku 1952, gdy pierwszy raz znalazłem się w południowej Francji, pojechałem specjalnie do Lyonu, wyszukiwałem stare domy podobne do tego z mego snu, wchodziłem na różne klatki schodowe, oczekiwałem strzału – ale nikt do mnie nie strzelił.

Grossfeld, której ojciec był chemikiem, a i ona chciała obrać ten zawód³⁶. Ja zaś, nic jeszcze o chemii nie wiedząc, uważałem ją za nudną, ale teraz, po przeczytaniu paru książek, postanowiłem zostać chemikiem. Zafascynowała mnie możliwość przemiany jednych substancji w inne, planowania syntez nowych związków.

Dzięki Ojcu i właścicielowi firmy p. Leonowi Wieczorkowi, ja też miałem Ausweis (Fot. 12) i próbowałem coś zarobić oferując wyroby firmy w paru niewielkich sklepikach na spokojnych, mało ludnych ulicach. Trwało to krótko, ale te niewielkie zarobione pieniądze obróciłem na potrzeby mego domowego laboratorium. Kupiłem parę najprostszych szklanych naczyń laboratoryjnych, a chemikalia kupowałem w małej mydlarni w sąsiednim domu (wtedy mydlarnia sprzedawała np. stężone kwasy, zasady, siarkę, różne sole – był to prawdziwy raj dla chemika). Doświadczenia przeprowadzałem w kuchni. Kiedyś wyczytałem, że alkohol etylowy można otrzymać syntetycznie z acetyleny. Acetylen – gaz, płonący w *karbidówkach*, używanych do oświetlenia podczas ciągłych wyłączeń elektryczności, był łatwo dostępny i tani. Ponieważ wódka była w tych czasach najużyteczniejszą monetą wymienną, postanowiłem opanować tę metodę syntezy i w ten sposób wydatnie dopomóc finansowo Rodzicom. W pierwszym stadium syntezy – a miało to być katalityczne uwodnienie do aldehydu octowego w obecności soli rtęciowych – przepuszczałem acetylen przez roztwór z trudem zdobytego chlorku rtęciowego („sublimatu”). Powstał jakiś osad, o którym z książek nic nie wiedziałem. By mu się przyjrzeć, potrząsałem naczyniem – i nastąpił głośny wybuch. Wyleciała szyba, ja się pokaleczyłem, ogłuchłem na parę dni. Znacznie później dowiedziałem się, że niechcący wytworzyłem jedną z najsilniej wybuchowych substancji – acetylenek rtęci – stosowany czasem jako zapalnik w amunicji.

Ale to nic, gorzej, że gdy po kilku dniach zaszedłem do „mojej” mydlarni, właścicielka powiedziała na zapleczu do męża: „chodź, przyszedł ten co tu obok robi bomby...” I to mi dopiero dało do myślenia, że do naszego codziennego zagrożenia dodają jeszcze dodatkowe, które może na nas zwrócić uwagę Niemców. Zrezygnowałem więc z syntezy alkoholu. Nie zrezygnowałem jednak z doświadczeń – tyle, że wykonywałem je odtąd w łazience, gdzie nie było okna. Kolejny wybuch spowodowała próba utleniania siarki przez stapianie jej z nadmanganianem potasu. Musiałem potem zmywać fioletowe plamy ze ścian łazienki.

Najbardziej jednak polubiłem „swoją” reakcję, którą demonstrowałem potem nieraz kolegom na Uniwersytecie, stosując odpowiednie zabezpieczenia. Na dno szklanego cylindra wsypywałem kryształki KMnO_4 , na to ostrożnie nalewałem warstwę stężonego H_2SO_4 (powstawał pięknie zielony kwas nadmanganowy), jeszcze ostrożniej „to czego nie wolno” – sporą warstwę wody, a na wierzchu kolejną warstwę – stężonego amoniaku. Po chwili, gdy NH_3 dyfunduje poprzez

³⁶ Nie wiem, czy przeżyła wojnę, chyba nie.

wodę w dół, a HMnO_4 w górę – w miejscach zetknięcia powstają błyski i huki, powtarzające się długo, dopóki całość się nie zmiesza i nie wyprysnie z cylindra...

Ojciec opowiadał mi kiedyś o kilkunastoletnim Pascalu, jak to rodzice dbając o jego zdrowie chcieli go odciąć trochę od lektur i zamknęli go kiedyś na tydzień w pokoju bez książek. A on w tym czasie pomyślał – i wymyślił, bez żadnych pomocy naukowych, trygonometrię. „A co to jest trygonometria?” – zapytałem. Ojciec mi wspomniął tylko: „zależności między kątami i długościami boków w dowolnym trójkącie”. Od dzieciństwa byłem pod wielkim wpływem *Kajtusia Czarodzieja* Janusza Korczaka. Byłem pewien, że jeśli bardzo, z całym natężeniem woli, czegoś będę chciał – to to się spełni. Postanowiłem więc śladem Pascala wymyśleć trygonometrię. Przez tydzień całą swą istotą starałem się zgłębić istotę trójkątów, zapełniłem nimi mnóstwo stron, mierzyłem, liczyłem – na próżno. Nie wymyśliłem na nowo trygonometrii. Był to ciężki zawód życiowy – zawiodłem się na sobie.

Czytałem i myślałem coraz więcej o chemii; Rodzice zdecydowali się sfinansować mi prawdziwe lekcje chemii z przedwojennym asystentem Politechniki, p. Kalkhoffem. Raz na tydzień przerabiałem więc z nim politechniczny kurs analizy chemicznej. A czasy stawały się coraz to straszniejsze.

STRASZNY ROK 1943

Nadszedł straszny rok 1943. 19 kwietnia 1943 r. wybuchło powstanie w getcie. Nas, tych będących po *aryjskiej* stronie, bezsilnych świadków, ogarnęła rozpacz. Krążyłem, zachowując ostrożności, w okolicy Bonifratskiej i placu Kraśińskich, przejęty bólem i podziwem. Z nieba spadały wszędzie kawałeczki zwęglonych papierów, a nad gettem unosiły się płomienie i dymy.

Przyszedł do mnie pan Kalkhoff, podszedł do okna i zacierając ręce rzekł z uśmiechem: „ależ te żydki się smażą!”. Wstrząśnięty do głębi, powiedziałem mu, że mam grypę – i odtąd nasz kontakt się urwał. Ale jego postawa, choć może i nietypowa u inteligencji, była niestety dość powszechna wśród prostego ludu Warszawy.

Całe życie miałem wyrzuty sumienia, że nie byłem w Powstaniu w Getcie; ukrywałem się tylko coraz bardziej przed ludźmi, pisałem o Powstaniu smutne wiersze – z których jeden czy dwa zachowały się ... w Izraelu.

Nie tylko dokoła płonącego getta, ale i w całej aryjskiej Warszawie na wielką skalę wzmożło się polowanie na Żydów – *szmalcownicy* i agenci Gestapo tropili każdego, kto zdołał ujść i ukrywał się po tej stronie murów. W tym to czasie, późną wiosną 1943 r., mój Ojciec został wskazany w tramwaju Niemcom przez... *żydowskiego agenta Gestapo*. Będący na usługach Ge-

stapo Żydzi najlepiej rozpoznawali innych Żydów! Ojciec znalazł się w Alei Szucha.

Przesłuchujący go oficer Gestapo zapytał, skąd zna on tak znakomicie język niemiecki. Usłyszawszy, że studiował w Berlinie i we Wiedniu, a ponadto był oficerem w *cesarsko-królewskiej* armii austriackiej w I wojnie światowej – gestapowiec wypytał go o szczegóły: pułk, dowódców, o innych oficerów, o miejsca walk... Usłyszawszy odpowiedzi – uściśnął mu rękę i powiedział: „jesteśmy więc *Front-Kameraden* z tego samego pułku. Ja jestem Austriakiem, służyliśmy razem. Jest pan wolny. Gdyby ktokolwiek czepiał się pana lub pańskiej rodziny – proszę porozumieć się ze mną!”

Było to niesamowite: lojalność wobec dawnego towarzysza broni przeważała nad lojalnością hitlerowca i gestapowca (i to jakiego!).

Ojciec opowiedział mi to wszystko ze szczegółami – numer pokoju, umeblowanie, nazwisko i wygląd gestapowca. „Może ci się to przydać!” Zapamiętałem. Półtora roku później znajomość realiów dotyczących tego gestapowca miała mi rzeczywiście uratować życie.

Latem 1943 r. – w czasie gdy ja ukrywałem się poza Warszawą – moi rodzice byli szantażowani (bezskutecznie) przez dozorcę domu, w którym mieszkaliśmy, Zielna 45. Przy ponownej próbie szantażu, znów wyrzuceni za drzwi, szmalcownicy wezwali Niemców. Rodziców zabrano na Gestapo w al. Szucha. Ale tam krótka rozmowa telefoniczna Ojca z owym oficerem Gestapo doprowadziła do natychmiastowego zwolnienia moich rodziców!

Gdy wygasła Powstanie w getcie a trwało polowanie na Żydów, zagadnął mnie kiedyś nasz sąsiad, kleryk Stanisław Kowalski. Był on silnie zaangażowany w działalność konspiracyjną jakiejś skrajnie katolicko-narodowej organizacji, „Miecz i Pług” czy też „Krzyż i Miecz”, dawał mi do czytania ich gazetki. Przyszła Polska miała rozciągać się od Krymu aż po prasłowiańską Rugię włącznie. Tym większą niespodzianką była jego propozycja, że byłoby bezpieczniej, gdybym pojechał do jego brata, do Henrykowa.

Podwarszawski Henryków był wtedy wsią (dziś to już dzielnica Warszawy). Harcmistrz Antoni Kowalski mieszkał w domku otoczonym ogrodem i sadem, dość daleko od innych ludzi. Był serdeczny i bezinteresowny, mimo iż narażał całą swoją rodzinę. Brat obu Kowalskich był księdzem w pobliskich Płudach. Mieszkałem tam przez lato roku 1943, wdychając pełną piersią atmosferę życzliwości i dobra, która promieniowała od tej rodziny, korzystając z ciekawych dyskusji z moim gospodarzem i z jego bogatej biblioteki. Zachodziła tam czasem jedna z sąsiadek, „pani hrabina”, i widziałem, że spogląda na mnie kosym okiem. Pewnego razu, po jej wizycie, Antoni Kowalski rzekł mi smutny i oburzony, że *pani hrabina* oświadczyła mu, że czuje się zagrożona moją obecnością i że jeśli ja się stąd nie wyprowadzę, to ona będzie zmuszona powiadomić władze. Wróciłem więc do Warszawy, ale pobyt w Henrykowie i pomoc braci

Kowalskich pozostały w mej pamięci jako jasne wspomnienia z tego ponurego, a dla nas wyjątkowo niebezpiecznego okresu³⁷.

Było to chyba jesienią 1943 r., gdy udało mi się spotkać Henryka Ehrlicha. Był moim kolegą szkolnym i serdecznym przyjacielem, synem krakowskiego adwokata, zabitego przez Niemców. Henryk ukrywał się wtedy z matką i dwiema siostrami w Warszawie na *aryjskich papierach*. Przez wspólnych znajomych dowiedzieliśmy się o sobie. Umówiliśmy się na przystanku, wsiedliśmy do jednego tramwaju udając, że się nie znamy. Wysiedliśmy w Alejach Ujazdowskich (jeden przednim, drugi tylnym wyjściem) i w znacznej odległości od siebie weszliśmy do Parku Ujazdowskiego. Tam wyszukałem jakieś ustronne, gęste krzaki i gdy nikogo nie było w polu widzenia – schowaliśmy się w nich. Co najmniej przez dwie godziny dyskutowaliśmy o ważnych sprawach tego świata – o filozofii, o biologii, naszych lekturach, zainteresowaniach i zamiarach. O ile pamiętam, w ogóle nie mówiliśmy o naszej sytuacji, o Niemcach, o Zagładzie, ani o groźbie śmierci, która wisiała nad nami każdej chwili – nawet w czasie tej rozmowy. A potem, ostrożnie, jeden poszedł w jedną, drugi po chwili w drugą stronę. I już nigdy więcej się nie zobaczyliśmy. Jak się później dowiedziałem, Henryk mieszkał wtedy w jednym mieszkaniu ze swym wujem, którym był... Paweł Finder, ówczesny szef PPR. Na skutek czyjś donosu przyszli tam Niemcy. Wszyscy, których tam znaleźli – zginęli...

Tymczasem, wiedząc – po szantażach – że nam się ziemia pali pod nogami, Rodzice szukali innego mieszkania. Ale znalezienie nowego, względnie bezpiecznego *locum*, nie było wtedy w Warszawie łatwe. Wszystkie z oferowanych nam mieszkań były wolne ... bo Niemcy wygarnęli ukrywających się tam uprzednio Żydów. Z takich wolnych lokali oczywiście natychmiast rezygnowaliśmy. Dopiero kawalerka przy Saskiej 91 m.5 nie nosiła na sobie tego wywołującego kolejne podejrzenia piętna: „tam nikt nie chce mieszkać, bo tam straszny”. Niedawno został tam zastrzelony z wyroku podziemnego sądu agent Gestapo, Porębski! „Są jeszcze ślady kul i plamy krwi”. I rzeczywiście były. Nam to w tym przypadku nie szkodziło, a nawet dodawało otuchy. Spędziłem tam rok 1943/44 nie wychodząc z domu, ukrywając się w szafie, gdy ktokolwiek zadzwonił do drzwi.

Każdego dnia, gdy Ojciec wychodził do pracy, żegnaliśmy się krótko, ale serdecznie – wiedząc, że możemy się już więcej nie zobaczyć. Czasem odwiedzał nas ktoś z przyjaciół rodziców, najczęściej dr Stanisław Liwszyc³⁸, mądry lekarz,

³⁷ O ile wiem, w grudniu 1943 r. Niemcy wtargnęły na zebranie organizacji, bodajże „*Miecz i Pług*”, na którym byli też obaj bracia Kowalscy, gdzieś na ul. Miodowej. Wraz z wszystkimi innymi zostali podobno rozstrzelani.

³⁸ Jego syn, Rysiek Liwszyc, był moim kolegą sprzed wojny, z Krakowa. W Powstaniu Sierpniowym zginął jako łącznik na Żoliborzu. Dr Liwszyc z żoną przeżyli wojnę, ale nie podnieśli się nigdy po stracie jedynaka i w kilka lat potem oboje popełnili samobójstwo.

żoliborski działacz socjalistyczny, który działał aktywnie w konspiracji i w akcji „Żegoty”. Przynosił nam gazetki podziemne i jakieś zasiłki pieniężne, które pozwalały przetrwać. Błagałem go o wciągnięcie mnie do organizacji, ale odmawiał – że ze względu na wygląd ściągałbym tylko niebezpieczeństwo na innych.

POWSTANIE SIERPNIOWE³⁹

Tymczasem zbliżał się front rosyjski, wiosną 1944 r. ziemia przenosiła głuche dudnienie artylerii na setki kilometrów. Wstępowała w nas nadzieja przetrwania. Wczesną wiosną dostaliśmy od naszego lwowskiego przyjaciela Reislera list z okolic Zamościa, gdzie się ukrywał. Pisał, że czyta i obserwuje i już teraz wie co będzie robił *potem*. Będzie – prokuratorem⁴⁰.

Z końcem lipca front był już bardzo blisko, Niemcy kazali ludności wziąć udział w kopaniu umocnień na wschodnim przedpolu Warszawy; pogłoski mówiły o rychłej ewakuacji Saskiej Kępy. Wydawało się, że *dla nas* bezpieczniej byłoby zniknąć w śródmieściu. 31 lipca przenieśliśmy się więc do śródmieścia, do ciotki Stachy i Antoniego na Warecką 9. A następnego dnia wybuchło Powstanie Sierpniowe, wokół Placu Napoleona trwały walki. Wieczorem okolica była już opanowana przez powstańców. Następnego ranka zgłosiłem się do AK.

Powstanie było chyba najważniejszym i – na początku – najszcześniejszym okresem mego życia. Byłem w euforii. Realizowały się znów marzenia Wieszców, romantycznej i patriotycznej literatury, którą byliśmy przesiąknięci. Jak cała młodzież warszawska, zachłystywałem się wolnością, białą-czerwoną opaską i wyteśkioną walką z Niemcami. U mnie była to ponadto reakcja 17-letniego odludka po strasznych, nieskończeniu długich latach niemieckiej okupacji. Nareszcie *wolność!*

Ponieważ broni było za mało, zostałem wcielony do oddziału pomocniczej służby saperskiej batalionu „Kiliński”, w którym spędziłem Powstanie (w legitymacji AK podałem pseudo: „chemik” – bo tak bardzo chciałem uchodzić już za chemika!). Oddział ten zorganizował i dowodził nim inż. Ciepłowski z elektrowni na Powiślu („Transformator”).

Kopałem nocą rowy łącznikowe i podkopy przygotowując drogi do ataków m.in. na tyłach Świętokrzyskiej, pod kościół św. Krzyża i sąsiednią komendę policji, liczne barykady, przejścia naziemne i podziemne (przez Nowy Świat i przez

³⁹ Tak nazywaliśmy Powstanie w czasie jego trwania; nazwa „Powstanie Warszawskie” była określeniem z zewnątrz, z poza Warszawy.

⁴⁰ I rzeczywiście: gdy tylko Lublin i Majdanek zostały oswobodzone od Niemców, prokurator *Jerzy Sawicki* wystąpił jako oskarżyciel na procesie hitlerowskich zbrodniarzy z Majdanka, a jego mowa oskarżycielska stała się na długo wzorem, który starali się naśladować młodzi prawnicy. My jednak początkowo nie wiedzieliśmy, że prokurator Sawicki – to on.

Aleje Jerozolimskie), osłony i stanowiska strzeleckie. Umacnialiśmy osłony sztabu komendy na Mazowieckiej 7, przed centralą telefoniczną NSZ na Górskiego wykopywałem amunicję ukrytą w 1939 r. Z magazynów browaru Haberbuscha i Schielego przenosiłem jęczmień. Gasiliśmy na dachach pożary od bomb zapalających, nosiłem rannych... Do najtrudniejszych i najniebezpieczniejszych naszych akcji należała budowa przejścia naziemnego a potem podziemnego w poprzek Alei Jerozolimskich pod ostrzałem z czołgów i z obsadzonych przez Niemców budynków.

21 sierpnia „Transformator” zebrał „na ochotnika” grupę do specjalnie niebezpiecznej akcji. Zgłosiłem się. Po zbudowaniu barykady na Zielnej, pod silnym ostrzałem z Ogrodu Saskiego i z PAST-y⁴¹, uczestniczyliśmy w obłożeniu i podpaleniu tego potężnego gmachu. Pod komendą inż. Ciepłowskiego transportowaliśmy beczki z paliwem i braliśmy udział w oblewaniu ropą i podpaleniu obronnego wieżowca. Jeden z paskudniejszych dla mnie momentów Powstania nastąpił, gdy wykonując tej nocy ciężką i bardzo niebezpieczną pracę, pod ciągłym ostrzałem świecących sznurów pocisków z kilku stron, chciałem chwilę odpocząć w zakolu bramy domu, w którym zresztą uprzednio mieszkaliśmy. Ale z bramy wysunęły się automaty ... naszej żandarmerii AK: „wracaj, bo zastrzelę jak psa!” Od tej chwili mój entuzjazm do dowództwa Powstania zaczął zanikać. Zdobycie PAST-y było już ostatnim dużym sukcesem Powstania.

Przykro to przyznać, ale i w Powstaniu nie miałem ochoty ujawniania swej tożsamości, bo pamiętałem i te błyski *rozpoznania* w oku bliźniego, i – czasami – ich skutki. Nie wisiała już nade mną groźba Gestapo, ale groza i tak wisiała w powietrzu – nie tylko ze strony Niemców. Ktoś, kto nie przeżywał okupacji, nie wie, a wielu z tych, którzy ją przeżyli – nie uświadamia sobie lub nie pamięta, jak niszczący wpływ na podświadomość naszego społeczeństwa, skądinąd przecieź tak Niemcom wrogiego, miała systematyczna niemiecka propaganda antysemicka, trafiająca niestety na grunt bardzo podatny i dobrze przed wojną przygotowany przez endecję i Kościół. Na ludzi mniej rozumujących i prymitywnie wierzących zachęcająco działał przykład jak bliźnim można gardzić, poniżać go, bezkarnie zabić lub z zyskiem wydać go na śmierć.

A więc nawet w Powstaniu, w AK, nie miałem zamiaru ujawniać swej z takim trudem latami chronionej tajemnicy i chwalić się, że przeżyłem, choć w moim otoczeniu byli i wspaniali ludzie, na czele z organizatorem i dowódcą naszej drużyny, „Transformatorem”, którego szczerze podziwiałem.

Przytoczę tu dwa wydarzenia. Budowałem pod ostrzałem umocnienia strzelnicze na rogu Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich, tam gdzie dziś stoi rotunda PKO. Zbliżył się do mnie sierżant – również z opaską AK na ramieniu – przyjrzał

⁴¹ PAST: *Polska Akcyjna Spółka Telefoniczna*; tu – najwyższy w okolicy budynek, gmach centrali telefonicznej na rogu Zielnej i Próżnej, zamieniony przez Niemców w silnie umocniony bastion, skąd mieli pod ostrzałem dużą część śródmieścia.

mi się i wyciągając pistolet krzyknął „ty Żydzie, Niemcy cię nie wykończyli, ale ja cię wykończę!” Na szczęście on był pijany, a ja dwakroć młodszy od niego. Udało mi się przed nim ujść w ruiny, a jego strzały za mną były niecelne. Ale były!

Pewnej nocy budowaliśmy przejście naziemne, między workami z piaskiem, w poprzek Alei Jerozolimskich, jedyne połączenie północy z południem śródmieścia. Wnosiliśmy worki z piaskiem, uzupełniając wyrwy w osłonach z obu stron, wywoływane wybuchami pocisków z niemieckich czołgów, strzelających wzdłuż Alei i gęstym obstrzałem z rogu Nowego Świata, z BGK i z Café-Clubu. Dołączyło do nas trzech wynędzniałych i obdartych młodych ludzi, oświadczając, że są Żydami, którzy przeżyli w ukryciu i chcą wziąć udział w walce z Niemcami. Kierujący akcją porucznik AK – nie pamiętam, „Leszek” czy „Szary” – dał im od razu bardzo niebezpieczne zadanie, uzasadniając to mniej więcej tak: „pokażcie, że – chociaż Żydzi – nie jesteście tchórzami. Wasze życie jako Żydów i tak przecie niewiele jest warte, więc się śmierci nie bójcie. Dzięki nam przeżyliście, więc idźcie teraz pierwsi, może oszczędzi to innych chłopców.” Taka pogarda i poczucie niczym nie uzasadnionej wyższości (wpojęne przez niemiecki przykład i hitlerowską propagandę) pojawiały się nawet u ludzi skądinąd dzielnych i na pozór przyzwoitych.

Znam oczywiście i przykłady przeciwne. Mój przyjaciel, nieżyjący już Bogdan Deczkowski („Laudański”) z batalionem „Zośka” ocalał w Powstaniu z *Gęsiówki* setki Żydów (głównie greckich), i zostali oni przyjęci jak bracia, wielu z nich podjęło walkę w Powstaniu. Ja jednak się moim pochodzeniem nie afiszowałem⁴².

PO KAPITULACJI

Po dwu miesiącach walk, głodu, dwustu tysięcy ofiar – głównie cywilnych – nastąpiła kapitulacja. Na całe życie pozostał mi w pamięci specyficzny zapach pyłu z rozpadających się murów – dla mnie zapach Powstania. W dzień zawieszenia broni przeszedłem do śródmieścia-południe i odwiedziłem na Poznańskiej mego kuzyna Witka i jego rodziców (znacznie wcześniej dostałem od nie-

⁴² Opisałem to w publikowanej w „Gazecie Wyborczej” (12–13.II.1994, s.10–11) dyskusji o Żydach i Powstaniu, a potem jeszcze we wspomnieniach kombatantów-Żydów (*Jestem Polakiem i Żydem*, w książce: *Losy Żydowskie. Świadectwo żywych*, red. M. Turski, W-wa 1996 s.19–22). „Gazeta Wyborcza” postąpiła podle i wydrukowała moją wypowiedź stronniczo: bez porozumienia ze mną dała jej tytuł *Strzelał do mnie sierżant AK* i skreśliła cały akapit o „Zośce”, Deczkowskim i Żydach z *Gęsiówki*. Skutek był taki, że kombatanci batalionu „Kiliński” odmówili spotkania ze mną, a zarząd główny Światowego Związku Żołnierzy AK – pomimo starań mego przyjaciela Henryka Kozłowskiego „*Kmity*” z batalionu „Zośka” – podjął specjalną uchwałę, żeby mnie nie przyjmować do ich organizacji. Opowiadał mi to z bólem ś.p. Stanisław Jankowski („Agaton”), stwierdzając, że „tego muru głową nie przebijesz”.

go kartkę przez powstańczą pocztę harcercską). Kapitulacja była dla nas nie tylko klęską Powstania; oznaczała ona ponowne osobiste zagrożenie życia ze strony Niemców, zagrożenie, które wydawało się już tak odległe.

Legitymację AK i opaskę powstańczą zakopałem w metalowej puszcze, w podziemiu domu przy Komitetowej 3. W 1945 roku nie zdołałem jej już odkopać spod gruzów. Wyszedłem z ludnością cywilną 2 października 1944 r., razem z Rodzicami. Miałem na sobie, jedno na drugim, dwa płócienne ubrania robocze⁴³ i nosiłem zdobyczną czapkę listonosza, z Poczty Głównej przy pl. Napoleona. Na plecach niosłem mały worek z całym moim majątkiem, a były to dwa grube i ciężkie tomy politechnicznego podręcznika chemii analitycznej Strużyńskiego oraz lżejszy podręcznik chemii farmaceutycznej Karaffy-Korbutta. Granicą był wiadukt ulicy Żelaznej nad torami kolejowymi. Po jednej stronie, przy Dworcu Pocztownym, stały warty AK, po drugiej, w Alejach Jerozolimskich – Niemcy. Minawszy ten punkt graniczny, skręciliśmy w Aleje Jerozolimskie, Grójecką, i szliśmy tak ciągnącym się wiele kilometrów wzdłuż szosy krakowskiej wynędzniałym i wygłodzonym tłumem, w stronę obozu przejściowego w Pruszkowie. Co kilkadziesiąt metrów stali niemieccy żołnierze, tworząc szpaler pilnujących.

Za Okęciem zobaczyliśmy pola – istniała więc jeszcze od dawna niewidziana zieleń w tym szarym, zadymionym świetle! Udało mi się zerwać z pola główkę kapusty i natychmiast ją łakomie pożarłem.

Im dalej, tym szpaler niemiecki był rzadszy, ale i wzdłuż naszego pochodu w pewnych odstępach szli pojedynczo pilnujący nas żołnierze. Jeden z nich zapytywał półgłosem: „*qui parle français? qui parle français?*” Odpowiedział mu mój Ojciec, a ten żołnierz pośpiesznie wykrztusił z siebie, że jest Alzatzczykiem, że jest ich wielu Francuzów z terenów wcielonych do Rzeszy. „Sercem byliśmy z powstaniem, podziwiamy was, nie strzelaliśmy do was. Wybaczcie, byliśmy bezsilni, rozsiani wśród Niemców. Powiedzcie to innym! Nie jestem Niemcem, jestem Alzatzczykiem...” i już podbiegł dalej, zapytując „*qui parle français? qui parle français?*”

Za Raszynem mieliśmy piękną przygodę. Obok drogi stało trochę ludzi. Jeden z nich podszedł do Ojca i powiedział: „proszę księdza, proszę tu wyjść między nas, ksiądz proboszcz czeka!”. „Ksiądz” (Ojciec był w długim, ciemnym płaszczu, użyczonym przez kogoś na Komitetowej, i w kapeluszu, w okularach – wyglądał zapewne jak ksiądz) – z żoną i synem – wsunął się w tłum czekających ludzi, którzy nas skryli między sobą i odprowadzili na plebanie. Pro-

⁴³ Były to *zdobyczne* płócienne ubrania robocze. Gdy budowaliśmy barykadę na ul. Rysiej, czy na Kredytowej, za materiał budowlany posłużyły wydobyte tam z magazynów *maszyny do pisania* (!) i całe stopy *płóciennych ubrań roboczych*. Dwa z nich zachowałem, szare i brązowe. Wychodząc z Powstania wyrzuciłem moje podarte łachy, a te ubrania robocze – jedno na drugim – były mi potem odzieniem przez całą więzienną zimę.

boszcz, ratujący z tego *exodu* księży, przyjął nas z uśmiechem i ulokował w dużej stodole, pełnej już warszawiaków.

Po zmroku w drzwiach szopy pojawił się żołnierz w niemieckim mundurze i pytał: „*ГОВОРИТ КТО-ТО ПО РУССКИ?*”. Znów zgłosił się Ojciec, a ja z nim. A ten niemiecki żołnierz usiadł z nami na progu i wypowiadał w ciemności swoją spowiedź: jest Rosjaninem, wziętym do niewoli i w obliczu śmierci głodowej zmuszonym do służby u Niemców. O Powstaniu mówił podobnie jak parę godzin przedtem ów Alzatzczyk. W odróżnieniu od niego nie miał jednak przed sobą żadnej nadziei. „W odpowiedniej chwili zrobimy wszystko dla zwycięstwa Stalina. Ale potem i tak z rozkazu Stalina czeka nas śmierć – za to, że daliśmy się wziąć do niewoli, za to, że służyliśmy Niemcom...”

Zamieszkaliśmy – jeśli można to tak nazwać – na skraju Grodziska, w chałupie pana Białka, śpiąc na siennikach, które rozkładano na noc w korytarzyku, a uciekając w pola, w stronę Jaktorowa, gdy zbliżali się jacyś Niemcy. Ale i to wydało mi się wkrótce *mieszkańskim trybem życia*. Już 3 listopada 1944 r. zostawiłem rodzicom kartkę pożegnalną i ruszyłem w drogę, chcąc przejść przez front do Rosjan na którymś z przyczółków, utworzonych przez nich na lewym brzegu Wisły i walczyć z Niemcami. Wędrowałem po wsiach, zawsze z jakimś mizernym towarem, usprawiedliwiającym moją wędrowną – a to zapałki, a to chusteczki do nosa... Maszerowałem po 30 km dziennie, a raz nawet kawał drogi podwieźli mnie swą ciężarówką niemieccy żołnierze.

Wspomnę tu dwie przygody. Idąc z Milanówka w okolice Piaseczna napotkałem księdza, idącego w tę samą stronę. Przez parę godzin dyskutowaliśmy po drodze, a potem on mi zaproponował, żebym został nauczycielem w ewakuowanym pod Piaseczno znanym warszawskim gimnazjum katolickim księdza Archutowskiego⁴⁴. Była to oferta niezwykle atrakcyjna, tyleż zaskakująca, co łechcąca moją ambicję. Odmówiłem jednakże. Bałem się *wsyppy* w zbyt katolickim środowisku. Przede wszystkim chciałem jednak osiągnąć swój cel: dostać się do Rosjan i walczyć z Niemcami.

Innym razem znalazłem nocleg u życzliwych chłopów w Radzanowie, w ziemi radomskiej. Okazało się, że są jakieś imieniny, zaprosili mnie do stołu, gdzie było już kilku sąsiadów, wódka, kiełbasa. Musiałem opowiadać o Powstaniu, byli ciekawi spraw wojny i polityki. Potem rozmowa między nimi zeszała jakoś na Żydów. Przeraziła mnie nienawiść tych sympatycznych na pozór i życzliwych ludzi do wymordowanych przecież na ich oczach Żydów. Jeden z chłopów się chwalił: „ja Żyda zawsze rozpoznam – nie pije, nie przeklina – wtedy już wiem, że to Żyd!”. Rzeczywiście, uświadomiłem sobie, że i ja nie mam tego w zwyczaju – więc tego wieczora przeklinałem i wypilem tyle, że rankiem poszedłem

⁴⁴ Ks. Stanisław Archutowski był dyrektorem gimnazjum im. św. Stanisława Kostki. Aresztowany przez Niemców znalazł się na Majdanku i zginął w 1943 r. Kanonizowany przez Jana Pawła II.

dalej drogą z trudem tylko utrzymując kierunek. Napotkałem miasteczko, którego już w ogóle nie było, nikogo, ani jednej chałupy. Sterczały tylko osmalone ceglane kominy spalonych domostw. Był to Przytyk – przed wojną żydowskie miasteczko, osławione pogromem, dokonany tam w latach 30. ...

W trakcie tych wędrówek, gdzieś w połowie listopada 1944 r., zaszedłem do Błonia, by od pracowników tamtejszej fabryki kupić tanio zapałki, które oni dostawali *na przydział*, a ja mógłbym je sprzedawać po trochu po wsiach. Kupiłem 4 kamienie zapałek, dwie paczki do niesienia na plecach i dwie na pierśsiach. Zanocowałem u tej rodziny robotniczej, cały wieczór słysząc trwające na ulicach pijackie wrzaski i śpiewy. Okazało się, że ogłoszono tu zaciąg do oddziałów polskich na służbie niemieckiej – do walki z bolszewikami. W Błoniu zgłosiło się ponoć ponad 200 młodych ludzi! Właśnie mieli jechać na nową służbę i teraz to oblewali. Było to dla mnie przeżycie wstrząsające – ci ochotnicy po 5 latach strasznej okupacji i dopiero-co po zdławieniu i zburzeniu powstańczej Warszawy!

Moje wysiłki, by się dostać na front na przyczółku warecko-magnuszewskim zawiodły, Niemcy bardzo pilnowali przyfrontowych terenów. Sprzedając więc po wsiach zapałki szedłem za Kozienice i Garbatkę, by próbować się przedostać na przyczółek puławski. Skradałem się w kierunku wschodnim, ku Wiśle. Nagle zza krzaków wynurzyli się dwaj ukryci żołnierze: „*Halt!*”. Byli w niemieckich mundurach, ale z szerokimi, mongolskimi twarzami. Odezwałem się więc do nich po rosyjsku. Ucieszyli się, mówiąc, że mam szczęście, że kapral-Niemiec akurat się oddalił, bo kazałby mnie natychmiast rozstrzelać. Powiedzieli mi jednak, że dalej się nie przedostanę, front jest wprawdzie zaledwie o kilkaset metrów stąd, ale nawet mysz się tam nie prześlizgnie. Wyprowadzili mnie w spokojniejsze miejsce, na tyły niemieckich stanowisk i wskazali jak mam bezpiecznie jak najszybciej wracać. Tym razem zawdzięczałem życie temu, że mówiłem swobodnie po rosyjsku.

UWIEŻIONY

Przed lokomotywą jechała zwykle pusta towarowa platforma. Jej zadaniem było wylecieć w powietrze na minie, chroniąc lokomotywę i resztę pociągu. Na takiej to „samobójczej” platformie łatwiej było o miejsce, a i Niemcy mniej tu ingerowali. Tak jechałem z Garbatki do Radomia, ale tu przywitała nas na dworcu obława. Po biciu i przesłuchaniu w bunkrze dworcowym zostałem wraz z wieloma innymi powieszony do Niemiec. Jak się potem domyśliliśmy, Niemcy zapewne wyłapywali kolejarzy – niektórzy z nas mieli czapki lub mundury kolejarzy, a ja – tę z Powstania czapkę listonosza, której zapewne nie odróżniano od kolejarzkiej. Już na terenie „*Reichu*”, koło Kutna, udało mi się wyskoczyć nocą wraz

z dwoma innymi chłopcami⁴⁵ z jadącego pociągu. Nie wiedzieliśmy gdzie iść, ale zauważyliśmy światelko budki dróżnika kolejowego. Baliśmy się – będzie to Niemiec, czy Polak? – ale zapukałem i okazało się, że to życzliwy Polak. Dał nam się ogrzać przy piecyku, odpocząć, a potem objaśnił drogę⁴⁶. Szliśmy więc o świcie w stronę granicy GG, ale w końcu drogę zmyliliśmy i nagle zatrzymało nas „Halt!” ukrytych pod jakimś mostkiem żołnierzy. Wkrótce znalazłem się na Gestapo w Kutnie.

Tam przeszedłem długie i bolesne śledztwo. Przesłuchiwało mnie dwóch: starszy rangą Niemiec i drugi, rudy i piegowaty, mówiący również po polsku, zapewne *Volksdeutsch*. Udawałem, że nie rozumiem po niemiecku, tak, że gdy Niemiec zadawał pytania, ja rozumiejąc je miałem chwilę do namysłu podczas gdy ten rudy tłumaczył na polski.

Najpierw sugerowali mi, żebym się przyznał, że jestem sowieckim dywersantem, ale potem nagle zaczęli krzyczeć, że jestem Żydem. Tłumaczyłem, że miałem ze strony matki babkę Żydówkę (bo w prawdziwej przecież metryce Zbyszka Szychowskiego występowała babcia Maria z domu Holzman – a jedna babcia nie skazywała na śmierć!) i to po niej ten mój nieszczęśliwy wygląd. Wreszcie powołałem się na owego oficera z warszawskiego Gestapo w al. Szucha, mówiąc, że to mnie on wypuścił po sprawdzeniu mojej rodziny. Rudy gestapowiec powiedział swemu szefowi: „tam przecież służyłem przed powstaniem. Ja go przepytam!” – I zaczął pytać o szczegóły. Podałem więc, tak jak mnie Ojciec wyuczył, dziś już przeze mnie zapomniane nazwisko tego oficera, jego wygląd, numer pokoju, opis pokoju. W końcu ten rudy rzekł do swego szefa po niemiecku: „wszystko się zgadza. To był kierownik referatu żydowskiego w Warszawie. Z jego pokoju żaden Żyd żywy nie wyszedł. Nie ma wątpliwości – ten chłopak nie jest Żydem!” I zostałem odesłany do więzienia, ale już nie jako Żyd, tylko jako Polak. A przesłuchujący mnie gestapowcy nawet nie sprawdzili najbardziej niedwuznacznego dowodu! Usłyszałem jeszcze ostatnie zdanie starszego rangą gestapowca: „*aber er hat solche jüdische Augen...*”⁴⁷.

⁴⁵ Byli to: Rysiek Holewiński z Radomia (ul. Żeromskiego 67 m.23) i Mietek Szypulski (również z Radomia, ul. św. Jana 13).

⁴⁶ Jak się dopiero teraz dowiedziałem z archiwalnych akt Gestapo, odszukanych przez mojego syna w łódzkim IPN (teczka 7505): i Mietek i ja przemilczeliśmy kontakt z tym dróżnikiem, by go nie wydać. Z protokołów przesłuchania wynika, że wydał go jednak Rysiek Holewiński. Na podstawie jego zeznania Gestapo postanowiło „przesłuchać dróżnika i ostrzec go”. N.B. Rysiek zeznał też (co przed nami starannie ukrywał), że jego brat w październiku 1944 r. zaciągnął się jako *ochotnik* do niemieckiego Wehrmachtu!

⁴⁷ „Ale on ma takie żydowskie oczy!” Minęło od tej chwili 60 lat. Mój syn, historyk, przeszukiwał nieliczne ocalałe dokumenty Gestapo. W łódzkim oddziale Instytutu Pamięci Narodowej odnalazł protokół mojego przesłuchania na Gestapo w Kutnie! W ogóle nie

*(Protokół przesłuchania mnie na Gestapo w Kutnie
– tłumaczenie niemieckiego dokumentu z teczki 7505, IPN-Łódź.):*

Przyprowadzony Polak Szychowski, Zbigniew **Kutno, 8. 12. 1944**
ur. 14. 1 28 w Switarzowie,
katal., kawaler, uczeń, zam. w Warszawie, ul. Saska 91
ostrzeżony, podaje jako prawdę co następuje:

Przed polskim powstaniem byłem z rodzicami. Po kapitulacji poszedłem do wuja w Grodzisku, w GG. Z początkiem grudnia pojechałem do Radomia, by u krewnych szukać wiadomości o moich rodzicach, którzy zaginęli od czasu powstania. 6. 12. 44 znalazłem się na dworcu w Radomiu. Zostałem aresztowany przez policję kolejową bo nie mogłem okazać książeczki pracy. 7. 12 zostałem przydzielony do transportu robotników do Rzeszy. Było nas 9, mieliśmy pod strażą 3 kolejarzy jechać w kierunku Berlina. Z tego co wiem, mieliśmy dotrzeć do Wilhelmshagen koło Berlina. Kolejarze zabrali nasze kennkarty. Już koło Skarżyska jeden z Polaków wyskoczył z pociągu. Kolo Koluszek drugi z Polaków uciekł z transportu. W Łodzi kierownik transportu wymienił nasze pieniądze. Gdy koło godz. 21.30 zbliżaliśmy się do Kutna, zauważyłem, że pilnujący nas kolejarz zasnął. Dwaj pozostali kolejarze byli w sąsiednim przedziale. Wykorzystałem tę okazję, by razem z 2 kolegami uciec z transportu. Stało się to możliwe gdy pociąg przyhamował. Chcieliśmy się udać spowrotem do GG i szliśmy wzdłuż torów. Gdy zbliżyliśmy się do jakiegoś mostu, zostaliśmy ujęci przez strzegącą go straż *Wehrmachtu*.

Posiadane przeze mnie obrączki (złote) otrzymałem od pani Haliny Kowalskiej, Warszawa, Komitetowa 3, u której się zatrzymałem w czasie powstania. Ponieważ miałem niewiele pieniędzy, mogłem je sprzedać i użyć pieniądze na moje potrzeby.

Zapytywany ponownie na temat moich personaliów, przyznaje, że moja babcia ze strony matki była Żydówką, podczas gdy mój dziadek był Polakiem. Ze względu na moje pochodzenie byłem już kilkakrotnie na Gestapo w Warszawie, pokój 206. Tam wyjaśniono mi, że nie zaliczam się do Żydów i zostałem zwolniony.

Wszystko to jest prawdą i nic więcej w tej sprawie podać nie umiem.

(–) Szychowski Zbigniew

Grudzień 1944 r. spędziłem w więzieniach: parę dni w Kutnie, resztę miesiąca w Łodzi na Radogoszczy. W więzieniu w Kutnie podczas „lekarskiego przeglądu” sanitariusz-Polak wskazał mnie umundurowanemu Niemcowi – lekarzowi więziennemu: „to jest przecież Żyd!”. Niemiec uderzył mnie na to silnie w szczękę, tak, że upadłem i potoczyłem się pod ścianę. Gdy wstałem, sanitariusza już tam nie było, natomiast ów niemiecki oficer-lekarz odezwał się do mnie życzliwie i pouczył mię, żebym nie nosił okularów, bo wyglądam w nich bardzo semicko, a nadto – żebym się nie nasuwał na oczy temu sanitariuszowi, bo mnie

pamiętałem, że spisywano wtedy jakiś protokół, że ja go podpisałem. Ale wszystko się zgadzało, protokół ten nawet przypomniał mi numer pokoju w alei Szucha: 206. Na widok tego protokołu niezwykle było zdumienie mojej żony: „więc to wszystko, co opowiadałeś, to była prawda?”

to może kosztować życie. Tak więc ten umundurowany Niemiec *świadomie uratował mi życie*.

Najstraszniejszym chyba okresem mego życia było kilka tygodni w więzieniu na Radogoszczy w Łodzi. Panował tam głód i terror.

W dawnej fabryce na poszczególnych piętrach upchnięto różne grupy więźniów: „polityczni”, „zwyczajni” oraz jeńcy rosyjscy. Doprowadzani czasem pojedynczo lub małymi grupkami Żydzi, ukrywający się po niedawnej likwidacji łódzkiego getta, byli z miejsca rozstrzeliwani. Ja należałem do więźniów „zwyczajnych”; byli tu ci, którzy uciekli z robót przymusowych, tacy, których złapano na ulicy po godzinie policyjnej, były ofiary donosów i łapanek, byli dowożeni stąd na „śledztwa” do Gestapo. Wszyscy więźniowie danego piętra (kilkuset) przebywali i spali w zajmującej całe piętro dużej hali fabrycznej. Jej środek zajmowały długie prycze, na których spaliśmy pokotem, ściśnięci tak, że na drugi bok obrócić się mogli tylko wszyscy naraz (w chemii nazywamy to *procesem kooperatywnym*).

Od przybycia do więzienia przy każdej okazji przejścia („biegiem!”) po szerokich schodach do (lub z) sali byliśmy bici pejcami z metalowymi końcami przez kordon SS-manów, między którymi musieliśmy biec. Przybywszy na salę pierwszego dnia na Radogoszczy miałem już 5 krwawych szram na ogolonej głowie. W katowaniu więźniów celował SS-man *Volksdeutsch* zwany „Józkiem”. Cieszył się, gdy uderzając pejczem po głowie biegnącego więźnia zdołał wybić mu oko. On też dokonywał egzekucji więźniów pod gruszą, rosnącą na więziennym podwórku, oraz katował na salach za drobne „przewinienia”. Straszne były ciągłe apele, selekcje i wymierzane publicznie kary.

Kilkakrotnie wyznaczano mnie do katorżniczej pracy na terenie ruin łódzkiego getta. Ładowaliśmy cegły na wóz i przewoziliśmy je, zaprzężeni do wozu zamiast koni. Było to jednak bezpieczniejsze od przebywania w więzieniu, gdzie w każdej chwili groziła śmierć lub kalectwo.

29 grudnia 1944 r. zostałem wywieziony transportem do obozu więziennego na Sikawie w Łodzi. Jak się potem dowiedziałem, był to ostatni transport z więzienia na Radogoszczy (wkrótce potem, uchodząc przed Rosjanami, Niemcy zwieźli na Radogoszcz więźniów z innych łódzkich więzień, zamknęli i podpálili. Spalono tam wówczas żywcem ok. 3000 ludzi).

Na Sikawie⁴⁸, w reżimie więziennym, byłem przed i po Nowym Roku 1945. Było to tylko kilka dni, ale zapamiętałem je na zawsze. Przyjazd, apel, bicie – zwykła w niemieckich więzieniach procedura – a potem wpędzono nasz transport do celi, nazywanej *cugantką*⁴⁹. Na dworze był silny mróz, podobno -20° . Do naszej celi, jakies 4×6 m, w niskim betonowym budynku, dopychano okrut-

⁴⁸ „*Erweitertes Polizeigefängnis und Arbeitserziehungslager Litzmannstadt*” (Fot.14)

⁴⁹ Od „*Zugang*” – przyrost, nowy nabytek, świeża dostawa.

nym biciem bykowcami coraz to nowych zrozpaczonych i przerażonych więźniów. Pomimo straszego mrozu w celi zrobiło się gorąco i duszno, a przede wszystkim potwornie ciasno. Staliśmy – chyba ze stu ludzi – gęsto ściśnięci jeden przy drugim, nie było możliwości nie tylko by zasnąć na leżąco, ale nawet by usiąść lub przykucnąć. Przepchanie się do jedynego *kibla* było prawie niemożliwe. Okratowane okienko było jedno, malutkie. Duchota wciąż rosła. Wypuszczano nas tylko rano i wieczorem na apel; wtedy też była szansa szybkiego skorzystania z latryny i kranika z wodą. Wreszcie po apelu dostawaliśmy trochę zupy z naci buraczanej lub kawałek chleba i „kawę”. A potem znowu upychano nas biciem do tej strasznej celi.

W skrajnym zmęczeniu wywalczyłem sobie miejsce by przykucnąć między nogami mych towarzyszy niedoli – *wywalczyłem to siłą*, bo musiałem choć na chwilę przysiąść. Był to jeden z najbardziej upokarzających momentów mego życia. Przemocą, bijąc się o to brutalnie, zgniotłem jeszcze trochę moich sąsiadów, którzy przecież tak, jak i ja, ledwo żyli. Po raz pierwszy czułem się nie jak człowiek, ale jak zaszczute zwierzę. Dotychczas się tego wstydzę. W cugantce dusząc się w gorącu i ścisku spędziłem 2 doby.

Równocześnie jednak z za betonowej ścianki słyszeliśmy wciąż dziwne odgłosy biegania, tupania i donośne krzyki rozpaczcy. Okazało się, że to trzech Niemcy, uwięzieni za jakieś przestępstwa. Musieli oni być trzymani – jako *wyższa rasa* – oddzielnie od polskich *Untermenschów*. Zamarzali więc w swej pustej celi na tym 20-stopniowym mrozie, biegając w kółko... Krzyczeli do nas, zazdroszcząc nam ciepła i przeklinając swój los.

4 stycznia 1945 r. przeniesiono mnie do „więzienia przejściowego” przy ul. Kopernika w Łodzi (Fot. 14 – dokument o zwolnieniu z więzienia, dający prawo do „kartek żywnościowych”), potem do obozu przejściowego koło Pabianic. Tam wreszcie, po paru dniach, usłyszałem zbliżający się huk armat. Ruszyła rosyjska ofensywa! 18 stycznia, gdy front się zbliżał, SS-mani uciekli, przekazując obóz Wehrmachtowi. Gdy nastąpił nalot sowieckich samolotów, żołnierze Wehrmachtu chowali się jak mogli, nawet pod łóżka; my tylko się temu przyglądaliśmy⁵⁰. Po skończonym nalocie zebrał nas niemiecki pułkownik i oświadczył, że jesteśmy wolni. Każdy dostał i pokwitował swój depozyt więzienny („żebyście wiedzieli, że Niemcy nie są złodziejami...”). Otrzymałem swój zegarek i portfel z pieniędzmi. Nie było tylko mojej Kennkarty, za to otrzymałem dokumenty więzienne i obozowe; mam je do dzisiaj. (Fot. 14, 15) Uciekłem do pobliskiej wsi Sienkiele. Front był coraz bliżej, grzmiała artyleria, karabiny maszynowe, ostrzał z samolotów. Widziałem uciekające oddziały niemieckie.

⁵⁰ Następnego dnia widzieliśmy, jak się zachowywali rosyjscy żołnierze podczas niemieckiego nalotu – nikt nie uciekał, nie chował się. Ostrzeliwali samolot lub wykonywali swoje czynności, w pełnej pogardzie śmierci.

Ostatni z uciekających, straż tylna, to byli ku memu wstydy i przerażeniu żołnierze w czarnych mundurach, z napisem *POLEN* ...⁵¹

WYZWOLENIE

Nad ranem 20 stycznia 1945 r. w chałupie, w której nocowałem, rozległo się walenie do drzwi. Rosjanie! *Wyzwoliła* mnie – kuchnia polowa! Sowiecki oficer, Wania, uściskał mnie, był bardzo serdeczny – ale po chwili kazał mi oddać zegarek. Gdy mu tłumaczyłem, że dopiero-co zwrócili mi go Niemcy, wyjął pistolet i dał mi 5 minut do namysłu. Wybrałem życie.

Ruszyłem w stronę Łodzi, by jak najszybciej dostać się do Grodziska, do rodziców. W Pabianicach tego pierwszego dnia wolności właśnie rozwieszano flagi. Flagi, ku memu zaskoczeniu, były czerwono-białe. Zapytałem o to jednego z dozorców. Rzekł: „milicja tak kazała. Powiedzieli, że teraz czerwone będzie na wierzchu!” I to okazało się prawdą na długie lata.

Szedłem dalej, ale było mi jakoś coraz trudniej. Przenocowałem u dobrych i życzliwych ludzi⁵², którzy wyposażyli mnie na dalszą drogę w trochę jedzenia i w puszkę z cukrem (a puszkę tę przechowuję po dziś na pamiątkę). 22 stycznia szedłem dalej, by dostać się do rodziców, ale byłem coraz słabszy i nie bardzo wiedziałem, co się ze mną dzieje. Na przedmieściu Łodzi jakieś dobre kobiety wzięły mnie podobno nieprzytomnego z ulicy i położyły do łóżka⁵³. Miałem wysoką gorączkę, jak się potem okazało – dyfteryt. Leżąc w łóżku miałem jeszcze okazję posłuchać, czym przed mymi gospodarzami chwalił się stacjonujący u nich sowiecki major. Służył w wywiadzie, skakał jako spadochroniarz na tyłach niemieckich. „Gdy lecieliśmy za front, wyszukaliśmy wśród nas kolegów-Żydów, odebraliśmy im spadochrony i wyrzuciliśmy ich z lecącego samolotu! Bo my Żydów nie potrzebujemy!”

Zrozumiałem, że wyzwolenie od Niemców nie zdjęło ciężącego na nas przeznaczenia narodu wybranego. W rok później mój stryj, który powrócił do swego domu w Zielonkach pod Krakowem, został zastrzelony. I w Polsce i w Rosji brano tym nielicznym Żydom za złe to właśnie – że przeżyli.

Rankiem 26 stycznia przewieziono mnie w wysokiej gorączce furką do szpitala (na Radogoszczy, niedaleko spalonego więzienia), i tam leżałem bez sił

⁵¹ Nikt mi nie chciał w to przez wiele lat uwierzyć, znani polscy historycy negowali istnienie polskich oddziałów na służbie niemieckiej. Teraz już się o tym wspomina, np. J. K o c h a n o w s k i: *Polacy do Wehrmachtu, czyli pomysły na kolaborację*. „Polityka” 2001, nr 7, s.70–71. A ja byłem przecież naocznym świadkiem zaciągu do SS w Błoniu w listopadzie 1944 r. i słyszałem wiele o tym werbunku od współwięźniów na Radogoszczy... Patrz też przypis 46.

⁵² Józef Kunicki z rodziną, Ruda Pabianicka, ul. Traugutta 2.

⁵³ U pani Mrozowiczowej – Łódź, ul. Pabianicka 54 m.8.



Fot. 1. Mój dziadek Izrael Abrahamer (w środku) ze swymi synami, od lewej: Jozue (w życiu codziennym Szymon, mój ojciec), Józef, Herman (Henio), Salem (Samek) i Eliasz (Alek). Pierwsza połowa lat dwudziestych



Fot. 2. Babcia Anna, o której tajemnych przeczuciach krążyły w rodzinie liczne niesamowite legendy



Fot. 3. Matka w latach 1927–1928



Fot. 4. Matka moja była rzeźbiarką.



Fot. 5. Ojciec w latach 1927–1928.



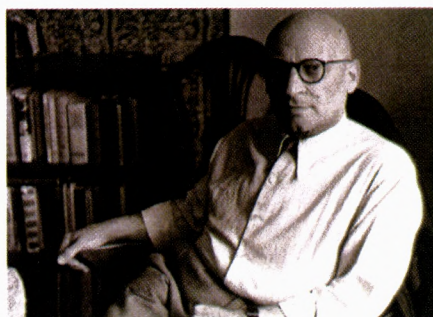
Fot. 6. Ostatnie spokojne dni przedwojenne w Krakowie, z Matką, latem 1939 r.



Fot. 7. Witek, mój brat stryjeczny, z którym wychowywaliśmy się jak rodzeni bracia



Fot. 8. Teofila i Rudolf Frommerowie.



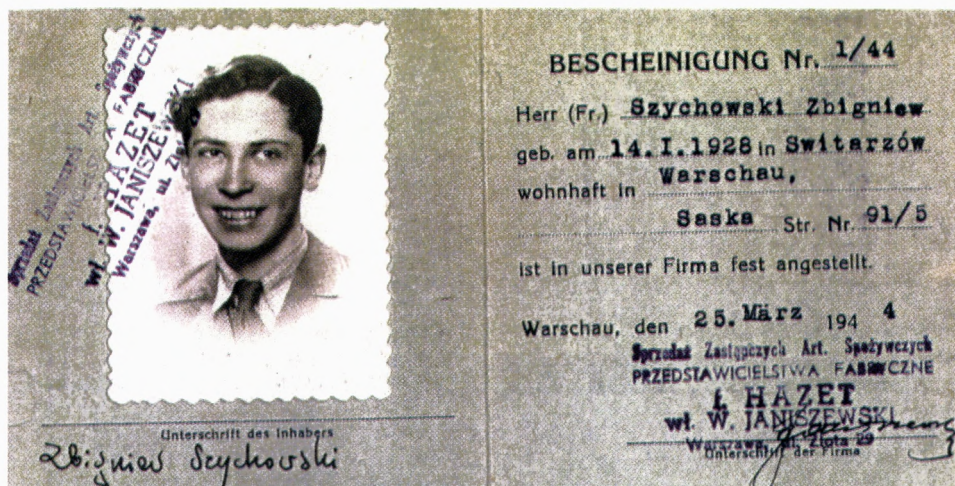
Fot. 9. Mój Ojciec



Fot. 10. Jedyna siostra Ojca, Helenka. Zginęła pod okupacją niemiecką..



Fot. 11. Mój wuj, Antoni Dreling, któremu w ogromnej mierze, Rodzice i ja zawdzięczaliśmy to, że zdołaliśmy przeżyć. Czekał na nas na warszawskim dworcu, gdy uciekliśmy ze Lwowa, wspierał nas mieszkaniem, gdy nie mieliśmy gdzie się podziać, lub finansowo, gdy było to naprawdę potrzebne.



Fot. 12. Mój Ausweis z miejsca rzekomej pracy. Niewiele to chroniło, ale bez jakiegoś zaświadczenia było się od razu łapanym na roboty do Niemiec.



Fot. 13. Moi Rodzice – zdjęcia z okupacyjnych Kennkart. Nawet ze zdjęć można odczytać ich ówczesne samopoczucie.

Ernährungsamt W. Stadt, den 7. 1. 1945

Kartenstelle _____

Erstschrift

№ 898565

Abmeldebescheinigung für den Lebensmittelkartenbezug bei Aufnahme in Gemeinschaftsverpflegung^{1) 2)}

Abmeldebescheinigung G

Vor- und Zuname: Ligniew Selychowski

Beruf: Handarb. Chem. Lab. geb. am 14. 1. 28

wohhaft in Selawow - Polj. Kr. Siedlce Straße/Platz Nr. _____
(Kreis)

ist heute hier wegen Teilnahme an einer Gemeinschaftsverpflegung für die Zeit vom 27. 10 - 4. 1. 45 bis auf weiteres aus der Versorgung mit Lebensmittelkarten abgemeldet worden.

Sämtliche Lebensmittelbedarfsnachweise wurden abgegeben

Der Kommandeur der Sicherheitspolizei in Litzmannstadt

(Dienstsiegel)

Erweitertes Polizeigefängnis und Arbeitserziehungslager

Ich bestätige, daß von mir sämtliche Lebensmittelbedarfsnachweise des oben Genannten — einschließlich der Reichskarte für Zucker und Marmelade bzw. Karte für Zucker und Brotaufstrich I, Reichseierkarte, Raucher- und Seifenkarte —, etwa erhaltene Zusatz- oder Zulagekarten, Berechtigungsscheine usw., ferner die besonderen örtlichen Bezugsausweise usw. abgegeben worden sind.

(Unterschrift des Abmeldenden)

1) Wehrmacht, Schutzgliederungen außerhalb der Wehrmacht, Reichsarbeitsdienst, Landjahr, Gemeinschaftslager, Krankenhäuser, Kliniken, Heil-, Erziehungs-, Wohlfahrtsanstalten und ähnliche Einrichtungen, auch Kinderlandverschickung, soweit die Kinder im Lager untergebracht sind.

2) Der Antragsteller erhält die Erstschrift und eine Durchschrift der Abmeldebescheinigung G, die er beide der Lager- oder Anstaltsleitung aushändigt. Eine zweite Durchschrift ist für die Akten zurückzubehalten. Die Lager- oder Anstaltsleitung übergibt ihrem Ernährungsamt (Kartenstelle) bei der Bedarfsanmeldung die Durchschrift und verwahrt die Erstschrift bis zum Ausscheiden des Versorgungsberechtigten aus der Gemeinschaftsverpflegung.

Beim Übergang in die Gemeinschaftsverpflegung der Wehrmacht, Waffen-H. Organisation Todt, Technischen Nothilfe, Schutzgliederungen außerhalb der Wehrmacht (verstärkter Polizeischutz, Bewachungsmannschaften der Konzentrationslager, Sicherheits- und Hilfsdienst im Luftschutz, verstärkter Post-, Bahn- und Wasserstraßenschutz und verstärkter Grenzaufschendienst), Reichsarbeitsdienst, Landjahr erhält der Antragsteller nur die Erstschrift der Abmeldebescheinigung G, die er seiner Dienststelle zur Einbehaltung aushändigt. In diesen Fällen bedarf es daher nur der Ausfertigung einer Durchschrift für die Akten.

Bestellzeichen: L. E. A. Nr. 47.

V. 0127/St. 7930 9.44 150090

Der (Die) umstehend bezeichnete Versorgungsberechtigte hat in der unterfertigten Anstalt (Lager oder dergl.) für die Zeit vom 29 bis 4 194 Gemeinschaftsverpflegung erhalten *).

..... den 4 194

Der Kommandeur der Sicherheitspolizei in Litzmannstadt

Bestätigt: Erweitertes Polizeigefängnis und Arbeitserziehungslager Ernährungsamt (Stempel oder Unterschrift der Lager- oder Anstaltsleitung)

I. A.:

(Dienstsiegel) (Unterschrift)

Urlauberkarten bzw. bei unter 18 Jahren alten Versorgungsberechtigten Lebensmittel- oder Reise- und Gaststättenmarken sind bis zum Beginn der nächsten Zuteilungsperiode (Datum) ausgehändigt.

..... den 194 Ernährungsamt

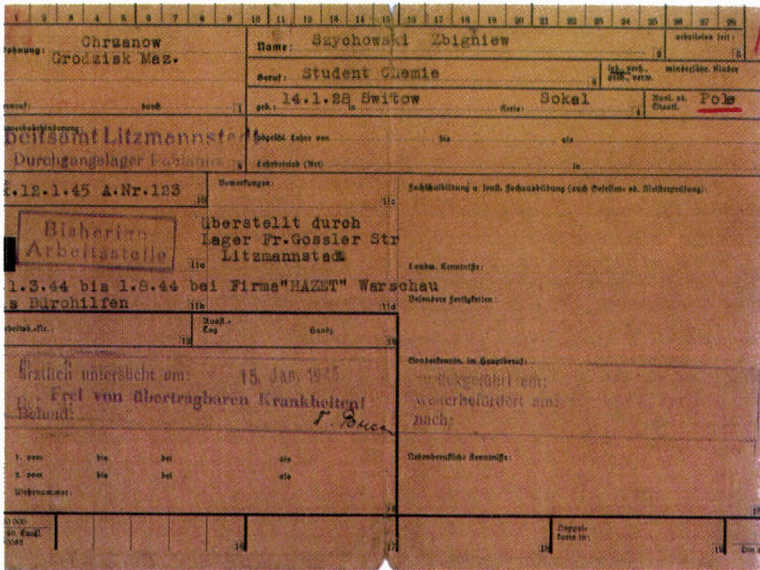
I. A.:

(Dienstsiegel) (Unterschrift)

*) Die Bestätigung ist dem Versorgungsberechtigten bei Entlassung aus der Gemeinschaftsverpflegung auszuhändigen, da er sie der Kartenstelle, bei der er sich vorübergehend aus der Versorgung mit Lebensmittelkarten abgemeldet hat, bei der Wiederanmeldung vorlegen muß.

Personen, die aus den umstehend aufgeführten Gliederungen (Anm. 2 Abs. 2) ausscheiden, erhalten die Abmeldebescheinigung G nicht zurück. Sie haben daher dem Ernährungsamt (Kartenstelle) ihren Entlassungsschein vorzulegen.

Fot.14 b.



Fot.15. Moja karta z kartoteki obozowej – z obozu przejściowego koło Pabianic – zwrócona wraz z moim depozytem więziennym przez Wehrmacht tuż przed nadejściem Rosjan. Podawałem się za studenta chemii, myśląc, że może mnie wysłać do jakiejś fabryki chemicznej i tam się czegoś nauczę. Nawet pieczętka o braku chorób zakaźnych jest fałszem: w ogóle mnie nie badano, a już byłem chory na dyfteryt.



Fot.16. Zaraz po powrocie do Krakowa zacząłem się intensywnie uczyć, zdając w końcu jako eksternista, ze wszystkich przedmiotów, "małą", a wkrótce po tym i "dużą" maturę (Fot.17).

KURATORIUM OKRĘGU SZKOLNEGO KRAKOWSKIEGO

PAŃSTWOWA KOMISJA EGZAMINACYJNA



Nr 21.

UNIwersyteT WARSZAWSKI Rok szkolny 1944/45
 Imię i nazwisko ... do 18 XI - 1945 r.
 jako student - Wydz. Mat. Fiz. Chem.
 Nr. alb. 2557



ŚWIADECTWO

egzaminu dojrzałości

Grabowski Zbigniew Ryszard
(imię i nazwisko)

urodzony dnia *11* miesiąca *marca* 19*24* roku

w *Warszawie* powiatu *Warszawskiego*

religii (wyznania) *rym. kat* zdał w *lipcu* 1945 roku

w charakterze eksternisty egzamin dojrzałości liceum ogólnokształcącego
wydziału *matem. fizyca* przed Państwową Komisją Egzaminacyjną, powołaną

przez Kuratorium Okręgu Szkolnego Krakowskiego pismem z dnia *30. V. 1945*

Nr *II. 9189/45*

W *Warszawie*, dnia *20. lipca* 1945 r.

Przewodniczący

Państwowej Komisji Egzaminacyjnej

J. Zuplarski

Członkowie

Państwowej Komisji Egzaminacyjnej

Dr. D. Luniewska

Dr. S. Krawiec

Dr. M. Szwed

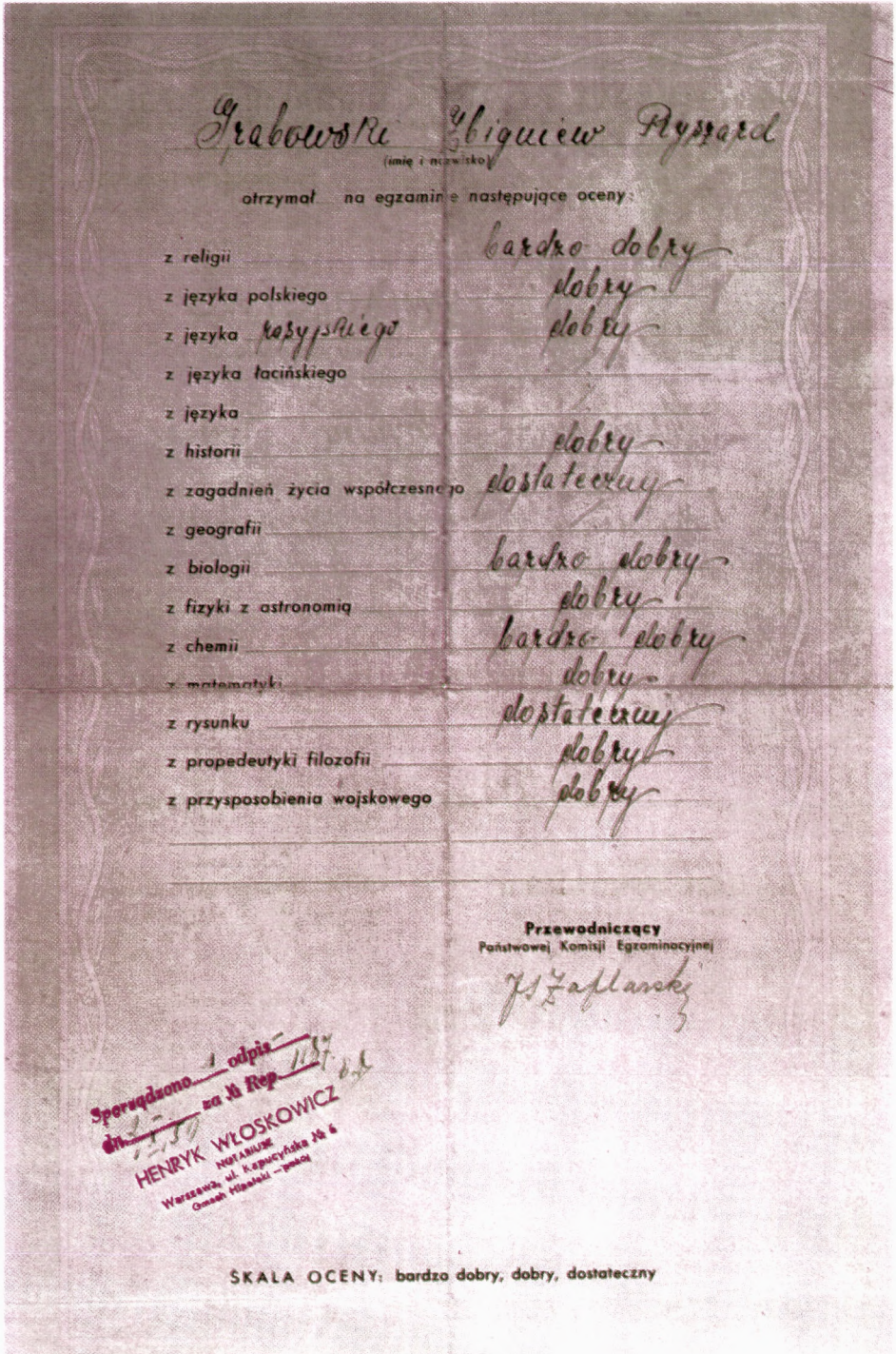
L. Szwed

Dr. J. Szwed

Dr. J. Kłosa

B. B. B.





Fot. 17 b.

przez dwa tygodnie. Gdy wyszedłem, nogi mi odmawiały posłuszeństwa, jeszcze przez wiele tygodni. Chciałem w stronę Warszawy – ale nie miałem siły dźwignąć się do żadnego pociągu. Po wielu godzinach jacyś dobrzy ludzie mi pomogli – podnieśli, wepchnęli. Dojechałem do Grodziska i nad ranem, a było to już 9 lutego 1945, ponad trzy tygodnie po wyzwoleniu, dotarłem – jak duch zmartwychwstały – do czekających wciąż na mnie z gasnącą nadzieją Rodziców. Przeżyliśmy!

KONIEC WOJNY

Mimo malejącej nadziei na mój powrót, Rodzice czekali na mnie w Grodzisku. Nasze mieszkanie przy Saskiej było więc puste i zajął je ... jeden z sekretarzy Bieruta. Postanowiliśmy więc wrócić do Krakowa. Podróż była makabryczna – dostaliśmy się wprawdzie jakoś do wagonu, ale ja stałem przy samym wejściu. Gdy w Rogowie musiałem ustąpić wysiadającym ludziom, napierał tłum chcących się dostać do wagonu – i ja zostałem na peronie. Zdołałem tylko krzyknąć Rodzicom, że spotkamy się w Częstochowie. Gdy w kilka godzin później udało mi się dojechać do Częstochowy, ujrzałem na dworcu i wokół dworca tysiące i tysiące koczujących ludzi, leżących na podłodze i pod ścianami. Trwało to chyba parę godzin, nim odnalazłem się z Rodzicami. Podróż nasza z Grodziska Mazowieckiego do Krakowa trwała aż 4 dni, dotarliśmy tam dopiero 19 lutego 1945 r.

Nasze krakowskie mieszkanie było już zajęte przez obcych ludzi, zamieszkaliśmy więc u znajomej lekarki⁵⁴, która użyczyła nam jednego pokoju. Odnajdywaliśmy niektórych krewnych i przyjaciół, którym udało się przeżyć. Każde takie spotkanie było radosnym wydarzeniem na tle smutku, który nas otaczał.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom, antysemityzm w Polsce nie tylko nie zanikł po Zagładzie, ale się wzmógł i nabrał cech okrucieństwa. Moja Matka była głęboko przekonana, że straszne doświadczenia ostatnich lat mogą się powtórzyć. Pod jej naciskiem pozostaliśmy przy nazwisku *Grabowskich*. Zalegalizowaliśmy zmianę nazwiska, a ja ze Zbyszka Szychowskiego stałem się Zbigniewem Ryszardem Grabowskim. *Ryszarda* wziętem na pamiątkę z mojej dawnej tożsamości. Inka obawiała się wszelkich skojarzeń z nazwiskiem *Abrahamer*. W czasach okupacji wiadomo było, że gdy w ustach prześladowcy pojawi się prawdziwe przedwojenne nazwisko – wszystko jest stracone, bo już nas znają na pewno. Obawiała się nawet oficjalnej zmiany nazwiska – „bo zostanie ślad, a mogą znów przyjść takie czasy...”. Legalizacji zmiany nazwiska dokonaliśmy więc w tajemnicy przed nią. W pierwszych latach powojennych bardzo liczne były w Polsce krwawe pogromy i przypadki mordowania Żydów.

⁵⁴ Dr Janina Koźmińska, ul. Straszewskiego 21.

W kwietniu 1946 r. zastrzelono w Zielonkach mego stryja Samka, który – uratowawszy się przed Niemcami ucieczką przez góry na Węgry – powrócił do swego domu i młyna. Trudno mi dziś odtworzyć dlaczego ani Ojciec, ani ja nie pojechaliśmy do Krakowa na pogrzeb stryja, czego jego córka, Alina, nigdy – i słusznie – nie mogła nam zapomnieć. Prawie na pewno była to jednak rozpaczliwa interwencja mej Matki, byśmy nie ujawnili się wobec morderców jako Żydzi, jako Abrahamerowie.

Inka pozostała do końca życia pod wpływem okupacyjnej traumy. Żyła ciągle pod przemożnym wpływem mogącego znów grozić niebezpieczeństwa, apelowała do mnie, żebym tylko nie ożenił się z żadną Żydówką. Była przeświadczona, że *to powróci*; przypominała nam o tym często, a okazji po temu było wiele, z kulminacją w roku 1968.

Dziwnie objawiały się różne skutki wojennych przeżyć. Parę tygodni leczyłem mą poobozową chorobę mięśni nóg. Gdy już mogłem chodzić swobodnie, poszedłem na Kopiec Kościuszki – dość szeroką ścieżką na niezbyt stromym zboczu – i spostrzegłem nagle, że nie jestem w stanie iść normalnie; szedłem na czworakach, opierając się rękami o stok kopca! Okazało się, że nabawiłem się silnego lęku przestrzeni, który już mi pozostał na zawsze i utrudniał życie.

Chciałem na jesieni podjąć studia. W tym celu trzeba było zdać *małą i dużą maturę*. Uczyłem się więc jak szalony. Zapiisałem się do gimnazjum i liceum o przyspieszonym kursie („dla dorosłych”, opóźnionych przez wojnę). (Fot.16) Uczyło nas zresztą kilku niezwykłych nauczycieli, np. angielskiego – znakomity polonista uniwersytecki prof. Witold Doroszewski. Zajmowała go najbardziej etymologia słów; całe lekcje poświęcone były doszukiwaniu się pochodzenia poszczególnych wyrazów z sanskrytu, z perskiego itp. Było to niezwykle ciekawe, tyle, że nie miało nic wspólnego z praktyczną nauką języka.

Najmieszniejsze przygody miałem na lekcjach chemii. Nauczyciel coś nam mówił, a ja się zgłaszałem i go korygowałem. Koledzy cieszyli się tymi *sui generis* rozgrywkami, aż do chwili, gdy nauczyciel wchodząc do klasy oświadczył: „będę prowadził lekcje tylko pod warunkiem, że Grabowski się nie odezwie!” Uczyłem się jednak głównie poza szkołą, najwięcej w Bibliotece Jagiellońskiej, gdzie w ogromnej czytelni byłem często jedynym czytelnikiem.

W tym czasie zaszło wielkie wydarzenie: koniec wojny! 9 maja 1945 r. na Rynku krakowskim płacząc z wielkiego wzruszenia słuchałem potężnego dźwięku dzwonu Zygmunta, w ślad za którym rozdzwoniły się dzwony wszystkich kościołów. Koszmar pozostał za nami. Pozostał jednak smutek i żal za tymi, którzy odeszli bezpowrotnie.

Byłem wówczas głęboko przekonany, że była to już ostatnia wojna, że ludzkość pojmie bezsensowność przemocy i wojen – spadku po barbarzyńskich okresach naszej ewolucji – i przejdzie teraz do stosowania rozumu, zmierzać będzie ku *jedności świata*, o której marzyli moi ulubieni już przed wojną auto-

rzy, Herbert G. Wells i Bertrand Russell. Jakże głębokie czekały nas jednak – i to już wkrótce – rozczarowania!

Chciałem koniecznie nadgonić moje opóźnienie i jesienią, po ukończeniu 18 lat, rozpocząć studia. Nie czekałem więc na koniec roku szkolnego. Intensywnie się ucząc, przystąpiłem do eksternistycznej *małej matury* (ze wszystkich przedmiotów) i zdałem ją 14 maja. Najgorzej poszedł mi francuski. Na pisemnym egzaminie dostałem dwóję, na ustnym poprawiłem się na trójkę.

Kiedyś, jeszcze wczesną wiosną 1945 r., dostaliśmy tajemniczą wiadomość, żeby ktoś z nas pilnie przyszedł do restauracji Hotelu Francuskiego. Rodziców nie było w domu, więc ja poszedłem – i zobaczyłem naszego lwowskiego przyjaciela mec. Izydora Reislera w towarzystwie dwóch panów w mundurach wojskowych, jeden z nich z ręką na temblaku. Po bardzo serdecznym powitaniu i dowiedzeniu się, że jest on teraz (bardzo już sławnym!) prokuratorem Jerzym Sawickim (Fot.18), poznałem obu wojskowych. Byli to znani literaci, komunistyczny pisarz Jerzy Putrament i ludowo-awangardowy poeta Julian Przyboś. Pierwszy raz spotykałem tak znanych ludzi, ale wypiliśmy z nimi kawę i cieszyłem się odnalezieniem Jerzego (bo tak go odtąd już nazywaliśmy). Odegrał on dużą rolę w naszym ówczesnym życiu, m.in. jako jedyny nasz znajomy w *sferach miarodajnych*, znający *wszystkich* i wiele o ówczesnej Polsce wiedzący.

Jerzy Sawicki namówił mego Ojca do wyjazdu do Warszawy. Po rozmowach z nim Ojciec oświadczył, że w Krakowie jest zastój, a w Warszawie zawsze coś się dzieje, można tam zdziałać coś ciekawego i pożytecznego – i pojechał do Warszawy szukać mieszkania i pracy, podczas gdy Inka została jeszcze ze mną aż do mojej matury.

W tym krakowskim gimnazjum zaprzyjaźniłem się z Jurkiem Szymańskim. Wiele uczyliśmy się razem, ale przede wszystkim dyskutowaliśmy o wszystkim – może z wyjątkiem przeżyć okresu wojny, to nie było dla nas wtedy ciekawe. Odprowadzaliśmy się nawzajem tam i z powrotem, zwykle Plantami, często do późnej nocy. Jurek pasjonował się muzyką i matematyką – chciał studiować matematykę na Uniwersytecie, muzykę w Konserwatorium. Cieszyłem się, że w moim powojennym życiu zdobyłem już przyjaciela, z którym doskonale się rozumieliśmy i zapewne pozostaniemy przyjaciółmi.

Uczyłem się dużo, głównie w Jagiellonce, z entuzjazmem, że wreszcie mogę się uczyć! Pamiętając o mej porażce z francuskiego, postanowiłem na maturze zdawać z rosyjskiego. Przeczytałem z zachwytem parę tomów poezji Puszkina i Lermontowa (które zresztą do matury okazały się zupełnie zbyteczne, ale dały mi wiele na całe życie). 20 lipca zdałem egzamin dojrzałości (Fot.17). Najlepiej znów poszło mi z religii (rzymsko-katolickiej; byłem tu bardzo czytany), choć o mały włos potknąłbym się na św. Pachomiuszu, eremicie z pustyni egipskiej. Najśmieszniej zaś wypadł egzamin z rosyjskiego. Rosyjski był dopiero-co dopuszczony, a w Krakowie – w dawnym zaborze austriackim – nie było nauczy-

cieli tego języka. Egzaminatorem został starszy już historyk, pochodzący z Kongresówki i znający jako tako rosyjski ze szkoły. Porozmawialiśmy miło, a gdy okazało się, że umiem po rosyjsku nazwać czasownik, a on nie umiał, oceniając siebie samokrytycznie na trójkę – postawił mi dobry.

Trudności czekały mnie z „zagadnień życia współczesnego”. „Kto jest Prezydentem RP?” W Warszawie był komunistyczny prezydent Bolesław Bierut. Ale ja spojrzałem na poważnych krakowskich egzaminatorów i odpowiedziałem: „Prezydent Władysław Raczkiewicz, w Londynie”. Komisja odetchnęła z ulgą. Wprawdzie tylko dostatecznie, ale jakoś i to zdałem.

A tymczasem Jurek Szymański przyszedł na egzamin maturalny, ale w ostatniej chwili obrócił się i uciekł!⁵⁵

Jeśli idzie o naukę – nadrobiłem więc okres wojny, dogoniłem swój rocznik. Trzeba było wreszcie zostać chemikiem. Czy rzeczywiście chemikiem? Ogarnęły mnie wątpliwości. Tyle wyłoniło się innych atrakcyjnych możliwości. Może starać się zostać pisarzem? Ale nie byłem pewien, czy mam dostateczny talent i fantazję. Świat dokoła się zmienia, można się do tego przyczynić, by się zmieniał na lepsze. Może zostać dziennikarzem? Dyskutowałem o tym z Ojcem. Ale gdy rozejrzałem się uważniej, gdy przypomniałem sobie doświadczenia ze Lwowa i zobaczyłem ku czemu pod sowieckim podkutym butem zmierza Polska – a może nawet i świat cały? Zrezygnowałem. Lepszy od tego ludzkiego zamętu i krzywdy jest świat obiektywnych doświadczeń, logiki, prawd jednoznacznego poznania. Trzeba mi zostać chemikiem.

Jako pierwszy cel, łączenia przyjemnego z pożytecznym, postanowiłem spróbować – drobiazg! – chemicznej syntezy diamentu. Na wakacje zaopatrzyłem się w podręczniki chemii organicznej i szkicowałem kolejne plany syntezy związku, którego węglowy szkielet był fragmentem sieci diamentu, a który znacznie później ktoś inny rzeczywiście zsyntezował i nazwał *adamantanem*.

NOWOGARD

Pojechaliśmy do Warszawy do Ojca. Rodzice mieszkali wynajmując pokoiłk gdzieś na Stalowej, na Pradze. Dla mnie znaleźli też kąt – łóżko w maleńkiej klitce u jednej staruszki, niedaleko. Zdałem egzamin wstępny na chemię na Uni-

⁵⁵ Matematykę zaczął studiować jako wolny słuchacz, do Konserwatorium przyjęto go warunkowo. W kilka miesięcy potem znów miał zdawać maturę – i znów się wycofał! Powtórzyło się jeszcze raz czy dwa razy to samo. Musiał zrezygnować z uczelni, zaczął pracować gdzieś jako księgowy. Gdy po paru latach go odwiedziłem – poprosił mnie serdecznie, ale stanowczo, bym więcej nie szukał z nim kontaktu. „Ty umiałeś sobie ułożyć życie, ja – nie. Jesteś dla mnie chodzącym wyrzutem sumienia. Nie kontynuujemy naszej znajomości!...”

wersytecie Warszawskim – i pojechałem na pierwsze powojenne, a zarazem pomaturalne wakacje, do wujostwa Stachy i Antoniego Drelingów.

Rozstaliśmy się z nimi pod koniec Powstania. Oni wyszli inną drogą, przez Wolę. Tam ich załadowano do wagonów i powieziono na roboty do Niemiec, gdzie pracowali u bauera w okolicach Piły. Po uwolnieniu przyjechali do Łodzi, gdzie spotkaliśmy się z nimi 1 kwietnia. Stacha i moja Matka nie znalazły śladów swej matki, która zginęła w getcie łódzkim. Nie odzyskały też niczego, co by po niej zostało. Stacha i Antoni postanowili poszukać szczęścia jadąc na zachód, na zdobywane w tym czasie *Ziemie Zachodnie*. Antoni został przyjęty przez późniejszego wojewodę szczecińskiego Borkowicza do ekipy przejmującej administrację Pomorza Zachodniego. Został tam vice-starostą nowogardzkim.⁵⁶ Zamieszkali w sporym poniemieckim domu z ogrodem, zaadoptowali znaną na torach porzuconą i skrajnie przerażoną 2–3-letnią niemiecką dziewczynkę, Olę.

Zaprosili mnie na wakacje. Dostałem od Antoniego cenny prezent w postaci roweru, który służył mi potem w wielu wycieczkach. Były to bardzo dziwne czasy i okolice. Wojna dopiero-co się skończyła, ale nie było jeszcze pewne do kogo Szczecin będzie należał. Oprócz wojsk polskich stacjonowały tu jeszcze garnizony sowieckie. Od rosyjskich żołnierzy za butelkę wódki Antoni kupił niewielki, ale w pełni sprawny samochód osobowy DKW, którym obwoził mnie czasem po okolicy. Szczególnie pięknie było na skraju Zalewu Szczecińskiego, gdzie mieszkaly w ogromnej liczbie dzikie łabędzie.

W Nowogardzie było jeszcze bardzo wielu Niemców, którzy musieli opuszczać swoje domy i dotychczasową ojczyznę, wyprzedając swe rzeczy na targu. Dłużej pozostawali potrzebni specjaliści, majstrowie w fabrykach, niektórzy rzemieślnicy.

Następnego dnia po moim przyjeździe Antoni powiedział: a teraz spróbuję spełnić twoje życzenie. Wziął mnie do niedalekiej knajpki i rzekł właścicielce: „ten młody człowiek przez kilka lat wzdychał, że gdy się wojna skończy, to zje jajecznicę z 30 jaj. Prosimy więc teraz o jajecznicę, stopniowo, z 30 jaj, do tego trochę chleba, kiełbasy i coś do popicia!”. A ja rzeczywiście coś takiego sobie w czasach głodu wymarzyłem. Jadłem teraz więc i jadłem, popijałem i jadłem, ale po 13 czy 15 jajach już więcej nie mogłem. „Żebyś pamiętał, że ta wojna już się naprawdę skończyła!”

Nie dla wszystkich się jednak skończyła. Rozmawiałem wtedy w Nowogardzie z przypadkowym rosyjskim żołnierzem. Opowiadał mi, że dostał się do niewoli niemieckiej, a wkrótce potem wyzwolili go Amerykanie. Tym wyzwolonym żołnierzom sowieckim kazali się ustawić w kolejce do kuchni polowej, która wydawała posiłek. Stali tam razem z Amerykanami. „A kto to jest?” – zapytał mówiącego po rosyjsku Amerykanina, wskazując innego, stojącego za ni-

⁵⁶ Antoni zginął w r.1947 w wypadku motocyklowym.

mi w kolejce. „To jest nasz generał” – usłyszał w odpowiedzi. „I to było moje najsilniejsze przeżycie w czasie tej wojny” – powiedział mi Rosjanin. „U nas zawsze był osobny kocioł dla oficerów, osobny dla podoficerów, osobny dla żołnierzy. Ale żeby generał *za mną* stał w kolejce?!...”. Zdawał sobie przy tym sprawę, że popadnięcie w niewolę – i te wrażenia ze spotkania z Amerykanami – przypląci życiem, a co najmniej wieloletnią katogą w syberyjskich obozach.

NA STUDIA

Wróciwszy do Warszawy, doglądałem remontu naszego nowego mieszkania. Jerzy Sawicki dostał *przydział* na parter willi na Saskiej Kępie, a nam pomógł otrzymać z kwaterunku pół mieszkania na piętrze tej willi. Ale dom był dopiero w remoncie. Nocowałem tam na łóżku polowym, ale że wody jeszcze nie było, szedłem co rano kilometr do Parku Paderewskiego by tam skorzystać z publicznego szaletu...

Wczesną jesienią 1945 r. zacząłem się uczyć angielskiego u mieszkającej blisko nas na Saskiej Kępie dalekiej znajomej moich rodziców, pani Bronisławy Stawskiej. W pokoju bywała też często jej córka Anita, wysoka dziewczyna o czarnych włosach i oczach (Fot.21). Była głęboko myślącą dziewczyną, smutną na skutek tego, co przeżyła. Podczas ich ucieczki z warszawskiego getta zginęła jej siostra-bliźniaczka, Lila. Rok później została potracona przez czołg i długo leżała w szpitalu. Wychowani w samotności – przez pół roku pozostawaliśmy w przyjaźni, ale z dystansem, na „pan” i „pani”.

Jesienią też zacząłem wreszcie chodzić na Uniwersytet (Fot.26). A było to rzeczywiście chodzenie na spore odległości. Most Poniatowskiego był zniszczony, z Saskiej Kępy trzeba było iść na Pragę, mostem pontonowym i ul. Karową w górę na Krakowskie Przedmieście i dopiero stąd na Pasteura lub na Wilczą. Anita też podjęła studia, wobec czego co rano wspólnie wędrowaliśmy pieszo z Saskiej Kępy przez Pragę i most pontonowy aż na Krakowskie Przedmieście, gdzie ona zostawała na Uniwersytecie, ja zwykle szedłem dalej. Zimą było łatwiej – przez Wisłę wprost, po lodzie.

Nie było laboratoriów, nowoczesny Gmach Chemii był bardzo zdewastowany (Fot.19). Chodziłem więc na wykłady filozofii i seminaria prof. Kotarbińskiego, na różne wykłady matematyki – żeby choćby posłuchać słynnych profesorów: Borsuka, Sierpińskiego. Ale pierwszymi zajęciami naszego programu studiów chemicznych były wykłady i ćwiczenia z krystalografii, które odbywały się w mieszkaniu prof. Antoniego Łaszkiwicza przy Wilczej 22⁵⁷.

⁵⁷ Obowiązywał nas wtedy przedwojenny program studiów; chemik miał wybór między botaniką a krystalografią z mineralogią.

W grudniu 1945 r. pani Stawska wyjechała jako tłumaczka do organizującego się polskiego konsulatu w Chicago. Wyjechała razem z Anitą. Odtąd korespondowaliśmy ze sobą, aż do jej śmierci. Dopiero po paru miesiącach przeszliśmy listownie na „ty”. Widzieliśmy się przez te wszystkie lata tylko przelotnie w latach 1963 i 1987, przy okazji moich przyjazdów na konferencje w USA.

PROF. ANTONI ŁASZKIEWICZ

Prof. Antoni Łaszkiwicz, postać bardzo niezwykła, godzien byłby osobnego poematu⁵⁸. Prowadzone przezeń wykłady i ćwiczenia były dla nas początkowo zupełnie niezrozumiałe. Profesor mówił używając nieznanymi nam terminów, na pytania odpowiadał enigmatycznie. W rozmowie, skubiąc brodę, lubił być tajemniczy i złośliwy. Rysowaliśmy jakieś wykresy, nie mając pojęcia co robimy. Dopiero po dłuższym czasie zaczęło coś z tego – w dużej mierze dzięki pomocy jego asystenta, Tadeusza Penkali – prześwitywać, aż wreszcie poskładało się w logiczną całość! Wszystko stawało się bardziej przejrzyste, gdy od krystalografii przeszliśmy do ulubionej przez profesora mineralogii. Pamiętam jak kiedyś mnie zdumiał, gdy po odkryciu złóż soli potasowych w Kłodawie zastanawialiśmy się jaka też jest tam zawartość potasu. Prof. Łaszkiwicz wziął kryształek na drucik platynowy, wprowadził w bezbarwny płomień palnika gazowego. Pojawiły się barwy fioletowa, potasu, i silnie żółta, sodu. Spoglądał chwilę, po czym powiedział: chyba że 20 do 22% potasu... Ilościowa analiza wykazała potem 21%!

U Łaszkiwicza zdawaliśmy też, znacznie później, pierwszy egzamin, po którym jeden z kolegów – Zygmunt Lisicki – został zastępcą asystenta⁵⁹, a bliskiej mej koleżance, Wiesławie Turnowskiej profesor proponował asystenturę, ale skończyło się to z jej strony tylko na etacie archiwistki zbiorów mineralogicznych.

Naprawdę doceniliśmy prof. Łaszkiwicza latem 1947 r., gdy zorganizował nam wycieczkę mineralogiczną na Dolny Śląsk (Fot.23). Działiałem wtedy w Kole Chemików, udało mi się od samego dowódcy Wojsk Ochrony Pogranicza uzyskać przepustkę zezwalającą nam poruszać się w pasie granicznym, a przy okazji wypożyczyliśmy od nich znakomite naczynia do transportu potraw. Pojechaliśmy ciężarówką, około 20 osób, w plecakach mieliśmy wielkie młoty i messle, zwiedzaliśmy kamieniołomy, lokalne muzea, wreszcie sami poszukiwaliśmy ciekawych skał i minerałów (Fot.25). Dźwigaliśmy z sobą swoje rzeczy i sprzęt, namioty, jedzenie i coraz więcej minerałów. Z Cieplic szliśmy kilka godzin mozolnie w górę, aż na Szrenicę. Tam na górze zatrzymał nas

⁵⁸ Bardzo znana była też jego żona, znakomita nauczycielka chemii w liceum Juliusza Słowackiego w Warszawie, wychowawczyni wielu pokoleń uczniów tej szkoły.

⁵⁹ Stanowisko, które mógł wówczas zająć student – jeszcze przed magisterium.

uzbrojony po zęby pogranicznik: „przepustka?” Z dumą wyciągamy nasz dokument, w którym ich dowódca nakazuje udzielić nam wszelkiej pomocy – a żołnierz bierze to, obrócone do góry nogami, przygląda się i mówi: „to nie jest przepustka!” Perswazje niewiele pomogły. „Ja jestem analfabecik, czytać nie umiem, ale dobrze wiem, jak przepustka wygląda!” Groził bronią, i kazał iść z powrotem w dół, do stancy. Tam oficer nam się gęsto tłumaczył i przepraszał, ale jeszcze raz musieliśmy pokonywać ciężką drogę pod górę.

Tu prof. Łaszkiwicz nas nauczył jak iść pod górę z ciężkim plecakiem: podsunąć plecak jak najwyżej, by obciążał głowę i szyję, zgiąć się w pół – i wtedy plecak sam ciągnie nas do góry!

Jeździliśmy naszą ciężarówką po różnych okolicach Dolnego Śląska. Szczególnie utkwił mi w pamięci Złoty Stok w ziemi kłodzkiej. Były tam rudy arsenu i niklu, wiele ciekawych minerałów. Przez wieki wydobywano tu niewielkie ilości złota; stąd nazwa miejscowości. W nowszych czasach przerabiano tu hałdy, wydobywając z nich jeszcze trochę złota. Ale przede wszystkim była tu huta arsenu – arsenek niklu wypalano i sublimowano arsenik, As_2O_3 . Chodziśmy po tej hucie z najwyższym przerażeniem, brodząc po kostki w białym pyłe arsenikowym, zaglądnąc przez dziury do środka nieszczelnych pieców do wypalania rudy arsenowej (Fot.22). Robotnicy zapytywani o to wszystko mówili: „po kilku miesiącach pracy tutaj człowiek staje się bezpłodny, po paru latach umiera. – A dlaczego tu pracujecie? – bo innej pracy nie ma, a tutaj płacą dużo lepiej niż gdzie indziej...” Powróciwszy stamtąd podnieśliśmy larum na ten temat – i, o ile wiem, huta została wkrótce zamknięta.

Prawdziwy podziw wzbudził w nas prof. Łaszkiwicz omawiając drogę, np. „stąd pójdziemy 400 m w prawo, tam będzie osobiwa wyżłobiona skała piaszkowa, stamtąd 20 m w dół i w pionowym przełomie skały pegmatytowej znajdziemy czarne wtrącenia otoczone pomarańczowo-brązową obwódką...” Szliśmy dokładnie według jego wskazówek – i wszystko się zgadzało! Pytaliśmy jego samego i asystenta, ale okazało się, że profesor też jest tu po raz pierwszy. Co więcej, nie miał ze sobą książek ani notatek – miał fenomenalną pamięć. To, co nam dyktował, było zapamiętane z przeczytanych w Warszawie niemieckich prac i książek! Pod jego wpływem polubiliśmy mineralogię, niejeden z nas podejmował potem własne wyprawy, wszyscy zaczęli kolekcjonować minerały.

Miłe to były złego początku... Prof. Antoni Łaszkiwicz był nie tylko mineralogiem; był znakomitym filatelistą, autorem katalogu *Polskie znaki pocztowe*, prezesem Związku Filatelistów. W najgorszym okresie stalinizmu, w roku 1949, został zaaresztowany, wmieszany podobno w sprawę o szpiegostwo – a głównym zarzutem miało być to, że prowadził (jako filatelista!) szeroką korespondencję z zagranicą. Przy okazji skonfiskowano mu, a w rzeczywistości skradziono, wspaniałe, cenne zbiory znaczków i przypuszcza się, że to właśnie było celem jego uwięzienia.

Uniwersytet Warszawski przekazał jego katedrę – o ile wiem, na polecenie premiera Cyrankiewicza – Ludwikowi Chrobakowi, który jako przedwojenny docent Uniwersytetu Jagiellońskiego został po wojnie podobno pozbawiony prawa nauczania ze względu na swą kolaborację z Niemcami (wskazanie nieznanym im złóż mineralnych)⁶⁰.

W czasie odwilży 1956 roku prof. Łaszkiwicz został wypuszczony z więzienia, uniewinniony, zrehabilitowany. Jednakże Uniwersytet, wbrew wszelkim zasadom przyzwoitości, nie przywrócił mu już jego stanowiska i miejsca pracy! Prof. Antoni Łaszkiwicz podjął pracę w Państwowym Instytucie Geologicznym i pracował tam aż do emerytury.

W GMACHU CHEMII UW

Pierwsze zajęcia w gmachu Chemii przy ul. Pasteura 1 zaczęły się z opóźnieniem, bo budynek trzeba było doprowadzić choć trochę do porządku. Gmach Chemii UW został wybudowany przed wojną i zajęcia miały się w nim zacząć 1 września 1939 r. ... Niemcy urządzili tu szpital wojskowy, doprowadzili na dziedziniec boczną. Uchodząc, wysadzili w powietrze skrzydło od ul. Wawelskiej. Sale wykładowe – zamienione na sale szpitalne – pokryte były bardzo frywolnymi malowidłami ściennymi, a z wyposażenia laboratoryjnego nie pozostało nic. Pomagaliśmy w oczyszczaniu gmachu, tak jak i na mieście pracowaliśmy przy usuwaniu barykad i gruzów. Były to nasze pierwsze zajęcia uniwersyteckie.

Pierwsze wykłady chemii poprowadził dla nas prof. Wiktor Kemula. Z początku brak było niemal wszystkiego, co do tego potrzebne: światła, ogrzewania, wody, gazu, sprzętu i odczynników. Zimą roku akad. 1945/46 prof. Kemula prowadził swe wykłady chemii nieorganicznej w nieogrzewanej sali, która w miarę uzyskiwania książek i czasopism stała się później biblioteką. (Fot.29) Wykłady odbywały się za dnia, gdy było jasno. Tak my, jak i on, byliśmy w zimowych płaszczach, nieraz w rękawiczkach, a doświadczenia wykładowe, do których zawsze przykładał wielką wagę, prof. Kemula przeprowadzał z użyciem turystycznego palnika spirytusowego. O żadnych laboratoriach chemicznych jeszcze nie mogliśmy nawet marzyć. Był za to entuzjastą do nauki, która przez lata okupacji, i jemu, i nam była wzbroniona. Prof. Kemula był moim pierwszym szefem i mistrzem, potem promotorem tak mego doktoratu, jak i (w różnych sprawach i okolicznościach) mojej osoby.

⁶⁰ W archiwach UJ nie znaleziono obecnie (2004) żadnych dokumentów na ten temat.

PROF. WIKTOR KEMULA⁶¹

Prof. Wiktor Kemula został z Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie powołany na profesurę na Uniw. Józefa Piłsudskiego do Warszawy na miejsce emerytowanego profesora chemii nieorganicznej Kazimierza Jabłczyńskiego. Katedrę miał objąć od 1 września 1939. Objął ją jednak dopiero w roku 1945.

Po śmierci w getcie warszawskim świetnego fizyko-chemika prof. Centnerszvera, po wojnie działali początkowo tylko dwaj profesorowie: organik Wiktor Lampe, już w podeszłym wieku, i nieorganik Wiktor Kemula. Młody wówczas i pełen zapału, został powołany na *Gospodarza Gmachu Chemii UW*. Z całą energią poświęcił się odbudowie, stopniowemu wyposażaniu pracowni, a potem – kształceniu nowych współpracowników, już spośród powojennych studentów. Był to okres bardzo trudny.

O zdolnościach i pracach Wiktora Kemuli świadczy jego kariera naukowa – wyjątkowo szybka, nie tylko jak na owe czasy. Doktorat w wieku 25 lat, habilitacja – lat 30; mając 34 lata był już profesorem nadzwyczajnym Uniwersytetu Jana Kazimierza, a na katedrę na UW został powołany jako profesor zwyczajny w wieku 37 lat. Doszedł potem do najwyższych godności akademickich w Polsce i za granicą – jako członek PAN, prezes (potem prezes honorowy) Polskiego Tow. Chemicznego, prezes Tow. Naukowego Warszawskiego, prorektor UW, prezydent *Analytical Division* Międzynarodowej Unii Chemicznej (*IUPAC*).

Prof. Kemula nie uprawiał nigdy działalności politycznej. Miał jednak na sprawy publiczne swe niezależne poglądy, trzymał się ich i nieraz wyrażał swoje opinie. Jeszcze przed wojną wywoływało to konflikty z otoczeniem. Nie tolerował na swoich wykładach „getta ławkowego”, przyjmował Żydów na asystenturę. Nadało mu to opinię lewicowca. Gdy Lwów znalazł się pod okupacją sowiecką (1939–1941) – kontynuował zajęcia i badania na szybko ukrajinizowanym Uniwersytecie. Niektórzy koledzy (wspominał o organiku Romanie Małachowskim i o nieorganiku Włodzimierzu Trzebiatowskim) potępiali go wówczas za rzekomy *bolszewizm*⁶².

W 1949 r. prof. Kemula pojechał z ramienia Uniwersytetu do Anglii, by dokonać zakupów sprzętu, odczynników i aparatury do wyposażenia laboratoriów studenckich i naukowych. Nieoczekiwanie stało się to źródłem udręki. Był to rok

⁶¹ 6.III.1902 – 17.X.1985. Por. Z. R. G r a b o w s k i i J. T a r a s z e w s k a : *Życie i dzieło prof. Wiktora Kemuli (w stulecie urodzin)*. „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki” 2002 47 nr 1, s. 9–32. W tym samym zeszycie jest też cała seria artykułów i wspomnień o prof. Wiktorze Kemuli, kalendarium jego życia oraz pełny wykaz jego publikacji naukowych.

⁶² Po wojnie, pod władzą komunistyczną, bezpartyjny Kemula był wciąż źle widziany przez władze, zaś antykomunista Trzebiatowski wstąpił do partii i został członkiem Komitetu Centralnego PZPR...

wzmagającego się terroru: aresztowania, oskarżenia o szpiegostwo. Kemulę usiłowano wplątać w głośny proces gen. Tatara i innych. Przesłuchania, groźby i podejrzenia towarzyszyły mu odtąd przez lata. Kosztowało go to ciężką chorobę serca.

Stworzył jednak twórczy ośrodek naukowy, najpierw na UW, potem w Instytucie Chemii Fizycznej PAN⁶³, rozwijając metody aparaturowe chemii analitycznej, głównie polarografię, różne formy chromatografii, łącząc te metody w postaci chromato-polarografii. W czasie *odwilży* 1956 r. został prorektorem UW, członkiem PAN. W tymże roku 1956 (1–4.II) zwołał do Warszawy Konferencję Polarograficzną, która stanowiła ukoronowanie jego dotychczasowej działalności naukowej⁶⁴. My, jego uczniowie, mieliśmy tam referaty⁶⁵, a w Konferencji uczestniczyli nie tylko polscy badacze i studenci z wielu ośrodków, ale i znakomici Czesi, w tym późniejszy laureat Nobla Jaroslav Heyrovský⁶⁶, Rudolf Brdička⁶⁷, Petr Zuman i paru innych, z Węgier i Bułgarii. Heyrovský otrzymał wtedy doktorat *honoris causa* Uniwersytetu Warszawskiego, a Wiktor Kemula był tego doktoratu promotorem. Wydawało się, że okres ciągłego zagrożenia ma już wreszcie za sobą.

Prof. Kemula kierując się głównie intuicją eksperymentatora, wchodził czasem w konflikt z uczniami, którzy domagali się ścisłości, stosowania najnowszych teorii. Czasem dochodziło przy tym do starć między rozumowaniem uczniów a jego intuicją (a te intuicje często bywały słuszniejsze).

Kemula, ze swym dużym zespołem, miał dużo publikacji. Rozgorzało latami ciche a niezdrowe współzawodnictwo o liczbę prac kilkorga wybitnych pol-

⁶³ Por. mój rozdział: *W kręgu Wiktora Kemuli*. [W:] *Szkoły Naukowe Chemików Polskich* (red. R. M i e r z e c k i) Warszawa 1993 Polskie Tow.Chemiczne, s.9–18.

⁶⁴ *Prace Konferencji Polarograficznej – Warszawa 1956*. Warszawa 1957 PWN, stron 547.

⁶⁵ Np. mój referat: Z. R. G r a b o w s k i : *Mechanizm redukcji polarograficznej związków organicznych*; *ibid.* s. 91–105

⁶⁶ 1890–1967; Laureatem Nagrody Nobla został w 1959 r. „za odkrycie i rozwój polarograficznej metody analizy”. W 1956 r. byłem jednym z przewodników Heyrovskiego po Warszawie. Chciałem mu pokazywać zabytki, ale on zaprotestował: „nie, najpierw coś innego, żona mi kazała koniecznie iść na – jak to się nazywa? Na ciuchy!”. To była wówczas główna atrakcja dla naszych sąsiadów.

⁶⁷ Prof. Rudolf Brdička, wybitny uczony, w odróżnieniu od uważanego przez władze za *reakcjonistę* Heyrovskiego zapisał się do partii, chronił Instytut Polarograficzny w Pradze, był jednym z dygnitarzy Czechosłowackiej Akademii Nauk. Gdy w 1968 r. po okresie *Praskiej Wiosny* nadeszła interwencja Paktu Warszawskiego i okupacja kraju, specjalne komisje sprawdzały *prawomyślność* ważniejszych ludzi nauki. Najczęściej po takiej rozmowie człowiek tracił pracę (tak się stało np. z moim przyjacielem Rudolfem Zahradnikiem). Brdička był przesłuchiwany – i nic! Był zrozpaczony, że go nie wyrzucano, telefonował po znajomych, że nie poszedł na żadną kolaborację; a w nocy doznał zawału serca i umarł...

skich chemików (Tadeusz Urbański, Wiktor Kemula, Bogusława Jeżowska-Trzebiatowska). Według ówczesnego obyczaju, wyniki pracy magisterskiej mogły być publikowane bądź przez samego profesora, bądź przezeń wspólnie z magistrantem (co już było dużym wyróżnieniem magistranta!). Wyniki pracy doktorskiej z reguły publikowali ich autorzy wspólnie z promotorem. Niezdrowa atmosfera wokół autorstwa prac prowadziła nieraz do zadrażnień.

W 1958 r. pojawił się pomysł zastosowania „wiszącej” kroplowej elektrody rtęciowej jako narzędzia analitycznego, wysoce podnoszącego czułość analizy polarograficznej⁶⁸, a znakomitego i do celów poznawczych, np. do badania wolnych rodników, powstających w procesach elektrodowych, czy związków międzymetalicznych rtęci. Uczeń Kemuli Zenon Kublik był rozżalony, że nowa technika powiązana została w literaturze i w produkcji przyrządów z nazwiskiem Kemuli („*Kemula-Polarogramme*”; „*Kemula-Electrode*”; „*Kemula-Equipment*”).

Stosunki uległy gwałtownie pogorszeniu, gdy w „Polityce” opublikowano artykuł... Jerzego Urbana⁶⁹, w którym późniejszy rzecznik gen. Jaruzelskiego atakował, ze swoistą dłań mieszanką jadu i ignorancji, „feudalne” stosunki w nauce. Tekst był mimowolnie komiczny, np. Urban był oburzony, że „asystent-botanik życie trawi na bieganiu po polach i lasach i zbieraniu dla profesora zielsk, potrzebnych mu do demonstrowania na wykładzie”. Bez podawania nazwisk, by nie można mu było wytoczyć procesu – ale dostatecznie przejrzyste – opisał zjadliwie i krzywdząco sprawę „złotego jabłka”, od którego jakoby odsunięty został jego wynalazca. Artykuł ten spotkał się z ripostą ze strony dziekana Wydziału Chemicznego Politechniki Warszawskiej, prof. Józefa Hurwica⁷⁰, który wykazał zarówno ignorancję Urbana w sprawach nauki, jak i motyw zawiści w artykule. Konflikt Kublik-Kemula stał się odtąd sprawą publiczną, co ogromnie zatruło atmosferę pracy w Katedrze.

Nadszedł marzec 1968. Po wypowiedziach prof. Kemuli w obronie manifestujących studentów, *partyjni* Wydziału Chemii dokonali zemsty. Prof. Wiktor Kemula, wieloletni dziekan i do niedawna prorektor UW, znalazł ... wsuniętą tchórzliwie pod drzwi informację, że „od najbliższego pierwszego” przestaje być pracownikiem Uniwersytetu Warszawskiego⁷¹.

⁶⁸ W. K e m u l a , Z. K u b l i k : *Application de la goutte pendante de mercure a la determination de minimales quantites de differents ions*. „*Analytica Chimica Acta*” 1958 **18** s. 104–111.

⁶⁹ J. U r b a n : *Feudalowie i wasale*. „*Polityka*” 15.IX.1962 nr 37 (289) s.5.

⁷⁰ J. H u r w i c : *O średniowieczu w środowisku naukowym*. „*Polityka*” 3.XI.1962 nr 44 (296) s. 5.

⁷¹ W okresie *czystek pomarcowych* 1968 r. wielu zasłużonym ludziom nauki, usuwanym wówczas m.in. z wyższych uczelni, ich służbowi przełożeni posłusznie podpisywali zwolnienia z pracy, ale nie mieli cywilnej odwagi spojrzania swym kolegom w oczy.

W 1976 r., po represjach w Radomiu i Ursusie, Wiktor Kemula by jednym z niewielu członków PAN, którzy podpisali list otwarty w obronie bitych i więzionych robotników⁷². Podpis Kemuli spowodował objęcie go „zapisem cenzury”⁷³. Odtąd przez szereg lat nie wolno było o nim publikować w prasie⁷⁴. Nawet 80-lecie prof. Kemuli, które przypadło w okresie stanu wojennego (marzec 1982 r.), przyszło obchodzić bez informacji prasowych, na zamkniętym posiedzeniu Rady Naukowej IChF PAN. (Fot.37) Dopiero w okresie pierwszej „Solidarności” Senat UW wystosował doń przeprosiny i nadał mu tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu.

Świadectwem przywiązania prof. Kemuli do Uniwersytetu – choć tak niegodnie usunięto go z uczelni – było życzenie, by go pochowano w profesorskiej todze.

Prof. Kemula wywarł duży wpływ na rozwój chemii w Polsce po II wojnie światowej. Był on nie tylko wybitnym badaczem, ale i bardzo nieprzeciętną, barwną postacią. Ogniskował na sobie uwagę, miał wielu przyjaciół, ale i wielu ludzi niechętnych, najczęściej zazdrosnych. Mało kto w jego otoczeniu pozostawał wobec niego obojętny.

KOŁO CHEMIKÓW

Jesienią 1945 r. utworzyliśmy Koło Chemików Studentów UW. Zebraliśmy się, około 60 osób studentów I roku i, nieliczni ze starszych lat, przedwojenni studenci. Każdy miał za sobą inne przeżycia – konspirację, AK, udział w Powstaniu, Syberię, więzienie, obóz, getto, ukrywanie się, pracę przymusową w Niemczech, służbę w wojsku na Wschodzie lub na Zachodzie... Łączyło nas jedno – dorwać się wreszcie do nauki, od której byliśmy przez te wszystkie lata wojenne odcięci. Nie było potrzeby wyznaczania zajęć *obowiązkowych*, sprawdzania listy – do tych stopniowo uruchamianych nielicznych wykładów i zajęć garnęliśmy się z zapałem, niespotykanym już u późniejszych roczników (Fot.27).

Porozmawialiśmy o sprawach, którymi winno zajmować się Koło i ku memu zaskoczeniu zostałem wybrany na prezesa⁷⁵. W życiu wielokrotnie mi się tak

⁷² Po przyjeździe z posiedzenia, prof. Kemula relacjonował mi to tak: „zbierano podpisy pod listem protestacyjnym Tatariewiczza i innych, podpisałem się. A potem się okazało, że ostrożny Tatariewicz wykreślił swój podpis. Pomyślałem, że może lepiej będzie zrobić tak jak on? Było już jednak za późno!”

⁷³ *Czarna Księga Cenzury*. Warszawa 1977 Niezależna Oficyna Wydawnicza.

⁷⁴ Np artykuł, złożony do „Życia Warszawy” przed 6 marca 1977: B. B e h r i Z. R. G r a b o w s k i : *Wiktor Kemula – 75-lecie wybitnego uczonego* (5 stron maszynopisu) został od razu odrzucony przez cenzurę.

⁷⁵ Prezesem Koła byłem w latach 1945–1947. Wiceprezesami byli wówczas Janusz Zwoliński i Tadeusz Majewski – nasi trochę starsi koledzy, jeszcze przedwojenni studenci; sekretarzem – Zygmunt Lisicki, później profesor w Instytucie Chemii Przemysłowej; skarb-

zdarzało, że ni stąd, ni z owąd, jakaś grupa ludzi wybierała mnie na przewodniczącego; nawet uczestnicy parotygodniowego turnusu w sanatorium... W Kole Chemików zaskoczyło mnie to szczególnie, bo byłem na naszym roku studiów chyba najmłodszy i wciąż jeszcze jakby wycofujący się z życia społecznego, jak zółw do swojej skorupy.

Trzeba było ułożyć statut. Poradzono mi, bym porozmawiał z przedwojennym prezesem Koła Chemików. Był to mgr Wojciech Grochowski, organik. Ten dał mi przedwojenny statut, radząc poprostu go przepisać. Najważniejsza – powiedział – jest komisja balotażowa! W miarę czytania włosy (a miałem jeszcze wówczas włosy!) stawały mi dęba na głowie.

Okazało się, że przed wojną działały tu dwa Koła: Koło Chemików Studentów UW oraz ... Koło Chemików Żydów Studentów UW! Komisja balotażowa miała mianowicie za zadanie sprawdzanie *aryjskiego* pochodzenia kandydatów na członków – do trzeciego czy czwartego pokolenia wstecz. Pozwoliłem sobie zapomnieć (z obrzydzenia) o przedwojennym statucie i starałem się odtąd przez całe życie unikać owego pana Grochowskiego.

Koło Chemików stało się żywą i sympatyczną grupą koleżeńską. Wychowany w samotności, pierwszy raz znalazłem się w otoczeniu tak wielu kolegów i, co gorsza, koleżanek, które mnie wyśmiewały. Byłem przy tym nieśmiały i niedoświadczony, niezgrabny, nie umiałem śpiewać ani tańczyć, nie byłem nawet gawędziarzem, który potrafiłby zabawić towarzystwo. Tym bardziej podniosło mnie na duchu to, że znalazłem pomoc i wsparcie bardzo aktywnej towarzysko, a zarazem dość przystojnej koleżanki, Teresy (Fot.28). Ogromnie mi pomogła w tym dla mnie trudnym, początkowym okresie i w późniejszych działaniach Koła Chemików.

Nawiązałem też kontakty z Kołami na innych wydziałach UW. Czas próby nadszedł z początkiem maja 1946 r. 3 maja studencka manifestacja patriotyczna w Krakowie została brutalnie rozpedzona, chodziły pogłoski o strzelaniu do studentów, o zabitych i aresztowanych. Na uczelniach warszawskich ogłoszono strajk. Była to nowa dla nas sytuacja (przed wojną strajki na uczelniach były chlebem powszednim). Zebraliśmy się przed wejściem do budynku Chemii, obradowaliśmy. Jedyń wśród nas aktywista partyjny, Czesław Kirklewski, nawoływał do pójścia na wykład – i poszedł; część z nas się wahała, część zdecydowanie popierała strajk. Prof. Kemula przyszedł na salę wykładową, ale widząc jednego studenta – zrezygnował z wykładu.

Szybko skomunikowaliśmy się z innymi i zebraliśmy się na Krakowskim Przedmieściu, prezesi wszystkich Kół Studentów UW. Ułożyliśmy swe postulatniczką – Wiesława Turnowska (później po mężu Rubaszewska, przez wiele lat moja bliska współpracowniczką). W Zarządzie Koła działali nadto kol.kol. Helena Redzisz, Anna Borowik, Danuta Makowska, Ludmiła Chwastowska i Maciej Ludwiński. W czasie naszej wyprawy do Danii, w 1946 r., Janusz Zwoliński i Maciej Ludwiński *wybrali wolność*.

ty – ukazania się w prasie informacji o tym, co się działo, zwolnienia wszystkich aresztowanych, odstąpienia władz od represji za manifestacje i strajki studenckie. Poszliśmy do Ministerstwa Oświaty (które znów było w swym dawnym gmachu przy alei Szucha – w czasie wojny zajęty przez Gestapo). Przyjął nas v-minister Władysław Bieńkowski. Deklarował nam swoją bezradność, konieczność karania za naruszenie prawa i porządku. My zagroziliśmy ogólnopolskim strajkiem studenckim i bez porównania większymi manifestacjami w przypadku odrzucenia naszych żądań. Rozmowy z min. Bieńkowskim przeciągnęły się do późnej nocy. Obozowaliśmy, kilkanaście osób, w jego gabinecie. On na przemian dyskutował z nami o polityce i o historii współczesnej, o uniwersytetach przed wojną i dziś, lub opuszczał nas i konferował telefonicznie z innymi władzami. W końcu zapewnił nas o uwolnieniu aresztowanych, o spełnieniu większości naszych postulatów i spowodował rozwieszenie nas nocą po domach – a my zgodziliśmy się zawiesić strajk.

Po dwu kadencjach przekazałem przewodniczenie młodszemu o rok studiami Andrzejowi Budzyńskiemu⁷⁶. Organizowaliśmy zebrania dyskusyjne, z referatami. Pamiętam, że tam wygłosiłem referat o nieznannej syntezie diamentu⁷⁷. W czerwcu 1949 roku jako Komitet Studenckich Kół Chemicznych w Polsce, utworzony w czasie naszego pobytu w Danii, zorganizowaliśmy pierwszy Zjazd Naukowy Kół Chemików w Gliwicach. Była to piękna impreza. Byliśmy jeszcze studentami IV roku, szukaliśmy ciekawej i ambitnej tematyki. Przygotowałem na zjazd, dużym nakładem pracy, referat o borowodorach, pasjonujących mnie swą zupełnie niekowencjonalną strukturą⁷⁸. Basi Behrowej, która radziła mi się, jaki wybrać temat, podsunęłam *lotne fluorki* ciężkich metali – coś, co mnie samego wtedy bardzo frapowało: jak zapełnienie powłok elektronowych na najwyższych stopniach utlenienia powoduje, że nawet najcięższe fluorki (WF_6 , UF_6) i niektóre tlenki (OsO_4) są gazowe lub łatwo lotne. Zjazd się bardzo udał, był nareszcie żywy kontakt naukowy z innymi uczelniami. Nasze referaty należały do najlepiej przyjętych, a ja miałem dodatkową satysfakcję, że prof. Jakóbowi⁷⁹ z Politechniki Śląskiej spodobał się mój referat: gdy ukazał się drukiem, zalecił go jako lekturę swoim studentom. Prof. Jakób zaprowadził mnie do swego laboratorium, pytając, czego mi brak, by zacząć badania borowodorów. Powiedziałem, że wyposażenia do niskich temperatur. Dostałem więc od niego całą kolekcję wspaniałych naczyń Dewara, w tym wielkie kilkudziesięciolitro-

⁷⁶ Obecnie w USA.

⁷⁷ 24.III.1948: *Historia naturalna diamentu i próby jego syntezy*. Fragment z tego ukazał się w druku: Z. R. G r a b o w s k i : *Sztuczne diamenty. Rehabilitacja zlekceważonego i zapomnianego odkrycia z ubiegłego stulecia*. „Problemy” 1949 5 nr 2, s.131.

⁷⁸ Z. R. G r a b o w s k i : *Borowodory*. „Wiadomości Chemiczne” 1950 4 s. 15–22.

⁷⁹ Jego syn, Zbyszek Jakób, jeden z najzdolniejszych chemików polskich naszego pokolenia, też uczestniczył w zjeździe – ale zmarł bardzo młodo na raka.

we metalowe baniaki. Tarmosiliśmy je z trudem koleją, ale służyły nam potem znakomicie w Warszawie – i nie tylko nam – przez kilkadziesiąt lat.

Z początkiem lat 50. władze utworzyły jednolitą studencką organizację-molocha pod ścisłą kontrolą *partii* („Federację Organizacji Studenckich”). *Oddolne* demokratyczne organizacje, Bratniaki, Koła, nasz ogólnopolski Komitet – wszystko to, co spontaniczne, niezależne – zostało odgórnymi decyzjami rozwiązane. Później tworzono już tylko izolowane, kierowane przez pracowników Uniwersytetu „koła naukowe” przy poszczególnych katedrach.

DANIA

Z początkiem roku 1946 z prof. Kemulą nawiązał kontakt jego kolega z czasu, gdy obaj odbywali w Lipsku staże naukowe, fizyk-teoretyk dr Stefan Rozental⁸⁰. Teraz Rozental był przyjacielem i sekretarzem Nielsa Bohra w Kopenhadze. Pytał, jaką pomoc dla Polski mógłby w Danii zorganizować. Większość studenckich pracowni chemicznych na polskich wyższych uczelniach była w ruinie. Kemula zaproponował mu więc zaproszenie grupy polskich studentów chemii do duńskich laboratoriów.

Dr Rozental natychmiast przystąpił do działania. Pod patronatem Nielsa Bohra, a pod przewodnictwem jego brata, matematyka Haralda Bohra, dzięki ofiarności duńskiego społeczeństwa dokonano zbiórki funduszków i przygotowano kilka kopenhaskich uczelni.

Z początkiem maja 1946 r. z nad Bałtyku nadleciał niezapowiedziany duński samolot i wylądował koło Gdańska. Wysiedli zeń członkowie duńskiego Komitetu Pomocy Kulturalnej Polsce: dr G. Krogh-Jensen, prezes związku studentów duńskich Johannes Mosbech i dr Stefan Rozental. Przyjechali do Warszawy i po niezwykle krótkich pertraktacjach uzyskali zgodę v-ministra Oświaty Władysława Bieńkowskiego. Powołano *Letnie Studium Polskie w Kopenhadze*, pod kierownictwem prof. Wiktora Kemuli. 256 osób – studentów, głównie chemii, z 6 uczelni Warszawy, Łodzi, Gdańska i Krakowa wraz z grupą profesorów i asystentów^{81,82}, popłynęło pięknym duńskim transatlantykiem „Falstria”.

⁸⁰ 1903–1994.

⁸¹ Łącznie 26-osobowy personel nauczający składał się z 10 osób z Warszawy (7 z UW, 3 z PW), 12 z Łodzi (8 z UŁ, 4 z PŁ), 4 z Politechniki Gdańskiej. Studentów było 230, w tym z Warszawy 108 (z Uniwersytetu 67 chemików, 2 fizyków i 6 biologów, oraz 33 chemików z Politechniki), z Łodzi 84 (41 chemików, 3 biologów, 23 medyków z Uniwersytetu, oraz 19 chemików z Politechniki), z Gdańska 34 (głównie chemicy z Politechniki, ale i 7 geodetów i jeden z budownictwa okrętowego), a nadto czworo studentów z Uniwersytetu Jagiellońskiego, m.in. ze Studium Spółdzielczego, jadący do Danii uczyć się o tamtejszym świetnie rozwiniętym systemie spółdzielczości rolniczej.

⁸² Jeden z łódzkiej grupy medyków, Jerzy Einhorn, później znakomity szwedzki onkolog, pisze w swej, ciekawej skądinąd, autobiografii [J. E i n h o r n : *Wybrany by żyć*.

Płynęliśmy ostrożnie przez zaminowany wciąż jeszcze Bałtyk. Już na statku odczuliśmy, co znaczy znajomość obcego języka – nieoceniona była obecność członka duńskiego Komitetu dra Damborga, który biegle mówił po polsku oraz prof. Edwarda Józefowicza, który pracował niegdyś u prof. Bjerruma w Kopenhadze i biegle mówił po duńsku.

W porcie kopenhaskim zostaliśmy uroczystie powitani, wygłaszano mowy, których na ogół nie rozumieliśmy, gazety były pełne naszych zdjęć. Zakwaterowano nas – po czym okazało się, że będziemy przez dwa dni zamknięci na kwartannie. W tym czasie duńscy lekarze nas badali i – ku swemu zaskoczeniu – stwierdzili u nas lepszy stan fizyczny i zdrowotny niż u naszych duńskich rówieśników!

Gościnność i serdeczność duńska była niezwykła. Mieszkaliśmy w ogromnej *Sønderjyllandskøla* w Frederiksbergu (autonomicznym mieście, które stanowi część Kopenhagi). Naszymi sypialniami – z piętrowymi łózkami – były wielkie sale gimnastyczne, jedna żeńska, jedna męska. W ogromnej sali, w której jedliśmy wszyscy razem posiłki, podając je na zmianę i sprzątając, podłoga była z grubego szkła, a pod spodem – basen pływacki, z którego mogliśmy korzystać. Jednym z najsilniejszych wrażeń było dla nas duńskie mleko – czyste, pachnące, niezwykle smaczne. Zakładaliśmy się, kto więcej go na śniadanie wypije. Doshedłem do 2 litrów, a mój bliski kolega Jurek Szewczyk wypił naraz ponad 3 litry – ale on we wszystkim był lepszy ode mnie.

Inteligentna i ciekawej urody koleżanka z Politechniki, Zosia, zwróciła moją uwagę (i nie tylko moją – prof. Kemula fotografował ją i filmował, gdy tylko nadarzyła się okazja!). Po powrocie do Warszawy szukałem okazji, by ją spotykać. Była bardzo muzykalna, chodziła na koncerty do Filharmonii. Ja, niemuzyczny jak pień, stałem się bywalcem koncertów. Gdy została bibliotekarką – stałem się pilnym czytelnikiem tej, bardzo zresztą dobrej, biblioteki. Wreszcie udało mi się kiedyś dostać zaproszenie na wizytę u niej w domu. Byłem bardzo przejęty – ale jej matka wymroziła mnie swoją postawą. Po tej czarnej polewce dałem za wygraną, ale odtąd lubiłem zająrzeć czasem na Politechnikę, gdzie pracowała, by móc ją choć przelotnie zobaczyć.

Przez te dwa letnie miesiące wakacyjne 1946 r. mieliśmy pierwszy kontakt z pracownikami chemicznymi. Różne grupy pracowały na różnych kopenhaskich uczelniach. Ja i większość kolegów z mojego roku odrabialiśmy pracownię analizy jakościowej w laboratoriach *Dansk Farmaceutiska Højskøla*, pod kierowni-

Gdańsk 2002 Wydawn. Marpress, stron 270+10]: „Nadeszło zaproszenie z Danii. Dwustu studentom z Uniwersytetu Łódzkiego przyznano w czasie wakacji letnich stypendia na zajęcia laboratoryjne z chemii. Dotyczy to studentów chemii i medycyny....Dokładnie jest to 72 studentów medycyny” [str.190–191]. W rzeczywistości łódzkich studentów medycyny było 23. Również i niektóre inne wspomnienia Einhorna o naszym pobycie w Danii są bardzo nieścisłe.

ctwem łódzkiego profesora Eugeniusza Michalskiego (wysoki kresowiak, zapiewający pięknym wschodnim akcentem) i naszej dr Hanny Jędrzejewskiej⁸³. Dano nam szansę intensywnej nauki. Dzięki solidnej, codziennej wielogodzinnej pracy większość z nas zdołała w tym czasie zaliczyć analizę kationów, a więc normalnie półroczny materiał ćwiczeń laboratoryjnych. Po powrocie do Warszawy musieliśmy jeszcze parę miesięcy poczekać, by móc dokończyć rozpoczętą tu pracownię analizy jakościowej.

Opiekowali się nami bardzo Polacy zamieszkali w Danii. Obok prof. Rozentala były to przede wszystkim panie Romana i Krystyna Heltberg, matka i córka, obie lektorki języka polskiego na kopenhaskim uniwersytecie. W niektórych imprezach towarzyszył nam polski ambasador Kazimierz Kelles-Kraus, znany i zasłużony socjalista.

Spotkaliśmy się tam z innym, dotąd nieznanym nam światem. Organizowano nam wycieczki autokarami do miejsc o znaczeniu historycznym, kulturalnym, na wieś. Wieś duńska wstrząsająco kontrastowała z wsią polską: czystość na każdym kroku, asfaltowane dojazdy i podwórka, u każdego rolnika w domu telefon i biblioteczka! Nadto organizacja wsi: spółdzielczy system zaopatrzenia i zbytu, poczucie, że rolnik nie jest gorszy ani pokrzywdzony w porównaniu z mieszkańcem miasta.

Przychodzili do nas Duńczycy, opowiadali o sobie, m.in. Aage Bohr – syn Nielsa Bohra, również fizyk i późniejszy laureat Nobla. Uczyliśmy się (bez widocznych rezultatów) trudnego języka duńskiego. Organizowaliśmy też dla nich wieczory artystyczne. Dzięki temu, że znałem trochę niemiecki i trochę angielski – dość łatwo się rozumieliśmy. Raz czy dwa razy byłem zaproszony do domu studenta medycyny Johannes Mosbecha⁸⁴, którego ojciec był profesorem teologii. W ogromnym mieszkaniu, pełnym starych ksiąg, dowiadywałem się wiele o Danii, a oni wypytywali mnie o Polskę i o przeżycia wojenne.

Tak bliski sąsiad, Dania, był nam prawie zupełnie nieznaną, a historia i obyczaje – bardzo od naszych różne. Cmentarzyk członków duńskiego ruchu oporu, poległych w walce z Niemcami, miał kilkanaście grobów – w tym kilka nazwisk polskich. Zdumiewała popularność komunistów duńskich, wręcz przeciwna do naszych oczekiwań. Opowiadano mi, że w miarę zwycięstw sowieckich popularność komunistów tak rosła, że powszechne było przekonanie, że po wojnie obejmą oni w Danii rządy. Przełom nastąpił niespodziewanie pod koniec wojny.

⁸³ Dr Hanna Jabłczyńska-Jędrzejewska była córką przedwojennego kierownika Katedry, prof. Kazimierza Jabłczyńskiego. Bardzo dobrze prowadziła – i tu, i potem w Warszawie – pracownię studencką, ale naraziła się poważnie prof. Kemuli mówiąc mu czasem w oczy rzeczy, których nie chciał usłyszeć. Odszedłszy z UW zajęła się chemią konserwacji zabytków, m.in. w Muzeum Narodowym kierowała konserwacją fresków z Faras.

⁸⁴ Stał się później jednym z najbardziej znanych kopenhaskich lekarzy.

Rosjanie zajęli Bornholm. Nie odróżniając Danii od Niemiec – zgwałcili wszystkie napotkane Dunki. Fala przerażonych uchodźców przyplęnęła do Danii. Szanse komunizmu zostały w tym momencie przekreślone. Procent komunistów jednak wciąż jeszcze był bez porównania większy niż w ówczesnej Polsce.

Spotkaliśmy się także po raz pierwszy ze sobą – studenci różnych polskich uczelni. Założyliśmy tam *Komitet Studenckich Kół Chemicznych w Polsce*. Przewodniczącym Komitetu został Jerzy Kroh z Politechniki Łódzkiej, ja – sekretarzem. Po naszym powrocie Komitet objął swą działalnością wszystkie polskie uczelnie⁸⁵ i działał aktywnie przez kilka lat – m.in. tworząc i wydając istniejący po dziś dzień (choć wydawcy się zmieniali) miesięcznik „Wiadomości Chemiczne”⁸⁶, organizując praktyki krajowe i zagraniczne, oraz życie umysłowe studentów chemii – łącznie ze zjazdem naukowym w Gliwicach w 1949 r. – póki z nakazu władz politycznych nas nie rozwiązano, odgórnie tworząc jedyną, podporządkowaną partii *Federację Organizacji Studenckich*.

Zwiedzaliśmy słynne w świecie laboratoria Instytutu Nielsa Bohra. Pierwszy raz zobaczyłem tam cyklotron. Zapomniałem o ostrzeżeniach – i do komory nieczynnego oczywiście cyklotronu wsunąłem rękę z zegarkiem na przegubie. Ostrzeżenia okazały się słuszne; zegarek musiałem wyrzucić.

Dwumiesięczny pobyt w Danii, wypełniony intensywną nauką, pozwolił nam nadto poznać nieco historię i życie sąsiedniego, a tak mało u nas znanego kraju, poznać niektórych tamtejszych ludzi nauki. Mnie udało się nawet, dzięki pewnej kwocie nadesłanej mi zza granicy przez przyjaciela Rodziców, kupić kilka ważnych angielskich i niemieckich książek z najnowszych dziedzin chemii – które mi bardzo pomogły w czasie studiów..

W trakcie pobytu w Danii miałem dobry dostęp do londyńskich wydawnictw emigracyjnych. Działała wśród nas Angielka, Phyllis Farley, wypożyczająca nam te wydawnictwa lub dająca je w prezencie. Agitowała nas za pozostaniem na emigracji⁸⁷. Pamiętam głębokie wrażenie przeczytanego u niej napisanego zaraz po Powstaniu Warszawskim wiersza Słonimskiego *Do braci Rosjan*, który

⁸⁵ Już 27.X.1946 r. odbył się w Łodzi, na Uniwersytecie, zjazd plenarny Komitetu. Reprezentowane były Koła Chemików wszystkich ówczesnych uczelni: Uniwersytetów: Jagiellońskiego, Marii Curie-Słodowskiej w Lublinie, Łódzkiego, Mikołaja Kopernika w Toruniu, Poznańskiego, Warszawskiego, Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu, oraz Politechnik: Gdańskiej, Łódzkiej, Śląskiej i Warszawskiej. Ustalono wtedy szeroki plan działań i rozdzielono funkcje między poszczególne Koła. Sekretariat – U.W., sekcja finansowo-gospodarcza – UP, wydawnicza – UŁ, praktyk – PŚl, literatury naukowej – PŁ, redakcyjna – UŁ, zdrowia – P i UW.

⁸⁶ Redaktorem czasopisma został Henryk Buchowski z Uniwersytetu Łódzkiego.

⁸⁷ W jakiś czas potem, już po powrocie, dowiedziałem się, że zamieszkała ona w Warszawie i jest tu reprezentantką ... komunistycznego międzynarodowego zrzeszenia studentów (z siedzibą w Pradze)! Najprawdopodobniej uprzednio działała na dwie strony.

już nie pojawił się oczywiście w krajowych wydaniach poety. Otrzymany od niej tomik Hemara *Marchewka* stanowi po dziś dzień wspólną naszą własność – Teresy i moją.

Nie wiem, jak to było możliwe, ale nie dotarły do mnie wieści o pogromie kieleckim; gazet duńskich nie rozumiałem, rodzice nic mi o tym nie napisali – zapewne nie chcąc mnie odwozić od powrotu. Korespondowałem natomiast z Anitą (która wraz z matką wybrała wolność i pozostała już na emigracji w USA). Anita zachęcała mnie do pozostania na emigracji, zapowiadała, że mi wszystko ułatwi, kazała czekać na następny list. Wahałem się, co robić.

W dniu naszego odjazdu powrotnego do Gdyni 22 kolegów zabrało swoje walizki i odmówiło powrotu⁸⁸. Byli wśród nich Maciek Ludwiński (który zakochał się w poznanej tu Duncie) i Janusz Jaruzelski (może krewny generała?), który potem został dość znanym organikiem w USA, gdański asystent Wacław Szybalski (potem znakomity amerykański biochemik, genetyk, a od 1994 r. – członek zagraniczny PAN) i kilku łódzkich medyków, głównie Żydów, a także parę osób, które miały rodzinne oparcie w Anglii, np. Marysia Borczyk z naszego roku, używająca jako imienia praktycznie tylko swego pseudonimu z AK, „Wiktoria”.

List od Anity, w którym pisała, że wszystko jest załatwione: mam się zgłosić do konsula po wizę, a w Ameryce mam przyrzeczone stypendium, które umożliwi mi studia – nadszedł o jeden dzień za późno! Otrzymałem go dopiero w Warszawie, dosłany przez pocztę w ślad za mną. Gdybym ten list otrzymał choćby na chwilę przed powrotem – wybrałbym wówczas Anitę i Amerykę; poczta jednak pokierowała moimi losami inaczej. Wróciłem więc do Polski – i nigdy tego później nie żałowałem.

MATEMATYKA

Mieliśmy do wyboru (jeszcze według przedwojennego programu) albo filozofię – czy też historię filozofii – albo logikę matematyczną. Wybrałem logikę. Do filozofii trochę się już w poprzednim roku zraziłem na seminarium prof. Kotarbińskiego, gdy okazało się, że jego pojęcia nie pasują zupełnie do współczesnej fizyki (o której zresztą bardzo mało wiedział, co uznałem za grzech niewybaczalny).

Logikę matematyczną wykladał młody prof. Andrzej Mostowski^{89,90}, którego zaangażowanie w tę naukę było wprost zaraźliwe. Byłem zresztą jedynym

⁸⁸ 7 osób z Uniwersytetu Warszawskiego, 7 z Uniwersytetu Łódzkiego, 8 z Politechniki Gdańskiej – wg. sprawozdania prof. Kemuli dla Ministerstwa Oświaty z września 1946 r.

⁸⁹ 1892–1953. Wydał później podręcznik: A. M o s t o w s k i : *Logika Matematyczna*. Warszawa-Wrocław 1948 Monografie Matematyczne, stron 388.

⁹⁰ Blisko pół wieku później, przy organizowaniu Szkoły Nauk Ścisłych, miałem przyjemność współpracować z jego synem, fizykiem-teoretykiem i znakomitym popularyzato-

studentem chemii, który zdecydował się wybrać ten przedmiot; co gorsza, byłem jednym z zaledwie trojga słuchaczy znakomitego prof. Mostowskiego... Oprócz mnie był to fizyk Wojciech Królikowski i pewna studentka starszych lat matematyki. Ale też pożytek z takich kameralnych wykładów był ogromny – i chyba właśnie z wykładów Mostowskiego pamiętam najczęściej spośród wszystkich, wysłuchanych w czasie moich studiów. Najciekawsze było przejście od rachunku zdań, tej części logiki, która stanowi system zupełny, do metamatematyki i wreszcie do twierdzenia Gödla, którym prof. Mostowski był zafascynowany – i my też.

Gorzej było z wykładami matematyki jako takiej. Matematyka *dla matematyków* była znakomita, lecz trudna. Pamiętam jeden z pierwszych wysłuchanych przeze mnie wykładów, prof. Wacława Sierpińskiego. Prof. Sierpiński – niski, tęgi – zaczynał wykład jeszcze na korytarzu, zanim w połowie jakiegoś zdania wszedł, czy też raczej z impetem wtoczył się na salę. Nie zwracając uwagi na słuchaczy, podszedł od razu do tablicy, w prawej ręce miał kredę, w lewej – gąbkę. Mówił i pisał szybko, ale w ślad za dopiero co napisanymi wzorami już śpieszyła lewa ręka i zmazывała to gąbką. Było to niezwykle, ale trudno było się z tego wiele nauczyć.

Wykłady matematyki *dla chemików* prowadził ówczesny doc. Jerzy Pniewski, fizyk, znakomity później profesor. Będąc *wzrokowcem*, a nie słuchowcem, zawsze wolałem uczyć się – zwłaszcza przedmiotów ścisłych – z podręczników. Kiedyś koledzy zwrócili się do mnie, bym poprosił prof. Pniewskiego o przeprowadzenie przed egzaminem skondensowanego repetytorium. Gotowi byli złożyć się na ten cel. Prof. Pniewski, chudy, przygarbiony, mieszkał wówczas na II piętrze budynku Fizyki przy Hożej 69. Spotkałem go akurat dźwigającego wiadro węgla do ogrzewania swego pokoiku. „Repetytorium? Mogę przeprowadzić... Ale wynagrodzenie? Mam przecież tutaj pokój, opał, wszystko czego mi potrzeba. Po co mi pieniądze?” Pokochałem go od tej chwili jako przykład, jakim powinien być uczony.

Egzamin na razie odłożyłem, a tymczasem w następnym roku matematykę wykladał ktoś inny, prof. Nikliborc. Nie byłem na żadnym jego wykładzie. W końcu trzeba było jednak umówić się z nim na egzamin. Zapytałem kogoś, gdzie możnaby znaleźć prof. Nikliborca. „A o co idzie?” – Chcę się umówić na egzamin. – „A bo ja właśnie jestem Nikliborc – my się chyba jeszcze nie znamy?”. Było mi strasznie głupio, ale przeprosiłem go – no, i w końcu jakoś zdałem.

rem nauki, prof. Janem Mostowskim. Został on pierwszym rektorem naszej nowej, eksperymentalnej uczelni – Szkoły Nauk Ścisłych.

ASYSTENTURA I MOJE BARDZO TAJNE PRACE

W tych pierwszych latach powojennych był ogromny brak asystentów i adiunktów. Ich roczniki doznały najcięższych strat. Jednym z najpilniejszych zadań Uniwersytetu była odbudowa młodej kadry naukowej. Prowadząc wykłady i pracownie dla studentów I i II roku, egzaminując ich – prof. Kemula wcześniej od innych profesorów mógł wybierać sobie przyszłych asystentów i kandydatów do pracy naukowej w Katedrze Chemii Nieorganicznej UW. Ja się spotkałem z jego strony z taką propozycją będąc jeszcze studentem II roku studiów. Mnie wtedy wprawdzie inspirowały raczej nowoczesne wykłady chemii organicznej młodego docenta, Zdzisława Macierewicza, ale u niego nie było nadziei na wolny etat. Propozycja prof. Kemuli była zaszczytna dla mnie i kusząca. Od 1 czerwca 1947 r. zostałem *zastępcą asystenta* na ułamku etatu, pod firmą mojej koleżanki Mirki Piotrowskiej, z którą ten etat dzieliłem (ona miała pewne formalne uprawnienia, bo była *technikiem-chemikiem*).

Od jesieni miałem brać udział w zajęciach dydaktycznych, ale jeszcze przed wakacjami profesor powierzył mi pierwsze zadania naukowe. Razem z adiunktem, wówczas mgr. Wiktorem Chrostowskim – i pod jego opieką – mieliśmy zajmować się *supertajną* tematyką. Dowiedzieliśmy się, że prof. Kemuli powierzono prowadzenie badań w dziedzinie radiochemii. Ja otrzymałem dwa zadania literaturowe: prześledzić, co się da, na temat chemii wytworzonych podczas wojny pierwiastków transuranowych; oraz zebrać dane o otrzymywaniu metalicznego toru (Th), jedyne obok uranu rozszczepialnego naturalnego pierwiastka.

Pograżyłem się w fascynującej lekturze tego, co skąpo ogłaszano z wyników *Manhattan Project*, poczynając od słynnego *Raportu Smytha*⁹¹. Dowiadywałem się bardzo ciekawych rzeczy, które tegoż lata spisałem w formie referatu o chemii pierwiastków transuranowych⁹², uzupełniając to w ciągu następnych miesięcy⁹³ i przekazałem prof. Kemuli⁹⁴. W następnych miesiącach zebrałem, co mogłem, na temat metalicznego toru, który był, chyba jako mniej obiecujący od

⁹¹ H. D. W. S m y t h : *Atomic Energy for Military Purposes. The official report on the development of the atomic bomb under the auspices of the US Government*. Princeton Univ. Press, Sept.1945.

⁹² *Pierwiastki transuranowe 93–96* – 11 stron, wrzesień 1947.

⁹³ Referaty: *Chemiczne metody badania i rozdzielania produktów reakcji jądrowych* – 6 stron; *Chemia plutonu* – 5 stron, marzec 1948.

⁹⁴ Później, gdy amerykańskie odkrycia przestawały być u nas tajemnicą wojskową (!), prof. Kemula wygłosił oparty głównie na moich opracowaniach referat na zjeździe Polskiego Towarzystwa Fizycznego 7 maja 1948 r. [W. K e m u l a : *Pierwiastki transuranowe*. „Postępy Fizyki” 1949 1 s. 44–53]. Przykro mi było, że nie znalazło się tam dla mnie nawet słówko podziękowania.

uranu i plutonu, pozostawiony nieco na uboczu w *Manhattan Project*⁹⁵. Najciekawsze były dla mnie jednak prace o lotnych związkach uranu⁹⁶.

Po pewnym czasie supertajna tematyka *atomowa* znikła z Katedry. Jak się okazało, *odpowiednie władze* uznały Kemulę za zbyt niepewnego, by mu powierzać tak tajne badania (może nad *polską bombą atomową?*). Równocześnie badania takie podjęto w Krakowie pod kierownictwem prof. Ignacego Złotowskiego (*vide infra*), a gdy z kolei podejrzany stał się Złotowski – zaprzestano ich i tam, a w Warszawie i w Świerku utworzono jeszcze bardziej utajniony Instytut Badań Jądrowych (IBJ).

Tematyka bomby atomowej wróciła do nas około 1950 r., w pełni czasów stalinowskich, w formie paradoksalno-urzędniczej. Prof. Kemula pokazał mi wezwanie do stawienia się w Sztapie Generalnym. „Znów jakaś historia... Ja już mam dość zdenerwowań – niech pan idzie jako przedstawiciel Katedry i dowie się, czego oni od nas chcą.” O wyznaczonej godzinie poszedłem przez liczne biura przepustek i warty – aż do płk. Burasa. Ten spytał mnie podejrzliwie: „co to ma znaczyć?” i pokazał zawiadomienie z Urzędu Celnego (adresowane do Katedry, ale doręczone do Sztabu Generalnego!), że nadszedł dla nas z Anglii transport *atomic balls*. Roześmiałem się, były to bowiem modele atomowe Sturta-Briegleba do wykładowego demonstrowania struktur cząsteczek. Na szczęście płk. Bronisław Buras był fizykiem – później znanym profesorem⁹⁷ – i uznał, że nie zagrażamy pokojowi światowemu...

Nie pamiętam już, czym się zajmował w czasie naszej dość krótkotrwałej współpracy o tematyce *atomowej* mgr Chrostowski – niezwykle serdeczny gawędziarz, z pięknymi wąsami – ale pamiętam jak zaproponował mi współpracę w zupełnie innej dziedzinie. Pewnego razu sięgnął do kieszeni, wyciągnął coś z zawiązanej na supełek chusteczki do nosa. „Może pan mi to trochę oczyści?” – powiedział, wysypując na stół pełną garść... surowych diamentów różnej wielkości i odcieni. Byłem oszołomiony. Okazało się, że Chrostowski był specjalistą w dziedzinie kamieni szlachetnych i metali szlachetnych. Przez jego ręce przechodziły wielkie skarby. Innego dnia pokazał mi ciężką bryłę metalu, kilka kilogramów: „widzi pan, to jest surowa platyna. Gdyby pan mi pomógł wydzielić z niej iryd, może jeszcze któryś z zawartych w tym metali – moglibyśmy trochę na tym zarobić.” Czytałem więc różne piękne prace, głównie rosyjskie, o rozdzielaniu platynowców, zaczęłem planować procedurę rozdzielania tych pierwiastków. Do majątku jednak na tej drodze nie doszedłem, bo mgr Chrostowski porzucił Katedrę i działał jako rzeczoznawca sądowy w dziedzinie gemmologii i cennych kruszców.

⁹⁵ *Otrzymywanie metalicznego toru* – referat, 7 stron, jesień 1948 r.

⁹⁶ *Lotne związki uranu* – referat, 6 stron, zima 1948/49.

⁹⁷ 1915–1994. Badacz fizyki neutronów, po marcu 1968 r. emigrował do Danii.

ASYSTENTURA I STUDIA

Jesienią 1947 r. podobnymi do mnie ułamkowymi zastępcami asystentów zostali również moi najbliżsi koledzy: Basia Behr (Fot.30)⁹⁸, Sławek Siekierski⁹⁹ i Jurek Chodkowski (Fot.33)¹⁰⁰. We czwórkę pracowaliśmy w jednym pokoju asystenckim i prowadziliśmy ćwiczenia z analizy jakościowej w dwu wielkich salach laboratoryjnych. Słuchając rad dr Hanny Jędrzejewskiej, zapisywaliśmy każdą nalewaną próbkę, sprawdzaliśmy opisy, egzaminowaliśmy na kolokwium. Najbardziej kłopotliwe było to, że uczyliśmy i kontrolowaliśmy własnych dobrych kolegów, niektórych nawet z naszego roku. Trzeba jednak było być obiektywnym i sprawiedliwym. Wydaje mi się, że nie zawiedliśmy pod tym względem.

Kiedyś jednak pewna studentka, nie zdawszy kolokwium, rozpląkała się i oświadczyła mi, że widocznie *jestem antysemitą* – bo ona jest Żydówką...

Studenci miewali mnóstwo pytań. Nie na wszystkie umiałem odpowiedzieć; wtedy mówiłem: „tego nie wiem, zajrzę do książek” – i po chwili udzielałem odpowiedzi. Usłyszał to kiedyś starszy asystent – jeszcze przedwojennego chowu – mgr Zdrodowski. „Panie Zbyszku, tak nie można!” – pouczył mnie – „Jeśli pan czegoś nie wie, trzeba odpowiedzieć studentowi byle co, ale natychmiast – inaczej straci pan u nich cały autorytet!” Byłem akurat przeciwnego zdania. Na szczęście p. Zdrodowski w Katedrze długo miejsca nie zagrzał. Po pewnym czasie zostałem kierownikiem pracowni analizy ilościowej – wówczas śmiertelnie nudnej: ilościowe przenoszenie osadów do tygli, prażenie tygli i próbek do stałej wagi... Ciekawą pracą było (ale dopiero po magisterium) zorganizowanie i animowanie Koła Naukowego przy Katedrze, a potem zorganizowanie i prowadzenie

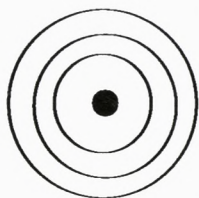
⁹⁸ Basia Ciborowska, później Behrowa, była moją najbliższą zawodowo koleżanką. Mieliśmy pod swą opieką tych samych studentów. Jej mąż, Stefan Behr (1919–1974) był pianistą i wybitnym kompozytorem. [Wspomnienie: Z. P e n h e r s k i : *Stefan Behr*. „Gazeta Stołeczna” 26.X.2004, s.10]. Z Basią pracowaliśmy po sąsiedzku w tym samym Instytucie i do końca jej krótkiego życia pozostaliśmy serdecznymi przyjaciółmi. [Por. Z. B o r k o w s k a , Z. R. G r a b o w s k i , J. T a r a s z e w s k a : *Doc. Dr Barbara Behr (1926–1984)*. „Wiadomości Chemiczne” 1985 **39** 257–262].

⁹⁹ Od połowy lat 50. radiochemik, profesor w Instytucie Badań Jądrowych. Chyba najlepszy w Polsce – choć jako odludek mało znany – chemik-nieorganik, odkrywca wtórnych efektów periodycznych w układzie okresowym pierwiastków; autor książek: S. S i e k i e r s k i : *Chemia pierwiastków*. Warszawa 1998, Szkoła Nauk Ścisłych, stron 147; S. S i e k i e r s k i and J. B u r g e s s : *Concise Chemistry of the Elements*. Chichester 2002 Horwood Publ., stron 198.

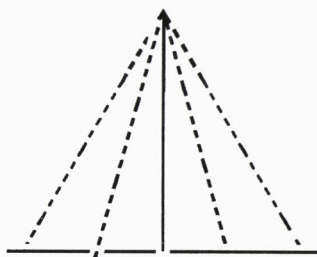
¹⁰⁰ Później profesor Akademii Medycznej w Warszawie; por. Z. R. G r a b o w s k i : *Prof. Jerzy Chodkowski – 8.VIII.1926–22.VIII.2002*. „Orbital” 2003, nr 1, 56–68; *Jerzy Chodkowski (1926–2002)*. *Wspomnienie*. „Wiadomości Chemiczne” 2003 **58** s. 1–9.

– wspólnie ze Sławkiem Siekierskim – specjalistycznej pracowni chemii nieorganicznej II.

Równocześnie kontynuowaliśmy studia. Wśród zajęć, które musiałem zaliczyć, były ćwiczenia z chemii fizycznej. Prowadził je początkowo inż. Kazimierz Kwiatkowski, przedwojenny asystent Politechniki – człowiek opowiadający zresztą o sobie różne bajeczne historie, o swej ukochanej – kaukazkiej księżniczce, itp. Wydał w roku 1946 czy 1947 skrypt, w którym znalazłem rysunek mniej więcej taki:



Rys. 1. elektron – widok z góry



elektron – widok z boku

Było z tego wiele śmiechu¹⁰¹. Inż. Kwiatkowski nie obrażał się, gdy się z niego śmiano. Jest to rzadko spotykane, bardzo go za to ceniłem.

Gdy odrabiałem u niego ćwiczenia elektrochemiczne, trzeba było najpierw zdać odpowiednie kolokwium. Pyta mnie: „no, o panu już słyszałem, że pan wszystko umie. Właściwie chyba nie muszę pana pytać? Ale jednak muszę zadać panu jakieś pytanie... A więc ... dlaczego mierząc siłę elektromotoryczną ogniwa stosujemy pomiar kompensacyjny, zamiast włączyć po prostu woltomierz?” Ja naprawdę nie miałem pojęcia; przyrządy i pomiary elektryczne (które potem stały się moim chlebem codziennym) były wtedy dla mnie zupełną abrakadabram. Odpowiedziałem więc na chybił trafił: bo woltomierz mógłby się przepalić... „Ha, ha! Raczy pan sobie tak ładnie żarty stroić! No świetnie, wiem przecież, że pan sobie ze mnie żartuje, a ma pan to wszystko opanowane...” I wpisał mi stopień ... bardzo dobry!

CHEMIA FIZYCZNA

Chemię fizyczną wykładał nam prof. Wojciech Świątosławski¹⁰², który powrócił ze Stanów Zjednoczonych, gdzie przez czas wojny pracował w Instytucie Mellona, badacz o wielkim autorytecie, uznawany powszechnie za wiel-

¹⁰¹ Miał to chyba być schemat obrazu dyfrakcyjnego i toru wiązki elektronów w mikroskopie elektronowym (był to wówczas najświeższy wynalazek)...

¹⁰² 1881–1968.

kiego uczonego. Rzucał się jednak w oczy jego brak odwagi cywilnej. Jako przedwojenny minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego (osławiony swą bezradnością wobec brutalnych wybryków antysemitów i akceptacją gett ławkowych i *numerus clausus* na uczelniach) bał się władz komunistycznych i starał się nadrobić swą przeszłość gorliwością¹⁰³. W swych wykładach nawiązywał do klasyków marksizmu, podając reguły chemii fizycznej jako przykłady *materializmu dialektycznego*. Nic dziwnego, że podczas wykładów kursowały wierszyki i karykatury, wywoływały one czasem cichy śmiech. Kiedyś profesor zdenerwował się tym i krzyknął: „Jak się komuś moje wykłady wydają śmieszne – niech nie przychodzi!” Ekshortację tę wziąłem do siebie i zrezygnowałem z jego wykładów. Były one zresztą starocią w porównaniu z współczesnymi podręcznikami rosyjskimi czy anglosaskimi, do których mieliśmy dostęp. Chemia fizyczna w wykonaniu Świętosławskiego nie odpowiadała, w moim przekonaniu, temu, co się działo w nauce światowej. Pozwalała ona za to systematyzować różne procesy o dużym znaczeniu technologicznym – krystalizację lub destylację złożonych mieszanin, np. produktów uzyskiwanych ze smoły powęglowej.

Wielu moich kolegów chcących szybko uzyskać dyplom – szło do niego na pracę magisterską. Jeden z nich, Mikołaj Caban, po wyjątkowo ciężkich przeżyciach wojennych, zdawał egzaminy z trudem, ale był ogromnie pracowity. Gdy wykonywał pracę magisterską, ja już byłem magistrem i zasiadałem w Radzie Wydziału jako delegat asystentów. Pamiętam, jak prof. Świętosławski (który mieszkał wówczas w gmachu Chemii) opowiadał na Radzie Wydziału: „Takiego studenta jeszcze nie miałem. Późno chodzę spać, koło północy. Przed snem zawsze zaglądam do laboratorium. Widzę światło – a to p. Caban jeszcze pracuje. Omówiłem z nim jego wyniki i ustaliliśmy, jakie dalsze pomiary ma podjąć. Rano budzę się wcześniej, wyprowadzam psa. O piątej nad ranem zaglądam do pracowni – a tu p. Caban pracuje i podaje mi już wyniki zaplanowanych o północy pomiarów!” Pracę magisterską wykonywano gdzie indziej przez rok. Prof. Świętosławski zaliczył ją Mikołajowi po 6 tygodniach.

Prof. Świętosławski powiedział mi kiedyś wstrząśnięty: „pański profesor, Kemula, to żaden chemik! Wie pan, czego się dowiedziałem? Że on chodzi do teatru! Na takie rzeczy żaden dobry chemik nie ma czasu...”

¹⁰³ Ulegał też łatwiej od innych profesorów naciskom „z góry”. Do jego katedry na życzenie ministerstwa wprowadzono partyjnego prof. Stefana Minca. Potem wywarło na Świętosławskiego nacisk, by wysunął kandydaturę tegoż profesora do PAN. Nie wążąc się odmówić, wysunął tę kandydaturę. Doszło do tajnego głosowania w Wydziale III PAN. Wszyscy oddali głosy – i okazało się, że nie było ani jednego głosu „za” – nawet głosu wnioskodawcy...(niemniej przeto *Wielka Encyklopedia Powszechna PWN* Warszawa 1966 t.7, nie wątpiąc w jego mający nastąpić wybór, podała już: „członek PAN” – którym nigdy nie został.)

Przy katedrze Chemii Fizycznej Świętosławskiego zainstalowany został przez ministerstwo prof. Stefan Minc¹⁰⁴. Dziwna to była postać, symptomatyczna dla tych czasów i anegdotyczna – rodzaj kariery Nikodema Dyzmy. Pojawił się na Chemii jako członek gdańskiej partyjnej ekipy nowego rektora, matematyka Stanisława Turskiego. Nazwisko, podobieństwo do Hilarego Minca, ówczesnego dyktatora polskiej gospodarki – otwierały przed nim wszystkie drzwi. Równocześnie opowiadano, że w Gdańsku na uczelnię przychodził w wojskowym mundurze i że tak naprawdę, to nie jest on ani doktorem, ani profesorem.

Młodsze roczniki musiały już słuchać jego wykładów elektrochemii. Studenci zorientowali się bardzo szybko, że jest to treść fatalnego zresztą rosyjskiego podręcznika Gorbaczowa i Izgaryszewa. Nie znając polskiej nomenklatury, Minc wykładał o *podwójnym słoju* na granicy faz (rosyjski *двойной слой*; to po polsku: *warstwa podwójna*) i, co gorsza, powtarzał wszystkie błędy niechlujnie wydanej książki, nie dostrzegając ich (podczas gdy studenci te błędy zauważali!). Zasłużył się tym, że do kierowanego przez siebie Zakładu ściągnął znacznie od siebie zdolniejszych współpracowników, przede wszystkim znakomitego później uczonego – Włodzimierza Kołosa¹⁰⁵.

Nadszedł jednak rok 1956, potępienie Stalina, śmierć Bieruta, październik. Hilary Minc poszedł w odставку; organizacja partyjna chciała z tego skorzystać i odegrać się na Stefanie Mincu. Ale on teraz mówił: „Hilary Minc? Słyszałem o nim – ale to żadna rodzina, nie znam go, to tylko przypadkowa zbieżność nazwisk!”. I Stefan Minc nie tylko pozostał na Uniwersytecie, ale przez pewien czas był nawet vice-ministrem szkolnictwa wyższego. W tych latach mieliśmy zupełnie wyjątkowego studenta, Andrzeja Sadleja¹⁰⁶. Jego niebywałe zdolności umożliwiły mu zaliczanie wszystkich egzaminów i ćwiczeń w znacznie krótszym czasie niż innym. Mając dużo czasu, włączał się w prace naukowe. Zaproponowałem Radzie Wydziału, by mu umożliwić program indywidualny, by mógł ukończyć studia rok wcześniej niż inni. Przeciwno temu wystąpił prof. Stefan Minc: „Uniwersytet ma być dostosowany do przeciętnego studenta. Geniuszów nam nie potrzeba!” – i załęczniona Rada Wydziału go posłuchała.

¹⁰⁴ 1914 – 2003.

¹⁰⁵ Włodzimierz Kołos (1928–1996) był niezwykle zdolnym i twórczym chemikiem kwantowym, wsławił się najdokładniejszymi obliczeniami cząsteczki H₂, stworzył na UW świetną warszawską szkołę chemii kwantowej, był – bezkonkurencyjnie – najczęściej cytowanym polskim chemikiem. W trudnych latach stanu wojennego był Sekretarzem Wydziału III PAN – i pełnił tu rolę tarczy, chroniącej wielu ludzi przed szykanami i represjami.

¹⁰⁶ Andrzej Sadlej był potem profesorem w Instytucie Chemii Organicznej PAN, emigrantem stanu wojennego na uniwersytecie w Lund – przez blisko 20 lat. Powróciwszy do Polski, został profesorem chemii teoretycznej na Uniwersytecie M. Kopernika w Toruniu.

Z biegiem czasu nadszedł jednak i marzec roku 1968. W toku kampanii antysemickiej organizacja partyjna dobrała się i do Minca. Zwykle wyrzucano wówczas ludzi pod jednym z dwu zarzutów: albo jako *syjonistów*, albo też jako *przyniesionych na sowieckich bagnietach*. Mincowi wypomniano podobno te *sowieckie bagnety*, a on wtedy odparł to w wielkim stylu: „sowieckie bagnety? Ja walczyłem w armii Andersa!”. I pozostał na Uniwersytecie¹⁰⁷.

W 1980 r., gdy powstawała „Solidarność”, Stefan Minc stał się jej gorliwym propagatorem. Ale gdy sytuacja stawała się coraz bardziej napięta, na 2 tygodnie przed ogłoszeniem „stanu wojennego” wypisał się z „Solidarności”! I na Uniwersytecie pozostał spokojnie aż do emerytury.

CHEMIA ORGANICZNA

Interesowała mnie głównie chemia organiczna. Wykłady prowadził prof. Wiktor Lampe¹⁰⁸, wówczas mający już ponad 70 lat, nie nadążający za jej postępem, ale interesujący się historią chemii. Wykładał cicho, co roku to samo. Mój kolega Jurek Chodkowski miał ojca, który studiował chemię na UW ćwierć wieku przed swym synem. Obaj pedantycznie prowadzili notatki. Gdy kiedyś porównali notatki ojca i syna z wykładów Lampego – okazało się, że było to *słowo w słowo* to samo!

Ulubioną dziedziną prof. Lampego była chemia barwników, którą studiował na przełomie wieków u Stanisława Kostaneckiego w Bernie Szwajcarskim, i której przedwojenny skrypt¹⁰⁹ stanowił podstawę mego przygotowania do egzaminu. A obawiałem się tego egzaminu z chemii organicznej, bo nie pamiętałem setek zwyczajowych nazw związków i reakcji oraz ich powiązań ze złożonymi wzorami strukturalnymi.

Obraną przeze mnie strategię podejścia do egzaminu oparłem na tym, że habilitacja Lampego w 1907 r. dotyczyła żółtego barwnika, kurkuminy. Przejrzałem parę starych podręczników i na początku egzaminu poprosiłem o wyjaśnienie: „pisze Pan Profesor w swoim skrypcie, że kurkumina ciągnie bezpośrednio na bawełnę, a tymczasem u Berzeliusa (*Lehrbuch der Chemie*, tom III, część II, Drezno 1828)¹¹⁰ na

¹⁰⁷ „*Na sowieckich bagnietach*” – tak w okresie rozgrywek wewnątrzpartyjnych krajowi „partyzanci” Moczara określali komunistów, którzy wojnę przeżyli w ZSRR. Stefan Minc – inaczej, niż to do mnie doszło – nie wspomina nic o armii Andersa, tylko o dywizji im. Tadeusza Kościuszki [Z. W i e l o g ó r s k i: *Rozmowy z profesorem zwyczajnym doktorem Stefanem Mincem*. w: Jubileusz 40-lecia Wydziału Chemii UW (1955-1995). Warszawa 1995, s. 47-55]

¹⁰⁸ 1875–1962.

¹⁰⁹ Według wykładów W. L a m p e g o opracowała M. J. T r e n k n e r ó w n a : *Chemja barwników oraz chemja niektórych związków występujących w roślinach*. Warszawa 1933 Koło Chemików i Koło Przyrodników Studentów UW, stron IX + 328.

¹¹⁰ Była to jedna z moich ulubionych lektur, nabyta antykwarycznie za grosze. Zawsze podziwiałem tego wielkiego chemika. Nasz kajak, którym przez wiele lat wiosłowaliśmy z Anką po rzekach i jeziorach, miał na dziobie piękną nazwę: „J.J.Berzelius”.

str. 671 znalazłem stwierdzenie, że kurkumina nie ciągnie na bawełnę ani bezpośrednio, ani na zaprawie... Kto ma rację?” Prof. Lampe bardzo się tym przejął: „nic o tym nie wiedziałem... zaraz sprawdzimy... Badaniem barwienia tkanin zajmował się osobiście Kostanecki...” Następnie prof. Lampe wyciągnął z szafy bibliotecznej kilka grubych tomów dużego formatu, w twardej oprawie. Były to zeszyty laboratoryjne jego dawnego promotora, prof. Kostaneckiego, jeszcze z XIX wieku, z wklejonymi próbkami materiałów na różne sposoby barwionych setkami różnych barwników. „Widzi pan – oddziedziczyłem te cenne notatki po Kostaneckim. Poszukajmy!” Szukaliśmy wspólnie, podziwiając coraz to piękniejsze próbki, każda ze szczegółowym opisem doświadczeń, starannym, równym pismem Kostaneckiego. Po dobrej godzinie dotarliśmy do kurkuminy i znaleźliśmy próbki bawełny zabarwionej bezpośrednio, a zupełnie niedwuznacznie... Wówczas prof. Lampe powiedział mi: „no cóż, bardzo dobrze przygotował się pan do egzaminu.” I nie zadając już żadnego pytania wpisał mi do indeksu piątkę.

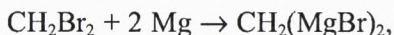
Wiele lat później usiłowałem dotrzeć do pozostałych po śmierci prof. Lampego notatek Kostaneckiego, by je przyczepić do Muzeum Marii Curie-Skłodowskiej, którym się wówczas opiekowałem, a które chciałem z czasem rozbudować w muzeum Chemii w Polsce. Niestety, nikt już nie wiedział, co się z nimi stało.

Zanim jednak doszło do tego egzaminu, trzeba było zaliczyć pracownię. Pracownia chemii organicznej to była wyłącznie *preparatyka*, synteza. W indeksach w rubryce „liczba godzin” mieliśmy wpisywać: *codziennie, całodziennie*. Pracownia była otwarta cały dzień i należało pracować aż do skutku. Trzeba było wykonać przepisaną liczbę syntez, zidentyfikować produkt (mierząc temperaturę topnienia lub wrzenia – innych metod wówczas nie było) i obliczyć wydajność. Niektóre syntezy wykonywaliśmy po dwóch. Kiedyś mieliśmy z Jurkiem Chodkowskim zsyntezować kwas masłowy – związek o niezwykle paskudnym zapachu zjełczałego masła. Za pierwszym razem nic nam nie wyszło. Za drugim pojawiła się u wylotu chłodnicy jakaś kropelka. Zawołaliśmy asystenta, tłumacząc mu: „wydajność może niewielka, ale jaki zapach!”. Nic nie pomogło, trzeba było po raz trzeci prowadzić syntezę. Załamaliśmy się – i popełniliśmy nieuczciwość! – jedyną chyba moją nieuczciwość w stosunku do studiów, a w każdym razie jedyną przeze mnie zapamiętaną. Poszliśmy do istniejącej jeszcze z przed wojny firmy chemicznej „May i Malinowski”¹¹¹. Tam kupiliśmy słoiczek kwasu masłowego. Na pracowni pozorowaliśmy syntezę, po czym włączyliśmy troszkę – nie za dużo! – do naszego odbieralnika, i wtedy ćwiczenie zostało zaliczone.

Jako najtrudniejszą, końcową syntezę („klauzulę”) doc. Macierewicz wyznaczył mi dwubenzozoilo-metan. Chciałem spróbować syntezy tego symetrycznego

¹¹¹ Pan May był ojcem naszej nieco starszej koleżanki Zosi Mayówny, a jego wspólnik Stanisław Malinowski – to późniejszy profesor technologii na Politechnice Warszawskiej.

związku jakoś niebanalnie i postanowiłem zrobić to metodą Grignarda – jeżeli tylko uda się zrealizować syntezę mało znanego związku *dwu-grignardowskiego*:



to powinna potem zajść reakcja z dwiema cząsteczkami chlorku benzoilu, wytwarzając od razu pożądany produkt:



Ale czy zajdzie? Poszukałem w literaturze i znalazłem: z lat 20. prace Guya Emschwillera o związkach *dwu-grignardowskich*. Syntezowałem $\text{CH}_2(\text{MgBr})_2$ i znalazłem, obok opisanych przez Emschwillera, jakieś inne reakcje, powstawanie nierozpuszczalnych związków wielkocząsteczkowych.

Napisałem więc do Paryża, do prof. Emschwillera, jak najlepszą francuzczyzną. Otrzymałem wkrótce odpowiedź, potwierdzającą, że i on też obserwował jakąś tego typu reakcję, nie opisał jej, ale jego notatki zostały zniszczone podczas niemieckiej okupacji. Byłem bardzo dumny z jego odpowiedzi – znany uczyony nie zlekceważył pytań studenta IV roku.

Z wielkim zainteresowaniem chodziłem na wykłady młodego doc. Zdzisława Macierewicza. Ogromnie go lubiłem i podziwiałem: świetny wykładowca, mądry, entuzjasta, jako jedyny z moich ówczesnych wykładowców był *au courant* nowych teorii, uczył nas elektronowych teorii reakcji, *mezomerii*¹¹². Teorie te zostały zresztą wkrótce potępione w ZSRR jako filozoficznie błędne, co było jednym z ciosów, jakie ideologia zadawała własnej sowieckiej nauce; ale to już inna historia. Bardzo chciałem pracować u Macierewicza, ale nic z tego wtedy nie wyszło. Kiedyś w 1949 r. został ostrzeżony, że UB jest na jego tropie w związku z rzekomą siatką szpiegowską francuskiego konsula w Szczecinie, bodajże André Robineau. Doc. Macierewicz w swoim gabinecie na Pasteura wypił szklanekę roztworu cyjanku potasu. Gdy po niego przyszedli – już nie żył. Dotychczas nie mogę o tym spokojnie myśleć. A zaaresztowana wtedy jego asystentka, dr Cecylia Wekerówna, młoda, śliczna dziewczyna – wyszła z więzienia dopiero w czasie *odwilży* 1956 roku, jako siwa staruszka...

Wdowa po doc. Macierewiczu została z trójgiem dzieci, w tym starsza Basia – później dr chemii organicznej, pracująca w miejscu pracy ojca – i młodszy Wojtek i Antek. Wielu z nas opodatkowało się na ich rzecz i przez szereg lat wpłacaliśmy coś co miesiąc ich matce.

W roku akad. 1980/81 byłem delegatem pierwszej (jak dziś mówimy) „Solidarności” do komisji Prezydium PAN (*komisja Zofii Kielan-Jaworowskiej*), która miała naprawiać krzywdy z lat ubiegłych. Natknąłem się na sprawę Antoniego Macierewicza, znanego działacza KOR-u, którego wyrzucono z doktorskiego

¹¹² Już po jego śmierci ukazała się oparta na jego wykładach książeczka: Z. Macierewicz: *Reakcje chemiczne związków organicznych w świetle elektronowej teorii wiązań*. Warszawa 1951 PWN stron 127.

studium historii. Rozmawiałem z jego promotorem, przygotowałem możliwość jego przywrócenia na studium, a później spotkałem się z Macierewiczem. W rozmowie wspominałem coś o jego ojcu – i ku mojemu przerażeniu – okazało się, że on w ogóle nie wiedział o samobójstwie ojca. Był przekonany, że zabito go na UB... Może w dobrej katolickiej rodzinie na użytek dzieci obrano taką wersję?

IDEOLOGIA

Gdy rozpoczynałem studia na Uniwersytecie Warszawskim, w roku 1945, ideologia komunistyczna była skrajnie niepopularna. *Aktywiści* partyjni byli nieliczni, a czując się bardzo niepewnie – nieraz nosili przy sobie broń. Niektórzy z moich kolegów – np. Zbyszek Przybyłowicz, z kręgów żoliborskich spółdzielców, kuzyn Jana Strzeleckiego – działali w socjalistycznym ZNMS. Najpopularniejsza jednak była prozachodnia *orientacja londyńska*. Sympatia ta po powrocie do Polski Stanisława Mikołajczyka przeniosła się na niego i na jego PSL. Pamiętam jak kiedyś – w roku 1946 lub 1947 – brałem udział w manifestacji przed siedzibą PSL w Al. Jerozolimskich i skandowaliśmy: „Mi-ko-łaj-czyk! Mi-ko-łaj-czyk!” – a on stał na balkonie i machał nam ręką.

W 1947 roku na *wczasach studenckich* w Czerniawie-Zdroju kolega humanista Andrzej Micewski przekonywał mnie, że żyjemy teraz tylko walką ideologiczną, a ja nie podzielałem jego zdania, miałem swój liberalno-sceptyczny światopogląd, a żyłem przede wszystkim nauką. Micewski stał się potem jednym z czołowych działaczy i publicystów pseudokatolickiego „PAX-u”, w wiele lat później jego krytykiem. Młodszy nieco studiami kolega-chemik, Jacek Kornacki, radził mi się jak sobą pokierować: „trzeba się jakoś zdecydować – zostać marksistą, czy katolikiem?” Został (nie z mojej rady!) nie wiem czy marksistą, w to wątpię, ale wysoce zaangażowanym funkcjonariuszem partyjnym.

Wahania jednak szybko się kończyły. Nacisk ideologiczny się wzmacniał, PPS została siłą połączona z PPR, wszechwładza UB dawała się odczuć na każdym kroku. Terror dokoła, jawnie fałszowane procesy, uwięzienie Łaszkiewicza, śmierć Macierewicza, nagłe pojawienie się „Polaka” marszałka Rokossowskiego jako dowódcy Wojska Polskiego i następne haniebne procesy, krwawe czystki w armii ujawniły bez reszty oblicze systemu.

Chcieliśmy w gronie przyjaciół powitać u nas w domu Nowy Rok 1949. Jeden z nas, Bogdan Deczkowski – „Laudański” z „Zośki” – nie przyszedł. Został właśnie uwięziony! Zobaczyliśmy go dopiero po paru latach¹¹³. W tych samych dniach uwięziono innego przyjaciela, bohatera z AK, Henryka Kozłowskiego „Kmitę”...

¹¹³ Po zwolnieniu go z więzienia, nie pozwolono Bogdanowi studiować. Zatrudnił się więc jako prosty robotnik w fabryce, a że się wybijał inteligencją i pomysłami – po roku fabryka „skierowała go na studia”, które ukończył na Politechnice Warszawskiej. Był potem autorem licznych publikacji i kilku książek o Armii Krajowej.

Narzucana na różne sposoby ideologia marksistowska wydawała nam się czymś paradoksalnym i nonsensownym. Pierwsze roczniki powojennych studentów nie były jeszcze tak indoktrynowane. Nie byłoby nawet komu poprowadzić takich zajęć. Z czasem jednak wprowadzono nam (asystentom i adiunktom) obowiązkowe szkolenie ideologiczne. Dwaj wykładowcy zmieniali się, Zygmunt Baumann i Jerzy Wiatr. Stali się potem znanymi ludźmi, ale dla mnie już byli na zawsze spaleni. Wykładane przez nich treści były tak zakłamane i nielogiczne, że śmieszyły nas, choć zawierały w sobie element grozy. Wykładowcy wciąż wzywali nas do dyskusji, do zadawania pytań. Pewnego razu mój ówczesny przyjaciel, Sławek Siekierski, zapytał: „Jak to właściwie jest – słyszymy, że odczuwane przez nas wszystkich braki i ogólny niedostatek wywołane są przez konieczność zbrojeń wobec groźby ze strony imperializmu amerykańskiego. A równocześnie słyszymy, że imperialiści amerykańscy napędzają u siebie *prosperity* właśnie groźbą wojny z komunizmem i wzmaganiem zbrojeń. Dlaczego te same przyczyny wywołują w tych dwu ustrojach wręcz przeciwne skutki?” Wykładowca ideolog, nie pamiętam już, Wiatr czy Baumann, zbladł, zamilkł, po czym zakończył lekcję mówiąc, że to wyjaśni następnym razem. Ale „następny raz” już nie nastąpił; ani jeden, ani drugi już się wśród nas nie pojawił i na tym się skończyła nasza *politgramota*.

Kiedyś przyszła do mnie jedna z czołowych działaczek partyjnych na Chemii, studentka Wanda Fechtnerówna. Oświadczyła mi, że partia mnie zaprasza, żebym wstąpił do PZPR. Usiłowała mnie zachęcić, że wtedy zostanę profesorem na miejsce *tego reakcjonisty Kemuli*. Odpowiedź moja była na tyle jednoznaczna, że potem już nikt nie usiłował mnie nakłonić do wstąpienia do partii¹¹⁴.

Z tzw. filozofią marksistowską musiałem się jednak zaznajomić i tak, bo był z tego obowiązkowy egzamin *kandydacki*. Egzamin zdawałem u takiego, pozał się Boże filozofa, o historycznym skądinąd nazwisku Karol Martel (!). Były to najidiotyczniejsze pytania egzaminacyjne, jakie w ogóle kiedykolwiek usłyszałem. „Co powiedział tow. Stalin na początku swego genialnego dzieła o ekonomicznych problemach socjalizmu?” Gdy wyrecytowałem mu z pamięci parę formułek, padło drugie pytanie: „A co napisał tow. Stalin w następnym zdaniu?”...

Znacznie gorzej miały młodsze roczniki, m.in. moja przyszła żona, Anka. Gdy jej rocznik – maturzyści 1949 r. – wstępowali na studia, wszyscy lub praktycznie wszyscy należeli do ZMP, poddani byli ciągłej presji ideologicznej, a nadto zamiast logiki matematycznej czy historii filozofii – mieli już tylko wykłady filozofii marksistowskiej.

¹¹⁴ Ale po paru latach, gdy już byłem docentem, ówczesny prodziekan Andrzej Orszagh, nie ukrywając, że jest ponadto oficerem UB, usiłował nakłonić mnie do nieuczciwości (o czym później), obiecując w zamian... katedrę Kemuli, „którego przecież musimy się pozbyć z Wydziału.”

PRYWATNE WYCIECZKI MINERALOGICZNE

Wycieczki mineralogiczne odbyte z prof. Łaskiewiczem wzbudziły nasze zainteresowania, mieliśmy już mniejsze lub większe domowe zbiory ciekawych minerałów. Z Jurkiem Chodkowskim postanowiliśmy podjąć poszukiwania mineralogiczne na własną rękę. Okazją stał się zjazd Polskiego Towarzystwa Chemicznego we Wrocławiu we wrześniu 1948 r. Parę miesięcy wcześniej bardzo przejęci, bo byliśmy wprawdzie już asystentami, ale jeszcze studentami, zapisaliśmy się do PTCh, do którego potem należeliśmy przez całe życie. Włożyliśmy nasze odświętne ciemne garnitury, białe koszule, krawaty – i wzięliśmy ze sobą mapy i plecaki z ciężkimi młotami i messlami.

Ze zjazdu pamiętam niewiele, chyba tylko referat plenarny prof. Świętosławskiego, z którego dowiedziałem się nowych dla mnie i ciekawych rzeczy o termodynamice w polach zewnętrznych, zwłaszcza o regule faz w polu grawitacyjnym. Zaraz po zjeździe wsiedliśmy jednak w pociąg i pojechaliśmy do Strzegomia, gdzie byliśmy uprzednio z prof. Łaskiewiczem w imponującym kamieniołomie szarego granitu, z którego wyrąbano dla Warszawy nową – w miejsce zniszczonej podczas Powstania – kolumnę Zygmunta.

Z Katedry wzięliśmy piękne zaświadczenie, że tacy a tacy, asystenci Chemii Nieorganicznej UW, udają się na poszukiwania minerałów dla Uniwersytetu etc. W biurze kamieniołomu przyjęto nas z szacunkiem, zapytano tylko, czy wiemy jak się zachowywać w kamieniołomie. Urażeni odparliśmy, że „oczywiście!”. Zeszliśmy włąb kamieniołomu w naszych eleganckich, „zjazdowych” garniturach i krawatach, wybraliśmy jakiś kawałek ściany z widocznymi konkrejcami. Były to na ogół buły krzemienne, gdzie do wewnętrznej próżni krystalizowały czasem szczotki ametystowe, czasem dużo rzadsze minerały: ostrza aksynitu, żółto-pomarańczowy desmin o kształcie snopków lub zielony oliwin.

Kuliśmy z zapalem niedaleko od siebie (Fot.24), napełniając powoli plecaki owocami naszej pracy. Po paru godzinach doszły nas odgłosy jakichś gwizdków, na które nie zwróciliśmy uwagi. Ale w pewien czas potem rozległy się potężne grzmoty wybuchów. Przypomnieliśmy sobie (z nauk prof. Łaskiewicza), że sygnały dźwiękowe są w kamieniołomach ostrzeżeniem, że nastąpią eksplozje założonych poprzednio ładunków wybuchowych. Na ten sygnał wszyscy muszą opuścić kamieniołom. Tym razem było już za późno. Co chwila, to tu, to tam, rozlegał się wybuch i wokoło leciały mniejsze i większe odłamki skał. Nie mieliśmy gdzie się schronić, nie wiedzieliśmy nawet, czy koło nas nie ma ładunku wybuchowego. Przycisnęliśmy się do załomu skały. Jurek zaczął się półgłosem modlić. Ja wyostałem z plecaka pajdę chleba: „wolę zginąć na syto, niż na głodno”. Jurek był oburzony moim cynizmem w takiej chwili. Przez 15–20 minut dygotaliśmy pośród tej kanonady, spodziewając się śmierci. Potem wybuchy ucichły, rozległy się dźwięki gwizdków, powoli w głąb kamieniołomu schodzili

się górnicy. Gdy nam nogi przestały drżeć, zabraliśmy się dalej do roboty, po czym spokojnie opuściliśmy to pamiętne dla nas miejsce – jak gdyby nigdy nic...

Tegoż roku, czy też rok później wybraliśmy się na wycieczkę mineralogiczną w Karkonosze z dwiema koleżankami z naszego roku – Winią Turnowską i Hanką Roniewicz, poprzednio również uczestniczkami wycieczek z prof. Łaskiewiczem. Wiedzieliśmy od niego i z literatury, że w okolicach Kowar są niewielkie, ale eksploatowane złoża rudy uranowej; koło Szklarskiej Poręby zbieraliśmy minerały promieniotwórcze zaznaczające swą obecność barwnymi kręgami o zasięgu promieni α i β , w górach Izerskich, w Świeradowie-Zdroju, wody mineralne nazywano radoczynnymi (bo zawierały sporo promieniotwórczego gazu radonu, Rn).

Zawędrowaliśmy do Kowar. Szukamy wejścia do starej kopalni. Weszliśmy z Jurkiem, koleżanki czekały na zewnątrz. A tu łapią nas uzbrojeni strażnicy, prowadzą do jakiegoś biura. Tam – niezwykle agresywne wypytywanie, po co tu idziemy. Niewiele pomogły nasze legitymacje asystenckie. Na wzmiankę o uranie – przesłuchujący aż podskoczyli: „skąd macie takie informacje? kto wam to powiedział?”. Bardzo byli zdziwieni, że jest to opisane w starych niemieckich podręcznikach. Nakazano nam natychmiast opuścić Kowary – „i nigdy tu więcej nie wracajcie, bo wtedy już nie wyjedziecie!”.

Od okolicznych ludzi dowiedzieliśmy się, że tylko tu przy wejściu jest paru polskich funkcjonariuszy UB, a oprócz nich są tu sami Rosjanie, bo dla Rosjan wydobywa się uran. Najbliższą „okazją” niezwłocznie opuściliśmy Kowary.

PRACA MAGISTERSKA

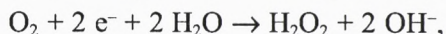
Gdy nadszedł czas ustalenia tematu pracy magisterskiej, byłem zafascynowany chemią borowodorów i powiedziałem prof. Kemuli, że chcę dokonać serii syntez borowodorów i potem badać ich własności, a mam już zebrane najważniejsze elementy aparatury. Usłyszałem na to, że on absolutnie się na to nie zgadza i że my wszyscy mamy wykonać prace z dziedziny polarografii – jego specjalności, której nie mógł kontynuować z powodu wojny. Borowodory mogą sobie badać gdzie indziej, jeśli zechcą, ale nie u niego w Katedrze.

Usiłowałem mu przedstawić atrakcyjność chemii borowodorów, ale na próżno. Nie miałem wyjścia. Trzeba się było przestawić na polarografię. Była to elektrochemiczna metoda badania procesów, przebiegających na odnawiającej się powierzchni kąpiącej elektrody rtęciowej¹¹⁵. Pomiarów dokonywano za pomocą bardzo prostego przyrządu, *polarografu* (Fot.32).

¹¹⁵ Metoda ta, opracowana przez Jaroslava Heyrovskiego (późniejszego laureata Nobla), u którego Wiktor Kemula pracował jako post-doc i powrócił do Polski jako entuzjasta i propagator tej metody.

W tych czasach (lata 50.) każdy magistrant zaczynał od skonstruowania samemu potrzebnej aparatury – rozumiał ją wówczas w pełni i dostrzegał najlepiej przyczyny błędów (przrządy były oczywiście o wiele prostsze niż dziś i nie stanowiły firmowej „czarnej skrzynki”).

Parę lat przed wojną prof. Kemula ze swym doktorantem Mieczysławem Michalskim¹¹⁶ wykrył efekt, nazwany „ukrytym prądem granicznym”¹¹⁷, polegający na nieaddytywności prądów dyfuzyjnych np. jonów H⁺ i tlenu O₂. Rzecz miała polegać na tym, że redukcja katodowa O₂ produkuje jony OH⁻ :



a więc zobojętnia jony H⁺ na przedpolu elektrody. Miałem sprawdzić, czy tak jest rzeczywiście i zająć się tymi ukrytymi prądami granicznymi. Stosując lupę binokularową do obserwacji kropłowej elektrody rtęciowej i dodając do wodnego roztworu elektrolitu, nasyconego tlenem z powietrza, nieco wskaźnika fenoltaleiny – zobaczyłem piękne amarantowe zabarwienie wskaźnika ilekroć przykładałem potencjał wywołujący redukcję tlenu. Nie spodziewałem się dojrzeć tego efektu – a był wyraźny! Zawołałem prof. Kemulę, który był tym uradowany, a ja – pełen podziwu dla jego intuicji¹¹⁸. Wkrótce opisałem to i w połowie wykonywania pracy magisterskiej ukazała się pierwsza moja oryginalna publikacja¹¹⁹. Byłem bardzo wzruszony i dumny przyszedłszy odświętnie ubrany na zebranie Towarzystwa Naukowego Warszawskiego (TNW), na którym wysłuchałem najpierw – niewiele rozumiejąc – pracy astronoma prof. Banachiewicza o bujnej siwiźnie à la Paderewski, a potem prof. Kemula zreferował moje wyniki. No i wiosną 1950 r. zostałem magistrem¹²⁰.

Niewiele później ukazała się praca włoskiego badacza Piero Lanza z Bolonii, tematycznie i metodycznie niezwykle podobna do mojej – tyle, że on używał innych wskaźników i obserwował wokół elektrody wielobarwną otoczkę¹²¹.

¹¹⁶ W latach ok. 1949–50 Mieczysław Michalski pracował w katedrze Kemuli, potem został profesorem chemii nieorganicznej na Politechnice Warszawskiej.

¹¹⁷ W. K e m u l a , M. M i c h a l s k i : *Étude sur les courants limitiques de certains électrolytes*. „Atti del X Congresso Internazionale di Chimica” Roma 1938 2 s. 282–291.

¹¹⁸ W rzeczywistości sprawa była oczywista, choć mnie wówczas wydawała się czymś niezwykłym.

¹¹⁹ W. K e m u l a , Z. R. G r a b o w s k i : *Warunki eksperymentalnego stwierdzenia redukcji tlenu do jonów hydroksylowych*. „Sprawozdania Towarzystwa Naukowego Warszawskiego” 1950 41 s. 13–15.

¹²⁰ Na podstawie pracy magisterskiej: *Studia polarograficzne w dziedzinie ukrytych prądów granicznych. Powstawanie i wpływ jonów hydroksylowych w niebuforowanych roztworach*. UW 1949/50, 94 stron, 52 odnośniki.

¹²¹ P. L a n z a : *The polarographic behaviour of buffer solutions*. [W:] *Sborník I Mezinárodního Polarografického Sjezdu v Praze*. Praha 1951 Přírodovědecké vydavatelství, 1 s. 155–158.

Zdumiało mnie, jak często różni ludzie, daleko od siebie i nic o sobie nie wiedząc, badają to samo, a często nawet – tak samo. Rozwój techniki i wiedzy wymusza w danym okresie podejmowanie prób odpowiedzi na *wiszące w powietrzu* pytania.

W podobnym czasie podobne były losy prac magisterskich moich przyjaciół, Siekierskiego i Chodkowskiego; wszyscy badaliśmy różne aspekty ukrytych prądów granicznych i z wyników tych badań mieliśmy po 3 publikacje, między sobą bardzo podobne, każdy w tych samych trzech czasopismach. Tylko Basia Behr wybrała temat nieco odmienny, związany z polaryzacją elektrody prądem zmiennym (ale ona była córką inżyniera elektryka i o elektrotechnice wiedziała bez porównania więcej od nas).

Gdy już zostałem magistrem, zauważyłem, że zaczął mnie jakoś unikać bardzo miły laborant Katedry, pan Chlebicki. Wreszcie zapytałem go, czy ma do mnie jakiś żal? On zaprzeczył i wyjaśnił: „bo ja nie wiem jak teraz do pana mówić! Niech mi pan sam powie: co jest więcej – prezes czy magister?”

Z dyplomem magistra trzeba się było zgłosić do wojska – kończyło się studenckie odraczanie służby wojskowej. Wiedziałem, że chemicy są chętnie w wojsku widziani, służby chemiczne odgrywały dużą rolę. Chcąc nie chcąc, musiałem się więc zgłosić do wojska, gdzie przyjął mnie sierżant i siedzący przy biurku, a odwrócony ode mnie oficer. Sierżant czytał mój dyplom, chropawo i z trudnością sylabizując: „dyy-plom ma-gi-stra fii-loo-zo-fii...”¹²² – i nie zdążył dojść do pisanych mniejszymi literami słów „w zakresie chemii”, gdy oficer warknął: „filozofów nam w wojsku nie trzeba! Do rezerwy!”. I w ten sposób zostałem bezboleśnie przeniesiony do rezerwy jako „szeregowiec, niewykształcony”.

Kilka lat później wojsko sobie o mnie jednak przypomniało i wezwało na szkolenie rezerwistów. Gdy tam przyszedłem, posłuchałem wykładu jakiegoś oficera, który uczył nas o bombie atomowej. Było tam, między innymi, tak: „gdy nastąpi wybuch bomby atomowej, jest jeszcze czas się schować. Najpierw bowiem dochodzi straszny huk, a to jest dla nas znak ostrzegawczy – wtedy trzeba szybko szukać schronienia gdzieś za murem, albo w bramie, albo w dołku w ziemi – bo dopiero po pewnym czasie dociera do nas zabójcze promieniowanie!”. Wtedy nie wytrzymałem, zabrałem głos i wyjaśniłem, że wszystko jest akurat naodwrot. Nazajutrz rano obudził nas ostry dzwonek do drzwi. We drzwiach stał żołnierz z karabinem. „Zbigniew Grabowski? Mam rozkaz doprowadzić was do sztabu”. W tymże sztabie, zresztą przy naszej ulicy, przyjął mnie ostro pułkownik: „co wy sobie myślicie? Rozkładać nam szkolenie wojskowe? Zakazuję wam brania udziału w jakichkolwiek szkoleniach rezerwistów. Odmaszerować!”. I na tym skończyły się moje kontakty z *Ludowym Wojskiem Polskim*.

¹²² W tym czasie chemik uniwersytecki dostawał jeszcze dyplom *magistra filozofii – w zakresie chemii*.

PROF. IGNACY ŻŁOTOWSKI

W czasie wykonywania pracy magisterskiej poznałem gdzieś w towarzystwie prof. Ignacego Żłotowskiego. Była to dziwna postać. W latach 30. pracował w Paryżu u Marii Skłodowskiej-Curie. Jak mi opowiadał, dostawał od niej promieniotwórcze próbki i mierzył efekty cieplne, dokonując pomiarów kalorymetrycznych. M-me Curie przestrzegała jednak obiektywizmu i – żeby eksperymentator nie naciągał wyników pod hipotezy własne lub kierowniczkę laboratorium – próbki oznaczone były szyfrem typu – „B-84” albo „Z-152”, a szyfr ten znała tylko ona sama. Jednakże po dwu latach jego pracy Maria Skłodowska-Curie zmarła – a nikt nie zdołał znaleźć klucza do odczytania szyfru. Dwa lata pracy Żłotowskiego poszły na marne.

Potem pracował u Fryderyka Joliot-Curie. Stwierdził, że wykrył izotop helu-5, ogłosili to razem. W rzeczywistości do tychczas ^5He nie wykryto. Praca oparta była na błędach doświadczenia – a podobno, co gorsza, na *sfalszowanym* doświadczeniu! Fryderyk Joliot tak zniechęcił Żłotowskiego, że gdy w wiele lat później miał przyjechać do Polski odebrać tu doktorat *honoris causa*, postawił warunek – żeby nie widzieć Żłotowskiego na oczy.

Po wojnie Żłotowski został polskim delegatem do ONZ. Po paru latach wydalono go z USA jako *persona non grata* – podobno był szefem sowieckiej siatki szpiegowskiej, starającej się zdobyć amerykańskie tajemnice atomowe. Później, już po studiach, byłem zaintrygowanym słuchaczem jego wykładów o *rozdzielaniu izotopów trwałych*. Przedstawił nam najskuteczniejszą w przypadku izotopów uranu metodę rozdzielania drogą dyfuzji gazowego UF_6 przez półprzepuszczalne membrany. Wyraźnie rozgoryczony wtrącił: „tak się starałem, ale do końca nie udało mi się dowiedzieć, jak sporządzać te membrany półprzepuszczalne i z jakiego materiału...”

O tym wszystkim nie wiedziałem poznając go – gdzieś w roku 1949 lub 1950. Był kulawy; gdy siedział – kręcił wciąż dziwnie jedną nogą. Sprawiał na mnie wrażenie człowieka wybitnej inteligencji, ale jakoś mefistofelicznego. Gdy w rozmowie wspominałem o moich transuranach i torze – zaintrygował się i z miejsca zaproponował mi, by podjąć ciekawą pracę u niego. W Krakowie tworzył właśnie laboratoria o zakonspirowanej nazwie *Zakład Badań Fizyko-Chemicznych*¹²³. Pracę tam podejmowali znani mi znakomici młodzi badacze krakowscy, m.in. Jerzy Haber i Jerzy Dereń. Ja zaś byłem z jednej strony zainteresowany radiochemią bardziej niż polarografią, z drugiej – byłem rozgoryczony na Kemulę

¹²³ Przypuszczam, że powrót z USA *zasłużonego dla obozu socjalizmu* Żłotowskiego wywołał odebranie odpowiednich zleceń Kemuli. Wszystkie badania w tej dziedzinie były już kontrolowane bezpośrednio przez wojsko i UB, a pośrednio – zapewne z ZSRR.

jego zakazem prac nad borowodorami. Umówiliśmy się wstępnie ze Złotowskim, że przyjadę do niego po uzyskaniu magisterium.

Dużo wtedy pisano o niebezpieczeństwach pracy z materiałami promieniotwórczymi. Moja matka, usłyszawszy o planach pracy u Złotowskiego, wpadła w panikę: „ja chcę mieć wnuki, a nie bezpłodnego syna!”. Pod jej naciskiem zrezygnowałem więc i pozostałem na razie u Kemuli.

W parę lat potem Zakład Złotowskiego w Krakowie został zamknięty¹²⁴, w Warszawie powstał (ale już bez niego) Instytut Badań Jądrowych (IBJ). Złotowski objął stworzoną dla niego Katedrę Radiochemii UW. Pamiętam, jak układając siatkę zajęć studenckich chciałem z nim uzgodnić terminy jego wykładów. Powiedział mi: „byłe nie przed południem. Kulturalny człowiek nie podejmuje się żadnych obowiązków przed godziną 12. Może być za to dowolna późniejsza, do północy...”.

Przy ul. Żwirki i Wigury zbudowano budynek dla Radiochemii, współpracowało tu ze Złotowskim kilka zdolnych osób. Potem znikł mi z pola widzenia. Wiadomo było, że jeździł do Turcji, leczył się w Paryżu. Okazało się, że był ciężko chory – melanoma. Zmarł w Ankarze. Zaraz potem nastąpiła rewizja w jego Katedrze, jego współpracownicy byli przesłuchiwanii, prowadzono jakieś śledztwo. Mówiono, że „prawdopodobnie działał na dwie strony!”.

MOJA TOWARZYSZKA ŻYCIA

Wakacje spędzałem na wędrownościach ze Sławkiem Siekierskim po Podhalu, albo z nim i z koleżankami nad jeziorami mazurskimi, albo na wycieczkach rowerowych po pustych wówczas szosach Warmii i Mazur (z moimi ówczesnymi przyjaciółmi Jurkiem Szewczykiem¹²⁵, Zygmuntem Lisickim¹²⁶ i Andrzejem

¹²⁴ Prawdopodobnie Rosjanie stracili do niego zaufanie; stał się podejrzany?

¹²⁵ Jerzy Szewczyk był człowiekiem byskotliwej inteligencji i dowcipu, o szerokich humanistycznych zainteresowaniach. Obok chemii studiował romanistykę (był rozmiłowany w literaturze francuskiej) i psychologię w Instytucie Higieny Psychiczej. W pierwszych latach powojennych mieszkał w lokalu z nieprawdziwego zdarzenia, w ruinie niedaleko Teatru Polskiego. Wchodziło się tam po wiszących jakoś nielicznych schodach – parter był zburzony – a na I piętze wśród ruin i gruzu był jeden pokój, w którym na podłodze piętrzyły się książki – na których Jurek kładł jakieś koce i na nich spał... Później pracował na Politechnice, w Zakładzie Chemii Analitycznej. Miałem z nim mały kontakt – aż do jego smutnego pogrzebu! Gdzieś w latach 60. z nieznanym mi przyczyną popełnił samobójstwo.

¹²⁶ Z Zygmuntem Lisickim przyjaźniłem się i współpracowaliśmy blisko w Kole Chemików i w Komitecie. Potem pracował u prof. Świętosławskiego, habilitował się, został profesorem w Instytucie Przemysłu Chemicznego na Żoliborzu. Drogi nasze się rozeszły po głosowaniu na Radzie Wydziału w 1962 r. (*vide infra*) Zetknęliśmy się znów dopiero na zjeździe koleżeńskim w 2002 r.

Ryszkowskim¹²⁷). Wszyscy trzej byli o parę lat starsi ode mnie, ale na wędrownkach stanowiliśmy zgrany team i uzupełnialiśmy się wzajemnie.

Po wakacjach powracałem do ćwiczeń laboratoryjnych z kolejnym rocznikiem studentów I roku. W 1949 r. wśród nowych studentów pojawiło się kilka bardzo zdolnych osób. Była wśród nich Anna Sławińska – nie spodziewałem się, że zostanie moją towarzyszką życia. Zwróciłem uwagę na jej wybitne zdolności. Gdy doszło do końcowego kolokwium z pracowni, przygotowałem – jak dla każdego studenta – kilka pytań na piśmie. Tym razem były trudniejsze, niż zwykle. Moja przyszła żona karteczkę tę zachowała – wraz z urazą, że ją pytałem tak łatwo.

W tym czasie wprowadzono dwustopniowy system studiów (3 lata do uzyskania dyplomu chemika + ew. dalsze 2 lata – *kurs magisterski*). Selekcja na ten kurs magisterski była kolejną okazją do odrzucenia niewygodnych politycznie studentów, m.in. późniejszego doc. Andrzeja Mączyńskiego, czy późniejszego płk. doc. Zbigniewa Maklesa¹²⁸.

Wraz ze Sławkiem Siekierskim stworzyliśmy pracownię specjalistyczną Chemii Nieorganicznej II. Wprowadziliśmy tam niemal nieznaną przedtem studentom syntezę i identyfikację ciekawych związków nieorganicznych, w tym gazów (np. BF_3) i związków koordynacyjnych. Dwu najzdolniejszym studentom tego roku, Ewie Floryan¹²⁹ i Ance Sławińskiej wyznaczaliśmy najtrudniejsze zadania: syntezę i rozdzielenie izomerów geometrycznych, względnie izomerów optycznych, pewnych kompleksów kobaltu czy chromu. Wywiązały się z tego znakomicie.

Prowadziłem też zajęcia typu seminaryjnego z grupą zainteresowanych studentów („Koło naukowe przy Katedrze”) – i wtedy dostrzegłem Anki urok, tak intelektualny jak i dziewczęcy. Anna Sławińska była przystojną studentką, głęboko zainteresowaną poznaniem Przyrody, chyba najzdolniejszą na swoim roku, a zwracała uwagę już choćby swym długim i pięknym rudo-żółtym warkoczem. Ja byłem asystentem tuż po magisterium, przygarbionym, chodzącym, pod wpływem jeszcze wojennej mody, w bryczesach i oficerkach (Fot.35), niewiele zakrytych białym laboratoryjnym fartuchem. Wygrałem los na loterii życia.

Odtąd wycieczki wakacyjne odbywaliśmy już we wspólnym gronie – kajakami po rzekach i jeziorach (Fot.36), zimą w górach.

¹²⁷ Andrzej pracował potem w dziedzinie materiałów ceramicznych w Międzylesiu. Jego hobby to były stare zegary ściennie, które reperował – jeden dostaliśmy od niego w prezencie. Zmarł w 2001 r.

¹²⁸ Z. Makles był tępony przez gorliwych partyjnych za to, że jako sierotę wychował go ksiądz. Ostry protest kolegów z jego roku studiów spowodował w końcu dopuszczenie go do studiów magisterskich.

¹²⁹ Ewa została potem żoną Sławka Siekierskiego. Co śmieszniejsze, oni i my, nie umawiając się wcale, mieliśmy śluby tego samego dnia – oni w Olsztynie, my w Józefowie.

W marcu 1953 r. zmarł Józef Stalin. Żałobnym obchodom nie było końca. Na uroczystych akademiach co gorliwsi i bardziej wierzący partyjni płakali publicznie rzewnymi łzami. Zmuszono nas wszystkich do udziału w pochodzie przez miasto. Większość z nas była w dobrych humorach. Jeden z kolegów, Henryk Buchowski, opowiadał anegdoty i wszyscy dokoła się śmiali. Partyjny tow. Zenon Kublik potępiał to i groził. A my we czwórkę – Ewa, Anka, Sławek i ja – przy pierwszej okazji wymknęliśmy się z pochodu. Ewę Floryan wyrzucono za to z ZMP, Anka dostała *naganę z ostrzeżeniem* – za to, że zamiast pozytywnie wpływać na *reakcyjnie* nastawionych asystentów, ulegają ich zgubnym wpływom.

Latem 1953 r. – ponad pół wieku temu – wzięliśmy ślub.

Ślub cywilny braliśmy w urzędzie stanu cywilnego na Grochowie, gdzie po wejściu do budynku mieliśmy wątpliwości gdzie iść, bo ujrzelśmy dwie strzałki:

← Szczepienie psów przeciwko wścieklicznie Śluby i pogrzeby →

Przed ślubem kościelnym wyznałem proboszczowi Józefowi, ks. Malinowskiemu, że jestem niewierzący. Napisał więc dla nas wnioski o dyspensę. Przeczytałem tam ze zdziwieniem, że jestem *in errore iudaico educatus, nunquam baptisterium obtinuit* – choć nie mówiłem z nim ani słowa o religii mojąszoowej, z którą łączy mnie w końcu znacznie mniej, niż z chrześcijaństwem. Uraziło mnie natomiast kościelne określenie *error iudaicus*. Przecież nie jest to żaden *error*, czyli herezja, a religia równie dobra, jak powstała z niej jako sekta – czy też herezja? – chrześcijaństwo. Wtedy nasza krakowska, bardzo katolicka przyjaciółka rodziny, Tika, której opowiedziałem o moich wątpliwościach doktrynalno-kościelnych, poradziła mi: „idź do księdza Zieji – to jest mądry i święty człowiek, «kapelan wszystkich potrzebujących»”. Poszedłem więc na zaplecze kościoła Wizytek do ks. Zieji – pod którego urokiem pozostałem na długo, a rozmowa z nim wywarła na mnie wielki wpływ. Całe życie jestem księdzu Zieji głęboko wdzięczny za jego nauki i rady.

Ponad 20 lat później ks. Zieja, niegdyś kapelan AK, potem „kapelan wszystkich potrzebujących”, stał się jednym z ojców-założycieli KOR-u i w ten sposób stał się dla całego narodu jednym z wzorców głęboko moralnej postawy patriotycznej.

Na ślub w Józefowie omal się nie spóźniliśmy – pociąg był w godzinach szczytu przepełniony i rodzice z trudem dopchnęli mnie w drzwiach wagonu: „przynajmniej ty musisz zdążyć!”

Ślub miał być cichy i skromny, tylko w gronie rodziny i świadków. Nie informowaliśmy o nim nawet bliskich przyjaciół, o co oni – jak się okazało – poczuli się obrażeni. Ale nie wszystko w życiu przebiega zgodnie z planem. Anki młodsza siostra Zosia, by nam dokuczyć, przyprowadziła do kościoła kilkadziesiąt podfruwajek, swoich szkolnych koleżanek, a te swoimi śmiechami nieomal



Fot.18. Lwowski przyjaciel Ojca, późniejszy prokurator Jerzy Sawicki, oskarżył katów Majdanka, prokurator w Norymberdze, profesor prawa na UW, autor licznych książek ("Lex") popularyzujących prawo i audycji TV ("Profesor z fajką").



Fot.19. Gmach Chemii U.W. był zupełnie zdewastowany a jedno skrzydło wysadzone w powietrze. Początkiem naszych zajęć na studiach Chemii było uprzątnięcie, oczyszczanie i odbudowa.



Fot.20. Katedra św.Jana, widziana z wznoszącej się wewnątrz góry gruzów. Warszawa była zburzona, ludzie z jej ruin wypędzeni. W powietrzu unosił się charakterystyczny, gryzący zapach pyłu zwalonych murów.



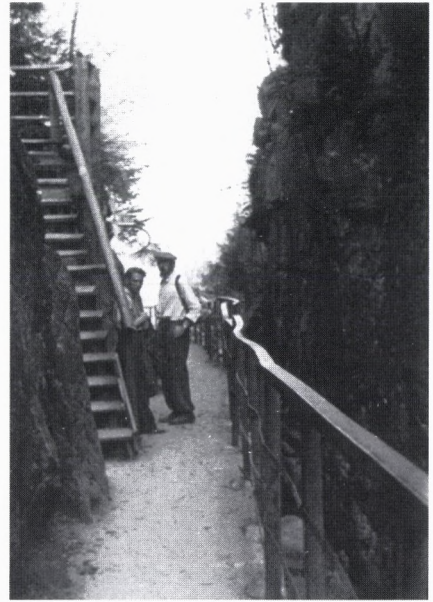
Fot.21. Towarzyszka mych pieszych wędrówek na Uniwersytet przez Wisłę i przez ruiny Warszawy, Anita, miała wtedy wciąż jeszcze smutek wojenny wryty na twarzy.



Fot. 22. W hucie arsenu w Złotym Stoku hutnicy pracowali przy otwartych piecach, w których wypalano arsenek niklu, wdychali trujące opary i chodzili po grubej warstwie arszeniku



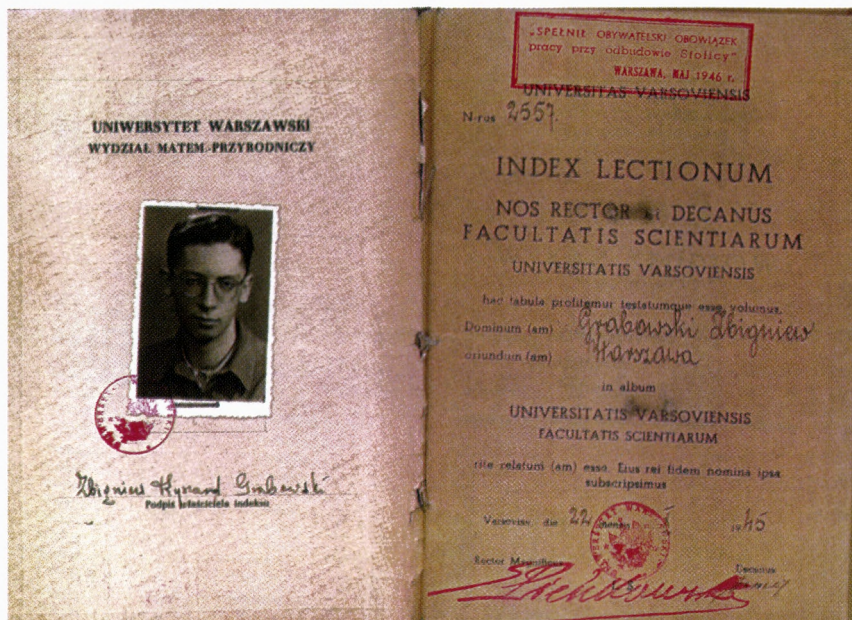
Fot.24. Z Jurkiem Chodkowskim wprost ze zjazdu PTChem pojechaliśmy do kamieniołomu granitu i kuliśmy skałę w naszych odświętnych garniturach. Nie zwróciliśmy uwagi na gwizdki...



Fot.23. Prof. Antoni Łaskiewicz z Zygmuntem Lisickim, swym późniejszym asystentem, w czasie wycieczki, w Karkonoszach.



Fot.25. Wycieczka mineralogiczna studentów chemii U.W. prowadzona w Karkonoszach przez prof. Antoniego Łaskiewicza.



Fot. 26.



Fot.27. Z kilkoma kolegami z mojego roku studiów. Od lewej: Janek Geisler, Zbyszek Przybyłowicz, Włodek Madaliński, Jurek Szweczyk, ja, Zenek Kublik.



Fot.28. Serdeczna koleżanka czasu studiów – Teresa – moja przewodniczka po społeczności koleżanek i kolegów

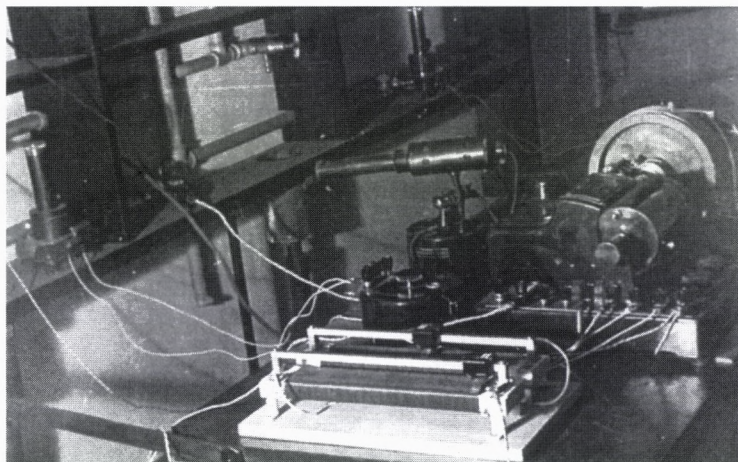


Fot.29. Prof. Wiktor Kemula był zamiłowanym eksperymentatorem. Jego doświadczenia wykładowe były efektowne i zapadały w pamięć.



Fot.30. Basia Behr

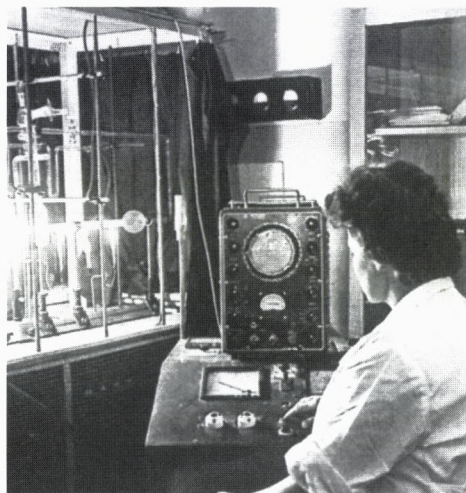
Fot.31. Z Petrem Zumanem, już od dawna profesorem w Potsdam, NY – w roku 1979.



Fot.32. Polarograf Heyrovskiego – przyrząd, będący mým podstawowym narzędziem w pracy magisterskiej.



Fot.33. Moi bliscy koledzy, od lewej: Sławek Siekierski, Winia Turnowska i Jurek Chodkowski. W pokoju asystenckim na Pasteura. Z końcem lat 40.



Fot.34. Nasza pierwsza aparatura fotolizy błyskowej, przy pulpicie kontrolnym Basia Pakuła.



Fot.35. Byłem wówczas wciąż jeszcze pod wpływem mody wojennej.



Fot. 36. Wakacje spędzaliśmy z Anką najchętniej płynąc po rzekach i jeziorach w naszym kajaku „J.J.Berzelius”.



Fot.37. Mimo udrek i szykan prof.Kemula zachował dobry humor i pogodę ducha.
(fot. P. Zuman, 1983).



Fot.38. Anka wprowadziła nowe dla nas techniki laboratoryjne: wysokie ciśnienia, operacje z gazami, fotolizę błyskową...



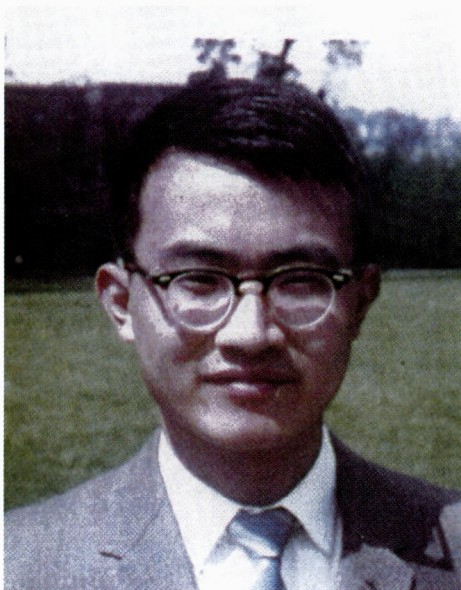
Fot.39. Aleksandr Naumowicz Frumkin
twórca współczesnej elektrochemii.



Fot.40. Albert Weller, a za nim Karl-Heinz
Grellmann, współautor naszej pierwszej
pracy o stanach TICT.



Fot.41. Mój mistrz – Theodor Förster.



Fot.42. Chen-Hanson Ting, mój przewodnik po wschodnim sposobie myślenia o sobie i świecie.



Fot.43. Heinz Gerischer, wielki elektrochemik. Jego wizyta w Warszawie była przedmiotem przesłuchań mnie przez kontrwywiad ("każdy uczyony zachodnio-niemiecki jest szpiegiem !...").



Fot.44. W dyskusji z Rudolfem Zahradnikiem. Živohost, 1965.



Fot.45. Nasza córka Urszula już w wieku 8 lat uznała, że chemii na pewno studiować nie będzie.

doprowadzały nas do płaczu... Mimo tego, było to przeżycie głębokie, jeden z najważniejszych momentów w życiu.

Pod koniec skromnego, rodzinnego wesela wymknęliśmy się i przebrali w turystyczne skafandry. Na dworcu już na nas czekał nasz kajak „*J.J.Berzelius*”, którym po kilku przesiadkach mieliśmy spływać piękną Wdą.

Pobraliśmy się z Anką jeszcze w czasie jej studiów i postanowiliśmy być nie tylko wspólnotą rodzinną, ale i wspólnie rozwijać nasze zainteresowania oraz przysłać pracę badawczą.

Po niecałych dwu latach, 30.III.1955 r., narodziła się nasza córka Urszula. Kilka lat później, na uroczystości zaprzysiężenia doktorów w Pałacu Kazimierzowskim Uniwersytetu Warszawskiego, Anka wystąpiła w szerokiej, doskonale ciężowej todze. 24.VI.1962 r. urodził się Janek. Zaczęła się nowa, najważniejsza era mego życia. Obok nauki zaistniała rodzina.

NOWI PRZYJACIELE

Małżeństwo, to nie tylko konieczność przestawienia się na kompromisy między własnymi przyzwyczajeniami i tym, co lubi współmałżonek; to nie tylko nowa rodzina dokoła; to także i rozszerzenie kręgu przyjaciół.

Z narodzeniem się dzieci trzeba było znaleźć dobrego lekarza-pediatrę. Połcono nam młodego zdolnego lekarza, Bogdana Szafjańskiego. Zjawił się drobny, chudziutki, o wyglądzie niemal dziecięcym, a – jak się zaraz okazało – znakomitej wiedzy i wielki duchem. Bardzo szybko zaprzyjaźniliśmy się z nim i jego żoną, lekarką-psychiatrą Zulą. Bogdan był człowiekiem wysokiej kultury i szerokich zainteresowań, znawca poezji, literatury, teatru. Spotkania z nimi były zawsze przeżyciem czegoś ciekawego. Był ciężko chory, przeszczepiono mu nerkę. Zmarł wcześniej, jego dzieci wyemigrowały, a w ślad za nimi Zula.

Inną rodziną nowych przyjaciół stali się dla mnie przyjaciele Anki – Strzemboszowie. Ich rodzice pomogli matce Anki przenieść się w 1946 r. z Krakowa pod Warszawę, lokując ją z córkami w Józefowie, w sąsiednim mieszkaniu, oddzielonym od mieszkania Strzemboszów przesuwalną szafą. Na naszym skromnym weselu w Józefowie piękną mowę wygłosił patetyczny mówca, adwokat, pan Strzembosz.

Strzemboszowie byli rodzicami *trojaczków* (!): Teresy, Tomka i Adama, którzy razem z Anką chodzili do tej samej klasy liceum w Falenicy. Zostaliśmy przyjaciółmi.

Teresa była osobą niezwykle pobożną, pracowała w pogotowiu jako pielęgniarka, była chyba świecką zakonnice. Zmarła wcześniej na raka; wiele mówiono i pisano o możliwości jej beatyfikacji.

Dwaj jej bracia, niezwykle w młodości do siebie podobni, mieli bardzo różne charaktery. Obaj byli wychowani przez ojca w duchu romantyzmu i patriotyzmu, z lekką pogardą dla nauk technicznych, co w ich oczach obejmowało cały zakres *science*. Tomasz został historykiem, Adam – prawnikiem. Moja przyjaźń z Tomkiem załamała się, gdy w 1994 r. wystąpił on gwałtownie przeciwko prawdzie o antysemitycznych momentach w czasie Powstania Sierpniowego (w dyskusji zainicjowanej przez Michała Cichego w „Gazecie Wyborczej” [por. przypis 42]), a potem stał się głównym – bodajże jedynym wśród znanych historyków – zażartym przeciwnikiem Jana Tomasza Grossa (*Sąsiedzi*) i główną podporą wielu mieszkańców Jedwabnego w ich niechęci przyznania prawdy o tragicznej hańbie przeszłości. Nazwano go „obrońcą Polski niewinnej”. Gdy dowiedziałem się o jego śmiertelnej chorobie, myślałem o jakiejś formie pogodzenia się z nim. Było już jednak za późno; piszę to w dzień jego pogrzebu. Ale krzywdy, jaką wyrządził Żydom polskim i stosunkom polsko-żydowskim, długo się nie da naprawić.

Kimś zupełnie innym jest Adam – sędzia, działacz społeczny, uczestnik Okrągłego Stołu, potem vice-minister sprawiedliwości, pierwszy Prezes Sądu Najwyższego, wysuwany jako kandydat na Prezydenta RP w 1995 roku. Jest on człowiekiem refleksji, rozsądku i prawości. Oboje byliśmy od lat pod dużym jego urokiem, toteż popieraliśmy jego próbę startu w wyborach, Anka przez pewien czas prowadziła nawet jego kampanię – ale on w porę wycofał się z wyścigu prezydenckiego.

PRACA DOKTORSKA

Po kilku miesiącach pracy usystematyzowałem moje wyobrażenia o (skromniutkiej zresztą) teorii ukrytych prądów granicznych i o wnioskach, jakie można stąd wyciągnąć na temat mechanizmu badanej przeze mnie dość tajemniczej reakcji autokatalitycznej redukcji katodowej anionów azotanowych w obecności trójwartościowych jonów ziem rzadkich. Praca ta została wkrótce przedstawiona przez prof. Kemulę w Towarzystwie Naukowym Warszawskim¹³⁰. Mój szef i *praeceptor* prof. Wiktor Kemula był w tym czasie sekretarzem III Wydziału TNW i postanowił w należącem do Towarzystwa domu przy ul. Śniadeckich 8 reaktywować *Gabinet Chemiczny TNW*. Zaproponował mi, bym tam urządził sobie i jemu niewielką pracownię, gdzie będzie można prowadzić badania z dala od zgiełku Uniwersytetu. Nie doszło do realizacji tych zamiarów, bo był to już okres łabędziego śpiewu Towarzystwa Naukowego Warszawskiego; zostało ono wkrótce połknięte przez tworzony na wzór sowiecki molocha, Polską Akademię Nauk. Wznowić istnienie TNW udało się dopiero w 30 lat później, na dzień

¹³⁰ W. K e m u l a , Z. R. G r a b o w s k i : *Latent currents in polarography. Latent diffusion currents of nitrate*. „Sprawozdania Towarzystwa Naukowego Warszawskiego” 1951 **42** s. 78–102.

przed ogłoszeniem *stanu wojennego* (!), dzięki usilnym staraniom prof. Kemuli, który został potem Prezesem odrodzonego Towarzystwa.

Tymczasem mój promotor powiedział mi, że to, co zrobiłem – wystarczy, że mam opisać moje wyniki jako rozprawę doktorską. Tu jednak ja się nie zgodziłem. Chciałem w pracy doktorskiej wyjaśnić badany przeze mnie zagadkowy autokatalityczny proces redukcji katodowej anionu NO_3 , a do tego było jeszcze daleko. Moje pomiary¹³¹ zaprzeczały wynikom niedawno przedtem ogłoszonej w „Journal of American Chemical Society” pracy znanego elektrochemika amerykańskiego, Meitesa¹³². Powtarzałem moje doświadczenia, ale wszystko się odtwarzało. Przesłałem mu więc moją pracę z listem tłumaczącym różne szczegóły i zapytując go o zdanie, a zakończyłem dość patetycznie: *through contradictions to truth!* Oczekiwałem albo jakiegoś uderzenia się w piersi, albo polemicznego listu, albo mieszającej mnie z błotem publikacji. Tymczasem Meites w ogóle nie zareagował! Było to kolejne, nie pierwsze i nie ostatnie rozczarowanie na temat *morale* znanych badaczy.

Bardzo różne były podejścia różnych badaczy do polityki publikowania. Prof. Świętosławski przekazywał mi swoje doświadczenia następująco: „Ludzie czytają pobieżnie. Jeśli w danej pracy jest dużo nowości, to zwykle zapamiętują najwyżej jedną. Ja staram się w każdej pracy zawrzeć jakąś jedną nową myśl i ją odpowiednio podkreślić. Jeśli mam kilka nowych pomysłów – każdy z nich wprowadzam w innej publikacji”.

Gdy ja początkowo byłem gotów polemizować w druku z każdą napotkaną błędną pracą, prof. Kemula pouczał mnie, że polemiki na ogół do niczego nie prowadzą, a złe prace należy po prostu przemilczać nie cytując ich, nie reagując – niech umierają własną śmiercią.

Kemula uważał, że samotna publikacja ginie w gąszczu literatury naukowej, więc to co istotne należy publikować nawet po kilka razy – w nieco zmienionej formie i w innym czasopiśmie – aż dana praca przebije się do świadomości innych badaczy. Prof. Hurwic napisał w swym wspomnieniu o Kemuli: „wśród jego publikacji znajdują się powtórzenia z niedużymi modyfikacjami, można powiedzieć – prawie autoplagiaty. Dobrze spełniały jednak swoje przeznaczenie, trafiając do innych czytelników.”¹³³. Takie autoplagiaty spotykały i mnie u początku mej działalności naukowej. Krótki komunikat rozrósł się i wzbogacił w szczegóły, w różnych językach¹³⁴. Później starałem się tego unikać, ale nie zawsze mi się to

¹³¹ Z. R. Grabowski: *O produktach redukcji anionu azotanowego na kropłowej katodzie rtęciowej*. „Roczniki Chemii” 1953 27 s. 285–291.

¹³² L. Meites: *Millicoulometry. II. The purported reduction of nitrate at the dropping mercury electrode*. „J. Am. Chem. Soc.” 1951 73 s. 4115–4119.

¹³³ J. Hurwic: *Złote ręce i nieprzeciętny umysł*. „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki” 2002 47 nr 1, s. 55–62.

¹³⁴ W. Kemula, Z. R. Grabowski: *Experimental demonstration of the hydroxyl ions formation during the polarographic reduction of oxygen*. „Coll. Czechoslov. Chem. Commun.” 1950 15 s. 1085–1090; oraz: *O powstawaniu jonów hydroksylowych podczas polarograficznej redukcji tlenu*. „Roczniki Chemii” 1951 25 s. 350–358.

udawało – zdarzało się, że ogłaszali rzecz ponownie moi współautorzy, powiadając mnie o tym dopiero *post factum*¹³⁵.

Gdy byłem później pouczany przez mego mistrza, który przygotowywał mnie do kariery naukowej, o różnych takich i innych zachowaniach jako o warunkach skutecznego działania w nauce, pozwoliłem sobie ofiarować mu kiedyś na imieniny książeczkę Pietra Aretino *Jak Nanna swą córeczkę Pippe na kurtyzanę kształciła*¹³⁶. Przeszło to jednak bez komentarza.

Badając redukcję anionu azotanowego, wykryłem, że jej autokatalityczny mechanizm w obecności La^{+++} wiąże się z powstawaniem form zasadowych, $\text{La}(\text{OH})^{++}$, $\text{La}(\text{OH})_2^+$ lub $\text{La}(\text{OH})_3$ (por. przypis 130), zmieniających radykalnie strukturę warstwy podwójnej przy powierzchni elektrody. Stosowałem do tego teorię Frumkina kinetyki procesów elektrodowych, a rolę tych form zasadowych La^{III} udało mi się udowodnić przez zastosowanie buforów – efekt autokatalityczny zniknął. Równocześnie z opisaniem przeze mnie autokatalitycznego procesu redukcji, ukazały się na podobny temat prace Maška w Pradze¹³⁷, oraz prace Frumkina i Żdanowa¹³⁸ – niezgodne częściowo z moimi wynikami. W jednej z następnych prac przyznawali oni zresztą rację moim wnioskami. Nie chciałem jednak wszczynać polemiki z największym autorytetem elektrochemicznym, jakim był Frumkin, tym bardziej, że zainteresowało mnie już coś innego. Poza paroma drobniejszymi publikacjami, główne moje tezy zawarłem w dysertacji doktorskiej^{139,140} – i nigdy ich właściwie nie ogłosiłem, poza dyskusjami na zjazdach¹⁴¹, kontynuowanymi w bezpośrednich dyskusjach z Frumkinem.

¹³⁵ Np. wspólną pracę: D. Huppert, S. D. Rand, P. M. Rentzepis, F. P. Barbara, W. S. Struve, Z. R. Grabowski: *Picosecond kinetics of p-dimethylaminobenzonitrile*. „J. Chem. Physics” 1981 **75** s. 5714–5719 moi amerykańscy współautorzy nieomalże powtórzyli w innym czasopiśmie: D. Huppert, S. D. Rand, P. M. Rentzepis, F. P. Barbara, W. S. Struve, Z. R. Grabowski: *Dynamics of the dual fluorescences of p-dimethylamino-benzonitrile*. „J. Photochem.” 1982 **18** s. 89–95.

¹³⁶ Warszawa 1958, Państw. Inst. Wydawniczy, stron 103.

¹³⁷ J. Mašek: *Polarografická redukce anorganických kyslíkatých anionů. I. Diskontinuita na polarografických křivkách*. „Chem. Listy” 1952 **46** s. 200–204.

¹³⁸ А.Н. Фрумкин, С.И. Жданов: *К вопросу о восстановлении иона нитрата на капельном ртутном электроде*. „Докл. Акад. Наук СССР” 1953 **92** s. 629–632.

¹³⁹ *Redukcja anionu azotanowego na kroplowej elektrodzie rtęciowej*. Dysertacja kandydacka, UW 1951–54, 107 stron maszynopisu, 100 odnośników.

¹⁴⁰ Pracę porzedziłem *mottem*, które oddaje mój ówczesny nastrój:

Im głębiej w las, tym więcej drzew – tym większy mrok dokoła.

Gdy każdy błysk rozświetnia krew – ktoś prawdę poznać zdoła?

¹⁴¹ np. З.Ч. Г р а б о в с к и , [W:] *Труды 4-го Совещания по Электрохимии (1–6 октября 1956 г.)*. Москва 1959, Издат. Акад. Наук СССР, s.233–234 oraz reprints: А.Н. Ф р у м к и н : *ibid.* s. 237–238.

Niektóre prace zacząłem publikować bez mego promotora (por. przypis 131)¹⁴². Ponieważ moje zainteresowania różniły się z tym, do czego był przyzwyczajony lub co chciał robić prof. Kemula, po kilku rozmowach na temat autorstwa prac, zgodził się, że z nim będę publikował prace wykonywane pod moją opieką przez magistrantów Katedry, a resztę będę publikował samodzielnie, od czasu do czasu publikując coś wspólnie z nim.

Nauczyłem się bowiem dyskutować z prof. Kemulą. Jacek Fedorowicz ukuł w swoim czasie określenie „przymiotnik niwelujący”. W określeniu „demokracja ludowa” przymiotnik „ludowa” niwelował „demokrację”... Wiedziałem już, że prof. Wiktor Kemula stosuje w odpowiednim momencie swego rodzaju „zwrot niwelujący”. Profesor był dość porywczy, w dyskusjach łatwo się podniecał i zawzięcie bronił swego zdania. Ale gdy dostrzegł, że się zagalopował, że broni czegoś w sposób oczywisty niesłusznego, powtarzał to zwykle jeszcze raz, po czym dodawał, jakby w zamyśleniu: „w pewnym sensie, oczywiście...”

Moje zainteresowania skierowały się wówczas już ku reakcjom elektrodowym związków organicznych i mechanizmom procesów elektrodowych. Badaliśmy kilka *para-podstawionych* benzaldehydów, wykazujących jakieś dziwne zachowanie. Zajęło to trochę czasu i było przedmiotem paru prac, publikowanych ze współpracującymi ze mną koleżankami Teresą Bartel i Winią Turnowską-Rubaszewską (Fot.33), z prof. Kemulą lub bez niego. Gdy jednak jako wyraz uznania dla ich pracy, zaproponowałem obu koleżankom, by kolejną pracę ogłosiły same, bez mnie – prof. Kemula natychmiast się do tej pracy dopisał¹⁴³.

Kończąc pracę doktorską, interesowałem się więc już czymś innym – reaktywnością elektrodową związków organicznych. Dużą inspiracją były tu dla mnie reguły von Stackelberga^{144,145}, korelujące zmiany strukturalne z odwracalnością procesu elektrodowego. Rozwijałem je potem w swoich pracach szczegółowych i w próbach uogólnień (por. przypis 65)¹⁴⁶: im mniejsza zmiana struktury mole-

¹⁴² Z. R. Grabowski, W. Turnowska: *Porównanie widm absorpcyjnych anionu NO₃ i jego zdolności do redukcji katodowej*. „Roczniki Chemii” 1955 29 s. 746–753.

¹⁴³ W. Kemula, E. T. Bartel, W. Rubaszewska: *The polarographic and spectrophotometric study of p-aminobenzaldehyde*. „Roczniki Chemii” 1959 33 s. 1125–1135.

¹⁴⁴ M. von Stackelberg: *Elektrochemische Potentiale organischer Stoffe*. [W:] E. Müller: *Methoden der organischen Chemie (Houben-Weyl)*. 1955 Stuttgart Bd.3 Teil 2 s. 255–294; *Polarographie organischer Stoffe*. *ibid.* s. 295–349.

¹⁴⁵ Wiosną 1959 r. odwiedziłem prof. Maxa von Stackelberga na uniwersytecie w Bonn. Oprócz dyskusji naukowej zainteresowało go to, że mówię po rosyjsku. U niego w domu rozmawialiśmy z całą rodziną po rosyjsku i bardzo ucieszyli się z tej sposobności. Była to rodzina baronów kurlandzkich, a rosyjski był uprzednio ich językiem codziennym

¹⁴⁶ Z. R. Grabowski: *Zastosowanie reguły Hammetta do polarograficznej redukcji aldehydów*. „Roczniki Chemii” 1954 28 s. 513–515; E. T. Bartel, Z. R. Grabowski: *Mechanizm polarograficznej redukcji aldehydów aromatycznych w roztwo-*

kularnej, „szkieletu” cząsteczki, jeśli nie muszą ulegać rozerwaniu wiązania kowalencyjne – tym proces elektrodowy jest szybszy, bardziej *odwracalny*.

Przez wszystkie te lata, aż po rok odwilży 1956, byliśmy – cała polska nauka – bardzo izolowani od świata. Poza partyjnymi dygnitarzami prawie nikt nie wyjeżdżał za granicę, prawie nikt nas nie odwiedzał. W 1953 roku po raz pierwszy zjawiał się w Katedrze roboczo cudzoziemiec – dr Petr Zuman, bliski współpracownik Jaroslava Heyrovskiego. Dwumetrowy, bystry, inteligentny (Fot.31). Mój rówieśnik, ale z ogromnym już dorobkiem publikacyjnym. Okazało się, że już kiedyś Polskę odwiedził, ale jako ... sędzia koszykówki, był bowiem znakomitym koszykarzem – a sportowcy należeli do tych nielicznych, którzy mogli czasem wyjeżdżać za granicę. Zaprzyjaźniliśmy się, byłem jego *guide'm*, gdy pojechalismy razem do Krakowa i Oświęcimia. Odmówiłem jednakże wspinaczki na Wieżę Mariacką (Petr poruszał się jak górską kozica). Wtedy natomiast pierwszy raz odwiedziłem obóz w Oświęcimiu – i byłem tak wstrząśnięty tym, co zobaczyłem, że nie odważyłem się tam już pojechać nigdy więcej. Dyskusje z Petrem utwierdziły mnie w zamiarze badania procesów elektrodowych związków organicznych. Niemal równocześnie ogłaszaliśmy swe prace o zastosowaniu reguł Hammetta w polarografii (por. przypis 146)^{147,148}.

Egzamin doktorski miałem zdawać przed komisją, w skład której wchodził również prof. Ignacy Złotowski. Powiedział mi przedtem: „pańska dysertacja dotyczy chemii nieorganicznej, elektrochemii, kinetyki elektrodowej. Ja się na tym nie znam, ale to nie ja mam zdawać egzamin doktorski, tylko pan. Niech się pan więc nauczy tego, na czym ja się znam – chemii jądrowej!”. Miałem więc ciężki kawałek chleba do zgryzienia, bo była to wówczas najszybciej rozwijająca się dziedzina chemii – ale ciekawa i ważna.

Co więcej, w tym czasie (był to rok 1955) nie nadawano stopnia doktora – tylko, wzorem ZSRR, kandydata nauk. Jestem więc *kandydatem nauk chemicznych*¹⁴⁹.

rach alkalicznych. [W:] *Prace Konferencji Polarograficznej – Warszawa 1956*, Warszawa 1957 PWN, s. 323–331; *Polarografia związków organicznych*. [W:] J. Chodkowsk i : *Wstęp do polarografii teoretycznej*. Warszawa 1958 PWN, s. 168–189.

¹⁴⁷ P. Z u m a n : *Význam Hammettovy rovnice pro polarografické řešení konstitutivních otázek*. „Chem. Zvesti” 1953 **8** s. 939–952.

¹⁴⁸ Petr Zuman *wybrał* potem *wolność* w USA, aż do emerytury był profesorem Clarkson University w Potsdam, NY, elektrochemikiem i znawcą metod analizy elektrochemicznej.

¹⁴⁹ Prof. Osman Achmatowicz (senior), wówczas v-minister szkolnictwa wyższego, tłumaczył nam: „to wcale nie jest naśladowanie ZSRR. Stopień kandydata nauk wprowadziła w Polsce Komisja Edukacji Narodowej w XVIII wieku, a Rosjanie to przejęli od nas”.

KOLEJNE PRÓBY ZNALEZIENIA SWEJ DROGI

Zrażony do prof. Kemuli, za uniemożliwienie mi pracy nad borowodorami i za sprawy współautorstwa publikacji, a zainteresowany teraz głównie reaktywnością związków organicznych i wolnymi rodnikami, poszedłem na Politechnikę do wybitnego organika, prof. Tadeusza Urbańskiego, który był dyrektorem organizującego się Instytutu Chemii Organicznej PAN. Przedstawiłem mu moje zamierzenia i zapytałem, czy byłoby możliwe przenieść się do niego. Prof. Urbański w zasadzie akceptował, ale miało to jeszcze wymagać nieco czasu. Gdy wróciłem godzinę później do swej pracowni, wezwał mnie do siebie prof. Kemula i oświadczył: „myślał pan, że ode mnie tak łatwo można odejść? Nie, my wszyscy jesteśmy powiązani ze sobą więzami solidarności. Bez mojej zgody pan stąd nie odejdzie!”

Byłem tym wszystkim bardzo dotknięty.

Anka była już magistrem, ja – doktorem, czy też poprawniej *kandydatem nauk*. Staliśmy przed wyborem wymarzonej przyszłej wspólnej dziedziny badań. Wykorzystując nasze przygotowanie elektrochemiczne postanowiliśmy zająć się elektrofizjologią mózgu i układu nerwowego. Ta pasjonująca dziedzina była wówczas jeszcze w powijakach.

Poszedłem po radę do prof. Jana Dembowskiego, którego znakomite przedwojenne książki popularnonaukowe dawno już wzbudziły we mnie zainteresowanie biologią. Dembowski był wówczas prezesem PAN. Chudy, ponury, przyjął mnie w swym ogromnym gabinecie prezesa w Pałacu Staszica (*Pałac Kultury i Nauki* był dopiero w budowie). Wysłuchał, smutno pokiwał głową i rzekł: „tak, to jest wielka i potrzebna dziedzina badań. Ale na to potrzeba dużego zespołu ludzi, całych instytutów, dużych pieniędzy... Polska jest krajem biednym, nas na to nie stać...”

Pomimo tej smętnej prognozy, zaangażowaliśmy się jednak u prof. Jerzego Konorskiego, który jako jedyny w Polsce zajmował się fizjologią układu nerwowego. Mieliśmy wkrótce przejść na etaty w Instytucie Nenckiego. Przedtem jednak jego żona, doc. Lubińska, wzięła Ankę na próbę do laboratorium, by jej asystowała przy wypreparowywaniu nerwu z żywego, uśpionego kota. Wrażenie było rzeczywiście tak piorunujące, że zdecydowaliśmy: „nie – tego robić nie będziemy!”

I postanowiliśmy zająć się prostymi cząsteczkami chemicznymi, które chyba nie odczuwają cierpienia gdy na nich wykonujemy eksperymenty.

Taką pasjonującą dziedziną wydała nam się ledwie wyłaniająca się z niebytu *chemia stanów wzbudzonych*. Już ta odrobina wiedzy na temat wzbudzonych cząsteczek, którą zdołaliśmy uprzednio osiąść, była pasjonująca: nowe struktury, zmieniona reaktywność, nieoczekiwane reakcje – a dotychczasowa, klasyczna chemia, której się uczyliśmy i uczyliśmy jej innych, staje się już tylko *chemią stanów podstawowych*.

Atomy lub cząsteczki ulegają wzbudzeniu najłatwiej pod wpływem światła, absorbując foton promieniowania widzialnego lub ultrafioletu.

Prof. Wikor Kemula przed wojną zajmował się głównie właśnie fotochemią, przede wszystkim rodnikowymi reakcjami prostych węglowodorów nasyconych naświetlanych w fazie gazowej. Po wojnie marzył o wznowieniu prac z fotochemii gazów, nie nadążał jednak za ówczesnym szybkim postępem w tej dziedzinie. Praca magisterska Anki – porównanie kilku *aktynometrów* chemicznych i zastosowanie metod elektrochemicznych do ich badania – była tu pierwszą sondą. Była dla nas zarazem sposobnością do niełatwego wówczas gromadzenia choćby najbardziej elementarnej sprzety i odczynników – lamp rtęciowych, filtrów, okienek kwarcowych.

Anka podjęła badania w tym kierunku od razu po uzyskaniu magisterium. Ja miałem wtedy jeszcze w toku swą pracę doktorską i kilka innych tematów elektrochemicznych. Trzeba było te prace rozwinąć i zakończyć. Choć więc i ja wszedłem w badania stanów wzbudzonych już od 1958 r., to pracowałem i w jednej i w drugiej dziedzinie, tak, że ostatnia z moich prac polarograficznych ukazała się dopiero w 1969 r.¹⁵⁰

ALEKSANDER FRUMKIN I MOSKWA

Mój pierwszy wyjazd za granicę (nie licząc Danii w 1946 r.) – do Moskwy – nastąpił w rok po doktoracie, jesienią pamiętnego skądinąd roku 1956¹⁵¹. Pojechałem na miesięczny staż do laboratorium najwybitniejszego wówczas chyba w świecie elektrochemika, prof. Aleksandra Naumowicza Frumkina (Fot.39). Zostałem tam niezwykle przyjaźnie przyjęty¹⁵². W następnych latach jeździłem do niego wielokrotnie, a Frumkin poświęcał mi sporo czasu, wywarł na mnie duże wrażenie i silny wpływ – był jednym z trzech ludzi, którzy osobiście najsilniej wpłynęli na mój rozwój naukowy; obok niego byli to Wiktor Kemula i Theodor Förster.

Aleksandr Naumowicz Frumkin (1895–1976) pochodził z Odessy; był człowiekiem nie tylko ogromnej wiedzy i intuicji naukowej, ale i wysokiej kultury. W jego laboratorium, obok młodych ludzi, zetknąłem się z badaczami średnie-

¹⁵⁰ W. Kemula, Z. R. Grabowski, M. K. Kalinowski: *Do aromatic pinacols oxidize at a mercury electrode?* „J. Am. Chem. Soc.” 1969 **91** s. 6863–6864.

¹⁵¹ I w ten sposób przegapiłem polski październik, o którym wiedziałem tylko skąpo z rozmów telefonicznych z Anką (jakże wtedy trudno dostępnych!) i z czytania *międzywierszami* rosyjskich gazet.

¹⁵² Wyraził nawet bardzo pozytywną o mnie opinię w druku [A.Н. Фрумкин: *Встречи с польскими и немецкими химиками*. „Вестник Акад. Наук СССР” 1957 nr 11 s.122–128].

go pokolenia, jakich u nas po wojnie już prawie nie było – jeszcze *przedwojennymi*, wówczas już 40–50 letnimi, z dużym doświadczeniem i dorobkiem: Aleksander Bagockij, Irina Bagockaja, Tatjana Kriukowa i ówczesna żona Frumkina, miła i mądra, serdeczna dla mnie Amalia Dawydowna¹⁵³. Frumkin był naturą poniekąd renesansową: od dziecka wybitnie zdolny, swą pierwszą ważną monografię napisał jako student jeszcze w czasie rewolucji¹⁵⁴. Pierwszą jego żoną była poetka Wiera Inber, później przyjaciółka Majakowskiego. Z tych czasów datuje się zainteresowanie Frumkina sztuką, poezją, teatrem. W nauce jego działalność była niezwykle wszechstronna. Odegrał podobno kluczową rolę w opanowaniu technicznych problemów korozji w pierwszych sowieckich reaktorach jądrowych. W czasie, gdy go poznałem, był szefem – i to rzeczywistym, inspirowanym, aktywnym i krytycznym, dwu wielkich laboratoriów (na Uniwersytecie i w Akademii Nauk) i najbardziej znanym w świecie elektrochemikiem. A latem, jeszcze w wieku 60 lat, potrafił konno, w towarzystwie przewodnika, wędrować po górach Kaukazu. Po moim pierwszym pobycie w 1956 r., byłem u Frumkina jeszcze m. in. w roku 1958 i 1963.

W 1976 r. Aleksander Frumkin zmarł. Wraz z Joanną Taraszewską zdołaliśmy błyskawicznie uzyskać paszporty i byliśmy chyba jedynymi cudzoziemcami na jego pogrzebie. Zachowałem dla niego ogromny podziw, szacunek i wspominam go jako wielkiego człowieka, którego przyjaźń była dla mnie dużym wyróżnieniem¹⁵⁵.

Aleksandr Naumowicz korespondował z uczonymi w całym świecie, miał licznych przyjaciół – i dzięki nim był nie gorzej ode mnie *au courant* tego, co w ZSRR było zakazane w nauce, sztuce, literaturze. Nabrał do mnie jakoś zafascynowania, woził mnie na swą *daczę*, otoczoną domkami innych znanych członków Akademii, których miałem okazję tam spotykać.

Ustrój sowiecki przyjmował jako zło konieczne, a za swój główny obowiązek uważał umożliwianie swoim uczniom pracy badawczej, rozwój stworzonego przezeń Instytutu Elektrochemii i uchronienie go przed przewalającymi się *burzami politycznymi*¹⁵⁶. Prowadziło to czasem do zachowań moralnie nie

¹⁵³ Amalia Dawydowna Obruczewa (1894–1968), niezwykle serdeczna i sympatyczna, była nie tylko żoną, ale i współpracowniczką Frumkina na przestrzeni 40 lat. W 1968 r. zmarła – dokonała samobójstwa. W tymże roku Frumkin ożenił się po raz trzeci – z Emilią Georgiewną Pierewałową, profesorem chemii metalo-organicznej.

¹⁵⁴ А. Н. Ф р у м к и н : *Электрокапиллярные явления и электродные потенциалы*. Одесса 1919, stron 280.

¹⁵⁵ O jego życiu wiele, choć w stylu hagiograficznym, napisali jego uczniowie i bliscy: *Александр Наумович Фрумкин: очерки, воспоминания, материалы*. (Я.П. Стрaдынь, ред.) Москва 1989 Наука, stron 431.

¹⁵⁶ Były to czasem *burze w szklance wody*, ale miały wpływ na sowiecką naukę. Gdy prezesem Akademii Nauk ZSRR został chemik *metaloorganik* Niesmiejanow, wszczęto

dających się zaakceptować. Gdy jego najbliższy współpracownik i desygnowany następca Benjamin Lewicz złożył wniosek o emigrację – Frumkin nie tylko usunął go z Instytutu, ale, gdy chciałem się zobaczyć z Lewiczem – skłamał mi, że Lewicza nie ma w Moskwie. Byłem tym wstrząśnięty. A tak łamała ludzi i ich charaktery duszna atmosfera wisząca nad wszystkim terrorem.

Aleksander Frumkin rzekł mi w 1958 r.: „będziesz musiał zajmować się w Polsce planowaniem w nauce. Załatwiłem ci wstęp na posiedzenie, na które się cudzoziemców nie wpuszcza”. Wprowadził mnie na posiedzenie Wydziału Chemii Akademii Nauk ZSRR, poświęcone planowaniu badań. Posadził mnie koło siebie i objaśniał. Referentem był prof. Kargin, w mundurze generała, z lampasami na spodniach; podobno szef wojsk chemicznych, specjalista od gazów bojowych... Wyjaśnił, że w świecie kapitalistycznym ogromnie szybko rozwinięły się nie tylko badania, ale i olbrzymia produkcja najrozmaitszych polimerów, a ZSRR pozostał w tyle. Zachodzi konieczność rozwinięcia na wielką skalę badań nad polimerami i stworzenia przemysłu tworzyw sztucznych. Ma to być – po opanowaniu energii jądrowej – następny ogólnopństwowy program badań na taką skalę. Trzeba *przekwalifikować* wiele instytutów, prowadzących badania w mniej aktualnych dziedzinach. Po czym na ogromnej mapie pokazywał kilkadziesiąt instytutów – rozsianych po całym ogromnym terytorium ZSRR – które powinny się przestawić z dotychczasowych dziedzin na badania polimerów, a członkowie Akademii usiłovali wykazać, że ich dziedziny badań też mogą coś wnieść... Byłem przerażony, mówiłem Frumkinowi: „przecież ci ludzie zaprzepaszczą swój dotychczasowy dorobek, a twórcze wejście w nową dziedzinę to kilka lat bezpłodnej pracy, zanim zacznie ona owocować! Co więcej, z tego co słyszę, wiele instytutów będzie pracować nad tym samym? Tak, odrzekł Frumkin, my to przecież wiemy. Jeśli z każdych 100 zaplanowanych teraz prac 2–3 okażą się użyteczne, to już będzie sukces. Ale inaczej nie możemy pokonać tego opóźnienia...”.

Od tej chwili byłem i jestem nadal uczulony na „planowanie w nauce”. Wiem już, jak jest to dla nauki zabójcze i na szczęście nigdy nie przyszło mi się do tego przyczyniać. A wkrótce byłem świadkiem, już na drodze obserwatora z zewnątrz, jak sowieckie laboratoria luminescencyjne „przekwalifikowuje się” raptownie na badania laserów – bo i w tej dziedzinie ZSRR pozostał w tyle za Amerykanami...

budowę ogromnego i najnowocześniejszego Instytutu Chemii Metaloorganicznej. A gdy Instytut był już na ukończeniu, Niesmiejanowa *zdjęto* z prezesury Akademii – i budowę instytutu niezwłocznie ... przerwano.

¹⁵⁷ Przepustkę; trzeba było wszędzie uzbrojonym strażnikom okazywać odpowiednią przepustkę. Kiedyś przyjechałem z dacy z Frumkinem do instytutu, którego on był dyrektorem. Okazało się, że zapomniał przepustki! Strażnik wpuścił mnie, ale Frumkin musiał zawrócić na daczę po przepustkę. To nie dyrektor wystawiał i kontrolował przepustki – ale KGB.

Atmosferę i sposób myślenia w Sowietach niełatwo opisać; przytoczę jednak choć kilka własnych przeżyć. W 1958 r. mieszkałem w pokoju gościnnym na Uniwersytecie Moskiewskim, będąc (na zaproszenie Frumkina) pierwszym docentem, przybyłym w ramach wymiany z Uniwersytetu Warszawskiego. Dostałem *пропуск*¹⁵⁷, który upoważniał mnie do wchodzenia na Wydział Chemii (*химфак*) określoną bramą, tylko jedną z trzech, i do korzystania z jednej tylko klatki schodowej – prowadzącej do sali wykładowej. Zapytałem kiedyś – nie na wykładzie – studentkę, po co te przepustki, przecież każdy ma chyba prawo posłuchać uniwersyteckiego wykładu. Ona mi na to: „kiedyś na wykładzie matematyki wyszło na jaw, że jeden ze słuchaczy to był attaché amerykańskiej ambasady!”. Na moje: „no to co?” usłyszałem: „tak przecież być nie mogło! Wprowadzenie «пропусков» było konieczne!”. Jednym z uczniów Frumkina był Stiepan Iwanowicz Żdanow. Pracowaliśmy nad podobnymi zagadnieniami, co doprowadziło nawet do wspólnej publikacji¹⁵⁸. Żdanow był sekretarzem partii w Instytucie Elektrochemii AN ZSRR. Gdy przyjechał do Warszawy, Anka zaprosiła go do nas do domu, razem z bardzo sympatyczną stażystką z Instytutu Nenckiego, nazywała się bodajże Jewgenia Płonskaja. Poszliśmy potem we czwórkę do znanego studenckiego klubu, „Stodoły”. Tańczyło się tam modne wówczas *boogie-woogie*. Żdanow nie zatańczył, ale i ona odmówiła, choć jej się oczy do takiego tańca śmiały. Wyjaśniła mi później: „gdyby Żdanow zobaczył, że ja coś takiego tańczę – już nigdy więcej nie dostałabym paszportu!”. A w Instytucie powiedziano mi, że oni rzeczywiście boją się Stiepana Iwanowicza i rozmów z nim unikają.

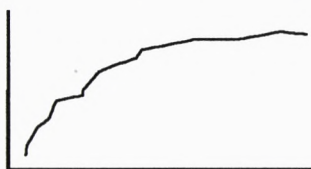
Minęło kilka lat, przyjechałem znowu do Moskwy. Gdy zapytałem o Żdanowa, zapadło jakieś zakłopotane milczenie. Potem się dowiedziałem, że Żdanow powiedział swej żonie, że będą musieli się rozejść, bo on ma jakąś inną kobietę. Ale żony w ustroju sowieckim bywały nie w ciemną bite; ona pobiegła do dzielnicowego komitetu partyjnego i doniosła, że jej wysoce partyjny mąż wieczorami zawsze słucha *Radia Swoboda* (rosyjskiej rozgłośni *Wolnej Europy*), a jego partyjne poglądy są kłamstwem. W ciągu dwu dni Żdanow utracił swą funkcję sekretarza, został wyrzucony z partii, a zaraz potem z Instytutu. W ślad za tym przyszedł zawał serca i Żdanow wkrótce zmarł w szpitalu...

Było to w 1956 r. Spoglądając skądś z wysoka na panoramę Moskwy, zapytałem mą zaprzyjaźnioną przewodniczkę, Ninę Aleksandrownę: „popatrz, tam przecież, w samym mieście, stoi chyba *reaktor jądrowy!*?” – „A skąd ty to wiesz?” Wyjaśniłem jej, że okrągły pseudoklasycyński wysoki budynek, z kopułą, kolumnami dookoła, a bez okien, nasuwa od razu takie przypuszczenie. „Rzeczywiście,” – odrzekła – „masz rację. To jest reaktor Instytutu Techniki Ciepłej! Jednakże... to jest tajemnica państwowa!”. Ja: „Ale ten reaktor stoi

¹⁵⁸ З.Р. Грабовски, С.И. Жданов: *К вопросу о полярографии гидроксилamina*. „Журн. Физ. Хим.” 1957 31 s. 1162–1165.

przecież w środku miasta, domy mieszkalne są kilkadziesiąt metrów od reaktora. To jest zagrożenie zdrowia i życia okolicznych mieszkańców!”. A ona na to: „No więc właśnie, to jest tajemnica – oni nic o tym nie wiedzą!”.

Z tajemnicą stykałem się tam na każdym kroku. Do większości instytutów Akademii trzeba było z dużym wyprzedzeniem starać się o pozwolenie na wizytę. Poszedłem – po uzyskaniu zezwolenia – do Instytutu Fizyki, odwiedzić znakomitego badacza luminescencji, W.L.Lowszina. Ubrojony strażnik przekazywał mnie w następnym korytarzu innemu – i tak dotarłem do prof. Lowszina. Rozmawiał właśnie przy tablicy z asystentem, który na mój widok wyszedł. Zaczęliśmy rozmowę z Lowszinem, gdy ten nagle spojrzął na tablicę, zbladł jakby z przerażenia i szybko zmasał to, co było na tablicy;



Rys. 2. Była to jakaś krzywa, nawet bez oznaczenia osi współrzędnych.

Dopiero po starciu tej tajemnicy Lowszin spokojniej wrócił do rozmowy o swoich pracach.

Innym razem zadzwoniłem do elektrochemika-analityka Jakowa Gochsztejna, bo byłem niedawno jednym z recenzentów jego pracy doktorskiej, miałem doń pewne pytania. Okazało się, że zobaczenie się z nim przestało być proste: pracował teraz w Instytucie *Materiałów Wysoko-temperaturowych* (oznaczało to zapewne rakiety lub materiały wybuchowe). Pewnego dnia dano mi znać, że mogę się spotkać z Gochsztejnem w jakimś jeszcze innym instytucie. A tam mogliśmy przeprowadzić tylko zdawkową rozmowę w obecności cały czas siedzącego z nami milczącego funkcjonariusza; na moje konkretne pytania dotyczące jego uprzednich badań – Gochsztejn po prostu nie odpowiadał!

Wielokrotnie proponowano nam współpracę, czynił to np. fotochemik Michaił Alfimow z instytutu Akademii Nauk w Czernogółowce pod Moskwą. Chciał przysyłać do nas swoich współpracowników. Ale okazywało się, że my do nich przyjeżdżać nie możemy. Takiej „współpracy” nie akceptowałem.

W czasach *późnego Breżniewa* dyrekcja naszego Instytutu dała nam wszystkim znać, że przyjeżdża z Moskwy prof Emanuel, a jest to nie tylko wybitny uczony, ale i *bliski przyjaciel Breżniewa*. Wiele od niego zależy. Emanuel¹⁵⁹ był jednym z głównych dygnitarzy w sowieckiej Akademii Nauk, a zarazem wice-dyrektorem Instytutu Fizyki Chemicznej AN. Zwiedził nasz Instytut, po czym zadeklarował chęć współpracy – ale tylko z naszym laboratorium. Wkrótce też

¹⁵⁹ Nikołaj Markowicz Emanuel (1915–1984), badacz wolnych rodników i kinetyki reakcji, autor cennych monografii.

nadeszło dla mnie i Anki zaproszenie do Moskwy. Tak się złożyło, że wygodniej nam było przyjechać tam o dzień wcześniej, niż to uprzednio uzgodniliśmy. Z drugiej strony telefonu usłyszałem jęk: „czy my zdążymy przygotować ...?”.

Nasz *guide* oczekiwał nas na dworcu z miną niewyraźną. Gdy przyjechaliśmy do Instytutu, wyszedł do nas na podwórze sam dyrektor, Siemionow¹⁶⁰, w towarzystwie Emanuela. Pokazywali nam piękną perspektywę Moskwy, tłumacząc równocześnie, że *пропуски* jeszcze nie są podpisane. Okazało się, że to nie dyrektor Instytutu wydaje zezwolenie, tylko ... ktoś od niego zupełnie niezależny. Wobec tego zostaliśmy zaproszeni na śniadanie – *do mieszkania* jednego z uczonych. Witalij Josifowicz Goldanskij był autorem ciekawej hipotezy o zimnych załączkach Życia w materii międzygwiazdowej. Zjedliśmy u niego śniadanie, pomówiliśmy o kosmochemii i okazało się, że *пропусков ещё нет...* Przyjechał po nas sam prof. Emanuel, obwoził po Moskwie, pokazując nam niektóre ciekawe miejsca. Zatrzymaliśmy się przed pomnikiem Mendelejewa. Zapytał mnie, jak myślę – „czy Mendelejew był członkiem Rosyjskiej Akademii Nauk? – „na pewno tak!” – „a właśnie, że nie! A wiesz dlaczego nim nigdy nie został?”. Nie miałem pojęcia. – „bo za dużo mówił co myśli.... A ty również weź to pod rozwagę...”. Tu wyciągnął z kieszeni jakiś list i podał mi go. „Czy poznajesz ten charakter pisma?”. A był to list dyrektora naszego Instytutu, Wojciecha Zielenkiewicza, w którym on przestrzegał Emanuela, żeby uważał rozmawiając z Grabowskim, bo ten Grabowski to wróg... – „Żebyś wiedział, kogo masz za dyrektora” – pouczył mnie ten przyjaciel Breżniewa, człowiek niewątpliwie cyniczny, ale o którym usłyszałem potem wiele dobrego.

Po kilku godzinach były już przepustki. Zwiedzaliśmy kilka laboratoriów, ale gdy przechodziliśmy z jednego do drugiego, kierownik zakładu, w którym byliśmy, pożegnał nas przed drzwiami: „do tego budynku *ja* już nie mam przepustki...”. Najbardziej interesowało nas laboratorium chemiluminescencji, kierowane przez Rostisława Fiodorowicza Wasiliewa, z którym się na długie lata zaprzyjaźniliśmy.

Inna trudność wynikła gdy mieliśmy odwiedzić Instytut Spektroskopii w Troicku. Nasze dokumenty pozwalały nam przebywać tylko w kręgu 40 km od Placu Czerwonego. Troick jest w odległości 41 km! W końcu zawieziono nas tam *nie-*

¹⁶⁰ Nikołaj Nikołajewicz Siemionow (1895–1986) – słynny badacz kinetyki reakcji w gazach, laureat Nagrody Nobla w 1956 r. „za badania mechanizmu reakcji chemicznych”. Siemionow opowiadał mi kiedyś, jak to jeszcze jako student badał świecenie par fosforu przy jego powolnym utlenianiu. Doświadczenia były długie, trwały szereg dni, a trzeba je było przeprowadzać w ciemni. Przygotował sobie zapas chleba i herbaty, zamkał się w ciemni i prowadził obserwacje. Nazewnątrz były czasem jakieś hałasy, ale do niego to prawie nie dochodziło. Gdy po tygodniu wyszedł z zaciemnionego laboratorium – okazało się, że w tym czasie dokonała się rewolucja. „I taki był mój udział w rewolucji” – dodał.

legalnie. Piękny instytut, najnowocześniejszy ze znanych mi wówczas w ZSRR, świetne wyposażenie, najlepsze prace z spektroskopii laserowej, wybitni uczeni, a wśród nich znakomity Roman Personow¹⁶¹.

Zdumiały nas jednak dwie sprawy. Gdy dopytywaliśmy się o sowieckie fotopowielacze (czułe detektory promieniowania) okazało się, że – w odróżnieniu od delikatnych „zachodnich” – ich najważniejszą charakterystyką była... wytrzymałość na przyspieszenia do 1000g (to znaczy – na uderzenie przy ogromnej prędkości, a więc w rakietach).

Co jeszcze dziwniejsze, gdy tylko na dworze zaczął padać deszcz, wszyscy porzucili swe miejsca pracy i zaczęli biegać z miednicami i wiadrami, stawiając je w przygotowanych miejscach. „Musimy uchronić przyrządy, tu są dziury w dachu – objaśniali nam. Zdumieliśmy się: takie znakomite wyposażenie laboratorium – dlaczego nie remontujecie dachu?”. Sprawa okazała się typowa: reperację dachu trzeba wstawić do planu i w najlepszym razie będzie ją można przeprowadzić za rok!

BENJAMIN LEWICZ

Lewicz był fizykiem, uczniem wspaniałego uczonego, Lwa Landau'a¹⁶². Wieniamin Grigoriewicz Lewicz, gdy go poznałem i zaprzyjaźniłem się z nim, był bliskim współpracownikiem Frumkina, twórcą ważnej dla elektrochemii *fizykochemicznej hydrodynamiki*¹⁶³. Stworzył on na podstawie wymagań ścisłej teorii nowy przyrząd – wirującą elektrodę dyskową, która zyskała duże znaczenie. Współpraca z sowieckimi uczonymi nie była łatwa ze względów formalnych. Uzgodniwszy z Lewiczem zadania wspólnej pracy, przesyłaliśmy mu pocztą nasze wyniki. Od przysłał nam w końcu maszynopis wspólnej pracy. Przeczytaliśmy go z przerażeniem: ostateczny wzór zawierał błąd, a nadto pominięto nazwisko mego współautora. Natychmiast zatelefonowałem do Lewicza, a on mi powiedział, że praca jest w druku. Jemu nie wolno było przesłać za granicę żadnych materiałów naukowych, dopóki nie będą w druku (nawet współautorom!!!). Teraz nic już nie można zrobić, chyba później wydrukować

¹⁶¹ Roman Iwanowicz Personow (1932–2002) był współodkrywcą *quasi-liniowych widm Szpolskiego* w absorpcji, odkrywcą wąskoliniowych widm fluorescencji molekularnej (1972) i zjawisk *wypalania „dziur” widmowych* (1974). Jego prace, bardzo dla nas ważne, spowodowały duży przełom w badaniach luminescencji.

¹⁶² Lew Landau był laureatem Nagrody Nobla w 1962 r., „za jego pionierskie teorie materii skondensowanej, zwłaszcza ciekłego helu”.

¹⁶³ В.Г. Левич: *Физико-химическая гидродинамика*. Москва 1959 Гос. Издат. Физико-Матем. Литературы, stron 699. Było mi bardzo miło, że Lewicz w przedmowie zamieścił podziękowanie dla mnie za nasze dyskusje.

korektę. Tak też się stało¹⁶⁴ ale zrozumiałem, że z tym krajem na normalnej drodze współpracować nie sposób.

Ale nasza przyjaźń wiązała się nie tylko z nauką. Lewicz, niski, krępy, tryskający pomysłami i humorem¹⁶⁵, nigdy przedtem nie był za granicą, a ja byłem chyba pierwszym cudzoziemcem, z którym on się odważył szczerze rozmawiać. Gdy kiedyś przyszedłem do nich, zebrał rodzinę – żonę, bardzo tęgą i mądrą Tatanę Salomonownę i kilkunastoletnich synów, Żenię¹⁶⁶ i Saszę – zamknął uważnie drzwi, telefon okrył poduszką i kołdrą, po czym powiedział: „a teraz opowiadaj nam, jak to naprawdę jest w świecie, za granicą!”. Po dziś odczuwam wyrzuty sumienia, że jakoś jestem odpowiedzialny za dalsze losy tej rodziny. W 1962 r. udało mi się zaprosić go na kilka dni do Polski, w tym czasie wypuszczono go też raz na konferencję do Rzymu. W latach następnych na zaproszenia, wysyłane drogą oficjalną do AN ZSRR, otrzymywaliśmy odpowiedź: „Prof. W.G.Lewicz jest bardzo zajęty i nie może przyjechać. Gotowi jesteśmy skierować do was innego profesora” [sic!].

Zostałem zaproszony pierwszy raz do Lewiczów, na piątą. Ojciec mnie uczył, że wprawdzie w Polsce tego zwyczaju nie ma, ale za granicą trzeba być punktualnym. Przyszedłem więc punktualnie, zadzwoniłem. Trwało to dłuższą chwilę, aż otworzył mi drzwi przerażony gospodarz – w szlafroku i rannych pantoflach. „Ojej! Co się stało?”. Gdy wspomniałem o zaproszeniu na piątą, śmiał się długo. Okazało się, że jego żona właśnie była w wannie, bo w Moskwie gdy zaproszenie jest na piątą, to goście schodzą się po szóstej, a raczej dopiero o siódmej... Tak było i tym razem. Na przyjęciu u nich poznałem wielkiego Siemionowa, z którym potem przyszło mi stykać się wielokrotnie.

U Lewicza przeżyłem kiedyś kilka ciekawych godzin. Trwały wybory nowych członków-korespondentów sowieckiej Akademii Nauk. Być członkiem AN ZSRR to nie tylko zaszczyt, ale bardzo poważne przywileje. Każde takie wybory były piekłem intryg i protekcji. Lewicz kandydował, był wybitnym uczonym, ale *bezpartyjnym*; główny kontrkandydat był mocno partyjny. Lewicz siedział ze mną w domu, a co chwilę ktoś telefonował: „już X dał się namówić, będzie głosował na ciebie... Partia wywiera nacisk, by na ciebie nie głosować...” itp. A jednak Ben Lewicz został wtedy wybrany!

¹⁶⁴ В.Г. Левич, З.Р. Грабовски, В.Ю. Филиновский, А. Былина: *Кинетические и каталитические токи на высшем капельном электроде*. „Доклады Акад. Наук СССР” 1963 151 s. 179–182 + erratum ibid. 1964 154 1246.

¹⁶⁵ Mówił, że najlepiej mu się myśli, gdy prowadzi samochód. Mając problem matematyczny do rozwiązania nie brał kartki papieru, tylko wsiadał do swego *moskwicza* i jeździł po zatłoczonych ulicach Moskwy.

¹⁶⁶ Żenia Lewicz był genialnym dzieckiem. Polskie gazety pisały, że w wieku 13 lat został przyjęty na uniwersytet, a ukończył go z wyróżnieniem mając lat 17. Wiele lat później spotkalismy go dorosłego ale nie sprawiał wrażenia geniusza.

Kilka lat później, gdy tylko stało się to możliwe, Lewiczowie złożyli podanie o emigrację. Wybuchł duży skandal – Lewicz był pierwszym członkiem Akademii Nauk, który zdecydował się emigrować. Podanie odrzucono, w Instytucie napotkał szykany – ale mógł się tym niezbyt przejmować, bo członkowie Akademii mieli wiele zagwarantowanych praw. Jego synowie zostali natomiast zmobilizowani do karnych kompanii na dalekiej północy. Gdy w gazetach pojawiły się artykuły potępiające Lewicza, znajomi przechodzili na drugą stronę ulicy, a proste sprzedawczynie w sklepach okazywały im solidarność.

Lewicz włączył się do działań Andreja Sacharowa¹⁶⁷. Gdy z końcem lat 70. odwiedziliśmy go razem z Anką, opowiedział nam, jak to przebiega. W jakimś mieście ma się odbyć proces *dysydenta*. Sacharow dzwoni do biura Akademii: „tu akademik Sacharow, proszę o samochód” (jednym z przywilejów *akademika* jest prawo do służbowego auta z kierowcą). Zajeżdża auto, Sacharow z Lewiczem jadą paręset kilometrów. Samochód wraca. Oni idą na salę sądową. Tam już czekają *nieznani sprawcy*, na ogół w mundurach milicji, biją ich obydwu, tłuką Sacharowowi okulary, nie wpuszczają na salę. Sacharow telefonuje do Akademii: „tu akademik Sacharow, proszę o samochód!” Czekają, po czym potłuczeni wracają do Moskwy służbowym samochodem...

Po wyemigrowaniu Lewicz stał się w ZSRR orwellowską *unperson*. Nazwisko jego wykreślano ze wszystkich prac, które go cytowały. Uczniowie się go wyrzekli – nawet jego najbliższy uczeń, R.R. Dogonadze, którego on traktował jak syna. Lewicz wykładał na uniwersytetach w USA i w Izraelu, czynił wiele dla ułatwienia emigracji z ZSRR. Odwiedziłem go w Nowym Jorku, byliśmy razem w szpitalu u jego żony Tani; ona niebawem umarła, Ben Lewicz – wkrótce potem.

ELEKTROCHEMIA ORGANICZNA, WOLNE RODNIKI

Jeszcze w toku pracy doktorskiej zwróciłem swe zainteresowania ku mało trwałym organicznym indywiduom chemicznym – tautomerom, wolnym rodnikom, jono-rodnikom. Powstają one często jako produkty pośrednie w procesie przeniesienia protonu (tautomery)¹⁶⁸ lub elektronu (rodniki)¹⁶⁹, przekształcając

¹⁶⁷ Andrej Dimitriewicz Sacharow (1921–1989), fizyk-teoretyk, *twórca sowieckiej bomby wodorowej*, potem pacyfista, ideolog i czołowy działacz opozycji demokratycznej w ZSRR. W 1975 r. laureat pokojowej Nagrody Nobla. Nawet sowiecka Akademia Nauk – w tajnym głosowaniu – nie zdołała pozbawić go członkostwa.

¹⁶⁸ Z początku poddałem taką tematykę serdecznej koleżance (Fot.33), która wykorzystyła ją w swej pracy doktorskiej (por. W. K e m u l a , W. T u r n o w s k a - R u b a s z e w s k a : *Extrapolation method for determination of absorption spectra of the aci form of nitroparaffins*. „Roczniki Chemii” 1961 35 s. 1169–1171). Odbyła staż u znakomitego Martina I.Kabacznika w Moskwie. Współpracowaliśmy potem przez wiele lat,

się później w formę trwałą. Za szczególnie ciekawe i ważne uważam objęte pracą doktorską Marka K. Kalinowskiego (Fot.46) badania wolnych rodników ketylowych. Wykryliśmy rozrywanie centralnego wiązania C-C w nieznanym uprzednio procesie utlenienia aromatycznych pinakoli¹⁷⁰ (por. przypis 150), wyznaczyliśmy stałe równowag protolitycznych i równowag dimeryzacji serii rodników ketylowych oraz kinetykę ich dysmutacji. Zmieniając pH rozróżniliśmy reakcje rodników obojętnych (RH[•]) i aniono-rodników (R^{•-}). Reakcje dysmutacji RH[•] + R^{•-} okazały się znacznie szybsze od dysmutacji obojętnych rodników RH[•] + RH[•], a najwolniejsze były reakcje dysmutacji aniono-rodników R^{•-} + R^{•-}¹⁷¹.

Wśród wielu badanych aldehydów aromatycznych (por. przypisy 143 i 146)¹⁷² dostrzeżliśmy w przypadku dwu para-pochodnych benzaldehydu występowanie anomalnych procesów elektrodowych lub przy-elektrodowych, trudnych do wyjaśnienia za pomocą dotychczasowych poglądów¹⁷³. Udało się w końcu, w wyniku paroletnich doświadczeń, zidentyfikować przyczynę niezrozumiałych procesów elektrodowych. Przypisałem ją wpływowi bardzo silnego pola elektrycznego, występującego w najbliższym otoczeniu elektrody (w *warstwie podwójnej*). O ile wpływ potencjału w warstwie podwójnej silnie zmienia stężenia jonów w bezpośrednim otoczeniu elektrody, co zostało szczegółowo zbadane i wyjaśnione przez Frumkina i jego uczniów¹⁷⁴, o tyle wpływ *natężenia pola* w tym również w badaniach tautomerii, np: W. Rubaszewska, Z. R. Grabowski: *Tautomerism of 3-thianaphthenone: spectra, equilibria and kinetics*. „Tetrahedron” 1969 **25** s. 2807–2814.

¹⁶⁹ Z. R. Grabowski: *Wolne rodniki*. „Problemy” 1964 **19** s. 101–106.

¹⁷⁰ W. Kemula, Z. R. Grabowski, M. K. Kalinowski: *Polarographic oxidation of benzopinacol*. „Coll. Czechoslov. Chem. Commun.” 1960 **25** s. 3306–3312; *Electrochemical method of studying the reactions of free ketyl radicals*. „Naturwissenschaften” 1960 **47** s. 514.

¹⁷¹ M. K. Kalinowski, Z. R. Grabowski, B. Pakuła: *Reactivity of ketyl free radicals. I. Acid dissociation of aromatic ketyles and pinacols*. „Trans. Faraday Soc.” 1966 **62** s. 918–925; M. K. Kalinowski, Z. R. Grabowski: II. *Dimerisation and dismutation of fluorenone and xanthone ketyles*. *ibid.*, s. 926–934.

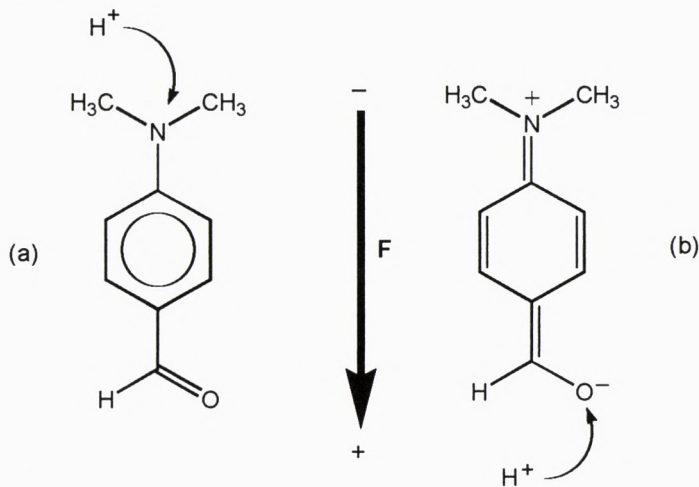
¹⁷² E. T. Bartel, Z. R. Grabowski, W. Kemula, W. Turnowska-Rubaszewska: *Polarograficzne, potencjometryczne i spektrofotometryczne badania kilku aldehydów aromatycznych w roztworach o różnych pH*. [W:] *Prace Konferencji Polarograficznej – Warszawa 1956*. Warszawa 1957 PWN s.333–338.

¹⁷³ E.T. Bartel, Z. R. Grabowski, W. Kemula, W. Turnowska-Rubaszewska: *Polarograficzne i spektrofotometryczne studium procesów redukcji oraz równowagi kwasowo-zasadowej p-dwumetyloamino-benzaldehydu i jodku p-benzaldehydo-trójmetyloamoniowego*. „Roczniki Chemii” 1957 **31** s. 13–26; *Polarograficzne, potencjometryczne i spektrofotometryczne studium równowagi kwasowo-zasadowej i tautomerii p-hydroksy-benzaldehydu*. *ibid.* 1957 **31** s. 27–35.

¹⁷⁴ А.Н. Фрумкин, В.С. Багоцкий, З.А. Иофа, Б.Н. Кабанов: *Кинетика электродных процессов*. Москва 1952 Издат. МГУ, stron 319.

na procesy elektrodowe pozostawał w sferze domniemań. Teraz zdołaliśmy udowodnić, że pole elektryczne polaryzując cząsteczkę, zmieniając jej rozkład gęstości elektronowej, może przesuwać miejsce reakcji (Rys.3) – a więc jakościowo zmieniać jej reaktywność¹⁷⁵.

Wpływ pola elektrycznego warstwy podwójnej nazywany był czasem w literaturze *efektem Grabowskiego*¹⁷⁶.



Rys. 3. p-Dimetyloamino-benzaldehyd w roztworach (a) przyłącza proton do atomu N grupy aminowej, na którym gęstość elektronowa jest największa. W silnym polu elektrycznym F cząsteczka ulega orientacji i polaryzacji (b), tak, że centrum zasadowości przesuwa się do atomu O grupy aldehydowej.

¹⁷⁵ W. Rubaszewska, Z. R. Grabowski: *Temperature dependence of the protolytic equilibrium constant of p-dimethylamino-benzaldehyde*. „Roczniki Chemii” 1959 **33** s. 781–786; W. Kemula, Z. R. Grabowski, E. T. Bartel: *Polarographic kinetic currents due to the reaction of p-dimethylamino-benzaldehyde with proton donors*. *ibid.*, s. 1125–1135; E. T. Bartel, Z. R. Grabowski, W. Kemula: *Distinction between the kinetic currents due to an acid recombination or to an acid-catalyzed reaction*. *ibid.* 1960 **34** s. 345–347; Z. R. Grabowski, E. T. Bartel: *Influence of the double layer on the kinetics of the proton transfer reaction preceding the electro-reduction of some substituted benzaldehydes*. *ibid.* s. 611–619; Z. R. Grabowski, W. Kemula: *Über die Änderungen der Reaktionsfähigkeit polarisierbarer Moleküle im elektrischen Feld der Doppelschicht*. [W:] *Die Polarographie in der Chemotherapie, Biochemie und Biologie – I Jenaer Symposium 13–15.9.1962*. (H. Berg, red.) „Abhandlungen der Deutschen Akad. Wiss. zu Berlin, Klasse Chemie, Geol., Biol.” 1964 nr 1, Berlin 1964 Akademie Verlag, s. 377–386.

¹⁷⁶ Нр. С.Г. Майрановский: *Успехи электрохимии органических соединений*. Москва 1966 Издат. Наука, s. 115

Kontynuując ten kierunek badań, udało się nam znaleźć zupełnie inny przykład zmiany reaktywności pod wpływem pola elektrycznego, w procesie redukcji (α -dwuketonu (benzilu) do dwu izomerycznych form, cis- i trans-stylbendiolu¹⁷⁷. Wkrótce ta zmiana reaktywności została potwierdzona kilkoma metodami, m.in. katalitycznej redukcji, w NRD¹⁷⁸.

Ważne było też wykrycie, że produkt redukcji biantronu utlenia się do wysoko-energetycznej, „termochromowej” formy biantronu, której zieloną barwę obserwowaliśmy wokół elektrody – co pozwoliło nam wnioskować o strukturze tej nietrwałej odmiany cząsteczki¹⁷⁹.

Mechanizmy przemian chemicznych można śledzić bardzo precyzyjnie, badając stereochemię reakcji. Do takich badań namówiłm uprzednio dr Barbarę Czochralską i przyniosły one cenne wyniki¹⁸⁰. Na koniec mego zaangażowania w badania elektrochemiczne zgłosiliśmy na *Dyskusję Faraday Society* pracę o stereochemii procesów elektrodowych¹⁸¹. Niestety – Dyskusja odbywała się w marcu 1968! – odebrano mi paszport, tak, że nie zdołałem pojechać, a naszą pracę przedstawił tam mój czeski przyjaciel Petr Zuman. Trudno mu było jednak zastąpić nas w toku dyskusji.

¹⁷⁷ A. Vincenz - Chodkowska, Z. R. Grabowski: *Change of reactivity of polarizable molecules in the electric field of the double layer. II. Cis-trans isomerisation of stilbenediol*. „*Electrochim. Acta*” 1964 **9** s. 789–801; oraz tłumaczenie rosyjskie: А. Винценц - Ходковска, З.Р. Грабовски: *Изменение реакционной способности поляризуемых молекул в электрическом поле двойного слоя. II. Цис-транс изомеризация стилбендиола*. [W:] *Основные вопросы современной электрохимии*. (ред. А.Н. Фрумкин), Москва 1965 Издат. Мир, s. 390–395.

¹⁷⁸ E. Bauer: *Isomere Reduktionsprodukte von Benzil*. „*J. Electroanal. Chem.*” 1976 **14** s. 351–356.

¹⁷⁹ Z. R. Grabowski, M. Balasiewicz: *Polarography and kinetics of the thermochromic system of dehydrodianthrone*. „*Trans. Faraday Soc.*” 1968 **64** s. 3346–3353.

¹⁸⁰ B. Czochralska: *Stereochemistry of the electroreduction of the C-Cl bond*. „*Chem. Physics Letters*” 1967 **1** s. 239–241; *Stereochemistry of the electroreduction of the C-Cl bond. Reduction of 2-phenyl-2-chloropropionic acid*. „*Roczniki Chemii*” 1968 **42** s. 895–905.

¹⁸¹ Z. R. Grabowski, B. Czochralska, A. Vincenz - Chodkowska, M. S. Balasiewicz: *Stereochemistry of electrode reactions*. „*Discuss. Faraday Soc.*” 1968 **45** s. 145–153, oraz dyskusja tej pracy: *ibid.* s.60, 177–181.

STANY WZBUDZONE¹⁸²

Decydując się, razem z Anką, podjąć badania chemii cząsteczek w stanach elektronowo wzbudzonych, byliśmy pod urokiem prac wielkiego chemika Gilberta Newtona Lewisa, a szczególnie jego epokowej publikacji z Michaelem Kashą¹⁸³, w której na przykładach dziesiątków związków zidentyfikowali oni pięknie naturę stanu tripletowego cząsteczek, uprzednio wykrytego przez Aleksandra Jabłońskiego¹⁸⁴ jako stan metastabilny, jednak bez określenia natury jego metastabilności¹⁸⁵. Niezależnie od nich naturę tripletową stanowi temu przypisał Aleksandr Nikołajewicz Terenin, na podstawie reaktywności chemicznej typowej dla dwurodników¹⁸⁶.

Postanowiliśmy na początek zająć się reaktywnością – przede wszystkim rodnikową – cząsteczek w stanie tripletowym.

Donald McClure ogłosił właśnie znakomite prace o sprzężeniu spinowo-orbitalnym i o efekcie ciężkiego atomu¹⁸⁷, pięknie wsparte efektownymi doświadczeniami spektroskopowymi Kashy (pojawianie się zabarwienia po zmieszaniu dwu bezbarwnych cieczy; dzięki obecności ciężkiego atomu w jednym ze składników, pomimo braku chemicznego oddziaływania obu związków, *oddziaływanie fizyczne* powoduje pojawienie się nowego pasma absorpcji – do stanu tripletowego drugiego składnika)¹⁸⁸. Innym bodźcem były pionierskie prace D.F. Evansa o silnie wzbronionych przejściach widmowych do tripletów, ujawniających się w różnych związkach przy nasyceniu paramagnetycznym tlenem

¹⁸² Poświęcone tej tematyce wspomnienia były już częściowo publikowane: Z. R. G r a b o w s k i : *Nasza przygoda ze stanami wzbudzonymi*. [W:] (J. K r o h , red.) *Z dziejów polskich badań nad oddziaływaniem promieniowania z materią. Wspomnienia*. Łódź 2003 Fundacja Badań Radiacyjnych, Rozdz.III s. 55–80.

¹⁸³ G. N. L e w i s , M. K a s h a : *Phosphorescence and the Triplet State*. „J. Amer. Chem. Soc.” 1944 **66** s. 2100–2116.

¹⁸⁴ Z. R. G r a b o w s k i : *Professor Aleksander Jabłoński, 80*. „Europ.Photochem.Assoc.Newsletter” Sept.1978 s. 27–30; *Memorial address for Aleksander Jabłoński (1898–1980)*. „J.Luminescence” 1981 **24/25** s. XXV.

¹⁸⁵ A. J a b ł o ń s k i : *Über den Mechanismus der Photolumineszenz von Farbstoffphosphoren*. „Z. f. Physik.” 1935 **94** s. 38–46.

¹⁸⁶ A. N. T e r e n i n : *Photochemical Processes in Aromatic Compounds*. „Acta Physico-chim.URSS” 1943 **18** s. 210–241.

¹⁸⁷ D. S. M c C l u r e : *Triplet-Singlet Transitions in Organic Molecules. Lifetime Measurements of the Triplet State*. „J. Chem. Phys.” 1949 **17** s. 905–913.

¹⁸⁸ M. K a s h a : *Collisional Perturbation of Spin-Orbital Coupling and the Mechanism of Fluorescence Quenching. A Visual Demonstration of the Perturbation*. „J. Chem. Phys.” 1952 **20** s. 71–74.

pod dużym ciśnieniem¹⁸⁹. W tym czasie ukazały się też prace Ronalda Norrisha i George'a Portera o fotolizie błyskowej¹⁹⁰, które dla nas stały się poważnym źródłem inspiracji, a im, w kilkanaście lat potem, przyniosły nagrodę Nobla.

Tematyka pierwszych prac fotochemicznych Anki (Fot.38) objęła badania spektroskopowe pasm wzbronionej absorpcji układów aromatycznych, i reakcji zachodzących po takim bezpośrednim wzbudzeniu do stanu tripletowego, w obecności paramagnetycznych O₂, NO¹⁹¹, lub ciężkiego atomu Xe¹⁹². Trwałe, końcowe produkty reakcji identyfikowano widmowo, chromatograficznie i polarograficznie – były to w przypadku C₆H₆ + O₂ fenol i *orto*-chinon, wobec NO – nitrofenole. Analiza kształtu widm w fazie gazowej pozwoliła na wnioski ilościowe, dotyczące struktury benzenu w stanie tripletowym¹⁹³. Nieco później ja z Andrzejem Byliną dołączyliśmy do tej tematyki, badając procesy izomeryzacji *cis-trans* przy bezpośrednim wzbudzeniu do stanu tripletowego¹⁹⁴. Tu, ku naszemu zdziwieniu, okazało się, że np. 1,2-dwuchloroetylen ulegał izomeryzacji, ale nie reagował z O₂ pod wysokim ciśnieniem (wydajności kwantowe izomeryzacji *cis*→*trans* i *trans*→*cis* sumowały się do jedności).

U początku tych prac ogromną rolę odegrały nasze wyjazdy i staże zagraniczne. Wyjazdy na zachód stały się w ogóle możliwe dopiero w okresie *popaździernikowej odwilży* 1956 r. Latem 1957 r. grupie młodych docentów i profesorów chemii po raz pierwszy pozwolono wziąć udział w kongresie IUPAC¹⁹⁵

¹⁹⁰ G. Porter: *Flash photolysis and spectroscopy. A new method for the study of free radical reactions.* „Proc. Roy. Soc.” 1950 A **200** s. 284–300; R. G. W. Norrish, G. Porter: *The application of flash techniques to the study of fast reactions.* „Faraday Soc. Discuss.” 1954 **17** s. 40–46.

¹⁹¹ W. Kemula, A. Grabowska: *Reactivity of aromatic hydrocarbons in the excited triplet state. I. Absorption spectra and photochemical reactions of benzene and naphthalene in the presence of nitric oxide.* „Bull. Acad. Polon. Sci., Sér. Sci. chim.” 1958 **6** s. 747–753; II. *Investigation of the photochemical reaction of benzene with nitric oxide.* *ibid.* 1960 **8** s. 517–523; III. *Investigation of the photochemical reaction of benzene with oxygen.* *Ibid.* s. 525–529. *Reactions of nitric oxide or of oxygen with benzene selectively excited to the triplet state.* „Nature” (London) 1960 **188** s. 224–225.

¹⁹² A. Grabowska: *Enhancement of the singlet-triplet absorption band of (α -chloro-naphthalene in the presence of xenon under high pressure.* „Spectrochim. Acta” 1963 **19** s. 307–313.

¹⁹³ A. Grabowska: *Application of the Franck-Condon principle to determination of the geometrical structure of benzene in its lowest triplet state.* „J. Molec. Spectrosc.” 1966 **20** s. 96–104.

¹⁹⁴ Z. R. Grabowski, A. Bylina: *Photochemical cis-trans isomerisation of 1,2-dichloroethylenes selectively excited to the triplet state.* „Trans. Faraday Soc.” 1964 **60** s. 1131–1136; A. Bylina, Z. R. Grabowski: *Photo-isomerisation and the triplet state of stilbene.* *ibid.* 1969 **65** s. 458–463.

¹⁹⁵ *International Union of Pure and Applied Chemistry.*

w Paryżu. Byłem w tej grupie; byli w niej również: Jerzy Kroh, Włodzimierz Kołos, Henryk Buchowski, Władysław Malesiński i inni. Usłyszałem tam m.in. świetny, piękną francuzczyzną wygłoszony referat znakomitego leningradzkiego fotochemika Aleksandra Nikołajewicza Terenina (z którym później udało mi się zaprzyjaźnić). Z młodych referentów wielkie wrażenie wywarł na mnie Albert Weller¹⁹⁶ ze Stuttgartu, który przedstawił swą klasyczną dziś pracę o tautomerizacji salicylanów w stanie wzbudzonym i Edward M. Kosower z Tel-Awivu – wówczas występujący z nowatorskimi badaniami efektów rozpuszczalnikowych i przenoszenia elektronu¹⁹⁷.

W 1958 r. Anka, jako stypendystka British Council, była (niestety bardzo krótko, bo musiała wracać do umierającej matki) w Cambridge, u RONALDA NORRISHA, zapoznając się z metodą fotolizy błyskowej. Odwiedziła też EVANSA w Imperial College¹⁹⁸. Parę lat później odbyła 3-miesięczny staż u JANA HOIJTINKA w Amsterdamie. Jej zagraniczne doświadczenia stały się inspiracją do naszych pierwszych prac fotochemicznych oraz do konstrukcji pierwszej w Polsce aparatury do fotolizy i spektroskopii impulsowej (Fot.34).

Mnie tymczasem przyznano *Rockefeller Foundation Fellowship*¹⁹⁹, co otwierało drogę do rocznej pracy w wybranym przeze mnie laboratorium w dowolnym kraju. Michael Kasha nie mógł mnie w tym okresie przyjąć; polecił mi Jérôme Sidmana. Wszedłem z nim w korespondencję, ale zmarł on nagle na serce podczas gry w tenisa. Napisałem więc do pracującego na Politechnice w Stuttgarcie Alberta Wellera. Odpisał mi, wyraźnie przestraszony, że w Niemczech – w przeciwieństwie do USA – jest ścisła hierarchia; nie mógłbym przyjechać do niego, tylko do jego profesora, kierownika katedry! Zwróciłem się więc do prof. Theodora Förstera (Fot.41), wielkiej klasy badacza fluorescencji, pioniera tego, co nazwano później chemią stanów wzbudzonych²⁰⁰. Był twórcą teorii międzycząsteczkowego („rezonansowego”) przenoszenia energii wzbudzenia, odkrywcą reakcji kwaso-

¹⁹⁶ 1922–1996. Wybitny badacz kinetyki najszybszych reakcji, później odkrywca exciplexów, kierownik działu spektroskopii w Instytucie Maxa Plancka Chemii Biofizycznej w Getyndze, wielki autorytet w dziedzinie chemii cząsteczek wzbudzonych.

¹⁹⁷ W latach 70. i 80. przyszło mi prowadzić z nim polemikę na temat struktury niektórych cząsteczek w stanach wzbudzonych z przeniesieniem ładunku..

¹⁹⁸ Evans prowadził niebezpieczne doświadczenia z cieczami lub gazami organicznymi, nasyconymi gazowym O₂ pod ciśnieniami rzędu 100 atmosfer. Gdy mierzył widmo acetyleny + O₂, nastąpiła eksplozja, nie pomogło grubościennie naczynie. Evans cudem przeżył to doświadczenie, lekko tylko ranny. „Tego jednego eksperymentu nie powtarzałem” – napisał. Wiedząc o tych zagrożeniach, zachowywaliśmy wiele środków ostrożności.

¹⁹⁹ W okresie powojennym Fundacja Rockefellera udzielała Polsce pomocy w postaci stypendiów w kilku wybranych dziedzinach, m.in. w chemii.

²⁰⁰ Z. R. G r a b o w s k i : *Theodor Förster (1910–1974). Wspomnienie o twórcy chemii cząsteczek wzbudzonych*. „Wiadomości Chemiczne” 1978 **32** s. 305–308.

wo-zasadowych w stanach wzbudzonych, odkrywczą specyficzną dla stanów wzbudzonych reakcji tworzenia excimerów, autorem podstawowej monografii, która nawet po 50 latach nie utraciła swej aktualności²⁰¹.

STUTTGART I THEODOR FÖRSTER

W Polsce w tym czasie niezwykle silna była jeszcze wojenna nienawiść do Niemców i do Niemiec, dodatkowo podsycana przez państwową propagandę (o „niemieckich rewizjonistach”). W moim przypadku nakładała się na to przynajmniej pamięć Zagłady i moje własne doświadczenia z czasu okupacji. Wielu ludzi – nawet z kręgu przyjaciół – oburzało się na mnie za to, że jadę do Niemiec Zachodnich: „nie będę ci odtąd podawać ręki!”. Zdecydowałem się jednak na to i nigdy tej decyzji nie żałowałem. W Niemczech, oczywiście, byłem ostrożny – spotykając nowych ludzi, zastanawiałem się zawsze, kto kim był i jak się kto zachowywał w czasach hitlerowskich.

Przez pierwszych 15 powojennych lat budziłem się w nocy z krzykiem, bo wciąż śniło mi się moje śledztwo na Gestapo w Kutnie. W Stuttgarcie poznałem jednak zupełnie innych Niemców, uczonych z kręgu bliskiego ściętemu przez hitlerowców toporem pastora Dietricha Bonhoeffera. Jestem z nimi po dziś zażyjający. I odtąd nie miałem już więcej snów o Gestapo.

Połowę roku 1959 spędziłem pracowicie w Stuttgarcie, gdzie byłem chyba pierwszym cudzoziemcem-stażystą (a na pewno pierwszym zza żelaznej kurtyny). I trafiłem – jak sądzę – do najlepszego, inspirującego, a przy tym godnego najwyższego szacunku środowiska²⁰². W katedrze Förstera było wówczas trzech niedawno habilitowanych docentów: Albert Weller (Fot.40) – czołowy badacz kinetyki najszybszych (ograniczonych przez dyfuzję) reakcji w roztworach, reakcji przenoszenia protonu w stanach wzbudzonych cząsteczek, a później – *exciplexów* i procesów przenoszenia elektronu; Ernst Lippert, który opracował podstawową metodę pomiaru momentów dipolowych molekuł wzbudzonych; oraz Heinz Gerischer (Fot.43) – znakomity elektrochemik, twórca teorii procesów elektrodowych na elektrodach półprzewodnikowych, który powiązał elektrochemię ze stanami elektronowymi. Nauczyłem się tam ogromnie wiele: teorii, metod i interpretacji doświadczeń. Moim niewybaczalnym błędem i głupią ambicją było to, że przywiozłem własny temat, który tam rozwiązywałem²⁰³;

²⁰¹ Th. Förster: *Fluoreszenz Organischer Verbindungen*. Göttingen 1951 Vandenhoeck & Ruprecht; wznowienie: *ibid.* 1982.

²⁰² Förster był uczniem prof. K.F. Bonhoeffera – brata słynnego pastora Dietricha Bonhoeffera. Cały krąg wokół niego to byli ludzie gorąco przeciwni narodowym socjalistom i na różne sposoby unikający jakiegokolwiek munduru.

²⁰³ Z. R. Grabowski, *Photochemische Reaktionen einiger aromatischen Halogenverbindungen*. „Z. physik. Chem. N.F.” 1961 77 s. 239–252.

znacznie więcej bym skorzystał włączając się do prac przez nich prowadzonych i będących w centrum ich zainteresowań²⁰⁴.

Sam prof. Förster był z wykształcenia fizykiem-teoretykiem²⁰⁵, który habilitował się krótko przed wojną z chemii na podstawie pionierskich prac z chemii kwantowej barwników²⁰⁶, a potem ukazał, jak fluorescencja może pozwolić wnikać w procesy, zachodzące w stanach wzbudzonych cząsteczek w czasach nanosekund lub ułamków nanosekundy (por. przypis 201). Był zawsze elegancki, z muszką, z nieodstępną fajką, szybko i przenikliwie myślący. Jego wykłady były jasne, znakomicie przygotowane, ilustrowane przezroczami, a publikacje – nieliczne, ale każda z nich była ważna. W gabinecie Theodora Förstera piętrzyły się dziesiątki prac dyplomowych i doktorskich, ale on był perfekcjonistą i wzorem odpowiedzialności za słowo drukowane; do publikacji kierował tylko to, co było bezspornie odkrytym lub udowodnionym ważnym *novum*.

Chodziłem na wykłady monograficzne Lipperta, seminaria prowadzone przez Förstera, dostałem pod opiekę magistranta – Horsta K.A. Kramera, który badał fotochemię antracenu, a w przyszłości stał się jednym z następców prof. Förstera na katedrze w Stuttgarcie.

Jako jedyny w tym czasie gość zza granicy (i to nie byle jakiej – z za żelaznej kurtyny) pracowałem w osobistym laboratorium prof. Förstera, ale praca ta – której plan przywiozłem z Warszawy (por. przypisy 203 i 204) – nie była dla mnie w Stuttgarcie najważniejsza. Zapoznawałem się z nową dla mnie metodyką, przyrządami – często ich własnej konstrukcji – a przede wszystkim z nowymi dla mnie sposobami myślenia. Stały się dla mnie i dla mego kręgu na szereg lat wzorem metodyki eksperymentu i interpretacji jego wyników. Fundacja Rockefellera pomogła mi zakupić nieco najpilniejszego drobnego sprzętu laboratoryjnego, w tym pierwsze u nas czułe detektory promieniowania – fotopowielacze. Ponieważ stypendium moje było bardzo niewielkie, Fundacja sfinansowała również mój udział w dyskusji Faraday Society w Nottingham, na temat przenoszenia

²⁰⁴ Przestrzegam przed takim błędem młodych badaczy podejmujących staż naukowy w innym laboratorium. Trzeba podejmować temat tam proponowany, tak, aby i gospodarz był istotnie zainteresowany pracą, i żeby dzięki temu nauczyć się najskuteczniej tamtejszych metod eksperymentu, teorii, podejścia do zagadnienia.

²⁰⁵ Ernst Lippert był również fizykiem-teoretykiem, a swą adaptację do stanowiska przyszłego profesora chemii uznał za udaną dopiero po opublikowaniu pierwszej pracy z dziedziny ... syntezy organicznej.

²⁰⁶ Habilitował się w Lipsku, w katedrze prof. K.H. Bonhoeffera, który – wraz z podobnie myślącymi przyjaciółmi – starał się uratować przed udziałem w wojnie najzdolniejszych uczonych, niehitlerowców. Bonhoeffer przechował Heinza Gerischera, który był „pół-Żydem”, a Förstera zdołał umieścić na okupacyjnym niemieckim uniwersytecie w Poznaniu. Przez czas wojny Förster niczego nie publikował (wykonując tylko doświadczenia, które wykorzystał po wojnie), a na Uniwersytecie Poznańskim nie pozostawił żadnego śladu złej o sobie pamięci.

energii wzbudzenia; głównym referentem był Theodor Förster. Wielkim przeżyciem były spotkania i rozmowy z tyloma wybitnymi ludźmi, znanymi mi dotychczas tylko z literatury, z którymi spotykaliśmy się i później – bo łączyło nas coraz więcej wspólnych zainteresowań: George Porter, Bryan Stevens, Aleksander Terenin, John Birks, John P. Simons, Dietrich Schulte-Frohlinde, Rufus Lumry, Robert Havemann, George Wyman²⁰⁷, Robert Livingston i inni.

George Porter (Fot.63)²⁰⁸ kierował wtedy katedrą w Sheffield, zawiózł nas tam, grupę uczestników. Wyposażenie jego laboratorium było jeszcze skromne. Badając wolne rodniki, przeprowadzał u siebie w Sheffield reakcje, naświetlania, po czym próbki zamrożone w ciekłym azocie przewoził szybko samochodem do Nottingham, gdzie mieli spektrometr elektronowego rezonansu paramagnetycznego (EPR), i dopiero tam dokonywali najważniejszych pomiarów. Gdy potem Porter wziął nas do swego domu, krzesel starczyło tylko dla prof. Förstera i pani Porter, wszyscy pozostali siedzieliśmy na podłodze – i było bardzo bezpośrednio, miło i ciekawie.

Ze Stuttgartu wypuściłem się w podróż po Niemczech i Holandii, chcąc poznać kilku najciekawszych dla mnie badaczy z innych miast. Byli to zarówno inspirujący moje prace elektrochemicy – Ludwig Holleck w Hamburgu, Max von Stackelberg w Bonn, badacz kinetyki procesów relaksacyjnych Hans Strehlow w Getyndze, twórca metod elektro-optycznych pomiaru momentów dipolowych stanu wzbudzonego J. Czekała w Würzburgu²⁰⁹, jak i fotochemicy – badacze barwników Friedrich Dörr, Valentin Zanker i Günther Scheibe w Monachium. Honoraria za wygłaszane gdziekolwiek referaty pokrywały mi koszty tej podróży, a nawiązane wtedy kontakty dopomogły naszym pracom i niektórym naszym późniejszym stażystom²¹⁰.

Wkrótce, po moim przyjeździe do Stuttgartu, prof. Förster zaprosił mnie na uroczysty wieczór karnawałowy, tradycyjny na tej uczelni. W wielkiej sali siedzieliśmy przy stoliku razem, Försterowie, Wellerowie i ja. Potem Försterowie gdzieś znikli. Nieco później orkiestra zagrała muzykę Mozarta i na salę wkroczyli, para za parą, profesorowie w pięknych frakach, żabotach, obcisłych spodniach i białych pończochach, z paniami w krynolinach i z wachlarzami, wszyscy w odpowiednich perukach – nie do poznania. Powstała wspaniała feeria

²⁰⁷ Z tym skądinąd sympatycznym fotochemikiem miewałem konflikty; był on przedstawicielem amerykańskiej armii i jego zadaniem było *wyławiać* zdolnych badaczy i ściągać ich do USA. Uznawałem ten *brain draining* za niemoralny i nieraz się z nim o to starłem.

²⁰⁸ Potem, po Nagrodzie Nobla (1967), *sir George, Chemik Królowej*, później Lord Porter, Prezydent Royal Society.

²⁰⁹ J.Czekała zmarł niestety młodo, w rok, czy dwa lata później, na raka. Przez wiele lat pozostawaliśmy w kontakcie i współpracy z jego znakomitym uczniem, Wolfgangiem Liptay'em na Uniwersytecie J. Gutenberga w Moguncji i z jego uczniami, Wolframem Baumannem i Rüdigerem Wortmannem.

²¹⁰ M.in. Barbarze Behr, Joannie Taraszewskiej, Krystynie Rotkiewicz.

pastelowych kolorów – i przy dźwiękach muzyki sunął *menuet profesorów*. Stroje były z teatru, a menuetem dyrygowała drobniutka, a ruchliwa jak iskra choreografka teatralna.

Potem, po burzy oklasków, zaczął się normalny bal, nawet i ja tańczyłem, co mi się rzadko zdarzało, a prawie nigdy nie udawało. Dziwiło mnie nieco, że pod jakimś pretekstem odmówiła mi tańca Brigitta Weller, patrząc na mnie nawet jakoś nieprzyjaźnie. Dowiedziałem się wnet, że Brigitta (z domu *von der Chevalerie*) pochodzi z Pomorza Zachodniego, a jej rodzina została wypędzona z rodzinnych posiadłości przez Polaków – i stąd jej wrogość do mnie. Ale niewiele czasu upłynęło, a nie tylko Albert, ale i Brigitta stali się moimi serdecznymi przyjaciółmi.

Był to okres – 14 lat po wojnie – u nas wciąż jeszcze obciążony żywą pamięcią okropności wojny i okupacji, a w Niemczech raczej pełen zachwytu nad ich cudem gospodarczym (*Wirtschaftswunder*) i, dużo rzadziej, problemami z pogłębiającą się przepaścią między dwiema częściami Niemiec, RFN i NRD. Poszedłem kiedyś posłuchać młodych pravicowych Niemców, na zebranie dyskusyjne młodzieży studenckiej CDU²¹¹. Dyskutowano o tych ich aktualnych problemach, aż nie wytrzymałem, wystąpiłem, powiedziałem kim jestem i skąd, opowiedziałem im w kilku zdaniach o Polakach i Niemcach, o Niemcach i Żydach, o pamięci i niezasypanej przepaści. Skończyło się natychmiast spokojne zebranie; studenci otoczyli mnie zwartym kołem, opowiadając, że o wojnie i o czasach hitlerowskich od swoich rodziców prawie niczego się nie mogą dowiedzieć – żeby im mówić, jak to było naprawdę. Rozmowa z nimi trwała szereg godzin i była dla mnie (a może i dla niektórych z nich?) pamiętnym przeżyciem.

Innym równie ważnym przeżyciem był wykład Linusa Paulinga²¹². Jeden z głównych twórców współczesnej chemii teoretycznej mówił niezwykle przekonująco i porywająco o groźbie wojny jądrowej, o jej skutkach biologicznych, o konieczności jądrowego rozbrojenia wielkich mocarstw. Rozmawiałem z nim wtedy jedyny raz w życiu, ale wywarł na mnie głęboki wpływ. Pod wrażeniem jego argumentów zostałem na wiele lat pacyfistą, członkiem międzynarodówki przeciwników służby wojskowej^{213, 214}.

²¹¹ *Christlich Demokratische Union* – centro-prawicowa partia chadecka.

²¹² Linus Pauling (1901–1994) – twórca teorii wiązania chemicznego, dwukrotny laureat Nagrody Nobla: z chemii – w 1954 r., w 1964 r. – pokojowej Nagrody Nobla.

²¹³ W 1967 r., gdy miano zmieniać ustawę „o obowiązku obrony PRL”, pisałem do Jerzego Zawiejskiego, pośła z klubu „Znak”, o wystąpieniu za służbą zastępczą.

²¹⁴ Usłyszawszy o powstaniu pacyfistycznej organizacji intelektualistów – *Konferencji Pugwash*, zgłosiłem się, chcąc z nią współpracować, ale ze Stockholmu odpisał mi prof Józef Rotblat, żebym zgłosił się do polskiej sekcji w Warszawie. Była ona poprostu wypustką *partii*, a najlepszym tego dowodem było po latach zwołanie przez jej posłusznego przewodniczącego prof. Macieja Nałęczą zjazdu *Pugwash* w Warszawie, w warunkach stanu wojennego...

Oprócz Försterów, Wellerów, Gerischerów, poznałem tam i zaprzyjaźniłem się z dwoma doktorantami i jednym studentem. Byli to Karl-Heinz Grellmann, doktorant a potem najbliższy współpracownik Alberta Wellera, z którym przez kilkadziesiąt lat utrzymywałem bliskie kontakty, Fritz Beck, doktorant u Gerischer'a, potem znany elektrochemik przemysłowy, oraz student elektrotechniki Santiago Peralta – pół-Indianin z Kolumbii.

Fritz Beck miał mieszkanie obwieszane różnego formatu karykaturami antyklerykalnymi i antypapieskimi. Pierwszy raz coś podobnego widziałem. A i w rozmowach niezwykle często pojawiała się jego niechęć do kleru, a szczególnie do katolicyzmu. Tematyka ta była dla mnie dość egzotyczna – ale tylko do czasu, gdy wczytałem się w historię czasów hitlerowskich i w literaturę o tych niedawnych czasach. W odróżnieniu od wielu duchownych i kościołów protestanckich, rola kościoła katolickiego i większości jego hierarchów w Niemczech nie była chwalebna.

Karl-Heinz i jego żona Annemarie byli bezdzietną parą, właścicielami małego trójkołowego samochodziku „Isetta”, do którego drzwi były z przodu. Pełni współczucia dla krajów „trzeciego świata”, podróżowali później po nim często i stopniowo zapełniali swój dom różnymi dziełami sztuki współczesnej, ukazującymi brzydotę naszego świata.

Mój trzeci znajomy stał się dla mnie nieocenionym źródłem i wiadomości o kontynencie, którego nigdy nie miałem poznać, i o innym podejściu do życia. Santiago Peralta głęboko gardził Niemcami za ich gorliwy stosunek do pracy, do nauki. Uważał, że przede wszystkim należy się cieszyć życiem, a pracować tyle tylko, by móc tym życiem się cieszyć; jeść nie tylko po to, by zaspokoić głód, ale by odczuwać prawdziwą przyjemność z każdej potrawy. Poznaliśmy się przy okazji organizowanej przez studentów historii sztuki wycieczki do Monachium na wielką wystawę Chagalla – byliśmy tam jedynymi nie-historykami sztuki i trzymaliśmy się razem.

Wystawa była wspaniała i otworzyła mi dopiero oczy na wielką sztukę współczesnych mistrzów, poczynając właśnie od Chagalla. Potem przeszedłem do podziwiania w niemieckich muzeach Kandinskiego, Kleego, Noldego, Marca, Magritte'a, a po powrocie – Witkacego.

Po półrocznej intensywnej pracy udało mi się na miesiąc letnich wakacji (gdy laboratorium i tak było zamknięte) ściągnąć do Stuttgartu Ankę. Nie było to łatwe ani ze względów paszportowych, ani rodzinnych – nasza córka Urszula miała zaledwie 4 lata, trzeba było zorganizować dla niej na ten czas opiekę. Za niewielkie zaoszczędzone pieniądze odbyliśmy miesięczną wędrowkę po najciekawszych okolicach i muzeach Niemiec: Ulm, Monachium, Alpy Bawarskie; potem Trewir, Essen z wielką zorganizowaną przez Kruppa wystawą sztuki indyjskiej, spływ Renem... Wróciliśmy kolejną, przez Wiedeń, do naszej

córeczki Urszuli (Fot.45), która z początku udawała, że mnie nie poznaje – była obrażona za moją półroczną nieobecność.

Podczas jednej z późniejszych wizyt w Stuttgarcie, chyba w roku 1963, miałem ważkie przeżycie. Chen Han-Son Ting (Fot.42) był młodym fizykiem-teoretykiem, przyjechał na staż do Förstera. Jego ojciec uciekł z Chin przed komunistami na Tajwan. Ting studiował w USA, pracował potem jako *assistant professor* w Berkeley – i zrezygnował, „bo obowiązek mi każe wrócić do Chin. Tam jest «rewolucja kulturalna», wzywają wszystkich na pomoc. Chcę się jeszcze nieco poduczyć u Förstera, by móc lepiej służyć memu narodowi”. Zareagowałem na to: „ale przecież będziesz od razu uznany za szpiega i zdrajcę, Amerykanin z Berkeley – zostaniesz albo rozstrzelany, albo zesłany na lata do obozu koncentracyjnego!”. Ale Ting odpowiedział mi, niezrażony: „Wiem. Jeśli to będzie dla mojego narodu, to znaczy, że tak być powinno”. Ponieważ nie mogliśmy się zrozumieć, Ting zaproponował: „chodźmy do muzeum, to tam zrozumiesz”.

W pięknym i bogatym stuttgarckim muzeum Ting zaproponował: „przejdźmy się teraz po salach sztuki europejskiej – a potem zobaczymy sztukę Dalekiego Wschodu”. Wtedy wszystko stało się jasne. W malarstwie europejskim dominował portret, albo postać ludzka, czasem paru ludzi. Krajobraz stanowił tło. W sztuce chińskiej i japońskiej – widać było na ogół przyrodę, a w niej małe ludziki, czasem trudne do dostrzeżenia. „Bo wy jesteście cywilizacją egoistów – podsumował to Ting – a my wiemy, że nasz los indywidualny jest mało ważny, jesteśmy częstkami narodu i przyrody. Dlatego mój los jest mało ważny, ważne jest bym był częstką wielkiej całości, mego narodu...”²¹⁵.

OJCOWIE MOICH PRZYJACIÓŁ

Pracując w Stuttgarcie, poznałem mieszkającego w niedalekim Heidelbergu mego rówieśnika dra Helmuta Kraucha. Był on zdolnym chemikiem kwantowym, uczniem laureata Nobla z 1938 r., R. Kuhna. Zaprzyjaźniliśmy się. Był człowiekiem o szerokich horyzontach i wybitnej inteligencji. W tym czasie porzucał właśnie chemię, by zająć się zagadnieniami planowania i opłacalności badań naukowych dla społeczeństwa (mam jego książkę na ten temat), a po paru latach habilitować się z *socjologii nauki*.

Gdy Helmut Krauch w pewien czas potem przyjechał z żoną do Warszawy – oddaliśmy im do dyspozycji mieszkanie moich rodziców, przebywających akurat

²¹⁵ Jak się jednak dowiedziałem po latach, Chen Han-Son Ting nie pojechał do Chin komunistycznych. Pod naciskiem swej narzeczonej powrócił na Tajwan i został profesorem na jednym z uniwersytetów. Usiłowałem z nim nawiązać kontakt listowny, nawet z Japonii, ale nie odpowiadał. Zapewne bał się stamtąd korespondować z *komunistą*?

poza Warszawą. Przez szereg lat otrzymywaliśmy później od Krauchów jej ciekawe grafiki, anonujące narodziny kolejnych dzieci, korespondowaliśmy ze sobą. Helmut Krauch został doradcą kanclerza Willy Brandta w sprawach nauki.

Z końcem lat 60. dowiedziałem się przypadkiem, że jednym ze zbrodniarzy wojennych, skazanych na długoletnie więzienie w tzw. *drugim* procesie norymberskim, był chemik, prof. Karl Krauch, prezes ogromnego koncernu chemicznego, *I.G.Farben*. Był on ponoć odpowiedzialny m.in. za produkcję przez *I.G.Farben ... Cyklonu-B* – dla obozów zagłady.

Ponieważ Helmut i jego brat Carl-Friedrich Krauch (którego poznałem na jednym ze zjazdów naukowych) obaj byli chemikami, przypuszczenie, że to ich ojciec, nasuwało się samo. Napisałem więc list z zapytaniem o to do Helmuta. Odpisał mi: – „Tak; ale co z tego?”. I tu zaczął się właściwy problem. Zdaniem Helmuta, jego ojciec został skazany, odcierpiał karę i zmarł po paru latach w więzieniu. „Czy syn, który zresztą w czasie wojny był dzieckiem, odpowiada za czyny ojca?” – „Ale dlaczego mi nic o tym nie powiedziałeś?” – pytałem – przecież wiedziałeś, że jestem Żydem i co oznacza dla mnie *Cyklon-B*... – A gdybym ci powiedział, to czy zmieniłbyś swój stosunek do mnie? – zapytał – Jeśli tak, to obciążałbyś mnie odpowiedzialnością za ojca...”

Problem pozostał nierozwiązany. Rozumowo, przyznawałem mu rację. Uczucie i instynkt mówiły mi jednak coś przeciwnego. Nie darmo nosimy w głębszych warstwach świadomości przekaz wielu, wielu pokoleń, które karą lub klątwą obciążały „ciebie i dzieci twoje...”

* * *

Wcześniej, w 1956 roku, poznałem Stala. Byłem wówczas w Moskwie na krótkim stażu u prof. Frumkina i wzięłem udział w zjeździe naukowym. Bardzo ciekawie wystąpił na nim młody moskiewski badacz, pełen zapału i pomysłów – Stal Grigorjewicz Majranowski. Zarówno jego badania, jak i postawa w dyskusjach, bardzo mi przypadły do gustu. Okazało się, że i on o mnie dobrze myślał, tak, że wkrótce zostaliśmy przyjaciółmi na wiele lat, aż do jego przedwczesnej śmierci. Stal Grigorjewicz Majranowski był jednym ze znanych w ZSRR chemików, autorem kilku cenionych monografii. Współpracowaliśmy ze sobą naukowo i udzielaliśmy sobie wzajemnie gościny (co w Moskwie w tych czasach wcale nie było dla gospodarza bezpieczne).

W parę lat po zgonie Stala Grigorjewicza, przeczytałem w gazecie notatkę o ujawnieniu z sowieckich archiwów dokumentów o generale NKWD Grigorim Majranowskim, zaufanym chemiku-toksykologu Stalina, który wypróbowywał na więźniach najstraszniejsze trucizny! Przez wiele lat otruł ich na Łubiance tyście. Podobno odegrał ważną rolę na zapleczu procesów moskiewskich w latach 1937–1938 i w różnych zamachach skrytobójczych. Wreszcie, na którymś zakręcie historii – nie wiem kiedy – podzielił los swoich ofiar.

Oblał mnie zimny pot: dlaczego to *ja właśnie* napotykam w życiu *takich* przyjaciół? Przyjaciół obciążonych *takimi* ojcami?

Czy rzeczywiście *obciążonych*? Bywamy dumni z naszych rodziców i przodków, i wydaje nam się, że jakaś część ich zasług i chwały spływa i na nas. A jak to jest z ich hańbą i zbrodniami? Może winniśmy się czuć w jakimś stopniu dziedzicami ich win, i swoim życiem starać się je zmasać?

Odczułem potrzebę nawiązania ponownie utraconego dawno temu kontaktu z Helmutem Krauchem – póki żyjemy, nie jest jeszcze za późno. Odnalazłem go okreśną drogą, przez Namibię, gdzie na swej farmie żyje jako emeryt jego brat, Carl-Friedrich. Rozmawiałem z Helmutem parokrotnie przez telefon, bo ze względu na zaawansowaną chorobę Parkinsona nie jest w stanie pisać. Jemu też milczenie między nami leżało na sercu. Przesłał mi różne dokumenty o swoim życiu, świadczące, że działał bardzo aktywnie – zakulisowo, lecz na wysokich szczeblach – by przeciwdziałać wojnom w całym świecie i broniom masowej zagłady. Niewątpliwie Helmut Krauch starał się swoim życiem choć trochę zmasać winy ojca.

Nie wiem natomiast, co wiedział o działalności swego ojca Stal Grigorjewicz Majranowskij. Generał NKWD, do tego zaufany Stalina w najtajniejszych, morderczych intrygach, na pewno w domu ani słowem nie mówił o swojej służbie. Nie wiem, kiedy zginął; być może – gdy Stal był jeszcze kilkunastoletnim chłopcem. W warunkach sowieckiego ustroju i terroru mógł prawdy o ojcu w ogóle nie znać. Nigdy się tego nie dowiem.

ODEJŚCIE Z UNIWERSYTETU

Bardzo szybko po ukończeniu studiów zasiadłem w Radzie Wydziału, początkowo jako delegat asystentów i adiunktów, potem jako docent. Nie było to miejsce przyjemne, okazywały się tam niezdrowe ambicje, ciągłe intrygi. Byłem bardzo przeciwny mnożeniu się Wydziałów – w naszym przypadku dzielił się Wydział Matematyczno-Przyrodniczy, powstawał oddzielny Wydział Chemii. Wydawało mi się to zaprzeczeniem idei *Universitas*, odrywaniem Chemii od Fizyki i od Biologii – w czasie, gdy gołym okiem było widoczne, jak z każdym rokiem trudniej będzie te dziedziny rozdzielać i stosować dziewiętnastowieczne szufladkowanie nauk. Chemicy chcieli jednak z bardzo przyziemnych i egoistycznych względów stać się niezależnymi od fizyków – i dopięli swego. Dziekanami zostawały miernoty, Wydziałem wstrząsały różnych miernot intrygi (por. przypis 114). Należała do nich wspomniana już nielojalność wobec prof. Antoniego Łaszkiwicza – po jego wyjściu z więzienia i rehabilitacji, katedrę nadal zajmował Ludwik Chrobak. I z tym to właśnie prof. Chrobakiem wiąże się historia mego odejścia z Uniwersytetu Warszawskiego.

Prof. Chrobak miał asystentkę, mgr. Emilię Przyborę, która znana była z wyjątkowej głupoty, ale odgrywała w jego katedrze bardzo ważną rolę, bo podobno była jego przyjaciółką. W styczniu 1961 r. odbyła się obrona jej pracy doktorskiej na Wydziale Chemii. Kilka dni przedtem adiunkt w katedrze Chrobaka, dr Norbert Ramer, zwrócił uwagę moją i prof. Kemuli na to, że praca została napisana przez promotora. Dowodów na to było wiele, m.in. wszystkie rysunki i fotografie były na odwrocie opisane ręką Chrobaka. Co więcej, praca nie miała wymaganego elementu nowości, gdyż był on zawarty w niecytowanych przez autorkę dawno publikowanych pracach. Publiczna obrona p.Przybory była kompromitująca. Na odbytym po tej obronie posiedzeniu Rady Wydziału Prof. Kemula był jednego zdania ze mną, ale milczał, a tylko ja powiedziałem co o tej sprawie myślę. Gdy Chrobak oświadczył, że przysięga, iż Przybora pisała pracę sama, nie wytrzymałem, mówiąc, że nie można składać przysięgi w sprawie osoby *bliskiej*. Wywołało to żywą reakcję Rady, a wtedy prof. Chrobak wyciągnął z kieszeni zaświadczenie lekarskie ... o swojej impotencji! Posiedzenie przerwano. P. Przybora wystąpiła do sądu z pozwem przeciwko mnie o zniesławienie jej (o niesamodzielność wykonania pracy doktorskiej) na zamkniętym posiedzeniu Rady Wydziału. Od tej chwili rzecz toczyła się dwoma torami: na Radzie Wydziału i w sądzie.

Na kilku kolejnych posiedzeniach RW nie dyskutowano rzeczowych zarzutów stawianych doktorantce i pracy, tylko sprawy proceduralne. Równocześnie dziekan Świdorski (m.in. absolutnie niekompetentny recenzent tej pracy doktorskiej) szantażował członków RW aby głosowali za Przyborą, bo inaczej nie dostaną awansu, habilitacji, profesury... Na mnie w dwu rozmowach naciskał, bym milczał i nie mówił tego co wiem, bo „w przeciwnym razie los pański będzie okrutny”, „nie będzie pan nie tylko pracować na Wydziale, ale i nie znajdzie pan pracy nigdzie w Polsce!” W końcu, po 9 miesiącach RW bardzo niewielką, wymuszoną większością głosów – nie rozpatrując w ogóle zarzutów merytorycznych – przyznała Przyborze doktorat.

Tymczasem w sądzie sprawa miała charakter precedensowy. Świadkami byli członkowie RW, m.in. dwu *vice*-ministrów Szkolnictwa Wyższego (Achmatowicz i Minc), ławnikami – dyrektorzy departamentów Ministerstwa. P. Przybora podeszła do mnie na korytarzu sądowym: „panie Zbyszku, dlaczego Pan mnie atakuje? Przecież moja matka była Żydówką!” Trwały naciski, by nie dopuścić do merytorycznej rozprawy. Sprawę umorzono polubownie, uznając, że nie chciałem nikogo obrazić...

Zaraz po przyznaniu przez Wydział tego doktoratu, złożyłem rezygnację z pracy na UW. Trwało to kilka miesięcy, zanim dziekan sporządził zaległe od roku, a teraz fałszowane protokoły RW. Wniosłem do Ministerstwa dobrze udokumentowane pismo rezygnacyjne²¹⁶, a wtedy przyjął mnie *vice*-minister, wy-

²¹⁶ Mam na ten temat zbiór dokumentów, zajmujący pokazną teczkę.

bitny organik i profesor UW, Osman Achmatowicz²¹⁷. Achmatowicz w pamiętnej dla mnie rozmowie przyznał mi pełną rację, dodając wszakże: „nie wystarczy mieć słuszność. Pan jest młodym docentem, Chrobak – starszym profesorem. W takim starciu zawsze profesor wygra! Nic na to teraz nie poradzimy. Niech mi pan jednak przyrzeknie, że będzie pan bardzo pilnował, by profesora mi zostawali tylko ludzie mądrzy, uczciwi i przyzwoici – tacy, którzy nie będą popełniać czynów niegodnych.” Przyrzekłem mu to bardzo solennie i starałem się to w dalszej działalności wypełniać. No, i odszedłem z Uniwersytetu przechodząc na pełen etat do Instytutu Chemii Fizycznej PAN.

A Wydział Chemii UW przez kilka dziesiątków lat ignorował mnie jako wykładowcę; o wykłady zwracały się do mnie w tym czasie Biologia i Fizyka...

INSTYTUT CHEMII FIZYCZNEJ

W Instytucie Chemii Fizycznej PAN, w Zakładzie Fizykochemicznych Metod Analitycznych prof. Kemuli byłem już od paru lat zatrudniony „na pół etatu”. Zakład ten mieścił się wtedy w Gmachu Chemii UW, w pomieszczeniach katedry Kemuli, toteż rozróżnienie obu instytucji było niełatwe. Budynek Instytutu wznoszono przy ul. Kasprzaka. Brałem udział jeszcze w ich planowaniu, które zresztą niewiele miało wspólnego z późniejszym wykorzystaniem tych budynków: prof. Włodzimierz Trzebiatowski ze swym zakładem nie przeniósł się tu z Wrocławia, podobnie prof. Bogdan Kamieński z Krakowa, natomiast połowę budynków *chwilowo* zajął nieprzewidziany tam Instytut Chemii Organicznej PAN, „tylko na rok-dwa, aż wybudujemy własny budynek”. Minęło ponad 40 lat, IChO pozostał.

Wkrótce – w r. 1965 – dostałem nominację profesorską. Z tej okazji zaprosiliśmy liczne grono współpracowników, doktorantów, promowanych już doktorów na obiad do pałacu PAN w Jabłonce. Wynajęliśmy specjalny autobus, bo samochody w tych czasach były rzadkim luksusem; nikt z nas nie miał samochodu. W przyjaznej i pogodnej atmosferze mieliśmy tam i kieliszek wina, i wtręty poetycko-satyryczne, i zwiedzanie pięknego parku. Ale dla mnie największą radością była obecność z nami moich Rodziców, którzy uznali, że ich syn w końcu spełnił ich oczekiwania i *wyszedł na ludzi*.

Dyrektorem Instytutu był nominalnie Świętosławski, ale naprawdę wszystkim rządził Michał Śmiałowski, który też po Świętosławskim został formalnie dyrektorem. Była to postać nieciekawa – metalurg z Gliwic, którego ściągnięto do Warszawy, gdy powstawała w 1951 r. PAN, jako zaufanego partyjnego, który

²¹⁷ Prof. Osman Achmatowicz (senior, bo i jego syn Osman jest profesorem chemii organicznej) był w Wilnie doktorantem dziadka Anki, prof. Kazimierza Sławińskiego, dla długiej pięknej brody zwanego *Bogiem-Ojcem*.

miał rządzić Wydziałem III (nauk ścisłych) w Akademii. Przyjechał ze swą drugą żoną, Zuzanną²¹⁸, która była przedtem jego asystentką, a teraz docentem, profesorem i rządziła nim w sposób anegdotyczny²¹⁹. Ponieważ mieliśmy ciągłe spory, Śmiałowski chciał się mnie pozbyć. Zaoferował mi kiedyś katedrę na powstającym właśnie Uniwersytecie Śląskim i willę w Katowicach – i był bardzo zdziwiony, że nie chcę tego przyjąć.

Wszyscy nasi „starsi panowie” – Śmiałowski, Kemula, Świętosławski, Minc, Trzebiatowski – byli między sobą skłóceni. Robiło to fatalne wrażenie, uniemożliwiało współpracę. Zakupiłem więc kiedyś butelkę bułgarskiego koniaku, jakiś dobry złoty ser do tego, i zaprosiłem do siebie kilkoro „młodych” (mieliśmy wtedy po 30–40 lat): Bogdana Baranowskiego, Władka Malesińskiego (Fot.47), Wacław Palczewską, a po uzgodnieniu, że myślimy o tym podobnie – zaproponowałem im, byśmy sobie przyrzekli: „będziemy starali się ze sobą współpracować po koleżeńsku, dla dobra tego Instytutu, a gdy się zestarzejemy – nie damy się skłócić, bo będziemy pamiętać o niedobrym przykładzie naszych obecnych «starszych panów»”. Niestety, niewiele z tego wynikło; ambicje, niechęci, przywary starzenia się okazały się silniejsze od ówczesnych postanowień. A Władek Malesiński, człowiek wielkich zdolności i pięknego charakteru, zmarł młodo na zawał, dzień przed otwarciem w Warszawie zorganizowanego przezeń I Kongresu Termodynamiki, na którym miał wygłosić podstawowy referat...

Instytut utworzony został jako zlepek kilku laboratoriów, które wypączkowały z odpowiednich katedr Uniwersytetu i Politechniki. Minęło 40 lat, zmienili się wszyscy kierownicy zakładów, czasem nawet kilkakrotnie, a wciąż nie zdołano zmienić tego charakteru luźnej federacji dość obcych sobie laboratoriów. Dopiero Janusz Lipkowski jako dyrektor zaczął zamykać pewne kierunki prac, ułatwiając tym samym lepszy start ku ważnym, aktualnym kierunkom badań. W różnych *rankingach* Instytut wypada znakomicie. Pomimo słabego kontaktu z uczelniami, Instytut przyciągnął wielu zdolnych młodych ludzi, stopniowo został wyposażony w dobre aparaty, a dodatkową zaletą była tu współpraca badaczy różnych specjalności naukowych (por. przypis 221).

Gdy wyjechaliliśmy do Cambridge, sprawa mego profesorskiego uzwyczajenia została – już po recenzjach – wstrzymana przez Śmiałowskiego przez rok²²⁰ (a może nie wrócimy?). Dzięki swej nie dobrej opinii w oczach partii miałem spokój w tym sensie, że nigdy nie byłem powoływany na żadne stanowiska dyrektorskie. W czasach, gdy byłem gorzej widziany niż zwykle – wykluczano mnie nawet z Rady Naukowej Instytutu. Dopiero po upadku PRL, zwanym częs-

²¹⁸ Niedługo przedtem popełniła samobójstwo jego pierwsza żona...

²¹⁹ Przykład: kiedyś wezwał mnie Śmiałowski i uragał: „tak nie może być! Co to znaczy – pan i Baranowski publikujecie prace w *Faraday Society*, a mojej żonie tam prac nie przyjmują – i co ja mam teraz zrobić?”.

²²⁰ Protokoły # 78 (4.V.1972) i # 80 (15.II.1973) Rady Naukowej IChF PAN.

to odzyskaniem niepodległości, zostałem odznaczony kolejnymi krzyżami „Polonia Restituta”, Kawalerskim, a potem Oficerskim. Gdy wraz z Bogdanem Baranowskim przechodziliśmy na emeryturę, zostaliśmy obaj wyróżnieni pięknym medalem Instytutu.

SPEKTROFOTOMETRY I „WDRAŻANIE”

Ze staży zagranicznych przywieźliśmy nieco drobnego sprzętu i sporo wiedzy o aparaturze. Wobec olbrzymich trudności uzyskania w kraju *twardych dewiz* i zakupu aparatury i sprzętu z za granicy, przystąpiliśmy od początku do konstrukcji nieodzownych aparatów, od stosunkowo prostych (lampy rtęciowe, zasilacze, osłony i wentylacje, układy optyczne do naświetlań i aktynometrii, uczulane przez nas klisze do spektrografów, grubościennicze naczynia do spektrofotometrii i fotochemii pod wysokimi ciśnieniami gazów – 100–150 atmosfer), po coraz to bardziej ambitne. Zdobycie – przez pożyczanie, wyżebranie lub najrzadziej – przez zakup (bo i za co? gdzie?), każdego okienka kwarcowego, odpowiedniej rurki, pryzmatu czy soczewki, a z czasem – fotopowielacza, było sukcesem. Dziś trudno sobie wyobrazić, jakie wówczas występowały trudności zaopatrzeniowe: brak dewiz, brak informacji, planowanie wszystkiego na co najmniej rok wcześniej. Zakup za granicą gotowych, kosztownych przyrządów był właściwie wykluczony – chyba, że było się *dobrze widzianym*, ustosunkowanym, członkiem partii. Ponieważ ja miałem opinię akurat wręcz przeciwną – nie mieliśmy na co liczyć.

Najważniejszą naszą inwestycją była jednak aparatura do fotolizy błyskowej, konstruowana przez Ankę wielkim nakładem pracy i inwencji (Fot.48). Tu potrzebowaliśmy już pomocy elektrotechników. Potężne kondensatory wysokiego napięcia i tyratrony do wielkich prądów po wielu staraniach uzyskaliśmy z wojskowych magazynów technicznego zaplecza radarów. Transformatory wysokiego napięcia o odpowiedniej charakterystyce budował nam i przewijał na zamówienie specjalista wysokiej klasy. Olej transformatorowy wyłudzałem przez znajomości z elektrowni warszawskiej. Zakładaliśmy specjalne niskoomowe uziemienia i uziemione osłony. Gdy jednak trzeba było wyjść poza klasyczną elektrotechnikę, do elektronicznych układów sterowania, do regulowanych opóźnień między błyskami – byliśmy bezradni.

Doszedłem wówczas do wniosku, że, aby móc konstruować aparaty z prawdziwego zdarzenia, musimy zatrudnić elektronika i optyka. Jeśli mają to być specjaliści wysokiej klasy, ludzie twórczy – muszę im dać zadania ambitne, a nie odzwierciedlanie tego, co w bogatszych krajach po prostu się kupuje. Musimy tworzyć coś nowego. Wówczas również i oni będą mieli pracę twórczą, innowacyjną, a my dostaniemy narzędzia pracy niedostępne jeszcze innym laboratoriom.

Z początkiem lat 60. udało się zainteresować naszymi pracami dwu wybitnych konstruktorów, wynalazców: elektronika Józefa Koszewskiego (Fot.50) i optyka Jana Jasnego (Fot.49)²²¹. Wnet stali się oni filarami naszego zespołu. Nie tylko prowadzili swe prace, ale uczyli nas elektroniki i optyki na swoich wykładach.

Ponieważ dużą niedogodnością metody fotolizy błyskowej była detekcja fotograficzna na płytach spektrografu, postanowiliśmy zastąpić ją przez szybki elektroniczny układ przemiatający widmo, któremu nadaliśmy nazwę *sterowanego elektronowo monochromatora (SEM)*²²². W pierwszych próbach wykorzystywaliśmy „w odwrotnym kierunku” stary spektrograf. Wkrótce potem specjalnie przystosowane układy optyczne skonstruował dr Jasny. Powstał *ultraszybki spektrofotometr*, dokonujący dwuwiązkowo pomiaru widma w czasie 100 μs. Sygnał detekcyjny był zapamiętywany w szybkiej pamięci magnetycznej, stworzonej przez dra Koszewskiego. Wkrótce po pierwszych publikacjach na ten temat zostaliśmy zaproszeni przez American Optical Society do ich specjalnego zeszytu poświęconego szybkiej spektrometrii²²³. Doc. Jasny i doc. Koszewski stopniowo ten przyrząd udoskonalali.

Równocześnie z pracami nad ultraszybkim spektrofotometrem postanowiliśmy wykorzystać też SEM do skonstruowania aparatu szerokiego użytku laboratoryjnego – spektrofotometru „z natychmiastowym odczytem”. Redukując szybkość przemiatania widm z 10 000 do zupełnie do tego celu wystarczających 25 widm na

²²¹ Nie było możliwości zatrudnienia ich na Uniwersytecie; nie będąc chemikami – nie byli niezbędni z punktu widzenia dydaktyki. Był to przykład jak konserwatywna struktura uczelni może przeszkadzać badaniom naukowym. Na szczęście mieliśmy inną możliwość. Zostali oni pracownikami Instytutu Chemii Fizycznej PAN – a w instytutach PAN można, a nawet powinno się prowadzić badania multi- czy też interdyscyplinarne. Nie było to zresztą łatwe – Józef Koszewski pracował w Instytucie Technicznym Wojsk Lotniczych, był podpułkownikiem lotnictwa. Przez kilka lat wojsko – aż po ministra obrony narodowej – odmawiało nam i jemu prawa przejścia do pracy naukowej w IChF. Jan Jasny zaś, wielokrotny wynalazca i zdobywca tytułu *Mistrz Techniki Warszawy*, był dyrektorem technicznym przemysłowego instytutu optycznego; przechodząc do nas poświęcił znaczną część swego poprzedniego wynagrodzenia – by móc zajmować się tym, co go zainteresuje. Wkrótce każdy z nich zdobył doktorat (Koszewski, ponieważ jego praca doktorska była na pograniczu kilku dyscyplin, miał aż czterech wybitnych recenzentów pracy doktorskiej), a potem, mając duży dorobek naukowy, zostali docentami w PAN.

²²² J. K o s z e w s k i , Z. R. G r a b o w s k i : *New method of rapid measurement and magnetic storage of absorption spectra*. „Bull. Acad. Polon. Sci., Sér. Sci. chim.” 1963 11 s. 165–168; *Spektrofotometr elektroniczny*. patent polski nr 52182 (zgłoszony w r.1965), przyznany ponadto w NRD, RFN, Francji, Szwajcarii, W. Brytanii, Włoszech i Japonii.

²²³ J. K o s z e w s k i , J. J a s n y , Z. R. G r a b o w s k i : *Rapid Scan Flash Spectrophotometer with a Flying Spot Light Source and Magnetic Storage*. „Applied Optics” 1968 7 s. 2178–2183.

sekundę, udało się stworzyć przyrząd nowego wówczas typu, który miał szanse konkurować z dotychczasowymi. Trzeba było jednak tym zainteresować przemysł.

Wystawiliśmy prototyp na Targach Poznańskich, potem na wystawie osiągnięć technicznych. Zwiedzając, zainteresowali się nim niektórzy wysoko w hierarchii partyjnej postawieni decydenci: v-premier Szyr, sekretarz KC Szlachcic. Podjęto decyzję o produkcji prototypowej w Biurze Urządzeń Techniki Jądrowej (BUTJ). Tu jednak postawiliśmy warunek: to nie może być jeden tylko typ przyrządu. Tak jak u innych znanych mi producentów, trzeba utworzyć grupę rozwojowo-konstrukcyjną, która będzie udoskonalać przyrząd, konstruować następne, dostosowywać je do potrzeb nabywców, przygotowywać materiały informacyjne. Udało się i to; powstała w BUTJ kilkunastoosobowa grupa konstruktorów, fizyków, chemików, elektroników, pod kierownictwem mgr. R. Brunsza. Chcieliśmy wraz z nimi zapoczątkować w Polsce produkcję oryginalnej, nowoczesnej spektralnej aparatury laboratoryjnej.

Wyprodukowano próbną serię „Spektromonitorów”, które przejęli do wypróbowania użytkownicy w różnych uczelniach i instytutach. Wreszcie nawet Gomułka w swym referacie na plenum KC uznał to za ważny sukces²²⁴. Wydawało się więc, że droga do produkcji polskiej aparatury spektralnej jest otwarta. Ale losy w naszym kraju mają drogi kręte i nieoczekiwane.

W wyniku czystek rasistowskich po marcu 1968 r. usunięto min. Billiga (energia jądrowa) i dyrektora BUTJ Ringera. Jednym z formułowanych naprędce „zarzutów” było, że BUTJ podjęło produkcję przyrządów spoza właściwej techniki jądrowej.. Przerwano więc produkcję „spektromonitorów” oraz znakomitych oscylografów „Osa”, rozwiązano naszą grupę rozwojowo-konstrukcyjną – ku memu wielkiemu zmartwieniu i wstydu wobec ludzi, którzy mi zaufali. Zaprzepaszczono (dla rozgrywek wewnątrzpartyjnych) szansę uruchomienia w Polsce produkcji nowoczesnej aparatury naukowej.

Po takich doświadczeniach miałem dość współpracy z przemysłem, a szybki postęp techniki zastąpił z czasem nasz SEM przez linijki fotodiod i coraz to inne typy detektorów. Doc. Koszewski w wiele lat później uruchomił gdzie indziej produkcję opartych na zmodyfikowanych zasadach skomputeryzowanych spektrofotometrów laboratoryjnych „z natychmiastowym odczytem”. Kolejne wersje ultraszybkiego spektrofotometru ustąpiły z czasem pikosekundowej impulsowej technice laserowej²²⁵.

²²⁴ „W Instytucie Chemii Fizycznej PAN opracowano oryginalny w skali światowej spektromonitor – przyrząd do automatycznej, ciągłej kontroli substancji przepływających w instalacjach przemysłowych oraz do badań kontroli produkcji barwników, farmaceutyków i innych” („Trybuna Ludu” 16.XI.1969).

²²⁵ J. Dobkowski, Z. R. Grabowski, J. Jasny, Z. Zieliński: *Picosecond transient absorption spectra and the TICT phenomenon*. „Acta Physica Polon.” 1995 A 88 s. 455–468.

GETYNGA

Od czasu mego pobytu w Stuttgarcie i ówczesnej wizyty w Getyndze – a szczególnie po przejściu tam Alberta Wellera – *Max-Planck-Institut für Biophysikalische Chemie* stał się najbliżej z nami zaprzyjaźnionym ośrodkiem naukowym Zachodu. Bywaliśmy tam wielokrotnie, ja i moi koledzy i współpracownicy, a badacze z Getyngi bywali u nas. Instytut ten, wybudowany dla Manfreda Eigena (w 1967 r. laureata Nagrody Nobla [por. przypis 373]) w tym samym czasie, kiedy budowano i nasz Instytut w Warszawie, jest położony pięknie na wzgórzu Nikolausberg nad Getyngą w postaci kilku „wież” połączonych ze sobą, a był po zbudowaniu – w odróżnieniu od naszego – szczytem elegancji i nowoczesności. Były to nie tylko świetne laboratoria, ale i poczta pneumatyczna do wewnętrznej komunikacji, i zdobiące korytarze nowoczesne dzieła sztuki. W RFN instytucje budowane z budżetu muszą wydać bodajże ½ czy ¼ % kosztów na dzieła sztuki!

W instytucie tym, oprócz Hansa Strehlowa, zajmującego się relaksacją w roztworach elektrolitów, Alberta Wellera, którego uczniowie – zwłaszcza Karl-Heinz Grellmann, Bernhard Nickel i Klaas Zachariasse (Fot.72) mieli z nami najwięcej wspólnych zainteresowań²²⁶, Manfreda Eigena, którego prace na temat początków Życia były ogromną inspiracją moich zainteresowań^{227,228}, ważną dla nas rolę odgrywał zakład Fizyki Laserowej Fritza Schäfera, z którym przez wiele lat ściśle i owocnie współpracował Oswald (Jan) Jasny.

ALEKSANDER TERENIN

Aleksandr Nikołajewicz Terenin (Fot.51)²²⁹ był od lat 20. jednym z najbardziej zasłużonych badaczy molekularnej fotochemii i spektroskopii. Po rewolucji bolszewickiej wybitny optyk D.S.Roźdiestwenskij przekonał władze o konieczności utworzenia instytutu optycznego, ze względu na celowniki artyleryjskie

²²⁶ Klaas Zachariasse od ponad 20 lat jest głównym i ogromnie zaciętym oponentem naszej hipotezy o strukturze stanów TICT.

²²⁷ Z. R. Grabowski: *Spór o powstanie Życia – hipoteza ewolucji chemicznej*. [W:] *Nauka-Religia-Dzieje (II Seminarium Interdyscyplinarne w Castel Gandolfo, 6–9 września 1982)* (red. J. Janik i P. Lenartowicz), Kraków 1984 Wyd. Filozoficzny Tow. Jezusowego, s. 28–47

²²⁸ Z. R. Grabowski: *Jak powstało Życie?* „Oświata i Wychowanie” 1988 nr 10, S. 10–17.

²²⁹ 1896–1967. Odkrywca rozszczepień nadsubtelnych w widmach atomów (magnetycznych momentów jądrowych). M.in. zidentyfikował naturę stanu tripletowego cząsteczek (por. przypis 186).

i lunety dla wojska i zatrudnił na początek jako laborantów 20 najzdolniejszych studentów, w tym Terenina. Tak powstał Państwowy Instytut Optyczny w Leningradzie, z czasem czołowy w ZSRR ośrodek badań spektroskopowych, fotochemicznych, a potem i laserowych. Przy całej swej sławie i osiągnięciach instytut ten miał zasadniczą wadę: podlegał armii. Stąd i tajemnice wojskowe i absolutny zakaz wstępu dla cudzoziemców. Gdy z początkiem 1964 r. przyjechałem do Terenina, którego znałem już od kilku lat, przyjął mnie na wydziale fizyki uniwersytetu, gdzie też miał laboratorium. Inną okazję rozmów z nim miałem dwa lata później, na Międzynarodowej Konferencji Luminescencji, gdy mnie poprosił, bym na prowadzonej przez niego sesji tłumaczył *ex promptu* głosy dyskutantów między różnymi językami (używano tam angielskiego, rosyjskiego, niemieckiego i francuskiego – podówczas były to języki kongresowe). Było to bardzo trudne, na szczęście potem przejął tę funkcję znakomity poligłota, leningradzki fizyk Tołstoj, wnuk wielkiego Tołstoja.

Ale pewien fragment naszych rozmów z Tereninem pozostał mi na zawsze w gorzkiej pamięci. Gdy nabrał do mnie zaufania, zapytałem go o pewien niechlubny etap jego działalności – a on odpowiadał mi długo i szczerze. Było mi bardzo przykro, że to wywołałem, bo wielki uczony opowiadał mi to ze łzami w oczach. W 1949 r. wezwał go prezes Akademii, a jego dobry kolega, Siergiej Wawiłow²³⁰. Był to okres brutalnych *czystek ideologicznych*. A pewni sowieccy *filozofowie marksistowscy* podjęli atak na mechanikę kwantową – na przykładzie niezwykle płodnej w chemii *teorii rezonansu* Linusa Paulinga (por. przypis 212)^{231 232}. *Trzeba było* tę teorię potępić i potępić tych, którzy ją propagowali. Wawiłow powiedział mi: „w ZSRR opublikowano tylko dwie książki, propagujące teorię rezonansu. Jedna z nich jest twoja: albo staniesz na czele komisji, która potępi teorię rezonansu – albo będzie to ktoś inny, a tobie przypomną, że się tą teorią posługujesz²³³. A pamiętaj o losie mojego brata!”²³⁴ Aleksandr Nikołajewicz

²³⁰ 1891–1951, wybitny badacz luminescencji.

²³¹ Atak na teorię Paulinga był tym mniej spodziewany, że równocześnie prasa sowiecka niezwykle chwaliła Paulinga za jego kampanię przeciw zbrojeniom jądrowym, a on – stawał kilkakrotnie przed komisjami senackimi za rzekomą działalność antyamerykańską, odmówiono mu paszportu na wyjazd do Anglii, a nawet chciano mu uniemożliwić wyjazd do Sztokholmu po odebranie Nagrody Nobla. Wreszcie zmuszono go do odejścia z uczelni, której profesorem był kilkadziesiąt lat – z California Institute of Technology.

²³² Я.К. Сыркин, М.Е. Дяткина: *Химическая связь и строение молекул*. Москва-Ленинград 1946 Госхимиздат; stron 290.

²³³ А. Н. Теренин był autorem powszechnie używanej monografii (*Фотохимия красителей и родственных органических соединений*. Москва 1947 Издат. АН СССР, stron 353), w której teoria rezonansu jest szeroko stosowana.

²³⁴ Jego starszy brat, Nikołaj Iwanowicz Wawiłow (1887–1943?), był czołowym rosyjskim genetykiem, przeciwstawiał się poglądom Łysenki. Uwięziony, potępiony, zginął w *łagrze*.

wstrząśnięty, po narodzie rodzinnej przyszedł złamany do Wawiłowa, zgadzając się – pod warunkiem, że nie pociągnie to za sobą ofiar... Wawiłow mu to przyrzekł, na tyle, na ile mógł – i dotrzymał słowa. Powstała komisja, potępiła – katedry swe utracili (na kilka lat) profesorowie Syrkin i Djatkina, autorzy najpoważniejszego rosyjskiego podręcznika chemii kwantowej – ale nikt nie powędrował do obozu, nikogo nie pozbawiono życia. Prezes Akademii Wawiłow stał się jednak przedmiotem szykan i podejrzeń; wyniszczony tym zmarł w ciągu dwu lat.

A chemia teoretyczna, jak i biologia po śmierci Stalina, przez długie lata nadrabiały swe zapóźnienie, spowodowane przez dominację ideologów i decyzje partyjne na temat tego, co jest prawdą w nauce...

USA

Z początkiem lat 60. odwiedził Katedrę prof. Kemuli znany amerykański fotochemik prof. William Albert Noyes jr.²³⁵ W 1963 r. otrzymałem odeń zaproszenie do Rochester, NY, na symposium związane z jego przejściem na emeryturę na Uniwersytecie w Rochester²³⁶. Byłaby to moja pierwsza podróż na Ocean. Zaproszenie otrzymałem listownie, z zaznaczeniem, że koszty mego przelotu pokrywa *US Air Force*. Gdybym to pokazał wraz z prośbą o paszport – dostałbym natychmiast odmowę; był to czas *zimnej wojny*, wkrótce po groźnym kryzysie kubańskim. Odpisałem więc natychmiast, że chętnie przyjadę, ale nie jest mi potrzebna informacja kto płaci za mój bilet. Na szczęście Noyes aluzję zrozumiał i na to nowe zaproszenie dostałem paszport i korespondencyjnie umówiłem się z kilkoma znanymi mi z literatury badaczami z różnych ośrodków, które chciałem poznać. Ponadto honoraria za referaty musiały mi pokryć koszty pobytu i podróży w USA; bo z Polski mogłem zabrać tylko \$ 5. Poleciałem po raz pierwszy nad oceanem, a największym przeżyciem był blisko godzinny lot nad Grenlandią, z jej cudownymi (z wysokości 10 km) lodowcami i bielą aż po horyzont.

Idąc wieczorem ulicami Rochester, zaglądałem do mieszkań – i stwierdziłem zdumiewające podobieństwo gustów do tego, co widywałem w Moskwie: pluszowe ciężkie firanki, pluszowe kanapy, lampy osłonięte abażurami z kolorowego materiału – z obowiązkowymi frendlami! Nic z tego, co u nas nazywano *nowoczesnością* i co *każdy* chciał mieć w domu. Skąd te podobieństwa? Z uśrednionego gustu drobnomieszczan?

²³⁵ Autor klasycznej monografii W. A. N o y e s , P. A. L e i g h t o n : *The Photochemistry of Gases*. New York 1941 Reinhold Publ.Co., stron 475. Pochodził ze znanej rodziny profesorskiej Noyesów, syn profesora, a jego brat Richard był wielkim autorytetem w dziedzinie kinetyki reakcji chemicznych.

²³⁶ Odszedłszy stamtąd, zaraz został profesorem na innym uniwersytecie, w Teksasie. Reguły wieku są różne na różnych uczelniach.

Na sympozjum podszedł do mnie znany ze swej fantazji fotochemik Gerald Oster i zapytał, czy jestem z Polski. Zdziwiłem się, po czym to poznał, a on: „bo jest pan tak podobny do mego przyjaciela Marka Kryszewskiego – widocznie są to jakieś wspólne cechy narodowe?”. A między mną i Markiem Kryszewskim – również i moim przyjacielem – nie było żadnego podobieństwa.

W ciągu miesiąca odwiedziłem wiele laboratoriów, tak fotochemicznych (Robert Livingston w Minneapolis, Henry Linschitz na Brandeis University w Waltham, Mass., N.C. Yang na Chicago University), jak i elektrochemicznych (Stanley Wawzonek w Iowa City, Peter Given w Penn State, Stanley Bruckenstein w Minneapolis). Byłem pod wielkim wrażeniem wspaniałych i niedostępnych nam aparatów – które jakże często nie były wykorzystywane z braku pomysłów... A trzy zupełnie zresztą marginalne wydarzenia utkwily mi w pamięci.

W Brandeis University Henry Linschitz pokazywał mi nowoczesny, pięknie położony *campus*. „A w tym budynku są psychoanalitycy.” – „cały budynek?” – „tak, popatrz”; i zobaczyłem plakaty: *nie zdałeś egzaminu – idź do psychoanalityka! Nie jesteś całkiem szczęśliwy – zgłoś się do psychoanalityka!* Okazało się, że połowa studentów konsultuje się u psychoanalityka!”. I na tymże uniwersytecie, przed moim wykładem, Linschitz kazał mi się przysłuchać jego wykładowi dla studentów. I to dopiero zrobiło na mnie wrażenie. W pewnym miejscu, przy jakimś wzorze matematycznym, pewien student zaprotestował, podszedł do wykładowcy, poklepał go po ramieniu: „you are wrong, Henry!” – po czym pokazał błąd i wyprowadził na tablicy wzór poprawny. Coś takiego było w Europie w owym czasie nie do pomyślenia; mój szacunek dla Ameryki wzrósł niepomierne.

Stanley Wawzonek (Fot.53) był jednym z ważnych dla mnie autorytetów w poligrafii organicznej. Byłem przekonany, że jest on czeskiego pochodzenia, toteż zaskoczeniem było, gdy mnie przywitał starą gwara góralską: „witojciez, kolego! I nie gniewojcie sie, że kobite mom angielskom!”. Okazało się, że jego rodzice przybyli tu ze wsi pod Tarnowem jeszcze w XIX wieku, ale z żyjącą jeszcze swą matką on może rozmawiać tylko po polsku, bo ona angielskiego nie zna – w swojej dzielnicy w Chicago w ogóle go nie potrzebuje. W domu u Wawzoneków przywitały mnie również 3 córeczki, kilkunastoletnie. Każda po kolei dygnęła i wyrecytowała trzy zdania, np. „I am Emily; I am 13; my I.Q. is 110...”. Gdy pytałem, dlaczego mi się przedstawiają swoim ilorazem inteligencji – odpowiedziały mi, że po to, bym wiedział, czego po której mogę się spodziewać. I znów trudno mi było wyobrazić sobie takie zachowania u europejskich dzieci. A wieczorem poszliśmy na znakomity uroczysty dinner wydawany przez tamtejsze panie z okazji dziesięciolecia *Department of Home Economics* tamtejszego uniwersytetu. Panie te, m.in. pani Wawzonek, zdobywały w ten sposób wyższe wykształcenie, ucząc się jak prowadzić dom, jak zdrowo i smacznie żywić męża i dzieci...



Fot.46. Promuję na doktora Marka Kalinowskiego, wkrótce profesora Uniwersytetu



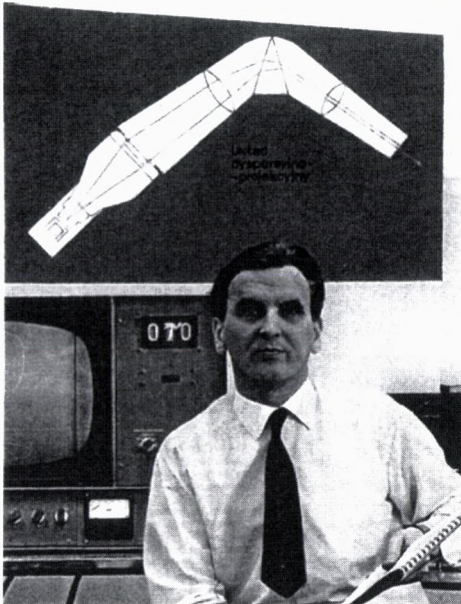
Fot.47. Egzaminujemy doktorantów w IChF, od lewej: Bogdan Baranowski, Władek Malesiński, Jan Stecki, ja; ok.1965.



Fot.48. Anka była zawsze duszą laboratorium.



Fot.49. Oswald Jan Jasny – wspaniały optyk, twórca naszych przyrządów, wynalazca, przyjaciel.



Fot.50. Józef Koszewski, świetny elektronik – wynalazca, twórca "spektromonitora" i naszej ultraszybkiej spektrofotometrii, przyjaciel.



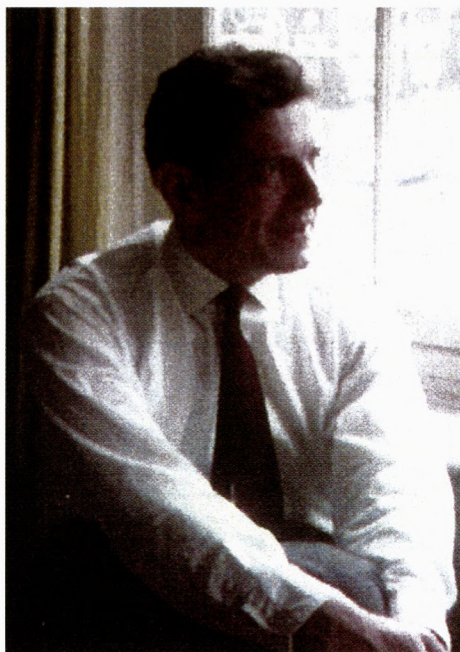
Fot.51. Terenin, Aleksandr Nikolajewicz.



Fot.52. U N.C.Yang'ów, 1963. „nie mamy nic wspólnego z Chinami”.



Fot.53. Stanley Wawzonek, Iowa City.



Fot.54. Jan Hoijtink



Fot.55. Johann van der Waals i Eva Migirdicyan na konferencji w Pułtusk (1992)



Fot.56. Z prof. Józefem Hurwicem (90 lat!). Przed laty świetny redaktor "Problemów". Emigrował po 1968 r. do Francji, ale sercem związany jest z Polską.



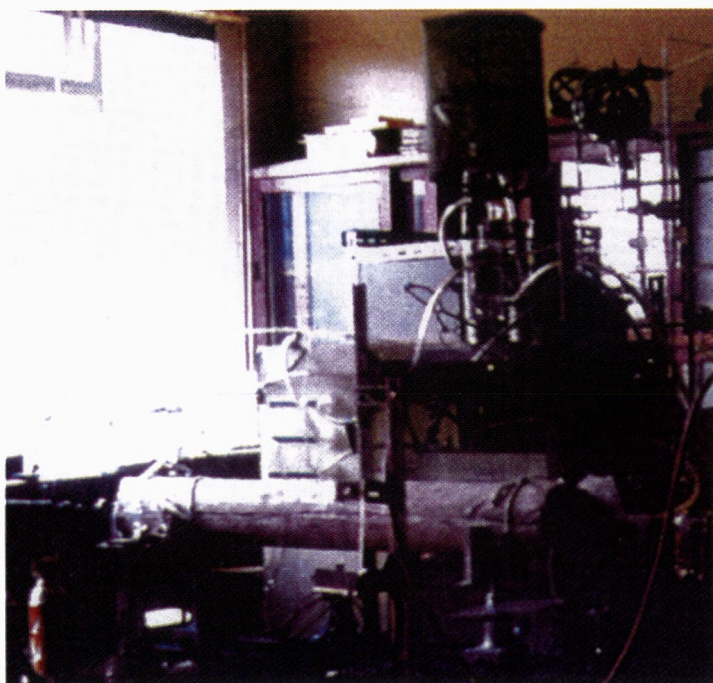
Fot.57. Zwiedzamy laboratorium Wilda na ETH w ZÜRICHU, 1970 r. Od prawej: Urs Wild, Sam Perone z Argentyny, Ernst Fischer z Izraela, i ja.



Fot.58. Zdzisław Ruziewicz i prof. Aleksander Jabłoński (z prawej) na sesji jego 80 lecia. Toruń, 1978.



Fot.59. Z Andrzejem Sadlejem w Toruniu. Andrzej, *Wunderkind* na UW, wybitny chemik kwantowy, po 17 latach emigracji powrócił ze Szwecji i jest profesorem na Uniw. Mikołaja Kopernika w Toruniu.



Fot.60, 61, 62. My w Cambridge (1971/72) i fragment naszej aparatury do fotolizy błyskowej par w regulowanej podwyższonej temperaturze. Zapłaciwszy tam brodę, zgoliłem ją wkrótce po powrocie, bo znajomi mnie nie poznawali.



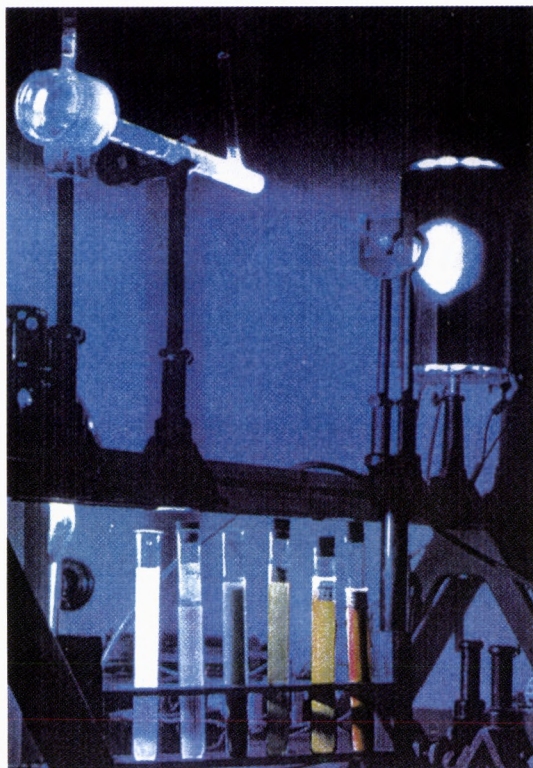
Fot.63. Rozmawiamy z Georgem Porterem, twórcą metod fotolizy błyskowej, późniejszym laureatem Nobla. Na konferencji luminescencji, Toruń 1963.



Fot.64. Przy plakacie naszej pracy, na konferencji Gordona, 1979. Brałem udział chyba w stu różnego typu konferencjach, referując nasze prace, lub ukazując je na plakatach.



Fot.65. Krzysztof Maurin, wybitny matematyk, inicjator interdyscyplinarnego seminarium, które przez szereg lat prowadziliśmy wspólnie, a nazywaliśmy je *seminarium dyletantów*.



Fot.66. Badania luminescencji są atrakcyjne również i dzięki swej estetyce. Luminescencja to zarówno piękne barwy emitowanego światła, jak i silne wrażenie pewnej niesamowitości, tajemniczości...



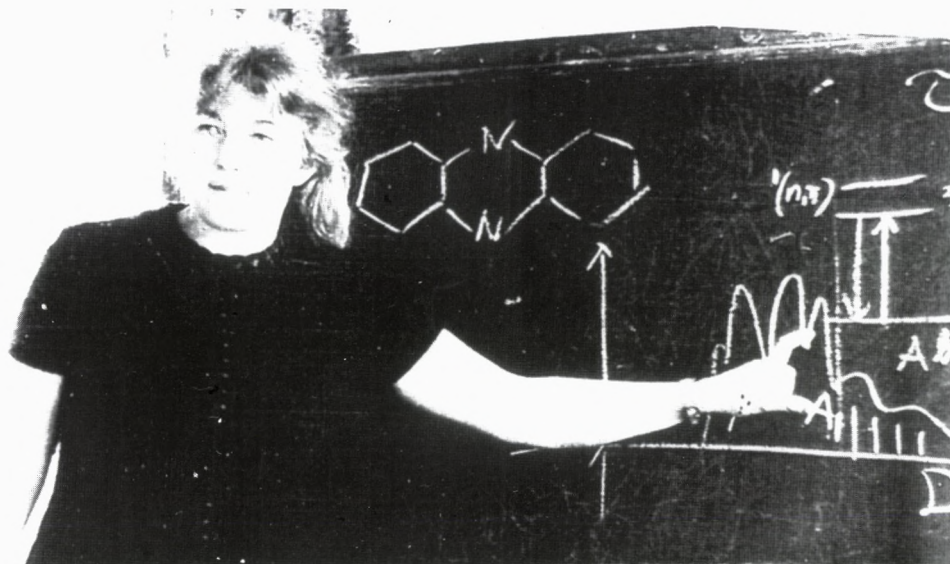
Fot.67. Krysia Rotkiewicz, najwierniejsza moja współpracowniczka, badacz separacji ładunków - i jej wiedeński uczeń Karl Rechthaler - w moim gabinecie.



Fot.68. Joshua Jortner - wspaniały chemik kwantowy, mówiący pięknie po polsku prezes Akademii Nauk Izraela.



Fot.69. Rudolf A. Marcus, twórca współczesnej teorii przenoszenia elektronu, laureat Nobla 1992, na dyskusji o fotochemii supramolekularnej, na Capri, 1987.



Fot.70. Anka prowadzi dla tworzącej się grupy badawczej uniwersytetu Schillera w Jenie wykład fotochemii w *Thüringer Wald*, wiosną 1971.

Gdy byłem w laboratorium u elektrochemika i analityka Stanleya Bruckensteina w Minneapolis, ten zapytał mnie, czy mówię po rosyjsku. Przytaknąłem, a on aż pokraśniał z zadowolenia: „Mamy tu problem z rosyjskim studentem, który się od nas izoluje i trudno nam się z nim porozumieć. Spróbuj ty!”. Okazało się, że był to aspirant (doktorant) z uniwersytetu w Swierdłowsku na Uralu, któremu pewnego dnia powiedziano, że ma pojechać do USA w ramach wymiany studentów. Kazano mu wyszukać w literaturze, na której się opiera w swej pracy, jakiegoś amerykańskiego autora. Jednym z jego autorytetów był znakomity analityk i elektrochemik prof. Izaak Kolthoff w Minneapolis. Podał więc ten adres, przyjechał – z myślą, by kontynuować tu swą objętą planem pracę kandydacką. Na miejscu okazało się, że Kolthoffa już tu nie ma, jest na emeryturze, zakład prowadzi Bruckenstein. „Przywiozłem moją aparaturę, chcę kontynuować moją pracę, a oni ciągną mnie do swoich laboratoriów, na seminaria, chcą mi objaśniać swoje prace, pokazywać miasto, teatry... Ja tego nie chcę – po co mi to? Żeby mnie zaraz potem uznali za szpiega? Zostać tutaj w więzieniu? To ja wolę się zamknąć w laboratorium i wykonywać na mojej aparaturze zaplanowane w Swierdłowsku pomiary”. Na próżno mu tłumaczyłem, jaka to okazja – prawdopodobnie jedyna w życiu – poznać tak inny kraj, nauczyć się czegoś zupełnie nowego. On był tak przytłoczony sowiecką szpiegomanią, że już nie umiał myśleć inaczej. A rozmowę naszą zakończył: „to ja już tak dotrwam do końca tego roku i wreszcie wrócę do Swierdłowska”.

Zupełnie innych przygód doznałem z Amerykanami o egzotycznym rodowodzie. Na kolacji u znanego już, młodego wówczas badacza reakcji fotochemicznych N.C.Yanga poznałem jego piękną żonę – oboje o klasycznie chińskich twarzach – i rozmowa toczyła się miło do momentu, gdy zapytałem o coś, związanego z Chinami, bo na *rewolucję kulturalną* zwrócone były wtedy oczy świata. Ich jakby zmroziło, a Yang powiedział sucho: „nie mamy nic wspólnego z Chinami. *We are Americans!*”. Był to rok 1963 (Fot.52). Ale i później zdarzało mi się przyjeżdżać do USA, gdy byłem zaproszony na znakomite *Konferencje Gordona*²³⁷ – w roku 1979 i 1987. Na jednej z nich spostrzegam, że obok mnie siedzi ktoś o znajomych mi rysach ... chińskich rysach – a to przecież postarzały N.C.Yang! A pisze swe notatki – chińskimi znakami. Jak się okazało, pół roku spędza w Chicago, a pół – wykładając na uniwersytecie pekińskim. Gdy mu przypominałem naszą dawną rozmowę – okazało się, że uleciała mu z pamięci...

W 1979 r. odwiedziłem w Michigan State University w East Lansing bardzo dziwnego człowieka, ucznia Michela Kashy i odkrywcę przenoszenia dwu protonów w dimerze 7-aza-indolu, Ashrafa El-Bayoumi. Po zwiedzaniu laborato-

²³⁷ Niezwykle ważne konferencje, w bardzo różnych dziedzinach, służące wymianie myśli *in statu nascendi* – niczego się z tego nie publikuje, nie wolno wypowiedzi z tych konferencji cytować...

rium i dyskusjach na tematy fotochemiczne zostałem zaproszony przez niego do domu. Rozmowa z nim i jego żoną, obojgiem Egipcjanami z urodzenia, zesłała wkrótce na problemy Izraela i Bliskiego Wschodu i stawała się coraz gorętsza. Oni reprezentowali stanowisko arabskiego nacjonalizmu, ja broniłem stanowiska Izraela. Obawiałem się, czy wyjdę stamtąd żywy – ale rozstaliśmy się w końcu jak koledzy. Najciekawsze jednak nastąpiło dopiero w parę lat potem. El-Bayoumi znikł z uniwersytetu, znikł ze Stanów Zjednoczonych. Rozeszły się słuchy, że stanął na czele *trustu mózgow* arabskich terrorystów. A gdy zjechali się fotochemicy na konferencję w Aleksandrii, pojawił się nagle znany wszystkim, a tym razem uzbrojony Ashraf El-Bayoumi i zapowiedział, że jeśli zaczną obrady z udziałem uczonych z Izraela – wszyscy zostaną wystrzelani! Po krótkiej naradzie sterroryzowani uczestnicy rozjechali się...²³⁸.

„PROBLEMY” I ROK 1968

Gdzieś chyba w 1963 r. prof. Józef Hurwic, profesor Politechniki Warszawskiej, działacz i parokrotny prezes Polskiego Tow. Chemicznego, znakomity, cenny i niezwykle aktywny popularyzator nauki, twórca Muzeum Marii Skłodowskiej-Curie w Warszawie, zaprosił mnie w skład redakcji bardzo poczytnego miesięcznika popularnonaukowego „Problemy”. „Problemy” były czytane tak wśród młodzieży, jak i szeroko rozumianej inteligencji – właściwie nie miały konkurencji²³⁹. Udział w redakcji był funkcją honorową, ciekawą dla mnie i ważną – pierwszy mój udział w redagowaniu czasopisma²⁴⁰. Redagując artykuły, korespondując z czytelnikami-maniakami – jak w każdym tego typu czasopiśmie – pisywałem różne notatki, a wyjątkowo tylko artykuł popularny, o temacie bliskim memu sercu (por. przypis 169).

Do komitetu redakcyjnego „Problemów” wchodził w tych latach poza mną: Józef Hurwic, *spiritus movens* wszystkiego, Jan Żabiński, zoolog, dyrektor warszawskiego ZOO, Władysław Kapuściński, fizyk, Witold Rudowski, lekarz, Mieczysław Zawadka – wysoce partyjny wysoki funkcjonariusz koncernu wydawniczego RSW „Prasa”, będący naszym łącznikiem z *władzami i sui generis* tarczą przed nimi. Zebrania redakcji były zawsze ciekawą dyskusją w dobranym gronie. Oprócz miesięcznika, współredagowaliśmy z PWN dużą serię książek

²³⁸ Egipski tygodnik „Al-Ahram Weekly” nr 632 z 3–9.IV.2003 przyniósł niezwykłą biografię El-Bayoumiego, który i teraz – w wieku 70 lat – działa bardzo aktywnie jako pełen nienawiści skrajny nacjonalista arabski.

²³⁹ Rola „Problemów” została pokrótce opisana przez J. Hurwic a : *Miesięcznik „Problemy” w polskim życiu intelektualnym po drugiej wojnie światowej*. „Nauka” 2000 nr 1 s. 97–107.

²⁴⁰ Później brałem udział w kilku innych komitetach redakcyjnych, ale były to międzynarodowe czasopisma chemiczne – por. rozdziałek „Redakcje”.

„Biblioteki «Problemów»”, nagradzaliśmy najlepszych popularyzatorów nauki, gościliśmy nieraz wybitnych uczonych zza granicy. Ale nastał rok 1968. Prof. Hurwica najpierw haniebnie usunięto z funkcji dziekana Wydziału Chemicznego Politechniki, potem w ogóle z uczelni²⁴¹, a wkrótce rozwiązano i naszą redakcję „Problemów”. Nikomu z nas nawet nie podziękowano. Józef Hurwic został zmuszony do emigracji (Fot.56)²⁴². A potem nastąpił szybki upadek i w końcu zamknięcie „Problemów”.

Rozhuśtana przez wewnętrzne walki o władzę w PZPR ogólnopolska fala antysemityzmu mnie osobiście jakoś nie dotknęła. Ot, czasem ktoś znajomy spotkawszy mnie na ulicy, dziwił się: „o, jesteś tutaj? Bo mówili, że wyemigrowałeś do Izraela.” Nie wiedziałem oczywiście o zainteresowaniach MSW naszym laboratorium. Teraz znajduję w archiwach taką notatkę²⁴³:

Warszawa, 5.11.1970

tajne

Notatka służbowa

Na spotkaniu w dniu 4.11. b. roku k.o. „Polimer” poinformował mnie, że prof. Zbigniew Grabowski ... oceniany jest jako wybitnie uzdolniony pracownik nauki. Natomiast w jego poglądach politycznych uwidaczniają się cechy anarchizmu. Grabowski jest zwolennikiem pełnego liberalizmu. System demokracji zachodniej traktuje jako model idealny, najbardziej dojrzały, negując postępową rolę ustroju PRL. W wypowiedziach jest demagogiem i nieodpowiedzialnym. Poza tym cechuje go przerost ambicji. Przeważnie otacza się ludźmi negatywnie ustosunkowanymi do PRL i chętnie im pomaga, szczególnie syjonistom (Bierzyński²⁴⁴, dr Michalik²⁴⁵), Jasny²⁴⁶, Cechr²⁴⁷. i in. w doborze łatwiejszej techniki prac i ich wykonania.

²⁴¹ Paskudną rolę w tym odegrały ówczesne władze uczelni, oskarżając Hurwica, że rozpowszechnia wieści, jakoby w Polsce występował *antysemityzm* (!).

²⁴² Do końca XX wieku, a nawet dłużej, był profesorem na Uniwersytecie w Marsylii, kierując tam laboratorium *dielektrochemii*. Przede wszystkim jest jednak historykiem Chemii, autorem książek o Marii Skłodowskiej-Curie, o Kazimierzu Fajansie. Przez te wszystkie lata utrzymuje żywy kontakt z Polską, odwiedzając ją co roku, biorąc często udział w zjazdach Polskiego Towarzystwa Chemicznego. O nim: J. H u r w i c : *Wspomnienia i refleksje – szkic autobiograficzny*. Toruń 1996 Wydawn. Comer, stron 189 + 20 fotografii; wyd. II, rozszerzone i poprawione, Łódź 2001 Fundacja Badań Radiacyjnych, stron 250 + 82 fotografie.

²⁴³ IPN,teczka BU 0204/547, nr arch. MSW 48580/II; karty 91–92 (93).

²⁴⁴ Andrzej Bierzyński, doktorant, którego więziono przez rok po 1968 r., a potem uniemożliwiono mu dalszą pracę u nas. Obecnie profesor w Inst. Biochemii i Biofizyki PAN. Nie ma nic wspólnego z „syjonistami” w sensie roku 1968.

²⁴⁵ Prawdopodobnie dr Jerzy Michalczyk, uprzednio adiunkt Politechniki Warszawskiej, leczony dłuższy czas w szpitalu psychiatrycznym. Zatrudniłem go jako dokumentalistę. Nie był Żydem.

²⁴⁶ Doc. Jan Jasny ma poprostu wydatny nos..

²⁴⁷ Zapewne chodzi o dr Barbarę Czochralską, (obecnie profesor w Katedrze Biochemii UW), która nigdy u nas nie pracowała (miałem z nią natomiast jedną wspólną publikację, jesteście od wielu lat zaprzyjaźnieni).

Dobiera sobie pracowników na zasadzie znajomości unikając przyjmowania do Zakładu członków partii. Z osób partyjnych zatrudnia u siebie jedynie Sybilską, która jest mu uległa i nie zawsze postępuje zgodnie z linią partii²⁴⁸. Popierają Grabowskiego i nawzajem się z nim solidaryzują prof. prof. Kemula i Dąbrowski.²⁴⁹ Zakład prowadzony przez prof. Grabowskiego stanowi swego rodzaju zamkniętą jednostkę i zatrudnione tam osoby są wobec niego solidarne i zachodzi przypuszczenie, że w pełni aprobuje głoszone przez Grabowskiego poglądy. Obecnie Grabowski nie atakuje publicznie polityki partii i Rządu PRL i usiłuje zajmować postawę neutralną. k.o. "Polimer" nie wyklucza, że w sprzyjających okolicznościach jest on zdolny i skłonny do podjęcia działalności antypaństwowej.

Insp. Wydz. IV Dep. III, 8

Kpt. A. Burdal

W tym mniejwięcej czasie przeprowadził za mną rozmowę sekretarz partii w Instytucie, dr Tadeusz Skośkiewicz²⁵⁰. Zaskoczył mnie pytaniem, czy ja dobieram sobie współpracowników według kryteriów narodowościowych – chodzi o Żydów. Spytałem go, czy chodzi o kryterium rasowe wg. ustaw hitlerowskich? Bo ja nie mam pojęcia o pochodzeniu *rasowym* moich współpracowników (i rzeczywiście mi to nigdy nawet do głowy nie przyszło). Wymieniał mi nazwiska szeregu osób, które uznawał za Żydów. Przerwałem tę rozmowę, jako niegodną. Ale w IPN znajduję dokument²⁵¹:

Warszawa, dnia 15 kwietnia 1971 r.

T A J N E

NOTATKA

z rozmowy operacyjnej przeprowadzonej w dniu 13.04.br. z dr Tadeuszem Skośkiewiczem, adiunktem Instytutu Chemii Fizycznej PAN z udziałem tow. kpt. Burdała

Rozmowa z w/w przeprowadzona w związku z jego planowanym wyjazdem na półroczne stypendium do Holandii. Dr Skośkiewicz zamierza we wrześniu br. pojechać do Laboratorium Comerlinga w Leidzie (Holandia). W czasie rozmowy dr Skośkiewicz poinformował nas, że prof. Grabowski do swojego zakładu przyjmował i nadal przyjmuje osoby narodowości żydowskiej. Zdaniem dr Skośkiewi-

²⁴⁸ Dr Danuta Sybilska (później profesor w IChF PAN), moja koleżanka od wielu lat, nigdy nie była moją współpracowniczką, pracowała u prof. Kemuli. Do partii zapisano ją ku jej wielkiemu zmartwieniu, jeszcze na studiach – „w nagrodę”, jako wybitnie zdolnego członka ZMP...

²⁴⁹ Prof. Janusz Dąbrowski z Instytutu Chemii Organicznej PAN; w niedługi czas potem „wybrał wolność” w Heidelbergu.

²⁵⁰ Zdolny badacz; z wybuchem stanu wojennego wystąpił z PZPR, potem działał odważnie i aktywnie w zakonspirowanej „Solidarności”, co w dużej mierze pozwala zapomnieć o jego poprzedniej partyjnej działalności. Później profesor w Instytucie Fizyki PAN, profesor i rektor Szkoły Nauk Ścisłych, potem profesor na Uniwersytecie S. Wyszyńskiego, przewodniczy RN IChF PAN.

²⁵¹ *Loc. cit.* „teczka”, karta 93 (94).

cza prof. Grabowski jest dobrym naukowcem i ostatnio nie udziela się zupełnie w działalności społeczno-politycznej.

.....

**Inspektor Wydz. IV Dep.III MSW
(-) ppor. Z. Różak**

O roku ów! – wiąże się z nim bardzo wiele różnych skojarzeń. W 1967 r. przeszedł na emeryturę prof Bogdan Kamiński, a ja dostałem propozycję objęcia po nim Katedry Chemii Fizycznej UJ. Było to tyleż zaszczytne i atrakcyjne (chętnie też wróciłbym do Krakowa!), co kłopotliwe – bo trzeba by przejąć laboratorium z dobrodziejstwem inwentarza, a więc dotychczasowych pracowników Katedry, którzy nie będą chętni porzucać swej dotychczasowej tematyki i przekwalifikowywać się – a więc będą nowemu szefowi z zewnątrz bardzo niechętni. Wahania w tej sprawie przerwało zdanie lekarza naszego syna. Janek miał ciężką astmę – a lekarz stwierdził, że powietrze krakowskie (wówczas bardzo zanieczyszczone) jest dlań znacznie bardziej niebezpieczne od warszawskiego. Podziękowałem więc opiekującym się tą katedrą profesorom, Adamowi Bielańskiemu i Kazimierzowi Gumińskiemu – odmawiając.

Ciekawy był dalszy ciąg wydarzeń. W marcu 1968 r. *partyjni* Wydziału Chemii UJ, na czele z Bolesławem Waligórą prowadzili dochodzenie: kto i w jakim celu chciał ściągnąć tam tego *syjonistę* Grabowskiego? A już przedtem Bielański i Gumiński, po mojej odmowie, proponowali Katedrę Krzysztofowi Pigionowi, bardzo zdolnemu i mądrymu fizykochemikowi z Wrocławia – synowi słynnego polonisty Stanisława Pigionia – który na pewno *syjonistą* nie był. Ta kandydatura została z kolei odrzucona przez partię, bo Krzysztof Pigoń był *reakcjonistą*. No i Katedrę objął ... miejscowy *partyjny* Bolesław Waligóra.

REDAKCJE

Oprócz zaledwie kilkuletniego ale pamiętnego uczestnictwa w komitecie redakcyjnym „Problemów”, nadeszły z czasem inne obowiązki, w czasopiśmie międzynarodowych. Jesienią 1966 otrzymałem list od mego przyjaciela Jana Hoijtinka, zapraszający mnie do komitetu redakcyjnego czasopisma „CHEMICAL PHYSICS LETTERS”, które zamierzał wydawać Elsevier. Pomimo wahań, zgodziłem się, pisząc jednakże: „niepokoi mię ciągły wzrost liczby prac i czasopism, utrudniający poszukiwania literaturowe. Krótkie publikacje nie są dobrym wyjściem; lepszym byłoby wstrzymywanie się od publikowania większości prac²⁵². A nawet w krótkim „liście” trzeba będzie wymagać zwięzłego, lecz nie-

²⁵² Jan Hoijtink myślał podobnie, kiedyś mi powiedział, że najlepiej byłoby drukować prace tylko za kupony. Każdy badacz dostawałby 1 kupon rocznie, bardziej zaawansowani – może 2 kupony? Każdy by się dobrze zastanowił, na co przeznaczyć swój kupon.

odownego minimum opisu założeń, metod i warunków, które umożliwiałyby czytelnikowi odtworzenie wyników i wniosków”.

Jako *advisory editor* pracowałem w CPL ponad 30 lat (1967–1998), a była to praca dość ciężka, bo prawie w każdym tygodniu dostawałem od kogoś manuskrypt, który trzeba było szybko ocenić, poprawić, korespondować z recenzentami, autorem i z redaktorem naczelnym (po śmierci Jana był to David Buckingham w Cambridge). Znakomite pismo dawało jednak dużą satysfakcję z tej pracy, a zarazem byłem zorientowany w postępie *frontu badań*. W 1998 zrezygnowałem z pracy w CPL, bo było mi coraz trudniej dotrzymać terminów i zobowiązań; na moje miejsce poleciłem mego przyjaciela prof. Jana Najbara z UJ, bardzo mądrego i kompetentnego uczonego.

Niedługo potem, w 1970 r., wybitny badacz luminescencji półprzewodników Ferd Williams z Newark, Delaware, postanowił utworzyć nowe pismo, JOURNAL of LUMINESCENCE, które miałyby zasypać przepaść wzajemnego niezrozumienia między badaczami luminescencji molekularnej i luminescencji ciała stałego. Zapytywał o radę kilku autorytetów i – jak wiem od nich – polecili mnie jemu i Förster i Jabłoński. Oprócz moich prac redakcyjnych jako *associate editor*, obejmowało to udział w organizacji zwoływanych co 2 lata Międzynarodowych Konferencji Luminescencji (ICL). Przez 20 lat byłem sekretarzem międzynarodowego komitetu organizacyjnego tych coraz to większych zjazdów, choć nie zawsze – ze względu na odmowy paszportu – mogłem brać udział w Konferencjach. Po śmierci Ferda Williama (1985) i w czasopiśmie i w Konferencjach górę wzięli znawcy półprzewodników, starając się wyeliminować luminescencję molekularną, zaprzepaścić ideę Williama. Po licznych sporach, w r.1995 ustąpiłem i z komitetu organizacyjnego ICL i z redakcji J. Lumin., polecając na swoje miejsce Jacka Waluka.

Znacznie mniej pracy miałem w dwu innych komitetach redakcyjnych, „Nouveau Journal de Chimie” (później „New Journal of Chemistry” – bo nawet Francuzi uznali po kilku latach, że międzynarodowe czasopismo lepiej wydawać po angielsku) oraz „Journal of Fluorescence”. Do „Nouveau Journal de Chimie” wprowadził mnie chyba Lionel Salem, wybitny chemik kwantowy i ciekawy człowiek. Syn bogatego bankiera, który nie był w stanie (nie chciał? nie umiał?) poprowadzić odziedziczonego banku, stworzył teorię reakcji fotochemicznych. Był wykładowcą na zorganizowanej przeze mnie letniej Szkole Kinetyki PTCh w 1975 r. Był w jednym z rządów francuskich Delegué au Recherche (ministrem nauki). Gdy w 1970 r. w Aix-en-Provence odbywało się międzynarodowe Sympozjum Fotochemii²⁵³, zostaliśmy na jedno popołudnie zaproszeni przez Lionela.

²⁵³ Przy okazji odwiedziłem – z jakąś misją od jego warszawskiej rodziny, a naszych przyjaciół Zawadowskich – wybitnego malarza *Zawado*, niegdyś przyjaciela Modiglianigo. Na jego wiejskiej farmie-muzeum, podziwiałem piękne obrazy i spędziłem bardzo miłe godziny w znanej mi tylko z literatury atmosferze Prowansji.

Przyjechały autokary, zabrały nas dokądś. Zajechaliliśmy do rozległych posiadłości. Na wierzchołku sporego pagórka stał zamek Salemów. Honory domu czyiniła matka Lionela. W ogrodach ustawione były ogromne stoły, kelnerzy podawali potrawy i trunki, wygłaszano toasty i skecze, pokazywano sztuki magiczne i cyrkowe. Było to dla mnie, przybysza z ubogiej krainy ubogich ludzi, jak sen z bajki o Kopciuszku.

W NJC działałem od 1977 r. do 1995, po czym sam z tego zrezygnowałem. W NJC, którego (niespełnioną) ambicją było stać się europejskim odpowiednikiem „Journal of American Chemical Society” ogłaszaliśmy dłuższe prace, które uważaliśmy za ważne²⁵⁴ (por. przypis 323) .

Czasopismo „Journal of Fluorescence” założył i prowadził niezwykle aktywny Amerykanin polskiego pochodzenia – ale już nie mówiący po polsku – Joseph R. Lakowicz z Uniwersytetu J.Hopkinsa w Baltimore, autor kilku monografii i podręczników. Przyjeżdżał często do Polski, miał coraz to liczniejszych współpracowników – Polaków w swoim laboratorium, a zawsze też i w Komitecie redakcyjnym. W „Journal of Fluorescence” działałem przez kadencję 1996–2001.

Redagowanie międzynarodowych czasopism nie było łatwe w PRL ze względów zupełnie poza-naukowych. Każdy list, aby uniknąć ew. konfiskaty przez cenzurę pocztową, musiał być oddany w urzędzie celnym z moim – opatrzonym zgodą dyrektora Instytutu! – pismem, stwierdzającym, że maszynopis pracy takiej a takiej (z tłumaczeniem tytułu na polski!) i opinia, etc. – nie zawierają tajemnicy państwowej, ani służbowej, ani materiałów mających zdolność patentową, a przesyłane są do redakcji pisma takiego a takiego, w celu publikacji, co nie pociągnie za sobą zobowiązań finansowych... Paradoksalnie, tę samą procedurę musiały przejść nie tylko polskie prace, ale i np. japońskie, przesłane mi do druku. Ta upokarzająca procedura, przedłużająca czas publikacji prac, obowiązywała przez ponad 20 lat. W okresie „stanu wojennego”, w latach 1981–82, korespondencja z zagranicą była w ogóle wstrzymana.

Jeszcze gorzej było z naszymi sowieckimi kolegami. Gdy zapytywałem, czemu tak niewiele prac wpływa od nich do druku w „Chem. Physics Letters”, odpowiedź brzmiała z reguły: „to wymaga wiele pracy i wielu miesięcy opóźnienia. Najpierw – pozwolenie dyrektora instytutu. Nie jest łatwo je uzyskać – publikacja za granicą jest już wyróżnieniem (!), trzeba być „dobrze widzianym”. Ktoś musi stwierdzić, że nie ma tam tajemnic, a dwaj recenzenci – że praca zasługuje na publikację za granicą...”. Gdy dziwiłem się, bo przecież prace są recenzowane po wpłynięciu do redakcji, słyszałem: „niczego nie rozumiesz! Praca, przesłana z ZSRR **nie może** zostać odrzucona! Jeśli tobie odrzucą pracę, to jest ci przykro, ale to twoja sprawa osobista. Jeśli by moja praca została odrzucona – byłby to wstyd dla ZSRR!”.

AMSTERDAM, LEJDA

W czasach, gdy zajmowałem się jeszcze elektrochemią, najciekawszym zagadnieniem był dla mnie wpływ pola elektrycznego na reaktywność chemiczną cząsteczek. Mój entuzjazm wzbudziły prace Jana Hoijtinka (Fot.54)²⁵⁵ z Amsterdamu, w których wykazywał jak przy wzrastającym natężeniu pola elektrycznego zmienia się rozkład gęstości elektronowej dwuanionów węglowodorów aromatycznych i jak wskutek tego zmieniają się produkty reakcji przyłączenia protonów do tych anionów²⁵⁶. Był wysokiej klasy teoretykiem i zarazem eksperymentatorem, a jego rola w fotofizyce molekularnej jest trudna do przecenienia. Nawiązałem z nim kontakt, wskazałem go Försterowi i Wellerowi jako ważnego partnera. Hoijtink zaprosił Wellera do Amsterdamu na opuszczoną przez siebie katedrę na protestanckim *Vrije Universiteit*, którą Albert zajmował do czasu powołania go do Getyngi. Spotkaliśmy się kiedyś we czwórkę u Hoijtinków w Amsterdamie, chyba w 1963 r. Albert Weller miał niebawem objąć swój nowy zakład w Getyndze. Okazało się, że były akurat jego urodziny. Förster zmartwił się, że nie ma prezentu dla swego najwybitniejszego ucznia, a po chwili rzekł: „no to zamiast prezentu – mów mi po imieniu – jestem Theo!”. Był to gest isticie charakterystyczny dla niemieckiego profesora.

Do Jana Hoijtinka pojechała Anka na 3-miesięczny staż podoktorski, on przyjeżdżał parokrotnie do Warszawy. Pierwszy raz przyjechał w 1963 r., a oprócz naukowego – przyjazd ten miał i wydźwięk ideologiczny. Przed podróżą za *ze-lazną kurtynę*, do komunistycznego kraju rządzonego przez marksistów, Jan, głęboko wierzący kalwin, zainteresowany filozofią, przeczytał wiele dzieł klasyków marksizmu, napisał artykuł o stalinizmie, i zaprzagnął, bym zorganizował mu dysputę filozoficzną z polskimi marksistami. Obszedłem wszystkich, do których umiałem dotrzeć – ale wszyscy odmówili: „no, ja nie jestem tak głęboko przekonany marksistą...” Rozczarowanie Hoijtinka było równie wielkie, jak moje rozbawienie tymi wypowiedziami.

²⁵⁴ A. Grabowska, B. Pakuła, J. Sepioł: *Double Fluorescence and Hydrogen Bonding of Anomalous 1,4-Diazines: 1,4-Diazaphenanthrene and 1,4-Diazatriphenylene*. „Nouv. J. Chim.” 1979 3 s. 287–292; J. Waluk, H. Bułska, A. Grabowska, A. Mordziński: *Excited State Proton Transfer Analysed by State–Orbitals Correlations*. *ibid.* 1986 10 s. 413–420; J. Dobkowski, W. Rettlig, B. Paepow, K.H. Koch, K. Müllen, R. Lapouyade, Z.R. Grabowski: *Intramolecular charge transfer states in symmetric biaryls. The unusual case of biperylenyl*. „New J. Chem.” 1994 18 s. 525–533.

²⁵⁵ W późniejszych latach wprowadził angielską pisownię swego nazwiska: Hoytink.

²⁵⁶ G. J. Hoijtink: *Electric polarisation of hydrocarbon dinegative ions*. „Recueil des Travaux Chimiques des Pays-Bas” 1957 76 s. 869–884; *A general theoretical approach to the course of chemical reduction, electrochemical reduction and catalytic hydrogenation of hydrocarbons with conjugated double bonds*. *ibid.* s. 885–906.

Parę lat później chemik-teoretyk Colpa oskarżył Jana Hoijtinka na radzie wydziału, że jego badania są wspierane finansowo przez koncern naftowy *Royal Dutch Shell*²⁵⁷. Zaczęła się pełna intryg wojna na wydziale, w wyniku której obaj antagoniści zmuszeni byli z Holandii wyemigrować – Jan Hoijtink do Anglii (gdzie objął katedrę w Sheffield), Colpa do Kanady²⁵⁸. Jana ten nieszczęsny proces doprowadził do manii prześladowczej i alkoholizmu. Odwiedziliśmy go jeszcze w 1972 r. w Sheffield, a jako dawnego kierownika katedry Van't Hoffa w Amsterdamie – zaprosiliśmy go do Warszawy w 1974 r. z referatem na sesję 100. rocznicy stworzenia stereochemii przez Van't Hoffa i Le Bela. Był już wtedy tylko schorowanym strzępem mego dawnego mistrza; zmarł w 1977 r.

Universiteit van Amsterdam miał pierwszorzędnych uczonych, bywaliśmy tam nieraz – Anka lub ja – kierowaliśmy tam naszych współpracowników, Holendrzy przyjeżdżali do nas. Oprócz Jana Hoijtinka do tamtejszych przyjaciół zaliczaliśmy tamtejszych profesorów Rudolfa Rettschnicka, Jana Verhoevena, Maaxa Glasbeeka. Ukazało się kilka wspólnych publikacji, np.²⁵⁹ (por. przypis 298).

Drugim świetnym uniwersytetem holenderskim, z którym wiele nas wiązało, był *Rijksuniversiteit Leiden*. Miał tam swoją szkołę naukową Johann Van der Waals (Fot.55, wnuk tamtego, od równania Van der Waalsa) i jego przyjaciółka Sylvia Völker, oboje bardzo wybitni badacze subtelnych efektów w spektroskopii molekularnej – i wytrwali żeglarze morscy. Tam też pracował mój przez wiele lat trudny polemista, Cyril A.G.O. Varma. Miał on inną niż my hipotezę na temat natury podwójnej fluorescencji DMABN, a nasze polemiki znalazły swe miejsce w naszych pracach (por. przypis 326). Cyril Varma był jednak niezwykłym oryginałem. Był dość ciemnoskóry, wywodził się z bogatej rodziny hinduskiej osiadłej w Gujanie Holenderskiej (Surinam), a w Holandii starał się manifestować swój status pokrzywdzonego, czy też odrzucanego, choć miał *tenure* na znakomitej uczelni, bardzo bogate laboratorium, liczne publikacje. Spotkaliśmy się na jakiejś konferencji, zaproponowałem dyskusję naszych sprzecznych z sobą poglądów. Zeszło się sporo zainteresowanych, Varma przyszedł bosy, posłuchał co mówiliśmy, potem powiedział: „nic nie rozumiecie. Czytajcie moje prace!” – odwrócił się tyłem i odszedł. Również w druku argumenty odbijały się od niego jak niebyle.

²⁵⁷ Brzmi to dla nas paradoksalnie – w Polsce i w całej Europie zachęca się uczelnie do korzystania ze środków przemysłu; w Holandii wówczas było to jednak uważane za coś dla nauki głęboko nieetycznego.

²⁵⁸ Mam w swoim archiwum obszerne listy Jana Hoytinka na ten temat.

ROZWÓJ BADAŃ

Mój awans naukowy był tyleż szybki, co mało zasłużony. Już w 1957 roku, w 2 lata po doktoracie (wówczas: stopniu *kandydata nauk*) zostałem docentem (na podstawie dorobku naukowego, bo nie było w tym okresie habilitacji). Wkrótce zostałem kierownikiem Pracowni Fotochemii i Spektroskopii. Do roku 1963 pracowaliśmy, czy to na etatach UW, czy IChF PAN, w gmachu Chemii UW. Potem Instytut Chemii Fizycznej – a w nim i nasza pracownia – przeniósł się do własnych budynków przy ul. Kasprzaka 44, co miało pewne dobre strony (więcej miejsca), lecz znacznie więcej złych (odizolowanie od młodzieży studenckiej i od nauczania). W 1965 r. zostałem profesorem nadzwyczajnym. Pracownia nasza była początkowo częścią Zakładu Fizykochemicznych Metod Analitycznych prof. Wiktora Kemuli. Potem wydzielono nas w IChF w postaci odrębnego Zakładu.

Chcieliśmy badać reakcje wolnych rodników, ale przede wszystkim zmiany reaktywności i struktury cząsteczek zachodzące w stanach wzbudzonych. Przez kilka lat głównym przedmiotem badań były równowagi protolityczne i tautomeryczne, przy zastosowaniu najróżniejszych metod eksperymentalnych, od widm absorpcji, fluorescencji, fosforescencji, przez absorpcję wzbudzoną $T_1 \leftarrow S_0$ i błyskowo wzbudzone krótko życiowe widma absorpcji $T_n \leftarrow T_1$, po widma ESR cząsteczek w stanie tripletowym²⁶⁰. Z dość licznych prac o tej tematyce wynikły dwa istotne uogólnienia:

(i) uściślenie cyklu Förstera, pozwalającego wnioskować z widm formy kwasowej i zasadowej o równowadze w stanie wzbudzonym i jego uogólnienie

²⁵⁹ J. Sepioł, A. Grabowska, H. Bulska, A. Mordziński, F. Pérez-Salgado, R. P. H. Rettschnick: *The Role of the Triplet State in Depopulation of Electronically Excited Proton Transferring System [2,2'-bipyridyl]-3,3'-diol.* „Chem. Physics Letters” 1989 **163** s. 443–448; J. Herlich, F. Pérez-Salgado, R. P. H. Rettschnick, Z. R. Grabowski, H. Wójtowicz: „*Twisted*” intramolecular charge-transfer states in supercooled molecules: structural effects and clustering with polar molecules. „J. Phys. Chem.” 1991 **95** s. 3491–3497.

²⁶⁰ Przykładowo: A. Grabowska, B. Pakuła: *Excited states of six-membered N-heterocycles. Fluorescence, phosphorescence and acid-base equilibria of electronically excited phenazine.* „Photochem. & Photobiol.” 1969 **9** s. 339–350; H. Bulska, A. Chodkowska, A. Grabowska: *Excited states of six-membered N-heterocycles. Acid-base equilibria and electron spin resonance of 4,10-diazachryzene in the lowest triplet state.* „Chem. Physics Lett.” 1972 **12** s. 508–513; W. Rubaszewska, Z. R. Grabowski: *Excited states of six-membered aza-aromatic rings. VII. Photochemical reactions, fluorescence and protolytic equilibria in N-alkylated phenazinium ion – phenazyl free radical systems.* „J. Chem. Soc., Perkin Trans. II” 1975 s. 417–421.

na reakcje przeniesienia elektronu i reaktywność wolnych rodników^{261,262}, oraz (ii) odkrycie i wyjaśnienie anomalii reaktywności w 1,4-dwuaza-aromatach (por. przypisy 261 i 254).

Równocześnie z naszym zespołem rozwijały się z biegiem lat stopniowo i inne, zaczynając najczęściej również od zera. W ośrodku toruńskim prof. Aleksandra Jabłońskiego i jego uczniów rozwinięto znakomicie metody badań luminescencji. Początkowo nie zwracano tu jednak uwagi na strukturę i przemiany indywiduów chemicznych, których luminescencję badano. Przez szereg lat prof. Aleksander Jabłoński (Fot.58), uznawany w całym świecie za odkrywcę tripletów („Diagram Jabłońskiego”), nie uznawał tego *stanu metastabilnego* za *triplet*. Dopiero w 1963 r. byłem świadkiem jak Jan Hoijtink, demonstrując w Toruniu widma ESR tripletów, zdołał przekonać prof. Jabłońskiego – i ten rzekł po wykładzie Hoijtinka do swoich uczniów: „no tak – a więc odtąd będziecie mogli stan metastabilny nazywać trójkowym...” Z prof. Jabłońskim i jego laboratorium mieliśmy zawsze bardzo dobrą współpracę. Gdy zapisywałem się do *Faraday Society*, wprowadzali mnie tam Jabłoński, Förster i Terenin.

Warszawscy fizycy, początkowo pod kierownictwem Andrzeja Tramera, a po jego emigracji do Francji po 1968 r. – Jerzego Prochorowa, stworzyli w Instytucie Fizyki PAN wysokiej klasy ośrodek badań fotofizyki i spektroskopii. W Łodzi powstało ważne centrum badań radiacyjnych i fotochemicznych u Jerzego Kroha i Jerzego Gębickiego, a Marian Kryszewski rozwinął badania fotochromii; w Gdańsku Alfons Kawski i Czesław Bojarski stworzyli znakomite pracownie luminescencyjne, a Tadeusz Latowski – fotochemiczną. Szybko rozwijające się laboratoria badań stanów wzbudzonych powstały w Poznaniu (Stefan Paszyc, Andrzej Maciejewski, Bronisław Marciniak), w Krakowie (Jan Najbar, Włodzimierz Jarzęba; związki koordynacyjne – Zofia Stasicka), we Wrocławiu (związki koordynacyjne, Wiesław Stręć). Dodać do tego trzeba rosnącą liczbę chemików kwantowych, których prace w coraz większej mierze pozwalały wniknąć w naturę cząsteczek wzbudzonych i ich reakcje. Bezpośrednio współpracowaliśmy z Andrzejem Sadlejem (Fot.59), który prowadził dla naszego zespołu wykłady metod chemii kwantowej. Staraliśmy się o koleżeńską współpracę i wzajemną pomoc materiałową, co w czasach ciągłych braków, za rządów komunistycznych, było szczególnie potrzebne. Zwoływaliśmy co parę miesięcy ogólnopolskie seminaria z fotochemii i spektroskopii, które przyczyniły się do nawiązania kontaktów, wymiany stażystów, wzajemnego ułatwiania sobie pomiarów.

²⁶¹ Z. R. Grabowski, A. Grabowska: *The Förster cycle reconsidered*. „Z. Physik. Chem., N.F.” 1976 **101** s. 197–208; + erratum. Ibid. 1977 **105** s. 112.

²⁶² Z. R. Grabowski, W. Rubaszewska: *Generalized Förster cycle. Thermodynamic and extra-thermodynamic relationships between the electron transfer, proton transfer, and electronic excitation*. „J. Chem. Soc., Faraday Trans. I” 1977 **73** s. 11–28.

Mieliśmy ożywioną – na ile to było możliwe w ówczesnych warunkach politycznych – współpracę z chemikami kwantowymi z czeskosłowackiej szkoły Rudolfa Zahradnika (Fot.44), z badaczami z kilku innych krajów.

W 1974 r. udało się ściągnąć na pół roku do Zakładu Petera Padley'a z Uniwersytetu w Swansea w Walii²⁶³ i jego żonę, Elżbietę²⁶⁴. Peter prowadził w Instytucie wykłady z kinetyki dla doktorantów, był egzaminatorem z angielskiego. Jego zdumienie wywołało nieznane gdzie indziej określenie: *bierna* znajomość języka. Zdumiewał się też, że pierwszego każdego miesiąca sekretarka Zakładu pieniądze na wypłatę dla pracowników przywoziła tramwajem, w wypchanej teczce, bez ochrony. Peter wnioskował: w Polsce nie istnieje jeszcze zorganizowana przestępczość. Z czasem, niestety, zaistniała.

Dużym wyróżnieniem naszych badań było przyznanie mi przez *European Photochemistry Association* (EPA) w 1976 r. *Theodor Förster Lectureship*. Miałem wówczas serię wykładów: w Getyndze, Lejdzie, Paryżu, Frankfurcie, Stuttgartarcie, Zürichu i Wiedniu.

CAMBRIDGE

Wyprawa do Cambridge nie była łatwa. Zaproszenie do Churchill College dostałem w 1966 r., na wniosek dawniejszego *fellowa* tego College'u, wybitnego łódzkiego chemika-organika prof. Jana Michalskiego, z którym wówczas ceniliśmy się naukowo, a on skierował do mnie swego ucznia na pracę doktorską²⁶⁵.

Roczny pobyt na uniwersytecie w Cambridge chciałem wykorzystać razem z Anką i dziećmi; nie było to łatwe, ale przygotowywaliśmy się zarówno od strony naukowej, jak i formalno-paszportowej. W 1967 r., w związku ze zjazdem 100. lecia urodzin Marii Skłodowskiej-Curie, miał przyjechać do Warszawy sir

²⁶³ Wrażenia swoje opisał w: P. J. P a d l e y : *Report on a visit to Poland as a Royal Society Leverhulme Visiting Professor*. London 1975 The Royal Society, stron 9.

²⁶⁴ Dr Elżbieta Bulewicz-Padley, znana badaczka chemii płomienia i procesów spalania, już kilka lat wcześniej pracowała przez pewien czas u nas i habilitowała się w Instytucie.

²⁶⁵ W Cambridge dowiedziałem się od Michalskiego, który się przedtem chwalił swoim katolicyzmem, że jest aktywnym członkiem partii. Było to dla mnie duże rozczarowanie. Został dygnitarzem, sekretarzem III Wydziału PAN. W 1977 r. przyjechał na otwarcie międzynarodowej konferencji spektroskopii do Wrocławia. W czasie wieczornego spotkania w gotyckich podziemiach zajmowanego wtedy przez Instytut Badań Strukturalnych i Niskich Temperatur PAN pałacu arcybiskupiego zaczął ze mną rozmawiać, po czym się zreflektował: „musimy tę rozmowę skończyć, bo **będą panu zazdrościć**, że rozmawia pan ze mną tak długo. (Ten zwrot stał się odtąd dla mnie symbolem *dygnitarskiej głupoty*).

John Cockroft²⁶⁶, ówczesny *master* Churchill College. Korespondowałem z nim, przyjął zaproszenie do nas na obiad określonego dnia i – tuż przed jego przylotem – nadeszła wiadomość, że sir John nie żyje...

Wkrótce potem był *marzec 1968*, mój paszport został zablokowany²⁶⁷, sprawa została odłożona na lepsze czasy. Pierwszy mój wyjazd za granicę stał się możliwy dopiero w 1970 r., ale wspólnego wyjazdu do Cambridge nam systematycznie odmawiano. Po wielu interwencjach w MSW i w PAN (każdy przetrzącał odpowiedzialność za odmowę na drugiego) znalazłem się kiedyś u dyrektora działu paszportowego w PAN, który dał mi drugą słuchawkę, abym był świadkiem jego rozmowy telefonicznej z odpowiednim dygnitarzem w MSW. Ze zdumieniem usłyszałem przez ten telefon, że „Grabowskich nie można wypuścić razem, bo są wrogo nastawieni i zostaną w Anglii; MSW ma ściśle przepisy i – nawet z ważnych względów – nie dopuszcza wyjątków.” Wtedy ów dyrektor z PAN powiedział, że władze Akademii popierają nasz wyjazd, a „precedens już był – w poprzednim roku, w postaci wyjazdu prof. Leszka Kołakowskiego”. W końcu udało się uzyskać tę zgodę i spędziliśmy w *Churchill College* i na *Cambridge University* cały rok akademicki 1971/72.

Pojechaliśmy tam więc oboje, i to z dziećmi – szesnastoletnią Urszulą i dziewięcioletnim Jankiem; panowało przekonanie, że nie wrócimy. Wstrzymano mój dalszy awans profesorski i postępowanie to otwarto dopiero po naszym powrocie.

Ze względu na nasze skromne możliwości finansowe postanowiliśmy nie lecieć samolotem, ale popłynąć statkiem. Na dworzec odprowadzała nas cała gromada kolegów i współpracowników, a w Instytucie czyniono podobno zakłady, czy wybierzemy wolność.. Podróż morska była dla nas dodatkową atrakcją. Wybraliśmy się niewielkim, sympatycznym statkiem towarowo-pasażerskim „Jasło”. Ja i Urszula znieśliśmy ją znakomicie, ale Ania i Janek ciężko chorowali od chwili, gdy wjechaliśmy na burzliwe Morze Północne. Wreszcie doплыliśmy do Ipswich.

²⁶⁶ 1897–1967. Laureat Nagrody Nobla z fizyki w 1951 r. (wspólnie z Waltonem) za dokonane w latach 1932–34 transformacje jąder atomowych przez bombardowanie przyśpieszonymi protonami i deutronami. Przedtem współpracował w Cavendish Laboratory z Kapicą. W czasie II wojny światowej bardzo zasłużony w badaniach naukowych na rzecz wysiłku wojennego. Od czasu założenia Churchill College (1959) *master* tego College’u.

²⁶⁷ Jak się dowiedziałem po 35 latach z akt IPN, sprawa zaczęła się nieco wcześniej i nie była jeszcze związana z *wydarzeniami marcowymi*, jak wtedy przypuszczałem. Już 28 lutego 1968 wpłynęło do MSW pismo KGB (por. przypis 289) informujące, że „Grabowski, wrogo ustosunkowany do ustroju ... zamierza zdradzić ojczyznę wyjeżdżając z rodziną do Anglii.” Rozpętało to całą akcję – m.in. zablokowano nam od razu paszporty. [IPN,teczka BU 0204/547, nr arch.MSW 48580/II].

Gdy nasz dziewięcioletni Janek dopadł w porcie najbliższego kiosku z modelikami samochodów, z trudem tylko uratowałem resztkę naszych cennych dewiz potrzebnych by dojechać do Cambridge.

W *Churchill College*, nowoczesnym college'u, pięknie rozłożonym na ogromnym terenie, dostaliśmy mieszkanie z wielkim tarasem, dokoła róże i ciekawe sąsiedztwo kilku innych *overseas fellows* z różnych kontynentów. Jedną z ciekawszych rozmów odbyliśmy z państwem Okoye z Nigerii, z narodu Ibo. Oboje czarni jak noc, wykształceni, on – astronom, ona – bibliotekarka. Wypytywali się wzajem o swoje kraje, a podsumowali to zdumieni pp. Okoye: „a więc mówicie, że w Polsce nikt nie umiera z głodu, nie ma bezrobocia, opieka lekarska jest dostępna dla każdego i to bezpłatnie, podobnie szkoły? Toż to raj na ziemi! Bo u nas, nawet gdy nie ma wojny domowej, mnóstwo ludzi ginie z głodu, a gdy dziecko zachoruje, matka niesie je piechotą kilkadziesiąt kilometrów do najbliższego lekarza, a zanim dojdzie – dziecko zwykle już nie żyje... Hmm, jeśli to, co mówicie o Polsce jest prawdą, to macie chyba jeden olbrzymi problem – jak zamknąć wasze granice, żeby nie imigrowały do was te miliony głodnych i zrozpaczonych ludzi z innych kontynentów?” Zrobiło nam się bardzo głupio, gdy musieliśmy zgodnie z prawdą odpowiedzieć: „wręcz przeciwnie – nasz rząd zamyka granice, żeby ludzie z Polski nie uciekali do innych krajów! My przyjechaliśmy tu z największym trudem, po kilku latach starań o pozwolenie”. I tu już nasze tłumaczenia czym jest komunizm nie umiały do nich przemówić. A dla nas była to dobitna i niezapomniana lekcja o problemach „trzeciego świata”.

Obowiązki moje były dwojakiego rodzaju – w *College'u* i na Uniwersytecie. Jako *overseas fellow* miałem brać udział w życiu towarzyskim *college'u*, a więc bywać na wspólnych posiłkach, imprezach, poznawać się z ludźmi. Pierwsze doświadczenie było piorunujące. Poszedłem na lunch do ogromnego *dining room*, gdzie jedli studenci i *fellows*. Jacyś dwaj profesorowie zapytali mnie skąd jestem. Usłyszawszy, że z Polski, zadali mi pytanie: „*what weather is there in Poland?*”. Gdy poszli po drugie danie, siedzący obok studenci uprzedzili mnie: „*don't think all our professors are so stupid as these two!...*”.

Na *dinner*, czyli kolację, trzeba było przyjść w tozde i zasiąść przy *high table* – długim stole, ustawionym na podwyższeniu, prostopadle do licznych długich stołów studenckich. Posiłek był podawany bardzo formalnie, ceremonialnie. Siedząc między Anglikami, chciałem dowiedzieć się jak najwięcej co oni myślą o różnych ważnych i spornych sprawach tego świata: o walkach w Ulsterze, o podziale świata, o konfliktach religijnych, o różnicach programowych między *Labour Party* i konserwatystami. Gdy tylko zaczynałem rozmowę na któryś z takich tematów – zapadało milczenie, a mój sąsiad zagadywał swego drugiego sąsiada przy stole. Dopiero potem dowiedziałem się od znajomych, że zgodnie z obyca-

jem, żadnych kłopotliwych tematów przy *high table* nie należy poruszać – a są to wszystkie tematy, na które rozmówcy mogą mieć odmienne poglądy...

Przy *high table* obiadowali też zaproszeni goście. Czasem i ja kogoś zapraszałem. A kiedyś obok mnie posadzono Lady Rothschild, żonę Lorda Rothshilda, który wtedy reformował system badań naukowych w Anglii. Z tyłu za nami stało przez cały czas dwu barczystych, milczących mężczyzn. Jak mi ktoś wyjaśnił, strzegli nie tylko jej, ale i wartej miliony biżuterii, którą miała na sobie!

Po takim formalnym posiłku przy *high table* można było przejść na kawę i drink do mniejszego, klubowego pomieszczenia – *senior combination room* – gdzie rozmowy stawały się z miejsca mniej formalne, a bardziej interesujące. Tu dowiedziałem się mnóstwa ciekawych rzeczy od innych członków College'u – astronoma Tony'ego Hewisha²⁶⁸, dowódcy wielkich okrętów brytyjskich w czasie wojny kpt. Stephena Roskilla²⁶⁹, anglikańskiego pastora Duckwortha, który opowiedział mi o przygodach Churchill College z Panem Bogiem²⁷⁰, albo z archeologiem prof. Abrahamem, który miewał studentów z rodzin królewskich²⁷¹. Bezpośrednim naszym opiekunem i łącznikiem z Uniwersytetem był fotochemik, uczeń prof. Norrish'a, z którym chcieliśmy współpracować, a zarazem *fellow* w *Churchill College* – Tony Callear.

Pojechaliśmy na naszych kupionych za grosze na licytacji używanych rowerach (w Cambridge wówczas prawie wszyscy poruszali się na rowerach) do ogromnego uniwersyteckiego gmachu Chemii przy Lensfield Road. Przykazano nam starannie przypiąć rowery łańcuchem – i wziąć ze sobą do laboratorium pompki (bo ukradną! – to było *novum* w znanej z uczciwości Anglii). Gdy weszliśmy do szerokiego *hallu*, znajomi Anglicy objaśnili nas: tu z lewej strony jest Chemia Fizyczna, jej szefem jest Ronald Norrish, laureat Nobla. Symetrycznie prawa część budynku to Chemia Organiczna; jej szefem jest Lord Todd, również laureat Nobla. A środkiem tego *hall'u* wznosi się niewidzialny mur. I tego muru nikt nie przekracza!

²⁶⁸ Ur. w 1924 r. W 1974 r. laureat Nobla jako odkrywca pulsarów. Nagroda ta wzbudziła wiele protestów: periodyczne sygnały zarejestrowała jego doktorantka i przypisała je jakiemuś nieznanemu jeszcze zjawisku astronomicznemu. Prof. Hewish przekonywał ją usilnie, że jest to jakieś ziemskie zakłócenie. W końcu jednak Nagrodę Nobla dostał on, a ona nie...

²⁶⁹ Słynny historyk wojny morskiej, autor wielu znanych książek.

²⁷⁰ Odkrywca kodu genetycznego i struktury DNA, laureat Nobla sir Francis Crick (1916–2004), osobisty wróg Pana Boga, sprzeciwił się budowie kaplicy College'u (wszystkie stare college'e mają piękne kaplice). Spór odbił się szerokim echem w brytyjskiej opinii publicznej. Ostatecznie Sir Francis wystąpił z Churchill College, a za pieniądze zewnętrznych sponsorów zbudowano w najodleglejszym kącie ogromnego terenu maleńką, ale piękną i nastrojową międzywyznaniową kaplicę „przy Churchill College”.

²⁷¹ Opowiadał mi m.in. o studiach księcia Walii Karola, albo saudyjskiego następcy tronu; egzaminował każdego z nich.

Tu dygresja na temat prof. Norrisha²⁷², u którego w 1958 r. Anka startowała do fotochemii, a z którym ja spotykałem się parokrotnie na sympozjach w latach 60'. Norrish był nie tylko jednym z czołowych twórców fotochemii, ale i przykładem dawnego typu, naiwno-idealistycznego socjalisty (*Fabian Society?*). Przyjeżdżał niejednokrotnie do Polski, był zaprzyjaźniony z prof. Kemulą, miał wśród swoich uczniów m.in. Stefana Paszyca, późniejszego poznańskiego profesora. Wierzył, że na Wschodzie buduje się Socjalizm...²⁷³

Był przy tym systematycznym konsumentem dobrych alkoholi. Dość powiedzieć, że jeden z dawnych uczniów Norrish'a, w jego obecności, otworzył obrady ostatniego dnia Sympozjum Wolnych Rodników w Cambridge (1963) takimi mniej więcej słowami: „dzisiejszy dzień jest niezwykły. I to nie tylko jako końcowy dzień naszego Sympozjum. Idąc tu dziś rano spotkałem prof. Norrish'a. Zapytacie – cóż w tym nadzwyczajnego? Otóż była już godzina 8³⁰ – a prof. Norrish był zupełnie trzeźwy!!”.

Norrish był przedmiotem setek anegdot. Nie powtarzając żadnej, przytoczę tylko coś z moich własnych przeżyć. Odwiedziwszy nas kiedyś w *Churchill College*, Norrish opowiadał, że – jak to jest zwykle stosowane wobec laureatów Nobla – królowa miała mu nadać szlachectwo. On jednak, jako stary antymonarchista, nie zgodził się. „Ja miałbym podać rękę **tej pani?** O, nie!!”.

Norrish miał już 75 lat, ale chwalił się, że zdrowie mu dopisuje, tak, że nigdy nie chodzi do lekarza. Wyznał kiedyś: „Miałem i taką propozycję: stoję z butelką whisky i obok napis: „codziennie wypijam taką jedną butelkę, nigdy nie chorowałem, nie byłem u lekarza, natomiast dostałem Nagrodę Nobla!” Propozycja była finansowo bardzo atrakcyjna, ale w końcu się nie zdecydowałem...”.

Podczas jednego z mych wcześniejszych pobytów, gdy równocześnie do Cambridge przyjechał na wykład Albert Weller ze swą żoną Brigittą, zostaliśmy przez Norrish'a zaproszeni na kolację do jego *Emmanuel College*. Potem poszliśmy do domu Norrishów, gdzie powitała nas starsza od niego przemiła, drobna pani Norrish²⁷⁴, po czym poszła na spoczynek, a on wziął nas do swego gabi-

²⁷² Ronald G.W.Norrish (1897–1978), znakomity fotochemik, badacz reakcji w gazach, reakcji wolno-rodnikowych i wybuchowych, otrzymał w 1967 r. wspólnie z Georgem Porterem *połowę* Nagrody Nobla, za stworzenie metody fotolizy impulsowej; drugą połowę otrzymał wtedy Manfred Eigen. Norrish opowiadał, że ktoś gratulował mu pokojowej nagrody Nobla, a on odpowiedział: „No, I am not awarded a **Peace** Nobel Prize – I am awarded only with a **piece** of the Nobel Prize for Chemistry!”

²⁷³ Arnošt Reiser, czeski fotochemik, uciekł przed aresztowaniem w 1968 r. wyskoczywszy wraz z żoną z NRD-owskiego statku na redzie Kopenhagi i dopłynąwszy kilometr do brzegu. Gdy Norrish się o tym dowiedział, krzyczał na niego publicznie w Cambridge: „you traitor of the Socialism!...”.

²⁷⁴ Wzruszająco opowiadała, jak to sowieccy celnicy chcieli ją szczegółowo rewidować, ale ich rozbroiła swoim: „do you really believe a fragile, 82 years old British lady – to be a terrorist?”.

netu i zaczął serwować nam kolejne porcje *whisky and soda*. By uratować Brigitte, podsuwaliśmy jej wodę sodową, ale musieliśmy za to łykać czystą whisky, zresztą bez niczego do przegryzienia. Norrish pił cały czas czystą whisky, opowiadając nam różne historie ze swego życia i pracy. Mijała godzina za godziną, wybiła północ, stawaliśmy się coraz mniej przytomni, opowieść Norrish'a – coraz bardziej bełkotliwa. Wreszcie, późną nocą, Norrish wstał i głosem możliwie uroczystym powiedział: „w tym, że Was tu zaprosiłem razem, mam swój cel, na którym mi zależy. Dziwicie się pewnie – jaki? Otóż ty, Albert, jesteś Niemcem, a więc na pewno starym, zapamiętałym hitlerowcem, wrogiem religii²⁷⁵. Nienawidzisz Polaków! Ty zaś, jako Polak jesteś nietolerancyjnym katolikiem i szowinistycznym nacjonalistą. Nienawidzisz Niemców! A celem naszego spotkania, moim życzeniem jest – byście, mimo wszystko, w mojej obecności – przyjaźnie uściśliły sobie ręce!...”. My tymczasem od kilkunastu lat byliśmy serdecznymi przyjaciółmi. Krztusząc się od wewnętrznego śmiechu uściśliłyśmy sobie ręce i mogliśmy zakończyć ten pamiętny wieczór. Ledwie staliśmy na nogach. Wchodząc do swego pokoju hotelowego Albert, przekonany, że jest na sali wykładowej, zażądał: „*next slide, please!*...”.

Prof. Ronald Norrish był przez pół wieku chlubą Chemii Fizycznej w Cambridge. Na korytarzach gmachu na Lensfield Road wisiały dziesiątki długich, pamiątkowych zdjęć, *annual Laboratory pictures*, zawsze z Norrishem pośrodku, a coraz to z innymi doktorantami i magistrantami po bokach i w dalszych rzędach. W 1971 r. Norrish był od niedawna na emeryturze. Pewnego dnia zwołano nas wszystkich na wielkie schody u wejścia do budynku: *annual picture!* W środku ustawił się nowy szef, prof. Jack Linnett²⁷⁶. Ktoś woła: „zawołajmy profesora Norrish'a, on jest przecież w swoim pokoju”; a na to Linnett: „O, nie! Po moim trupie!” („*over my dead body!*”). W Anglii emerytowany profesor, choćby i laureat Nobla, musi zniknąć z fotografii!

Z Cambridge czasem jeździliśmy do Londynu – m.in. na seminaria u Portera (Fot.63) w *Royal Institution*, do Sheffield odwiedzić Hoytinka, do Oxfordu, gdzie odwiedziliśmy Leszka Kołakowskiego w jego *All Souls College*. Symptomatyczne było to, co nam opowiadał, jak po wyjeździe z Polski zaczął wykłady w Berkeley – a tam studenci go wygwizdali i manifestowali, że nie chcą *zdrajcy socjalizmu*. Uciekł więc stamtąd do spokojnej Anglii.

Pracowaliśmy nad fotolizą błyskową dużej serii pięcioczłonowych aza-heterocykli w fazie gazowej (Fot.60–62). Spektrograficznie rejestrowaliśmy widma, analizowaliśmy produkty reakcji różnymi metodami chromatografii gazów. Wykryliś-

²⁷⁵ Weller był z antyhitlerowskiego kręgu, związanego ze straconym przez hitlerowców pastorem Dietrichem Bonhoefferem. Był przy tym bardzo głęboko wierzącym protestantem.

²⁷⁶ Jack W. Linnett (1913–1975), znany chemik kwantowy. Tymczasem znacznie odeń starszy Norrish przeżył go o kilka lat.

my szereg prostych związków, będących produktami rozbicia pierścieni, oraz widma, które przypisaliśmy dwom prostym rodnikom, HCN_2 i $\text{H}_2\text{C}_2\text{N}$. Pierwszy z nich był już znany, w przypadku drugiego nie zdołaliśmy ustalić jego struktury – $\text{CH}_2\text{-C=N}$ lub któryś z jego izomerów. Chcieliśmy tę pracę uzupełnić i dokończyć w Warszawie, po powrocie, skonstruowałem nawet specjalną nową aparaturę, ale liczne trudności techniczne i nowa atrakcyjna tematyka nam to utrudniły. W efekcie praca nie została zakończona tak jak należało, jak nas tego uczył – za Michaelem Faradayem – prof. Kemula: *Work – Finish – Publish!* Ukazał się tylko fragment przewidywań teoretycznych²⁷⁷ i krótkie komunikaty zjazdowe²⁷⁸.

SEMINARIUM „DYLETANTÓW”

W czasie, gdy byliśmy w Cambridge, ukazała się niezwykle ważna praca Manfreda Eigena tworząca podstawy teorii powstania życia²⁷⁹. Nasz przyjaciel, matematyk Krzysztof Maurin (Fot.65), namówił mnie, byśmy razem poprowadzili seminarium interdyscyplinarne, w którym zajęlibyśmy się różnymi ciekawymi aspektami nauki, wymagającymi dyskusji z bardzo różnych punktów widzenia – na początek pracami Eigena i hipotezami powstania Życia. Seminarium odbywało się w jego Katedrze Matematycznych Metod Fizyki U.W. Prowadziliśmy je wspólnie przez 7 lat, a w tym czasie odbyły się seminaria lub cykle seminariów np. o teorii katastrof (ukoronowane wizytą samego René Thoma, twórcy tej teorii), o kosmologii, nieodwracalności i czasie, teorii gier, ale i o teatrze (Krzysztof Wolicki), o *Ziemi Ulro* Miłosza (Anka i ja) i wielu innych tematach. Wśród prelegentów znaleźli się Krzysztof Michalski, ks. Józef Życiński, ks. Józef Tischner, D.S. Czerniawskij z Moskwy, Krzysztof Pomian, Marek Demiański, Henryk Samsonowicz i wielu innych²⁸⁰.

²⁷⁷ Z. S l a n i n a , Z. R. G r a b o w s k i : *Structure, energy characteristics, and electronic spectra of two isoelectronic radicals, HCN₂ and H₂C₂N: a theoretical study.* „Coll. Czechoslov. Chem. Commun.” 1979 44 s. 3441–3451.

²⁷⁸ Z. R. G r a b o w s k i , A. B. C a l l e a r , A. G r a b o w s k a : *Fotoliza błyskowa pięciocząłonowych związków aza-aromatycznych w fazie gazowej.* [W:] *Zjazd Naukowy PTCh i SITPChem, Toruń 5–7.IX.1974 Streszczenia komunikatów VIII-37* s. 280; Z. R. G r a b o w s k i , A. G r a b o w s k a , A. B. C a l l e a r : [W:] *Autour de la photophysique moléculaire. „A gourmet’s delight of Science” A tribute to Sydney Leach.* 3–5 Mai 1993 Colloque à l’Observatoire de Paris, s. 32.

²⁷⁹ M. E i g e n : *Selforganization of Matter and the Evolution of Biological Macromolecules.* „Naturwissenschaften” 1971 58 s. 456–523. Eigen, w 1967 laureat Nobla za badania kinetyki relaksacji chemicznej (por. przypis 272) już wtedy miał tyle osiągnięć w dziedzinie powstania Życia, że sądzono, że Nagrodę Nobla otrzyma – z biologii.

²⁸⁰ Seminarium podobno odbywa się i nadal ale ja się z tego wycofałem, bo z jednej strony tematyka stawała się coraz bardziej ezoteryczna, odległa od Nauki, a z drugiej –

W latach 70. głośno było o ks. W. Sedlaku z KUL. Głosił o *elektromagnetyczną teorię życia*, a organizmy traktował jako szczególny stan materii, który nazywał *bioplazmą*. Ponieważ wszystko to stanowiło jeden bełkot, imponujący ignorantom, a nie do strawienia dla ludzi nauki, zaprosiliśmy go na nasze seminarium. Opowiedział nam o swoich poglądach, przedstawiając je jako odkrytą przez siebie prawdę, a co chwilę cytując z przygotowanych karteczek jakieś odezwane zdanie tego lub innego autorytetu naukowego²⁸¹. Dyskusja z nim okazała się niemożliwa – z szeroko otwartymi a jakby niewidzącymi oczami maniaka, powtarzał swoje, w ogóle nie biorąc pod uwagę pytań, czy uwag zadawanych w dyskusji. W 1977 r. dostałem z PAX-u zaproszenie na bogato finansowane przez nich sympozjum na temat *bioplazmy*. Poszedłem. Była tam chyba setka entuzjastów ks. Sedlaka, na czele z jego fanatycznym wyznawcą Wiktorem Osiałyńskim (wówczas entuzjastą *paranormalności*, dziś poważnym konstytucjonalistą) i paru ludzi nauki – biolog prof. W. Goldfinger-Kunicki, fizyk prof. A. Piekara, ale wyszli szybciej ode mnie. Sedlak mówił o swoich poglądach i odkryciach, m.in., że organizm emituje pod postacią ultrasłabego promieniowania chemiluminescencji więcej energii, niż uzyskuje z pożywienia. Gdy zwróciłem mu uwagę, że podaną przezeń wielkość emitowanej energii (energia kwantu w kcal/mol) należy podzielić przez liczbę Avogadro – 6×10^{23} (!), odrzekł zdenierwowany – „to nieważne, pomnożenie czy podzielenie przez jakąś liczbę!”. A jakiś lekarz z Krakowa widzący *aurę* wokół ludzi wskazał na mnie, że mam *aurę* wyjątkowo złośliwą, rozchodzącą się szeroko i zakłócającą *aurę* innych ludzi. Z kolei moja wypowiedź została przez wydawcę (PAX) skonfiskowana, żeby nie było w druku żadnych uwag krytycznych...

Nie był to jedyny maniak, z którym przyszło mi się stykać – ale najbardziej znany²⁸². Z maniakami, z różnymi przypadkami psychiatrycznymi przyszło mi się stykać bardzo często, tak wśród słuchaczy, korespondentów, jak i współpracowników. Żona mi mówiła, że oni do mnie jakoś lgną. Związanych z tym przygód nie będę opisywał, bo sądzę, że z takimi przeżyciami spotykają się chyba wszyscy ludzie nauki.

Krzysztof obawiał się wszelkich ostrzejszych *nieprawomyślności* politycznych, eliminując takich dyskutantów, jak Roman Zimand.

²⁸¹ Jeden z asystentów ks. prof. Sedlaka opowiadał mi o ich stylu pracy. Sedlak kazał mu znaleźć cytaty na tę lub inną okoliczność. On szukał, gdy znalazł – szef kazał sobie sporządzić kopię danego zdania, nie interesując się zupełnie kontekstem, nie znając źródła cytatu.

²⁸² Na KUL postawiono wniosek o wysunięcie kandydatury ks. prof. W. Sedlaka do Nagrody Nobla. Podobno na posiedzeniu Senatu KUL ktoś wyraził wątpliwość co do znaczenia jego prac, ale usłyszał od rektora: nikt z nas się na tym nie zna. A jeśli on jest rzeczywiście genialny? No i KUL podał kandydaturę ks. Sedlaka do Nagrody Nobla!

W PAŃSTWIE POLICYJNYM

Pełne pół wieku (1939 – 1989) przeżyłem pod panowaniem bądź otwartego terroru, bądź czasem trochę tylko maskowanego policyjnego *regime`u*: okupacja sowiecka we Lwowie, okupacja hitlerowska, rządy komunistyczne w Polsce. Jedyne okresy swobody – to były dwa miesiące Powstania Sierpniowego (choć pod kulami i bombami!) oraz wyjazdy naukowe na Zachód, do krajów *wolnego świata*. Stąd też ciągly i istotny wpływ ustroju, władzy, na moje życie, na postępowanie i na światopogląd. Ten mój polityczny światopogląd nazywam *liberalizmem*; jest to idealizacja indywidualizmu, wolności, dążenie do zachowania niezależności od nacisków z góry i od presji propagandy. Wszystko to jest podszyte sceptycyzmem wobec instytucji i publicznych deklaracji. Do tego wierzę, że ludzie w gruncie rzeczy nie są źli; to przekonanie przyniosło mi najwięcej rozczarowań.

Straszna lekcja lat wojny, okupacji i terroru postawiła przede mną w 1945 roku wybór – albo działać wśród ludzi, przeciwstawiając się złu, albo uciec od ludzi i tego piętrzącego się zła – a więc w gruncie rzeczy przymknąć oczy na to, co dzieć się będzie dokoła, a zająć się badaniem przyrody, szukaniem prawdy o cząsteczkach, o ich reakcjach... Było to może tchórzostwo, a może raczej wybór tego, co pociągało mnie bardziej? Można było jasno formułować pytania, i na ogół znajdować odpowiedzi jednoznaczne: tak lub nie. Tak też dokonałem wyboru; wciąż na nowo jednak odczuwałem ciśnienie zewnętrznego, odgórnego Zła.

Jesienią 1945 r. zamieszkaliśmy przy ul. Francuskiej 18, nad mieszkaniem Jerzego i Marysi Sawickich. Byliśmy u nich codziennymi gośćmi, a i potem, po przymusowej przeprowadzce²⁸³ na Francuską 11, bywaliśmy tam bardzo często. U nich przewijał się ówczesny „wielki świat” Warszawy – politycy, dziennikarze, prawnicy, ludzie teatru. Wiele dowiadywaliśmy się z ich relacji, wiele z tajnych biuletynów PAP, które dostawał Jerzy Sawicki i dawał nam do czytania. Pamiętam, jak kiedyś przyszedł mec. Maślanko, znany adwokat, obrońca w tajnych procesach z wyrokami śmierci, niewątpliwie będący na usługach UB. Wyczerpany, ślaniając się na nogach, zażądał od gospodarzy wódki, wypił i wyjęczał: „zapomnieć, zapomnieć! Niczego wam nie mogę opowiedzieć, ale to jest takie straszne! Ja już tego wytrzymać nie mogę ...”.

W Sylwestra 1948/49 urządziłem w naszym mieszkaniu, przy ogromnej pomocy mej przyjaciółki Teresy, wieczór dla kręgu naszych kolegów. Było sympatycznie i wesoło – tyle, że nie rozumieliśmy, dlaczego nie przyszedł Bogdan Deczkowski²⁸⁴ ani jego dziewczyna. Dopiero następnego dnia dowiedzieliśmy się,

²⁸³ Dom ten upatrzył sobie na rezydencję ówczesny włoski ambasador Eugenio Reale, wybitny komunista. Jerzy Sawicki się wybronił, ale nas i innych lokatorów z I p. wyrzuciono.

²⁸⁴ W batalionie „Zośka” ps. „Laudański”. Po odsiedzeniu w komunistycznym więzieniu paroletniego wyroku, pomimo naszych petycji, nie pozwolono mu wrócić na stu

że został uwięziony. W ciągu paru dni znikło nagle wielu ludzi, m.in. Henryk Kozłowski²⁸⁵, serdeczny przyjaciel Basi i Stefana Behrów. Była to akcja i procesy przeciw rzekomej tzw. drugiej konspiracji. Zginął wtedy m.in. Jan Rodowicz, „Anoda”. Na wszystkich padł strach.

Macki UB odczuwaliśmy często i w różnej formie: *rozmowy* przed wyjazdem za granicę i po powrocie, naciski poprzez komórki partyjne na Uniwersytecie i w Instytucie – kogo nie przyjąć, kogo zwalczać.

Kiedyś, w latach 60., przyszli do mnie dwaj umundurowani pułkownicy WP i proponowali podjęcie prac nad chemią gazów bojowych. Odmówiłem z całą stanowczością – i nic złego mi się jakoś nie stało. Trudniej było z UB. Wkrótce po ukończeniu przeze mnie studiów – a więc w roku 1952 lub 1953 – zjawili się u mnie na Uniwersytecie dwaj smutni panowie w cywilu, pokazali jakieś legitymacje i kazali iść ze sobą. W samochodzie zawiązali mi oczy, nie wiedziałem dokąd jechaliśmy (udało mi się to jednak zidentyfikować, jako daleki Mokotów). Wprowadzono mnie do jakiegoś podziemia. Byłem pewien, że mój koniec się zbliża, a tu padają pytania: „czy zna się pan na polarografii? Czy umie pan ustawić polarograf?”. Gdy przytaknęłem, wskazano mi jakieś skrzynki – „to jest polarograf. Proszę go ustawić i uruchomić!” ustawiłem, połączyłem odpowiednio części polarografu i pokazałem, że działa. Wtedy z zachowaniem tych samych procedur tajemniczości, nie wyjaśniając mi nic, odwieziono mnie z powrotem na Uniwersytet.

Każda instytucja miała swego „opiekuna”, supertajnego, z ramienia MSW. A przedłużonym ramieniem bezpieczeństwa była na terenie każdej instytucji *Partia*. Starałem się nie mieć w moim Zakładzie partyjnych współpracowników. Czasami miałem, nie wiedząc, że są partyjni – ale sami wkrótce odchodzili; widocznie atmosfera zespołu nie była im miła. Koło roku 1970 dyrekcja Instytutu skierowała do mnie odgórnie nowego, nieznanego mi uprzednio doktoranta, mgra Hocha, najwyraźniej po to, by wśród nas znalazł się ktoś *partyjny*. Pracowaliśmy wówczas nad nowymi luminoforami świecącymi w ultrafiolecie, do ekranów lamp katodowych sterowanego elektronowo *monochromatora* (było to przedmiotem dwu prac doktorskich ²⁸⁶ [por. przypis 376]). Część prac trzeba było wykonywać w laboratorium przemysłowym, bo nie mieliśmy odpowiednich dia. Pracował przez rok jako robotnik w fabryce, gdzie wybił się zdolnościami i... fabryka wydelegowała go na studia. Ukończył chemię na Politechnice Warszawskiej, został *zrehabilitowany* podczas „odwilży” 1956 r. Był potem autorem wielu książek i artykułów o Armii Krajowej, o Powstaniu, o Krzysztofie Kamiliu Baczyńskim i in.

²⁸⁵ Ps. „Kmita”, dowódca kompanii „Maciek” w harcerskim batalionie „Zośka” AK. Skazany przez komunistów na śmierć. Na szczęście wyroku nie wykonano. Po *rehabilitacji*, gdy tylko zdołał, *wybrał wolność* w Kanadzie, biorąc jednak cały czas żywy i ofiarny udział w sprawach polskich.

²⁸⁶ J. Jesionek, E. Nossarzewska, Z. R. Grabowski: *Katodoluminofory emitujące w ultrafiolecie*. [W:] *Luminescencja substancji nieorganicznych*, Toruń 1974 Instytut Fizyki Uniwersytetu M. Kopernika, s.89–96; J. Jesionek, Z. R.

urządzeń. Osadziłem go więc w tym laboratorium – daleko od Instytutu – i dzięki temu nie byliśmy codziennie podsłuchiwani. A i to trwało niedługo; latem mgr. Hoch *wybrał wolność* w RFN, deklarując się tam jako Niemiec. Nie miała partia szczęścia z infiltracją naszego niewielkiego zespołu.

Najdziwniejszych rzeczy dowiedziałem się z „teczki” z dokumentami MSW na nasz temat, którą nam udostępniono w Instytucie Pamięci Narodowej (IPN). Spodziewałem się różnych dokumentów z lat 1976–1989, z czasów gdy oboje z Anką jakoś działaliśmy, podpisywaliśmy lub układaliśmy listy i apele, braliśmy udział w różnych manifestacjach, nasze mieszkanie było „skrzynką przerzutową” wydawnictw „Nowej” do Wrocławia, nasz syn Janek był aresztowany, a w domu przeprowadzono rewizję i konfiskaty... Tymczasem okazało się, że akta z tych lat zostały jakoby zniszczone, a zachowało się aż 100 stron na nasz temat z lat 1959–1971²⁸⁷, z czasów gdy nie przejawialiśmy żadnej *opozycyjnej* działalności.

Pierwsze zaniepokojenie – jeszcze w 1959 r. – wywołała moja odpowiedź w ankiecie personalnej dla pracodawcy (PAN) w rubryce „przynależność partyjna”. Napisałem: „moje poglądy są moją sprawą prywatną”. Wywołało to replikę ze strony *personalnika* z PAN i moją odpowiedź na temat gwarancji konstytucyjnych. Najciekawsze, że to wszystko lądowało w aktach MSW...²⁸⁸.

Wiosną 1967 r. władze zaniepokoiły się moim wyjazdem na konferencję i na kilka wykładów w RFN. Odbyto ze mną „rozmowy” przed wyjazdem i po powrocie. Analizowano moje wypowiedzi o fałszywym przedstawianiu sytuacji w Niemczech przez naszą prasę i moje pochwały paryskiej „Kultury”. Wniosek: „prof. Grabowski winien być poddany kontroli operacyjnej”.

Gorączkowa aktywność organów policyjnych została jednak wywołana dopiero nadejściem donosu z ZSRR²⁸⁹:

nr 000-6/63/68 Tłumaczenie z języka rosyjskiego ODST-300 Egz.Nr 1 Ścisłe tajne Egz.pojedynczy

NOTATKA

Przebywający w AN BSRR na stażu naukowym obywatel polski Andrzej Bylina²⁹⁰ powiedział do pracowników tej Akademii, że uczony PAN – GRABOWSKI

G r a b o w s k i : *Katodoluminescencja tlenu berylowego*. „Prace Ośrodka Badawczo-Rozwojowego Techniki Telewizyjnej” 1978 nr 3 s.51–67.

²⁸⁷ Teczka WP-2421/01, IPN 0204/547.

²⁸⁸ *Loc.cit.* „Teczka”, karty 86 (97) oraz 85–86 (87–88).

²⁸⁹ *Loc.cit.* „Teczka”, karta 22 (19).

²⁹⁰ Mój doktorant, Andrzej Bylina, którego lubiłem i ceniłem. Wkrótce po uzyskaniu przezeń doktoratu (*Kinetyka fotochemicznej izomeryzacji cis-trans pochodnych etylenu*, IChF PAN 1967) chciałem go wysłać na staż do jakiegoś znanego mi laboratorium. Ponieważ nie znał należycie żadnego z języków zachodnich, zdecydowaliśmy się na dobre laboratorium prof. Borysewicza w Mińsku Białoruskim. Wrócił stamtąd zresztą dużo szybciej, niż to było planowane – bo w Instytucie Fizyki Białoruskiej Akademii Nauk niemal wszystko otoczone było przed nim tajemnicą...

jest wrogo ustosunkowany do obecnego ustroju w Polsce i zamierza zdradzić ojczyznę. W tym celu załatwia on obecnie dokumenty na wyjazd w podróż służbową do Anglii wraz z rodziną. O zamiarze Grabowskiego wiedzą jakoby pracownicy Instytutu Chemii Fizycznej Polskiej Akademii Nauk.

M. Bachwałow

28 lutego 1968 r. Nr.199

Tłum.HH. Odb.2 egz.HH. W-wa 2.03.68

[odręczne uwagi:]

Plk. Budzyn proszę zająć się odpowiednimi ustaleniami i przedłożyć propozycje. /-/ plk. Smolnik 28/II.68 r.

Mjr. Popławski proszę pilnie przeprowadzić ustalenia /-/ (podpis nieczytelny) 4/III.68

/-/ (podpis nieczytelny /-/ (podpis nieczytelny) 4.3.68 351 E. Popławski

Nie sądzę, by to było celowe doniesienie. Andrzej Bylina, namiętny plotkarz, opowiadał takie sensacje zapewne nie ze złej woli, lecz z głupoty i chęci zaimponowania swym białoruskim kolegom. W MSW jednak natychmiast zarządzono: „Proszę pilnie przeprowadzić działania. Do Wydz.VI Dept.II.” Niezwłocznie więc podjęto działania: zablokowano nam paszporty, uniemożliwiając mi udział w ważnej dla nas prezentacji naszych prac na Dyskusji Faraday Society.. Nasz wyjazd do *Churchill College* w Cambridge opóźnił się o 4 lata. Ponadto – przy pełnej naszej tego nieświadomości – założono nam podsłuch telefoniczny (*PT* w języku bezpieki), a zaraz potem – angażując w to kilka departamentów, narażając MSW na nie byle jakie koszty²⁹¹, a w końcu stosując wymyślny fortel²⁹² i technikę – również podsłuch w mieszkaniu, czyli *pluskwę* (w języku bezpieki: *PP*).

Przy braku jakichkolwiek podejrzeń z mojej strony w marcu 1968 r. zostałem uznany za jednego z organizatorów *wydarzeń marcowych*. Od paru tygodni miałem zaproszenie z krakowskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Chemicznego na odczyt na terenie UJ. Pojechałem więc, trafiłem w środek studenckich manifestacji i koło domu akademickiego „Żaczek” natykałem się gazu łzawiącego. Na sali wykładowej było sporo ludzi płaczących lub kichających, inni z bandażami – a ja mówiłem o stanach wzbudzonych. Nie wiedziałem oczywiście, że w ślad za mną przyszedł z Warszawy szyfrogam:

²⁹¹ Sporządzono plan domu, w którym mieszkaliśmy (Szczęśliwicka 1/5), stwierdzając, że w sąsiednich mieszkaniach, ani nad, ani pod nami nie mieszkają funkcjonariusze MSW; ci odnaleźli się tylko w odległych mieszkaniach 2 i 84. Nie można było się do nas przewiercić [*loc.cit.* „Teczka”, karty 32–34 (28–30)].

²⁹² Z podsłuchu telefonicznego dowiedziano się, że nasza gospośnia Gienia i jej przyjaciółka umówiły się z dwoma mężczyznami w kawiarni. Tam zatrzymano je i wzięto na komisariat pod zarzutem prostytucji. W czasie przesłuchania wyjęto jej z kieszeni płaszcz a klucze od naszego mieszkania i skopiowano. „Klucze te będą wykorzystane do założenia PP w mieszkaniu Grabowskich oraz do przeprowadzania penetracji lokalu” [Notatka tajna z 18.III.68, Insp. Wydz.VI Dept.II mjr.M.Żebrowski – *loc.cit.* „Teczka”, karty 45–48 (41–44)].

Szyfrogram – b. pilne**Tajne**²⁹³*Warszawa, dnia 14 marca 1968 r.***I-szy ZASTĘPCA KOMENDANTA WOJEWODZKIEGO D/S SŁUŻBY BEZPIECZEŃSTWA w Krakowie**

W Krakowie od 13 b.m. przebywa prof.dr Zbigniew Grabowski s. Czesława, który wyjechał z Warszawy rzekomo na wykłady na P.T.Ch. Jest on powiązany z organizatorami wrogich wystąpień studenckich w Warszawie. Podejrzewamy, że właściwym celem jego wyjazdu na Wasz teren jest inspiracja środowisk krakowskich do wrogich wystąpień. W związku z tym proszę o poddanie wyżej wymienionego szczególnej kontroli operacyjnej.

V-DYREKTOR DEPARTAMENTU II**/Plk. St Smolnik/**

Uznając mnie za jednego z organizatorów strajków i manifestacji studenckich (a nikiem takim doprawdy nie byłem!) rejestrowano skrupulatnie wszystkie nasze rozmowy telefoniczne i wizyty. 17 marca były akurat moje imieniny, przyszło trochę gości, inni telefonowali – wszystko to było uznane za zakonspirowaną działalność, a nasi przyjaciele byli rejestrowani z numerem telefonu, adresem i czasem charakterystyką (np. „dawniej AK”)²⁹⁴. Lokalne komendy MO złożyły obszerne sprawozdania o całej wiejskiej rodzinie naszej gosposi, a komenda MO w Nowogardzie – o mieszkającej tam od czasu wojny mojej ciotce... Sprawdzano po parafiach i urzędach stanu cywilnego dokumenty moich rodziców, stwierdzając po skrupulatnym śledztwie, że metryka mego ojca jest zapewne fałszywa.

KOMIWOJAŻER NAUKOWY

Ogromną rolę w życiu aktywnego pracownika nauki odgrywają podróże, zjazdy, konferencje, wykłady w coraz to innych miejscach. Każdego roku brałem udział w różnych odbywających się Polsce konferencjach, referowałem wyniki naszych prac lub problemy ogólniejsze, albo miałem cykle wykładów na uczelniach. Co ciekawe, po opuszczeniu przeze mnie Wydziału Chemii UW, zapraszano mnie na semestr wykładów na Biologii UW, na Fizyce UW, na Chemii na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu – ale przez ponad 40 lat nigdy na Chemię UW.

Z wyjątkiem (czasem długich) okresów, gdy odmawiano mi paszportu – często wyjeżdżałem za granicę, na ogół tylko na parę dni – na zjazdy, lub dla wygłoszenia referatów i zapoznania się z pracami i wyposażeniem tamtejszych laboratoriów (Fot.57). W ciągu pół wieku mej pracy zawodowej uczestniczyłem

²⁹³ *Loc.cit.* "Teczka", karta 36 (32)²⁹⁴ *Loc.cit.* "Teczka", karty 46–48 (42–44)

chyba w nie mniej niż stu różnych zjazdach, konferencjach czy sympozjach. Byłem więc kimś w rodzaju naukowego komiwojażera, propagującego swoje wyniki i poglądy, i uczącego się równocześnie od innych (Fot.64). Podróżowałem więc z paczkami coraz to innych przeźroczy i wygłaszałem swoje wykłady w coraz to innym języku, na ile mi ich znajomość pozwalała: po niemiecku, rosyjsku, angielsku, a nawet po francusku. Ponieważ prawie nigdy nie bywałem delegowany, z reguły wyjeżdżałem na koszt zagranicznych organizatorów, lub na podróże i pobyt zużywałem honoraria z wykładów. Podróże te pozwoliły mi, co prawda niezwykle pobieżnie, poznać wiele różnych krajów i atrakcyjnych miejscowości, ale przede wszystkim tworzyły okazje poznania bardzo wielu interesujących, a często wybitnych ludzi, pozwoliły mi z niektórymi się zaprzyjaźnić.

W niektórych miastach miałem koneksje rodzinne, dalekie ciotki – w Paryżu, Londynie, Zürichu. Bywałem tam chętniej, póki one żyły, dowiadywałem się od nich o ich przeszłości i o przeszłości rodziny.

W roku chyba 1970 utworzono *European Photochemistry Association (EPA)*, początkowo pod auspicjami zaczynającej się jednoczyć Europy. W 1972 r., będąc w Anglii, zapisałem się do EPA jako pierwszy fotochemik z za żelaznej kurtyny. Spadł na mnie obowiązek rozszerzania członkostwa EPA na kraje wschodnioeuropejskie. W Polsce mieliśmy wkrótce dość aktywną grupę, potem na Węgrzech, trudniej było w NRD, a w ZSRR, pomimo moich perswazji na różnym szczeblu, bano się tego przez długi czas, jak diabeł święconej wody.

Mam nadzieję, że nie to było powodem wybrania mnie przez EPA w 1976 r. jako *Theodor Förster Memorial Lecturer*. W towarzystwie Anki odwiedziłem wówczas z referatami całą serię europejskich ośrodków fotochemicznych. Były to: Getynga, Frankfurt nad Menem, Lejda, Paryż, Zürich, Stuttgart i Wiedeń. W Frankfurcie powitały nas zaskakujące napisy na murach i transparenty z nazwiskiem „GRABOWSKI!” Szybko okazało się jednak, że to niemiecki piłkarz. Inną przygodę, świadczącą o mojej popularności przeżyliśmy w Zürichu. Wchodząc w drzwi naszych przyjaciół Wildów, zostałem obskoczony przez całą gromadkę ich dzieci, machających jakąś książeczką i krzyczących: „*Grabowski der Maulwurf! Grabowski der Maulwurf!*” – okazało się, że właśnie ukazała się książeczka o krecie Grabowskim...

Podróże te dały mi sposobność obserwowania dziwów tego świata. W Moskwie w niektórych hotelach dla cudzoziemców w salach dancingowych grały orkiestry jazzowe – w czasach, gdy takie wynaturzenia były Rosjanom wzbronione. Zdumiewał mnie widok młodych Rosjan, którzy się tam jakimś cudem dostawali – a każdy miał manifestacyjnie pod pachą kolorowy zeszyt „Америка”, pisma wydawanego przez ambasadę USA. Tym się imponowało dziewczynie.

Gdy wkrótce potem znalazłem się w Zürichu, zobaczyłem wieczorem na brzegu jeziora setki różnojęzycznej młodzieży, śpiewających chińskie pieśni re-

wolucyjne... Zrozumiałem, że sensu w tych postawach doszukiwać się nie sposób. Każdy chciał zmienić swój świat.

PIĘKNO LUMINESCENCJI I JEJ SEKRETY

Badania fluorescencji i fosforescencji pociągały nas również ze względów estetycznych: piękne barwy świecące w ciemnościach (Fot.66), barwy, które umiemy zmieniać, które wywierają często niezwykle wrażenie tajemniczości – a niosą zarazem nieocenione informacje o stanach elektronowo wzbudzonych i ich reakcjach, o tym, co się dzieje w niewyobrażalnie krótkich czasach. Widma luminescencji pozwalają rozpoznać naturę stanu emitującego, jego czas życia, moment dipolowy, lepkość otoczenia. Szczególnie ciekawe są przypadki, gdy w wyniku dostatecznie szybkiej, zachodzącej w czasie życia stanu wzbudzonego (a więc nano- albo i piko-sekund) procesu *adiabatyicznego* powstaje również w stanie wzbudzonym produkt reakcji, emitujący potem swoje pasmo luminescencji. Tak szybkie są zwłaszcza reakcje przeniesienia elektronu lub protonu, będące podstawowym przedmiotem naszych zainteresowań.

Koniecznym warunkiem powodzenia takich badań była aparatura pomiarowa. Jan Jasny (Fot.49) zauważył, że rozwój aparatury pomiarowej idzie ku zastąpieniu drogiej optyki przez taniejącą, a coraz doskonalszą elektronikę. Ponieważ wysokiej klasy elektronikę obejmowało w tych czasach „zimnej wojny” *embargo*, a polskie elementy optyczne mogliśmy mieć na najwyższym światowym poziomie, postanowił on skonstruować przyrząd wysokiej klasy oparty przede wszystkim na znakomitej optyce. I tak powstał uniwersalny spektrofluorometr Jasnego, w postaci kilku modułów, dających się różnie zestawiać do różnego typu pomiarów²⁹⁵. Był on reprodukowany przez przedsiębiorstwo COBRABiD przez szereg lat i wzbogacił wiele polskich i zagranicznych laboratoriów w nowe możliwości pomiarowe.

Oprócz tego, dzięki coraz to nowym konstrukcjom Jasnego, dysponowaliśmy coraz to doskonalszym wyposażeniem. Tam, gdzie nie można było zdobyć środków – on wyjeżdżał do jednego z zaprzyjaźnionych laboratoriów, w Getyndze lub w Zürichu, i realizował (wyczarowywał?) w tamtejszych warsztatach swe nowe wynalazki w dwu egzemplarzach – jeden dla nich, drugi dla naszego laboratorium. Tak powstały nowe lasery i elementy techniki laserowej, które pozwoliły doc. Jasnemu stworzyć dla nas kolejne wersje zupełnie nowego przyrządu: w pełni zautomatyzowanego spektrofotometru nano-sekundowych widm absorpcji²⁹⁶.

²⁹⁵ J. J a s n y : *Universal spectrofluorimetric system*. „J. Luminesc.” 1978 17 s. 149–173; J. J a s n y , J. W a l u k : *Compact multifunctional spectrofluorimeter with a novel design for anisotropy measurements*. „Rev. Sci. Instr.” 1998 69 s. 2242–2245.

²⁹⁶ J. J a s n y , J. S e p i o ł : *Nanosecond transient absorption spectrophotometer with dye laser probe*. „J. Physics (E): Sci. Instrum.” 1981 14 s. 493–497; J. J a s n y ,

Później, dzięki jego konstrukcji immersyjnego obiektywu do temperatur helowych – obserwować doskonalej niż inni pojedyncze fluoryzujące cząsteczki²⁹⁷.

Tymczasem Anka ze swoim zespołem od równowag kwasowo-zasadowych przeszła stopniowo do tematyki trudniejszej – do kinetyki procesów przenoszenia protonu. W cząsteczkach o dwu symetrycznych, równoważnych wiązaniach wodorowych, proces przenoszenia protonu dotyczyć mógł jednego albo dwu protonów. Na ogół okazywało się, że tylko jeden proton jest przenoszony, czasem – że występują dwa procesy, nieraz trudne do rozróżnienia – równoczesne, czy następcze. Najciekawszym przykładem okazała się ulubiona cząsteczka tego zespołu, 3,3'-dwydroksy-2,2'-bipirydył, BP(OH)₂²⁹⁸, która ponadto stała się wzorcem fluorescencji, fotostabilizatorem polimerów, barwnikiem laserowym...²⁹⁹.

Poważnym osiągnięciem było znalezienie w innych symetrycznych związkach podwójnych fluorescencji – formy pierwotnej i fototautomeru. Kinetyka fluorescencji pozwoliła wyznaczyć energię aktywacji procesu przeniesienia protonu³⁰⁰. Wewnątrzcząsteczkowe przeniesienie protonu w stanach wzbudzo-

J. Sepioł, J. Karpiuk, J. Gilewski: *Nanosecond transient absorption spectrophotometer with dye laser probing and computer control*. „Rev. Sci. Instrum.” 1994 **65** s. 3646–3652.

²⁹⁷ J. Jasny, J. Sepioł: *Single molecules observed by immersion mirror objective. A novel method of finding the orientation of a radiating dipole*. „Chem. Physics Lett.” 1997 **273** s. 439–443.

²⁹⁸ H. Bulska: *Intramolecular cooperative double proton transfer in [2,2'-bipyridyl]-3,3'-diol*. „Chem. Physics Lett.” 1983 **98** s. 398–402; P. Borowicz, A. Grabowska, R. Wortmann, W. Liptay: *Tautomerization in fluorescent states of bipyridyl-dioles. A direct confirmation of the intramolecular double proton transfer by electrooptical emission measurements*. „J. Lumin.” 1992 **52** s. 715–731; D. Marks, H. Zhang, P. Borowicz, A. Grabowska, M. Glasbeek: *Femtosecond intramolecular proton transfer in photoexcited mono- and dienol derivatives of bipyridine*. „Chem. Physics Lett.” 1999 **309** s. 19–28.

²⁹⁹ Ł. Kaczmarek, B. Nowak, J. Żukowski, P. Borowicz, J. Sepioł, A. Grabowska: *New Proton Transfer Lasing Systems – Derivatives of 2,2'-Bipyridyl. Synthesis and Photophysical Properties*. „J. Molec. Structure” 1991 **248** s. 189–200.

³⁰⁰ A. Mordziński, A. Grabowska, W. Kühnle, A. Krówczyński: *Intramolecular single and double proton transfer in benzoxazole derivatives*. „Chem. Physics Lett.” 1983 **101** s. 291–296; A. Grabowska, A. Mordziński, N. Tamai, K. Yoshihara: *Picosecond kinetics of the excited state intramolecular proton transfer reaction: confirmation of the intrinsic potential barrier in 2,5-bis-(2-benzoxazolyl)-hydroquinone*. *ibid.* 1988 **153** s. 389–392; J. Sepioł: *Stimulated emission pumping (SEP) as a tool for studying the reversibility of the excited state proton transfer reaction of „double” benzoxazoles: 2,5-bis-(2-benzoxazolyl)-hydroquinone and 2,5-bis-(2-benzoxazolyl)-4-methoxyphenol*. *ibid.* 1990 **175** s. 419–424.

nych wykazują też fotochromowe zasady Schiffa. Badane są mechanizmy i kinetyka tych procesów, w coraz to krótszej – aż po femtosekundową – skali czasu, a wyniki porównywane są z obliczeniami teoretycznymi³⁰¹.

Tematyka związana z przenoszeniem protonów w stanach wzbudzonych rozwijana jest szeroko w Zakładzie i nadal, pod nowym kierownictwem³⁰².

NRD

Najdziwniejsza była nasza współpraca z NRD. Jeszcze w 1964 r. zostaliśmy oboje z Anką zaproszeni do Berlina Wschodniego przez prof. Roberta Havemanna, jednego z twórców fotografii barwnej, któremu wówczas powierzono organizację programu badań fotochemicznych (i fotosyntezy) w ramach RWPG³⁰³.

Robert Havemann (1910–1982) był postacią niezwykłą. Łączył w sobie naukę, ideologię i filozofię. Można krytykować głębię każdej z nich, ale całe jego życie było dramatyczną ilustracją wezwania: „*sei nicht Öl, sei Sand in der Getriebe der Welt!*”³⁰⁴. Po dojściu Hitlera do władzy w Niemczech działał w nielegalnej partii komunistycznej, w grupach sabotażowych, organizował pomoc Żydom i więźniom politycznym. Równocześnie doktoryzował się, potem habilitował, jako fotochemik. Uwięziony, torturowany, został w 1943 r. skazany na śmierć przez sąd doraźny i słynnego krwawego sędziego Freislera.

Według relacji Havemanna, jego przyjaciele z *Oberkommando der Luftwaffe* oświadczyli, że do zwycięstwa Niemiec w wojnie nieodzowna jest dla lotnictwa jego dalsza praca nad rozwojem fotografii barwnej. W więzieniu w Brandenburgu stworzono mu więc laboratorium i odroczone o 2 tygodnie wykonanie wyroku. Po upływie 2 tygodni komunikowano mu o kolejnym odroczeniu śmierci – o kolejne 2 tygodnie... Tymczasem Havemann skonstruował w swoim

³⁰¹ M. Z. Z g i e r s k i, A. G r a b o w s k a : *Photochromism of salicylideneaniline (SA). How the photochromic transient is created? A theoretical approach.* „J. Chem. Phys.” 2000 **112** s. 6329–6337; M. Z i ó ł e k, J. K u b i c k i, A. M a c i e j e w s k i, R. N a s k r ę c k i, A. G r a b o w s k a : *Excited state proton transfer and photochromism of an aromatic Schiff base. Pico- and femtosecond kinetics of the N,N'-bis(salicylidene)-p-phenylenediamine (BSP).* „Chem. Phys. Lett.” 2003 **369** s. 80–89; *An ultrafast excited state intramolecular proton transfer (ESIPT) and photochromism of salicylideneaniline (SA) and its „double” analogue salicylaldehyde azine (SAA). A controversial case.* „Phys. Chem. Chem. Phys.” 2004 **6** s. 4682–4689.

³⁰² J. W a l u k : *Hydrogen-bonding-induced phenomena in bifunctional heteroazaaromatics.* „Acc. Chem. Res.” 2003 **36** s. 832–838.

³⁰³ RWPG – „Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej” – organizacja, koordynująca nie tylko działalność gospodarczą, ale i naukowo-techniczną obozu państw komunistycznych.

³⁰⁴ Motto w książce: G. E i c h : *Geh nicht nach El Kuwehd.* Berlin 1953 Suhrkamp.

więziennym laboratorium prosty odbiornik radiowy, słuchał alianckich komunikatów i wydawał w więzieniu potajemne biuletyny radiowe. Oficerowie z komendy lotnictwa, którzy wybronili go od śmierci w 1943 roku – zostali po zamachu na Hitlera 20 lipca 1944 r. skazani na śmierć i straceni. Wykonanie wyroku śmierci na Havemannie odraczano jednak nadal co 2 tygodnie – aż do czekał wyzwolenia.

Jako jeden z niewielu niewątpliwych antyhitlerowców wśród niemieckich uczonych został w 1945 r. powołany na dyrektora *Kaiser Wilhelm Institut* w Dahlem, w amerykańskiej strefie okupacyjnej Berlina. Już w 1950 r., jako komunista, występujący ponadto aktywnie przeciw amerykańskim zbrojeniom atomowym, został pozbawiony przez Amerykanów stanowiska w Instytucie, aresztowany, a potem wydalony – i stał się *jedynym* Niemcem, któremu zabroniono (jak się okazało – aż do śmierci) wstępu do Berlina Zachodniego!

Objął więc katedrę chemii fizycznej na wschodniobrzeźnińskim Uniwersytecie Humboldta. Został też członkiem Akademii Nauk NRD, stworzono dlań laboratorium fotochemii³⁰⁵, do którego właśnie byliśmy zaproszeni. Ustaliliśmy zakres współpracy, wymiany, zawarliśmy znajomości, z których jedna – z najbliższym współpracownikiem Havemanna, Herwardem Pietschem – trwała odąd przez ćwierć wieku.

Robert Havemann miał szerokie zainteresowania i znajomości. Odwiedził Chiny, w których widział przyszłość swoich idei, w Lambaréné odwiedził Alberta Schweitzera, korespondował z Albertem Einsteinem. Jego przyjacielem był słynny pieśniarz Wolf Biermann. Wierząc w marksizm, Havemann uważał, że nie wymaga on rządów przemocy, tylko perswazji. Jego poglądy filozoficzne zderzyły się czołowo z ortodoksyjno-stalinowskimi poglądami rządzących w NRD „filozofów”. W roku akad. 1963/64 Havemann ogłosił na Uniwersytecie Humboldta kurs wykładów „Przyrodnicze aspekty problemów filozoficznych”³⁰⁶. Wykłady te, o treści dla marksistów niesłychanie rewolucyjnej, trzeba było przenosić w kolejnych tygodniach do coraz większych sal wykładowych, a wreszcie do największej auli Uniwersytetu. Na wykłady przyjeżdżali słuchacze z innych miejscowości, a nawet z Niemiec Zachodnich; liczba słuchaczy osiągnęła 1250 (!). Jego poglądy – m.in. to, że prawda i słuszność nie potrzebują ochrony cenzury, że należy dopuścić różnorodne poglądy itp. – spowodowały przerwanie jego wykładów po jednym semestrze i usunięcie Roberta Havemanna z Uniwersytetu.

W tym właśnie czasie odwiedziliśmy Havemanna. A niebawem został on (wraz ze swym przyjacielem, ideowo-lewicowym bardem Wolfem Biermannem) potępiony na specjalnym *Plenum* KC SED. W krótko potem zlikwidowa-

³⁰⁵ *Arbeitsstelle für Photochemie* w Berlin-Adlershof.

³⁰⁶ R. H a v e m a n n : *Dialektik ohne Dogma? Naturwissenschaft und Weltanschauung*. Reinbek bei Hamburg 1964 Rowohlt; stron 168.

no jego *Arbeitsstelle für Photochemie* w Akademii, rozpędzono jego uczniów i współpracowników, jego po kilku nieudanych próbach w końcu usunięto z Akademii³⁰⁷, a badania fotochemiczne – przerwano. Współpraca fotochemików niejako automatycznie znikła z planów naukowych RWPG.

Jeden z najbliższych współpracowników Havemanna, Herward Pietsch, pracował potem – z dala od studentów – w laboratoriach firmy ORWO (uprzednio „Agfa”). Odwiedzał nas w Warszawie, został z czasem prezydentem międzynarodowej organizacji badań nad procesami fotograficznymi. Dzięki jego pomocy uzyskiwaliśmy nieraz trudne do nabycia klisze do badań spektrograficznych.

W kilka lat później odwiedziłem Roberta Havemanna. Usunięty z Berlina, mieszkał w swym domku letniskowym w Grünheide. Rzuciła go żona, jeden syn uciekł na Zachód, drugi – chemik – gdy go spotkałem i zapytałem, czy jest synem Roberta Havemanna, odpowiedział mi opryskliwie: „*nur biologisch!*” Havemann miał teraz drugą, wpatrzoną weń młodziutką żonę, i był cały czas szpiegowany, pilnowany i podsłuchiwany (o czym mnie uprzedził). Opowiadał mi, że nie został uwięziony ani wydalony z NRD tylko dlatego, że za czasów hitlerowskich, gdy był skazany na śmierć, w tym samym więzieniu w Brandenburgu siedział inny komunista – Erich Honecker, obecny szef SED³⁰⁸, któremu nie wypadało więzić zasłużonego dawnego współwięźnia...

Robert Havemann, wystrzegając się podsłuchów, przedłożył mi swój pomysł i prosił o pomoc. Planował on pojechać w sposób nie wzbudzający podejrzeń samochodem do Polski (może nie zauważą jego wyjazdu, a na polskiej granicy, która jest niedaleko, nie będą się go spodziewali?). Prosił mnie o zorganizowanie mu w Warszawie spotkania z Leszkiem Kołakowskim – debatę na temat przyszłości marksizmu. Chciałem mu pomóc, bo go lubiłem i szanowałem, mimo mojej do marksizmu niechęci – ale wtedy właśnie Leszek Kołakowski po długich staraniach zdołał wyjechać na Zachód, osiadając w końcu w Oxfordzie.

W pewien czas potem Havemann nie został wprawdzie uwięziony, ale objęty w swym domku w Grünheide aresztem domowym. Tam też zmarł, jeszcze z czasów hitlerowskiego więzienia nieuleczalnie chory na gruźlicę³⁰⁹.

³⁰⁷ Co godne uwagi, nawet wśród członków Akademii Nauk NRD, najposłuszniejszej z Akademii w Europie Wschodniej, wniosek o usunięcie go nie uzyskał w tajnym głosowaniu niezbędnej większości głosów. Dopiero gdy dzięki różnym kruczkom prawnym przeprowadzono głosowania jawne – udało się partii pozbawić go członkostwa Akademii. [S. Müller, B. Florath: *Die Entlassung. Robert Havemann und die Akademie der Wissenschaften 1965/66. Eine Dokumentation*. Berlin 1996 Robert-Havemann-Gesellschaft, stron 454].

³⁰⁸ *Sozialistische Einheitspartei Deutschlands* (Niemiecka Socjalistyczna Partia Jedności – partia komunistyczna rządząca w NRD)

³⁰⁹ Historia Roberta Havemanna, komunisty skazanego na śmierć za Hitlera, a czołowego, dysydenta w NRD – zasługuje na przyswojenie kiedyś polskim czytelnikom. Por. R. Havemann: *Fragen Antworten Fragen. Aus der Biographie eines deutschen*

W kilka lat po rozpedzeniu laboratorium Havemanna, najwyraźniej dostrzeżono jednak w NRD potrzebę fotochemii. Na uniwersytecie w Jenie młody i energiczny prof. Roland Paetzold dostał polecenie przerwania swych prac ramanowskich, zapoznania się z nową dla siebie dziedziną i zorganizowania badań fotochemicznych. Dostaliśmy z Anką zaproszenie do przeprowadzenia dla nich intensywnego kursu fotochemii. Wiosną 1971 r. zostaliśmy zawiezieni do odludnego zajazdu w Turyngii, „*Zum roten Hirsch im grünen Walde*”, i tam przeprowadziliśmy we dwójkę, na zmianę, po 10 godzin dziennie, systematyczny kurs wykładów i dyskusji o chemii i fizyce molekularnych stanów wzbudzonych dla ok. 20 osób, głównie z Uniwersytetu Schillera w Jenie (Fot.70). Od tego czasu istnieje w Jenie aktywna grupa fotochemików, znana m.in. z osiągnięć w fotochromii fulgidów. Zdażyliśmy się zaprzyjaźnić z Rolandem, współpracować z jego zespołem, odwiedzał nas w Warszawie. Wyjechał kiedyś na urlop, gdy nadeszła od niego na uniwersytet kartka z Paryża, że wybrał tam wolność. W środowisku naukowym w NRD zakotłowało się, zanim się okazało, że był to zaplanowany przez niego samego wybieg, mający utrudnić poszukiwania. W rzeczywistości, zaszczyty przez swych partyjnych kolegów i przez byłą żonę, wyjechał w góry i popełnił samobójstwo, skacząc w przepaść. Niewiele o tym początkowo wiedziałem pisząc o nim³¹⁰, ale mam na ten temat relacje współpracowników Rolanda i tragiczne listy jego matki, z różnych lat. Wiele się dowiedziałem dopiero wówczas, gdy udało mi się przyjechać do Jeny na sesję poświęconą pamięci Rolanda, 16.VI.1983 r. Była to zresztą moja jedyna wizyta w NRD na przestrzeni szeregu lat, na którą dostałem paszport.

Było dla mnie zaskakujące, że inny z uczestników sesji, wysoce partyjny Heinz Georg Osmar Becker z Politechniki Leuna-Merseburg, mający decydujący głos w sprawach fotochemii w prezydium Akademii Nauk NRD, zawsze unikał spotkań i rozmów ze mną i nigdy nie przyjechał do Warszawy. Potem dowiedziałem się od kolegów, że bał się, bo *STASIS*³¹¹ go jakoby ostrzegła, że jestem „wrogiem socjalizmu”.

Utrzymując żywe stosunki z kilkoma laboratoriami w NRD, najbardziej konkretną współpracę mieliśmy z *Zentralinstitut für Optik und Spektroskopie* Akademii Nauk NRD w Berlinie-Adlershof, zwłaszcza z laboratorium, którym kie-

Marxisten. Berlin 1990 Aufbau Verlag, stron 294; R. H a v e m a n n : *Die Stimme des Gewissens. Texte eines deutschen Antistalinisten*. Reinbek bei Hamburg 1990 Rowohlt, stron 224; R. H a v e m a n n : *Warum ich Stalinist war und Antistalinist wurde. Texte eines Unbequemen*. Berlin 1990 Dietz Verlag, stron 270.

³¹⁰ Z. R. G r a b o w s k i : *Roland Paetzold, 1931–1982*. „EPA Newsletter” Febr.1983 s.18–23.

³¹¹ *STASI: Staats-Sicherheits Dienst* – służba bezpieczeństwa, tajna policja polityczna NRD.

rował prof. **Siegfried Dähne**. Owocowało to wspólnymi publikacjami³¹² i wspólnie opracowanymi przyrządami³¹³.

Jak niemal wszędzie w NRD, w instytucie tym wiele było strachu i kwitło donosicielstwo. Dähne, wybitny i uznany badacz spektroskopii i fotochemii barwników, bał się szczególnie – jako bezpartyjny, a nadto obciążony żoną, bardzo aktywną działaczką Kościoła ewangelickiego. Bywaliśmy u siebie przy różnych okazjach. Kiedyś byłem u nich razem z moim przyjacielem, doc. Janem Jasnym. Przy kolacji, w towarzystwie ich dwu kilkunastoletnich synów, Jasny opowiadał o paradoksalnych przygodach podczas tranzytowej podróży przez ZSRR. Dähne od razu mu przerwał, pod jakimś pozorem odprawił obu synów i z wyrzutem zwrócił się do Jasnego: „nie można ośmieszać Sowietów wobec młodzieży. Chłopcy mogliby nieostrożnie coś powtórzyć – i co wtedy?”. Gdy się zdziwiliśmy takiej postawie lęku i nieufności nawet wobec własnych dzieci, Dähne dodał: „tu każdy z nas ma wmontowanego w siebie policjanta, który pilnuje naszych słów i czynów...”.

W latach 80. spotkaliśmy się z nim na konferencji w Toruniu; przyszedł do naszego pokoju hotelowego. W rozmowie zaproponowałem mu – po długiej już znajomości i przyjaźni – *Bruderschaft*. Ucieszył się, wypiliśmy po kieliszku koniaku, potem on wyszedł. Po paru minutach jednak wrócił i niezwykle zmieszany powiedział: „mam do ciebie wielką prośbę. Ty jesteś u nas bardzo podejrzany, źle widziany z powodu twoich poglądów, „Solidarności”... *Bruderschaft* z tobą mógłby mi zaszkodzić. Mówmy więc sobie po imieniu tylko wtedy, gdy będziemy sami, ale w obecności innych – per „pan”!”. Stosowaliśmy się więc do tego przez szereg lat, aż do czasu upadku muru berlińskiego.

Po 1989 r., Siegfried Dähne jako jeden z nielicznych *sprawiedliwych* brał udział w rozsądzaniu przeszłości komunistycznej swoich kolegów. Po raz pierwszy od dziesiątków lat mógł wyjechać na Zachód (uprzednio kilkadziesiąt razy odmawiano mu prawa skorzystania z zaproszeń). Jeden z zachodnich uczonych, który go gościł, dowiedział się od Dähnego, że *STASI* żądała od niego szpiegowania Grabowskiego, ale on żadnych donosów nie składał...

Przez kilka lat po epoce pierwszej „Solidarności” odmawiano mi paszportów na jakiegokolwiek wyjazdu. W połowie lat 80. nadal nie mogłem wyjeżdżać na Zachód, ale wyjeżdżałem już do krajów *bloku* z wyjątkiem NRD. Funkcjonariu-

³¹² np. S. Dähne, W. Feyer, K. Teuchner, J. Dobkowski, Z. R. Grabowski: *Dual and multiple fluorescence mechanisms of p-dimethylamino-benzaldehyde and its trimethylene-bridged double molecule*. „J. Lumin.” 1980 22 s. 37–49; A. Mordziński, A. Grabowska, K. Teuchner: *Mechanism of Excited-State Proton Transfer in „Double” Benzoxazoles: Bis-2,5-(2-benzoxazolyl)hydroquinone*. „Chem. Physics Lett.” 1977 111 s. 383–388.

³¹³ Dotyczy to w pierwszym rzędzie prac doc. Jana Jasnego z naszego Zakładu.

sze biura paszportów PAN dali mi do zrozumienia, że tym razem nie jest to szykana naszych władz, ale życzenie ambasady NRD w Warszawie.

Po 1989 r. napisałem do urzędu Gaucka³¹⁴ z prośbą o odszukanie u nich mojej teczki. Otrzymałem obszerną dokumentację, z której wynika, że interesowały się mną aż dwa departamenty STASI: HA XVIII (nauka i technika, obejmujący też to, co dotyczyło Akademii Nauk) oraz HA II (kontrwywiad!). Otrzymane przeze mnie kopie informacji to głównie sprawozdania *tajnego współpracownika* (t.w.) o pseudonimie „Hentschel”.

Przytaczam przetłumaczone na polski fragmenty jego raportów, spisanych przez oficera STASI (kpt. Sichau)³¹⁵:

XVIII/5/2 Berlin, 3.5.83 Ustny raport t.w. „Hentschla”

W czasie 27.3 – 29.3.83 odwiedził Instytut Chemii Fizycznej PAN w Warszawie. ... Laboratorium prof. Grabowskiego obejmuje ok. 20 współpracowników, z tego 1/3 to technicy. Współpracownikami kieruje 2 docentów – żona prof. Grabowskiego i dr Jan Jasny. Jasny to zdaniem prof. Grabowskiego jeden z obecnie najlepszych optyków Europy. Przebywa on bardzo często przez dłuższe okresy w NSW.³¹⁶ Prof. Grabowski [...] mieszka w 3-pokojowym mieszkaniu. Ma samochód „Fiat”, modelu nie znam. [...] Mieszkanie G. jest typowo polskie (stare meble i bardzo dużo książek). Wśród książek, w dużej mierze dzieł fachowych, znajduje się jednak również **Hitlera „Mein Kampf”** po niemiecku oraz **książki Havemanna z osobistą dedykacją**. [...] w jego gabinecie wisi kalendarz „Solidarności”. [...] Utrzymuje kontakty z Prof. Pietsch'em ...

6.6.83 [...] Nowe zadania: w związku z zaproszeniem prof. Grabowskiego sprecyzować dane o jego osobowości. Obserwować prof. Grab. podczas jego pobytów w ZOS. Wypracować aktualną linię na temat postawy polskich naukowców wobec polityki Państwa. Prześledzić rozwój stosunków ZOS z zakładem prof. Grabowskiego dla sekcji „kto jest kim” partnerów naukowych.

W dziedzinie fotochemii i spektroskopii w IChF PAN prowadzone są prace na wysokim poziomie naukowym. Dotyczy to zarówno prac z w zakresie fotofizyki, badania stanów wzbudzonych złożonych cząsteczek, jak i wyposażenia laboratorium w optyczne przyrządy pomiarowe własnej konstrukcji. Istotny wkład w ten stan rzeczy wnoszą w zakresie fizyki molekularnej prof. Grabowski, w zakresie aparaturowym i optycznym – dr Jasny. [...]

Kierownictwo PAN wywiera nacisk na prof. Grabowskiego, aby zawarł umowę o współpracy z Inst. Spektroskopii AN ZSRR. [...]

13.8.83 **Uzupełnienie raportu, t.w. „Hentschel”** Wśród znajomych Grabowskiego znajduje się prof. Pietsch. Według t.w. P. jest [tu kilka linijek zamazanych na czarno] Prof. G. i P. mówią sobie po imieniu. T.w. sądzi, że znają się już od wie-

³¹⁴ *Der Bundesbeauftragte für die Unterlagen des Staatssicherheitsdienstes der ehemaligen DDR* – Pełnomocnik Federalny do materiałów STASI dawnej NRD.

³¹⁵ Z teczki MfS [Ministerstwa Bezpieczeństwa] Archiv-Nr. 3243/88, Band-Nr 2. karty 231–235, 237, 239–241, 262.

³¹⁶ NSW – przypuszczam, że to oznacza *nichtsozialistische Welt* („świat niesocjalistyczny”).

lu lat i wie, że prof. Pietsch nieraz wspomagał Grabowskiego materiałami (np. kliszami fotograficznymi) trudno dostępnymi w PRL. Jak bliski jest kontakt prywatny lub rodzinny, tego t.w. nie wie. Podczas ostatniego pobytu w NRD (czerwiec 83) prof. Grabowski przenocował u prof. Pietscha.

Prof. Dähne otrzymał zaproszenie [od prof. Zbigniewa R. Grabowskiego] na dyskusję w sprawie TICT. [...] T.w. uważa, że prof. Dähne utrzymuje bardzo bliskie stosunki z Grabowskim i stara się je podtrzymywać i rozszerzyć. Kierownictwo Instytutu nie wyraziło zgody na udział w tej dyskusji.

4/85 Nieoficjalna informacja HA II³¹⁷ w sprawie polityki zaproszeń dla prof. G. ze strony Akad. Nauk.

Tajnego współpracownika (t.w.) *STASI* zidentyfikowałem z łatwością, a był nim dr Edgar Klose, specjalista w dziedzinie techniki laserowej, jeden z dyrektorów ówczesnego *Zentralinstitut für Optik und Spektroskopie (ZOS)* Akademii Nauk NRD w Berlin-Adlershof. Przyjeżdżał on do nas, bo współpracowaliśmy w dziedzinie aparatury spektroskopowej i laserowej. Jego raporty dla *STASI* były niewątpliwie przyczyną uniemożliwienia mi przyjazdów do NRD (m.in. powyższa notatka kontrwywiadu!), ale – jak wynika z ich treści, szczególnie z odręcznych notatek *szefów* – mogły też poważnie zaszkodzić kolegom z NRD, którzy utrzymywali ze mną dobre kontakty, a byli to Siegfried Dähne i Herward Pietsch.

PRZENOSZENIE ELEKTRONU

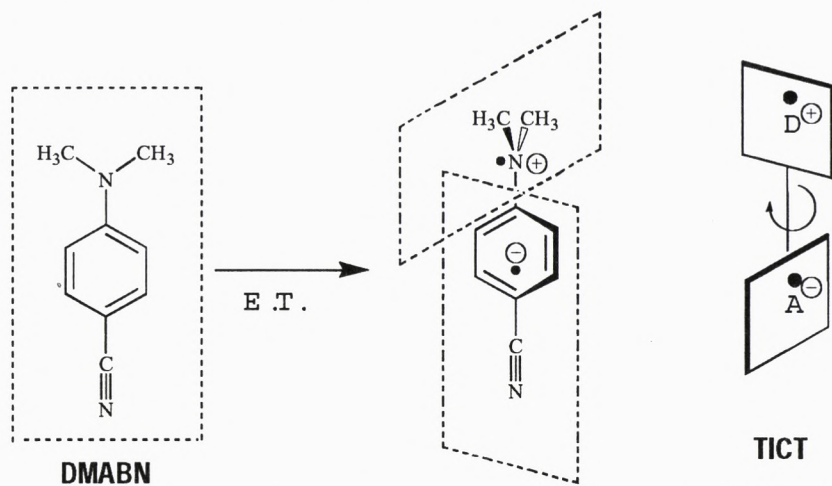
W niezwykle ciekawą tematykę wewnątrz-cząsteczkowej separacji ładunków weszliśmy dzięki Krystynie Rotkiewicz (Fot.67), która z początkiem lat 70. zainteresowała się związkiem oznaczonym najczęściej skrótem *DMABN*. Ze starszych o dekadę znakomitych prac Lipperta³¹⁸ wiadomo było, że jest to związek emitujący dwa pasma fluorescencji, o stosunku intensywności i położeniu spektralnym ogromnie zależnym od polarności środowiska. Analizując wpływ podstawników i polaryzację przejść, doszliśmy do wniosku, że w stanie wzbudzonym *DMABN* następuje przeniesienie elektronu, a raczej separacja i lokalizacja ładunków na częściach cząsteczki – donorze i akceptorze – i zmiana struktury. Przepisaliśmy ją obrotowi wokół pojedynczego wiązania aż do wzajemnie ortogonalnego położenia (90°) donora i akceptora³¹⁹, gdy oddziaływanie elektro-

³¹⁷ HA II – kontrwywiad; HA XVIII – ochrona badań podstawowych i technicznych, w Ministerstwie Bezpieczeństwa NRD.

³¹⁸ E. Lippert, W. Lüder, H. Boos: *Fluoreszenzspektrum und Franck-Condon Prinzip in Lösungen aromatischer Verbindungen*. [W:] *Advances in Molecular Spectroscopy*, A. Mangini, ed., Oxford 1962 Pergamon Press; s. 443–457

³¹⁹ K. Rotkiewicz, K. H. Grellmann, Z. R. Grabowski: *Reinterpretation of the anomalous fluorescence of p-N,N-dimethylamino-benzonitrile*. „Chem. Physics Lett.” 1973 **19** s. 315–318; erratum: *ibid.* 1973 **21** s. 212.

nowe obu części cząsteczki staje się minimalne. Związków, zachowujących się podobnie, znaleźliśmy wiele, tak że objęliśmy powstające silnie polarne stany wspólnym skrótem **TICT**, który przyjęł się w literaturze.



Rys.4. Zmiana konformacji po wewnątrz-cząsteczkowej separacji ładunków we wzbudzonym DMABN.

Uogólnienie na stany TICT.

W 1975 r. poznałem Michaela Ottolenghi, profesora na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie. Okazało się, że mamy wspólne zainteresowania, a dostępne nam techniki eksperymentu wzajemnie się uzupełniają. Postanowiliśmy więc wykonać równoległe określone serie pomiarów na tym samym związku i, jeśli się uda, ogłosić wspólnie wyniki. Dziś może to śmieszyć, ale współpraca taka wcale nie była prosta ani bezpieczna. Polska miała wtedy zerwane stosunki dyplomatyczne z Izraelem, kraj ten traktowano jak wroga³²⁰. Nasze listy nie dochodziły do adresata. Postanowiliśmy więc przysyłać swoje listy i wyniki do wspólnego przyjaciela – Karla Grellmanna w Getyndze. Ten wsadzał list w nową kopertę i wysyłał do drugiego z nas. I tak doszliśmy do wspólnej (polsko-izraelskiej) publikacji³²¹, przy czym ja zlekceważyłem surowe zarządzenia PAN, wymagające zgody dyrektora Instytutu na każdą publikację, a takiej w tych czasach

³²⁰ Anka otrzymała kiedyś zaproszenie na konferencję międzynarodową do Jerozolimy, łącznie z opłaconym biletem lotniczym. Gdy wniosła poparte przez Instytut podanie o paszport (tak!) – w centrali PAN spotkała się z pełnym oburzeniem kierującej tam wydziałem zagranicznym dyr. Obuchowicz (oczywiście funkcjonariuszki SB): „jak pani w ogóle śmie występować o coś podobnego?!”

³²¹ A. Siemiarczuk, Z. R. Grabowski, A. Krówczyński, M. Asher, M. Ottolenghi: *Two emitting states of excited p-(9-anthryl)-N,N-dimethylaniline derivatives in polar solvents*. „Chem. Physics Lett.” 1977 **51** s. 315–320.

żaden dyrektor nie odważyłby się wydać. Wywołało to zaskoczenie i oburzenie – ale nic więcej.

Posypały się liczne hipotezy konkurencyjne, rozpętały się polemiki. Usiłowalem dojść prawdy korespondując z wieloma badaczami, zapraszając ich na dyskusje. Wreszcie udało mi się dojść do wniosków spójnych, na które zgodzili się również David Cowley z Coleraine w Ulsterze i Wolfram Baumann z Moguncji. Pojechałem na tydzień do „Mądralina”³²² i napisałem tam pracę, podsumowującą naszą ówczesną wiedzę na temat stanów TICT³²³. Pracę tę odtąd co roku cytowano – już przez 25 lat! – po kilkadziesiąt razy, tak, że liczba jej cytoowań w literaturze sięga 1000.

W ciągu tych lat ukazały się setki prac na ten temat, a w naszym Zakładzie był to i jest jeden z głównych tematów badań. W okresie, gdy nie pozwalano mi wyjeżdżać za granicę (ciągłe odmowy wydania paszportu), zorganizowałem w 1984 r. w należącym wówczas do naszego Instytutu pałacu w Świdnie (koło Mogielnicy), dyskusję o naturze stanów TICT z dobranym gronem znawców tematu³²⁴. Było to zarazem urzeczywistnienie mej *idée fixe*, że zebrania naukowe winno się zwoływać w małym gronie, a to w celu dojścia do konkretnych wniosków, nie tylko po to, by każdy powiedział swoje. Dyskusja w Świdnie (Fot.71, 72) naprawdę wiele dała, choć nie udało mi się drugi cel – wydanie drukiem tej dyskusji. Nagrywaliśmy ją, ale niefachowo; taśmy okazały się prawie bezużyteczne. Co gorsza, w czasie kilku referatów na parę godzin zgasło światło (jak to na prowincji bywa) i obrady toczyły się przy świecach, bez przeźroczy

³²² *Dom pracy twórczej*, niedaleko Otwocka, ufundowany warszawskim uczonym przez słynnego warszawskiego szewca Hiszpańskiego

³²³ Z. R. Grabowski, K. Rotkiewicz, A. Siemiarczuk, D. J. Cowley, W. Baumann: *Twisted intramolecular charge transfer states (TICT). A new class of excited states with a full charge separation*. „Nouv. J. Chim.” 1979 3 s. 443–454

³²⁴ Na zdjęciu – w pierwszym rzędzie od lewej: **Janice Hicks** (Columbia Univ., Nowy Jork), **Vlasta Bonačić-Koutecký** (Freie Univ., Berlin), **Claudie Cazeau-Dubroca** (Univ. Bordeaux I, Talence), **Anna Szemik** (Uniw., Wrocław), **Wolfgang Rettig** (Techn. Univ., Berlin), Jerzy Sepioł, **Józef Stanisław Kwiatkowski** (UMK, Toruń), **Tadeusz Sobolewski** (IF PAN), **David J. Cowley** (New Univ. of Ulster, Coleraine, Phn. Irlandia); Na środkowych dwu stopniach, od lewej: **Wiesław Nowak** (UMK, Toruń), **Paul Suppan** (Univ. Fribourg), Anna Grabowska, **Katarzyna Styrz** (WSP, Kielce), Krystyna Rotkiewicz, **Karl-Heinz Grellmann**, **Klaas Zachariasse** (obaj z Max Planck Inst. f. Biophys. Chemie, Getynga), **Stefan Paszyc** (UAM, Poznań), **Albert Weller** (Max Planck Inst. f. Biophys. Chemie, Getynga), Hanna Bulska, Zbigniew R. Grabowski, Aleksander Siemiarczuk, **Wolfram Baumann** (Univ., Moguncja), **Jan Najbar** (UJ, Kraków). Na najwyższym stopniu, od lewej: **Robert J. Visser** (Rijks-Univ., Lejda), **Ernst Lippert** (Techn. Univ., Berlin), **Philippe Cazeau** (Univ. Bordeaux I, Talence), Jerzy Herbich, Leszek Poppe, Jacek Waluk, Andrzej Mordziński. Nazwiska niewythuszczone – pracownicy Zakładu Fotochemii i Spektroskopii IChF PAN.

– machano zamiast tego rękami – i bez nagrywania... Dyskusje pozwoliły jednak poznać różne punkty widzenia i bardzo posunąć naprzód sprawę natury stanów TICT.

Wykrycie struktury molekularnych stanów wzbudzonych, które nazwałem TICT, duże zainteresowanie wywołane tym w świecie – było podstawą kilku nagród i wyróżnień dla mnie lub dla całego zespołu. Najzaszczytniejszym wyróżnieniem była Nagroda Fundacji Nauki Polskiej³²⁵ w dziedzinie nauk ścisłych za rok 1994. Wręczano mi ją w pięknej, złocistej sali Zamku Królewskiego, przy czym najtrudniejsze były rozmowy z dziennikarzami, którzy chcieli tylko wiedzieć „jaki z tego będzie pożytek praktyczny?”.

Ale dopiero teraz można było podać niezbite bezpośrednie dowody struktury stanu TICT w przypadku DMABN i wielu innych związków z jednym pierścieniem aromatycznym^{326,327}. Z drugiej strony, w przypadku licznych większych aromatycznych związków typu D-A, Jerzy Herbich i Andrzej Kapturkiewicz w serii metodycznie nowatorskich prac (począwszy od 1991 r.) wykryli zmiany struktury w przeciwną stronę – w kierunku spłaszczenia cząsteczki wzbudzonej.

BERLIN I WOLFGANG RETTIG

Całkiem szczególną rolę w czasach zimnej wojny odgrywał Berlin – wówczas podzielony na Wschodni (formalnie rzekomo różny od NRD) i Zachodni, będący enklawą w świecie komunistycznym. Zwano go „oknem wystawowym Zachodu”. Dla nas jako cudzoziemców na ogół tylko tu było możliwe przekraczanie granicy – żelaznej kurtyny. Miałem partnerów naukowych i tu i tam.

W Berlinie Zachodnim pracował Ernst Lippert, odkrywca podwójnej luminescencji i przedziwnych właściwości związku DMABN. Gdy nie mogłem go odwiedzać – on przyjeżdżał do mnie do Berlina Wschodniego. Z czasem mnożono trudności i np. PAN wydała zarządzenie, że możemy wyjeżdżać tylko albo tu, albo tam – a gdy mam zaproszenie na odczyty we Wschodnim i w Zachodnim Berlinie – muszę między jedną a drugą wizytą wrócić do Warszawy...

W 1980 r. jechaliśmy długo autokarami w austriackich górach na międzynarodowe Sympozjum Fotochemii. Obok mnie usiadł młody człowiek, jak się okaza-

³²⁵ nazywana w gazetach równie często co niesłusznie „polskim Noblem”.

³²⁶ Z. R. Grabowski, K. Rotkiewicz, W. Rettig: *Structural changes accompanying intramolecular electron transfer; focus on TICT states and structures*. „Chem. Rev.” 2003 **103** 3899–4031.

³²⁷ J. Dobkowski, J. Wójcik, W. Koźmiński, R. Kołos, J. Waluk, J. Michl: *Syn-anti photoisomerization in 2-(N-methyl-N-isopropylamino)-5-cyano-pyridine*. „J. Am. Chem. Soc.” 2002 **124** s. 2406–2407.

ło – niedawno po doktoracie. Jego nazwisko – Rettig – nie było mi obce. Przed paroma miesiącami ukazała się jego praca z Lippertem, na temat stanów TICT, w której wiele z tego, co opublikowaliśmy – odkrywane było na pozór po raz pierwszy. Skorzystałem więc z okazji tego przymusowego tête-à-tête, by mu powiedzieć coś na temat lojalności w nauce. I od tego czasu takich problemów nie mieliśmy.

Wolfgang Rettig (Fot.72) od 1979 r. zajął się stanami TICT w laboratorium Lipperta na Uniwersytecie Technicznym Berlina Zachodniego, potem kontynuował tam badania samodzielnie już jako profesor, a po zjednoczeniu Niemiec – jako profesor na uprzednio wschodniobrzeńskim Uniwersytecie Humboldta. Współpracowaliśmy w różnej formie przez wiele lat, odwiedzaliśmy się, nasze rodziny się zaprzyjaźniły. Wolfgang bardzo aktywnie podjął i rozwinął naszą tematykę. Mieliśmy kilka wspólnych publikacji³²⁸, ale znacznie więcej prac ma on z moimi współpracownikami. Opublikował też kilka artykułów przeglądowych na te tematy w różnych czasopismach i książkach. Wreszcie wspólnie opracowaliśmy to, co nazywam naszym *opus magnum* (por. przypis 326).

W Berlinie Zachodnim odwiedzałem też laboratorium prof. H.T.Witta, znanego badacza fotosyntezy w roślinach. Kiedyś pokazał mi coś niebywałego. Na głowę nałożyłem światłoszczelny hełm z czarnym szklanym filtrem przed oczami. Gdy po kilku minutach oczy były już zaadaptowane do ciemności – podprowadził mnie do okna. W całkowitej czerni zobaczyłem nagle cudownie czerwono świecące drzewa, krzaki, liście roślin. Był to świat widziany w niedostrzegalnej zwykle fluorescencji chlorofilu – chyba najpiękniejszy widok, jaki dane mi było ujrzeć!³²⁹.

NAGRODY NOBLA

Gdzieś wkrótce po 1980 r. stockholmski Komitet Nagród Nobla w dziedzinie Chemii zaczął mi co roku przysyłać prośbę o zaproponowanie laureata Nagrody Nobla. Była to dla mnie praca trudna i odpowiedzialna. Trzeba było mieć dobre

³²⁸ M.in.: M. Van der Auweraer, Z. R. Grabowski, W. Rettig: *Molecular structure and the temperature dependent radiative rates in TICT and exciplex systems*. „J. Phys. Chem.” 1991 **95** s. 2083–2092; J. Dobkowski, W. Rettig, B. Paepelow, K. H. Koch, K. Müllen, R. Lapouyade, Z. R. Grabowski: *Intramolecular charge transfer states in symmetric biaryls. The unusual case of biperylenyl*. „New J. Chem.” 1994 **18** s. 525–533.

³²⁹ Chlorofil liści, oświetlonych światłem np. słonecznym, emituje fluorescencję na granicy obszaru widzialnego i podczerwieni, około 720 nm. Oko ludzkie ma tam już minimalną czułość – trzeba wyeliminować światło o wszystkich mniejszych długościach fal (stąd ten „czarny” filtr i konieczność dłuższej adaptacji oczu) by móc dostrzegać obraz świata w promieniach fluorescencji chlorofilu.

rozeznanie w najciekawszych kierunkach prac, zebrać dane o kandydacie – lub kandydatach – wykazy prac, wyeksponować z ich dorobku to, co uważam za służące na Nagrodę. Wnioski takie przysyłałem przez ponad 20 lat, by wreszcie w r.2004 poprosić o zwolnienie mnie z tego, jako starego emeryta, który nie jest już w stanie być *au courant* szerokiego zakresu aktualnej literatury. W ciągu tych lat moimi kandydatami byli, na ogół kilkakrotnie: Michael Kasha (Fot.76), Johann Van der Waals (Fot.55), Albert Weller (Fot.40)³³⁰, Joshua Jortner (Fot.68), Rudolf A. Marcus, Saburo Nagakura, Harold W. Kroto, J.Fraser Stoddart, Christiana Dietrich-Buchecker i Jean-Pierre Sauvage, Jan W. Verhoeven i Michael N. Paddon-Row, Vincenzo Balzani. Szukałem oczywiście przede wszystkim w Polsce, ale niestety nie znalazłem nikogo, odpowiadającego osiągnięciami naukowymi tu wymienionym.

Dwukrotnie *moi* kandydaci otrzymali Nagrodę Nobla – Rudolf Marcus (Fot.69) w 1992 i Harold Kroto w 1996. Niezwykłym zbiegiem okoliczności na tydzień przed ogłoszeniem o przyznaniu Marcusowi Nobla – byliśmy razem. Rudolf Marcus jest głównym twórcą współczesnej teorii procesów przeniesienia elektronu (tak na elektrodach, jak i w roztworach)³³¹, a jego na pozór paradoksalne przewidywania tzw. *inwersyjnego obszaru* Marcusa znalazły eksperymentalne potwierdzenia dopiero po ćwierćwieczu od ich ogłoszenia. Przyjechał on i miał piękny referat na sympozjum, zorganizowanym w Pułtusku przez Jacka Waluka (Fot.74) z okazji moich 65 lat³³². Harolda Kroto podziwiałem od chwili, gdy zainteresowałem się chemią materii międzygwiazdowej. Jego identyfikacje i odkrycia cyjano-poliacetylenów były przepięknym i inspirującym wzorem prac w tej dziedzinie, ale jego odkrycie fullereny przyćmiło ich znaczenie³³³. Z Haroldem Kroto spotkałem się na bardzo ciekawym, elitarnym spotkaniu w Paryżu³³⁴ i wtedy opowiedział mi, że jego dziwne nazwisko (myślałem przedtem, że to Japończyk) jest skrótem od Krotoszyna, skąd pochodził jego polski a żydowski dziadek.

Najśmieszniej było w 1999 r. Moimi kandydatami do Nagrody byli wtedy wybitni twórcy chemii supramolekularnej Ch.Dietrich-Buchecker, J.-P.Sauvage i J.F.Stoddart, ale gdy dziennikarz zapytał mnie na dzień przed ogłoszeniem lau-

³³⁰ Theodor Förster nie żył już od 1974 r. On bezwzględnie zasłużył na Nagrodę Nobla, ale tego niestety nie dożył.

³³¹ Nagroda „za jego wkład w teorię reakcji przeniesienia elektronu w układach chemicznych”.

³³² *Internat. Symposium on Experimental and Theoretical Aspects of Excited State Electron Transfer and Related Phenomena.* (S. P a s z y c , ed.) „Pure & Appl. Chem.” 1993, **65**, s. 1605–1756.

³³³ Nagroda „za odkrycie fullerenów” (wspólnie z R.F. Curl'em i R.E. Smalley'em).

³³⁴ *Autour de la photophysique moléculaire. „A gourmet's delight of Science”.* A tribute to Sydney Leach. Colloque à l'Observatoire de Paris, 3–5 Mai 1993.

reata w zakresie chemii, kogo typuję – wskazałem i uzasadniłem Ahmeda Zewaila³³⁵. Gdy właśnie on tę nagrodę dostał, ambasada egipska w Warszawie razem z władzami PAN urządziły uroczystą sesję, na której musiałem opowiadać o *femtochemii* – a następnie odbyło się przyjęcie z egipskimi smakołykami.

SOWIECKA AZJA

Niewiele miałem okazji by zwiedzać ten olbrzymi kraj, poza Moskwą, Leningradem i ich okolicami. Miałem jednak dwie takie sposobności, parodniowe zaledwie, ale pamiętne.

W 1975 roku leciałem do Japonii, na Międzynarodową Konferencję Luminescencji (której organizatorzy płacili za mój *pobyt* w Japonii), najtańszą możliwą drogą, sowieckimi środkami lokomocji: samolotem, koleją, wreszcie rosyjskim statkiem. W Moskwie kupiłem bilet lotniczy Moskwa-Chabarowsk, a że to linia wewnętrzna, a ja mówiłem swobodnie po rosyjsku – nikt mnie o nic nie pytał. Nie miałem o tym pojęcia, ale później okazało się, że byłem odtąd traktowany jako *tubylec*. Na terminalu w centrum Moskwy nadałem bagaż i wsiadłem do autobusu linii lotniczej, który – jak mnie poinformowano – dowiezie nas wprost do schodków samolotu. Mieliśmy odlecieć o godz. 8 wieczorem. Przybyliśmy na lotnisko, ustawiono nasz autobus gdzieś z boku i mieliśmy czekać – nie opuszczając autobusu. Minęła godzina czekania – i nic. Niedaleko od nas do ogromnego samolotu podjechały dwa eleganckie samochody osobowe, wysiadło z nich parę osób, weszło do samolotu – i samolot wystartował. A moi współpasażerowie dzielili się swą wściekłością: „to znowu jakieś figury rządowe – polecili pustym samolotem, bo nie życzą sobie naszego towarzystwa! Wciąż to samo: my będziemy czekać dalsze godziny na następny samolot!” Czekaliśmy parę godzin, aż koło północy zapowiedziano nam, że polecimy. Podjechaliśmy do schodków, a przechodząc na nie spostrzegłem, że do drugich, tylnych drzwiczek i schodków podjechał inny autobus i jego pasażerowie biegli po schodkach w górę. Ponieważ *nasz* samolot poleciał bez nas, teraz włączano do następnego pasażerów, którzy mieli lecieć dwoma samolotami! Znalazłem jeszcze miejsce, usiadłem, a po chwili samolot był już pełen ludzi stojących w przejściu i dalsi tłoczyli się na schodkach... Weszli uzbrojeni milicjanci, wrzeszcząc: *zostają tylko ci, którzy siedzą. Wszyscy inni natychmiast wyjdą z samolotu i polecą następnym!* I wśród płaczu i krzyków przejście opustoszało. Wystartowaliśmy.

Samolot był niewątpliwie wojskowym transportowcem, ledwie, ledwie przystosowanym do byle jakiego, niewygodnego przewozu pasażerów. Lot wzdłuż

³³⁵ Pochodzący z Egiptu uczony kalifornijski, czołowy autorytet badań najszybszych procesów. Nagroda „za badania stanów przejściowych w reakcjach chemicznych z zastosowaniem spektroskopii femtosekundowej”.



Fot.71. Uczestnicy dyskusji w Świdnie, 1984; wykaz osób w tekście - przypis 324.



Fot.72. W Świdnie była znakomita sposobność do dyskusji hipotezy TICT. Wolfgang Rettig (z lewej) i główny jej przeciwnik Klaas Zachariasse. Spory trwają i nadal - po dalszych 20 latach.



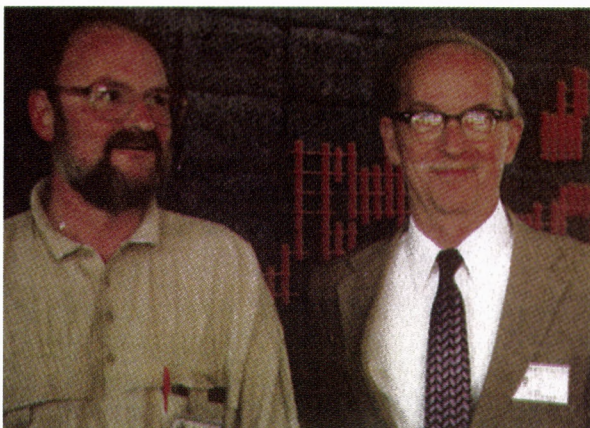
Fot.73. Josef Michl, na konferencji w Pułtusk, 1992.



Fot.74. Moi współpracownicy na konferencji Puls 1985 w Łodzi: od lewej: Staszek Komorowski (później ambasador w Hadze i w Londynie), Jacek Waluk - mój następca, Zbigniew Zieliński i Robert Kołos.



Fot.75. Philémon Kottis w 1975 na konferencji luminescencji w Tokyo. W 1987 pracowałem z nim i z Claude'm Rullière, jako *professeur invité* w CNRS na Uniwersytecie Bordeaux I.



Fot.76. Michael Kasha, klasyk fizyki i chemii stanów wzbudzonych (z prawej) i Jurek Herbich - na konferencji w Pułtusk, 1992.



Fot.77. Anka, ok.1975.



Fot.78. Ja, ok.1975.



Fot.79. Z Jean'em Kossanyi w Warszawie.
Jean - prawdziwy przyjaciel - interweniował i pomagał mi ilekroć było to potrzebne.



Fot.80. Noboru Mataga, na konferencji w Pułtusk 1992.



Fot.81. Nasz syn Janek działał w opozycji w latach stanu wojennego, w Kanadzie został doktorem historii.



Fot.82. Jasza Małkin; stoją: jego żona, Ernst i Gabi Fischer, w Ashdod w Izraelu, 1989.



Fot.83. Ze szwajcarskimi przyjaciółmi -
fotochemikami: Paul Suppan,
Edwin Haselbach i ja.



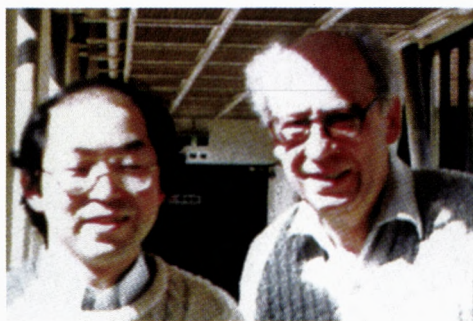
Fot.84. Ceremonia przyznania mi doktoratu
honoris causa na Uniwersytecie we
Fryburgu Szwajcarskim,
dies academicus 1993.



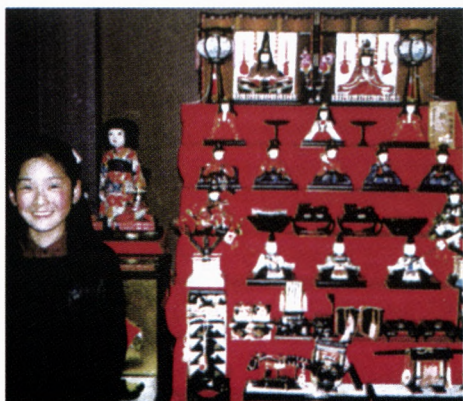
Fot.85. O. Innocenty
Bocheński.



Fot.86. W Kanazawie.
Po sosnach bogowie schodzą na Ziemię.



Fot.87. Z Naoto Tamai'm, z którym
w Instytucie Nauk Molekularnych
w Okazaki badaliśmy reakcje,
przebiegające w czasach pikosekund.
1988 r.



Fot.88. Aya, córeczka Hiroshi Masuhary,
obok swego rytualnego zestawu laleczek:
cesarza i jego dworu. Służą one nie do
zabawy, tylko do podziwiania!



Watykan, 16 kwietnia 1999 r.

Drogi Panie Profesorze,

Diękuję serdecznie Panu Profesorowi za szczyry list z 29 marca br.

Rozumiem ból osobisty i Jego Bliskich. Staramy się wszystko zrobić aby dialog był bardziej skuteczny w życiu codziennym. Jest to nakaz miłości Boga i ludzi.

Zycząc Bożego błogosławieństwa pozdrawiam serdecznie Pana Profesora i Jego Małżonkę

Jan Paweł II

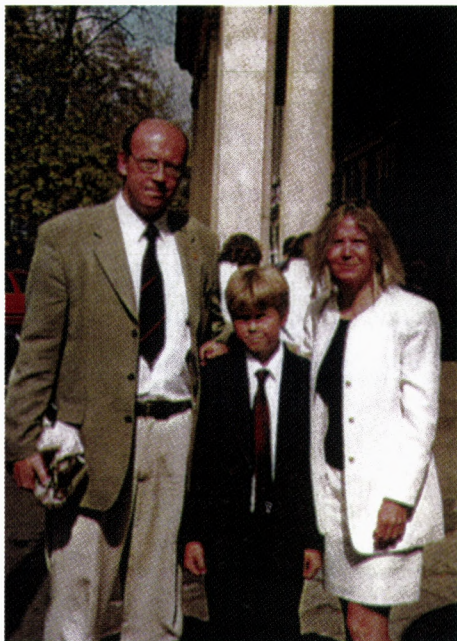
Fot.89. Odpowiedź Papieża na mój list
(list zamieszczony w tekście).



Fot.90. Spotkania z Papieżem
były niezwykle okazją do
nieformalnych, pamiętnych rozmów.
Symposium "Nauka - religia - dzieje",
Castel Gandolfo 1986.



Fot.91. Pożegnanie z Papieżem, na odjeździe z Castel Gandolfo latem 1986.
W tle: ks. prof. Michał Heller, uczoney - kosmolog, znakomity popularyzator nauki.



Fot.92. Janek - historyk, z żoną Hanią i synem Dawidem, 2002 r.



Fot.93. Urszula - malarka, tłumaczka-anglistka, człowiek z fantazją. Mieszka na wsi, hoduje różne zwierzęta, pisze.



Fot.94. Moja siostra stryjeczna Alina Abrahamer-Gross (1926- -1996) ocalała na Węgrzech. Po wojnie mieszkała w Izraelu.



Fot.95. Dzieci Urszuli, nasze wnuki: Szymon i Helena - na wystawie fotograficznej zdjęć przyrody ojczystej, z udziałem Szymona. SGGW, 2003 r.



Fot.96. Mój brat stryjeczny Wiktor Abrahamer z żoną Haną, przyjechali z Izraela nas odwiedzić. W Kazimierzu nad Wisłą, maj 2003.



Fot.97. Gdy się człowiek robi starszy - staje się domatorem, lubi uprawiać swój ogródek i czytać odkładane przez całe życie na ten okres książki. Obchodziliśmy już 50 rocznicę ślubu; Anka 50 lat temu została magistrem, ja przed 50 laty - doktorem.

całej Syberii miał trwać 7 czy 8 godzin – dłużej, niż przelot przez Atlantyk. Obok mnie siedziała okutana w wełniane chusty stara kobiecina, wioząca jako cały bagaż podręczny – dwa ogromne słoje marynowanych ogórków („tego u nas przecież nie ma...”). Po nieskończeniu długich 8 godzinach wylądowaliśmy w Chabarowsku. Jednak nie pozwolono nam wysiadać: „musimy czekać, aż przyjadą schodki”. Czekaliśmy – w zamkniętym samolocie, przy wyłączonej już, a nawet w czasie lotu ledwie działającej wentylacji. Mijały kwadranse, myślałem, że się uduszę, aż (ku zdumieniu współpasażerów, nieprzyzwyczajonych do protestów) zrobiłem obsłudze awanturę i zmusiłem do otwarcia drzwi, tak, by choć trochę powietrza dochodziło do wnętrza. Stałem koło drzwi i dowiedziałem się od stewardessy, że w tym największym porcie lotniczym wschodniej Syberii, skąd dopiero mniejsze samoloty rozwożą pasażerów po całym sowieckim Dalekim Wschodzie (innych środków lokomocji tu nie ma), są tylko jedne schodki i dlatego musimy czekać!

Po upływie godziny zszedłem w końcu na ląd stały. Bagaże mieliśmy odebrać w odległym baraku. Tam w niesamowicie kłębiącym się tłumie dowiedziałem się, że tych bagaży jeszcze nie ma – może przylecą następnym samolotem? Po dalszej godzinie przyleciał następny samolot z Moskwy, a bagażu nie było. Poszedłem więc do budynku portu lotniczego, a tam na błotnistej podłodze lub na gazetach leżały lub spały tłumy podróżnych. Z trudem przecisnąłem się do jakiegoś umundurowanego i uzbrojonego funkcjonariusza i zapytałem o dyrektora lotniska. Funkcjonariusz szeroko otworzył oczy ze zdziwienia i zapytał *a po co?* Gdy usłyszał, że żądam wyjaśnień, co z moim bagażem – zapytał: „*а вы, вероятно, иностранец?*” Gdy przytaknąłem, kazał mi iść ze sobą. Obawiałem się już poważnie, dokąd idziemy, a tu obok głównego budynku lotniska – mniejszy budynek. Wchodzimy, on coś wyjaśnia na portierni, i już obskakują mnie dwie eleganckie młode panienki: „*вы иностранец!* Pan powinien być tu u nas, a nie tam!”. Sadzają mnie w głębokim fotelu, w pustej przestronnej sali, częstują koniakami i kanapkami z kawiozem... Okazało się, że to lokal „*Inturista*”. „Dlaczego my nie dostałyśmy wiadomości o pańskim przylocie?”. Tłumaczyłem, że nie jestem klientem „*Inturista*”, ale to nic nie pomogło. W ciągu paru minut przyniesiono mój bagaż (który rzekomo jeszcze nie przyleciał z Moskwy...). Zapytałem, kiedy jest mój pociąg do portu Nachodka, bo jestem tu wiele godzin spóźniony. Odpowiedziały mi: „*ничего, ничего*– gdy pan jest u nas, pociąg poczeka” (przeraziło mnie to – przecież szło o linię transsyberyjską!) „Ale mamy jeszcze czas, jeszcze pokażemy panu miasto. Tylko – bardzo przepraszamy – nie mamy akurat samochodu osobowego, tylko autobus...”. Pojechałem więc pustym autobusem, tylko z przewodnikiem, którym była przystojna skośnooka Tania, młoda nauczycielka niemieckiego, dorabiająca do nauczycielskiej pensji jako tłumaczka w „*Inturiscie*”. Po drodze pokazywała mi osobliwości miasta, aż dojechaliśmy do dworca kolejowego. Okazało się i tu, że były to dwa budynki – jeden

dla *krajowców*, drugi – budynek „Inturista”. Tam spotkałem jadących na tę samą konferencję dwu kolegów z Instytutu Fizyki PAN, Jerzego Prochorowa i Wiesława Wardzyńskiego. Gdy nadjechał nasz pociąg, milicja najpierw wpuściła nas, *иностранцев*, do jednego z wagonów, a dopiero gdy wsiedliśmy – otwarto drzwi właściwego dworca, wpuszczając *krajowców* – do innych wagonów.

W Anglii, Francji, Niemczech cudzoziemiec jest kimś gorszym, *an alien*, i stara się dostosować do Anglików, Francuzów czy Niemców. W ZSRR był kimś – wprawdzie zawsze podejrzanym – ale o niebo lepszym od *krajowca*. Tak było zresztą również, choć na bez porównania mniejszą skalę, i w PRL...

Port Nachodka zbudowany był chyba tylko po to, by nie pokazywać cudzoziemcom Władawostoku, miasta zamkniętego, olbrzymiej bazy wojskowej. A podróż statkiem do Japonii jest dla mnie pamiętna dzięki napotkaniu ławicy delfinów, które skakały przepięknie nad wodę i okazywały swą radość życia.

Podróż powrotną odbywaliśmy we trzech, tą samą drogą. Postanowiliśmy skorzystać z okazji i za zaoszczędzone pieniądze poznać choć trochę okolice Chabarowska. Zatrzymaliśmy się więc tu na dwa dni, poszliśmy do „Inturista” i wynajęliśmy samochód z kierowcą i przewodnikiem – znaną mi już Tanią. Okolice Chabarowska były bardzo ciekawe – ujście Ussuri do Amuru i miejsca, w których niedawno toczyły się sowiecko-chińskie walki graniczne o wyspy na Amurze, gigantyczny Amur, niedaleko miasta mający już 20 km szerokości, w nim olbrzymie, dwumetrowe ryby... Ale gdy spyaliśmy Tanię o historię tych ziem, usłyszeliśmy znaną nam opowieść o siedemnastowiecznych kozakach i kupcach, którzy zakładali tu pierwsze osiedla nad Amurem. „Ale kto tu żył przedtem? „*здесь – ... никого здесь не было – а потом мы пришли – русские!*” Na nasze nalegania i pytania o ludy pierwotnie tu zamieszkałe, w końcu rzekła z pogardą: „*да, были здесь какие-то номады...*” Było to zupełnie paradoksalne, biorąc pod uwagę jej twarz – była niewątpliwie potomkiem tych właśnie nomadów. Czegoś więcej o Ewenkach i innych ludach koczowniczych, które odcięły się od Rosjan, cywilizacji i rewolucji, żyjąc czy też raczej wymierając w tundrze – dowiedzieliśmy się dopiero w lokalnym muzeum, ale przede wszystkim po powrocie, z książek.

Kilkanaście lat później znaleźliśmy się oboje z Anką w Azji Środkowej. Była to jesień roku 1989. Od naszego moskiewskiego przyjaciela, Jaszy Małkina (z Instytutu Fizyki Chemicznej AN ZSRR) dostaliśmy przynaglającą wiadomość: „przyjeżdżajcie na polsko-sowieckie seminarium o wiązaniu wodorowym do Samarkandy – bo jest to prawdopodobnie ostatnia okazja by Samarkandę zobaczyć. Jeszcze troszkę, a nas, Rosjan, Uzbegy tam wyróżną...”. Zgłosiliśmy więc swój udział i przez Moskwę, gdzie dołączył do nas Jasza, poleciliśmy do Taszkentu, w którym wyburzono stare dzielnice, zastępując je standardowymi prefabrykowanymi „blokami”. Egzotyka zachowała się na targu, a przyszłość wy-

łaniała się w postaci ulotek, wzywających do wprowadzenia arabskiego alfabetu zamiast cyrylicy³³⁶.

Z Taszkentu niewielkim samolotem poleciliśmy do Samarkandy. Różnice ciśnień dały mi się silnie we znaki – jak się potem okazało, na całe życie. W Samarkandzie Jasza był kimś w rodzaju *guru* dla tamtejszych chemików, a organizator seminarium, prof. Nazim Nazimow, starał się nam nieba przychylić. Umieszczono nas w najlepszym hotelu „dla cudzoziemców”, ale Azja Środkowa dawała się odczuć, gdy odezwał się nagły przeraźliwy krzyk, potem strzały. Objaśniono nas: „teraz lepiej nie wychodźcie, bo przed drzwiami hotelu ktoś kogoś zasztyletował, teraz strzelają do zabójcy...”.

Rano wybieraliśmy się na seminarium, gdy nagle w prawym oku zobaczyłem czerwone plamy – a potem już nic tym okiem nie widziałem. Mimo przerażenia wziąłem udział w konferencji, wygłosiłem swój referat. Obok nas kilkorga Polaków i kilku Rosjan, byli tam prawie sami Uzbecy. Ku memu zdziwieniu tylko ja z tej polskiej grupy wykładałem po rosyjsku; inni po angielsku, którego Uzbecy najwyraźniej nie znali. Ponieważ jednak z okiem było coraz gorzej, gospodarze zawieźli mnie do szpitala „*для высшего партийного состава*”. Byli tam chyba dobrzy lekarze, ale szpital ten mnie przeraził na tyle, że najbliższym samolotem poleciliśmy z Anką i z Jaszą do Moskwy a dalej do Warszawy. Po nieudanej operacji w Warszawie, dzięki serdecznej pomocy wielu kolegów³³⁷ znakomity chirurg oczny prof. Michael Förster uratował mi oko, a nasz miesięczny pobyt w Mülheim zainicjował ponadto współpracę Anki z Sylwią Braslavsky³³⁸.

Do Azji postanowiłem jednak już więcej nie jechać.

W SFERZE PUBLICZNEJ

Wychowanie rodzinne i szkolne, lektury patriotyczne, romantyczne i pozytywistyczne, a wreszcie przykłady wielu wspaniałych ludzi, zwłaszcza podczas wojny – wszystko to sprawiło, że nie chciałem i nie umiałem być egoistą. Będąc wśród ludzi, w takim czy innym gronie, czułem się zwykle współodpowiedzial-

³³⁶ Arabski po rewolucji zastąpiono łaćcińskim, potem – w miarę odcinania się ZSRR od reszty świata – alfabet łaćciński zastąpiono cyrylicą, a teraz...

³³⁷ Przede wszystkim prof. Maria Janik-Czachor z IChF zaalarmowała swego zaprzyjaźnionego prof. H.-J. Engella w Niemczech, on załatwił bezpłatne przyjęcie mnie do kliniki w Essen, doc. Michael Förster dokonał operacji, a koledzy-fotochemicy – prof. prof. Kurt Schaffner i Sylvia Braslavsky – dali nam na długi czas *locum* na terenie *Max-Planck Institut für Strahlenchemie* w Mülheim. Wszystkim im jestem głęboko wdzięczny.

³³⁸ Por. A. Grabowska, P. Borowicz, D. O. Mártire, S. E. Braslavsky: *Triplet States of Molecules Undergoing the Internal Double Proton Transfer in S₁ State: 2,2'-Bipyridyl-diol and its 5,5'-Dimethylated Derivative*. „Chem. Physics Letters” 1991 **185** s. 206–211.

ny za sprawy tego grona. Było to często dostrzegane i wykorzystywane przez obdarzanie mnie odpowiedzialnymi funkcjami społecznymi. Zaczęło się to od Koła Chemików i szło tak przez całe moje aktywne życie.

W Polskim Towarzystwie Chemicznym przez wiele lat byłem członkiem Zarządu, czy to sekretarzem, czy to skarbnikiem, a w końcu przez 9 lat opiekunem Muzeum Marii Skłodowskiej-Curie i biblioteki PTCh. Chciałem stworzyć jakieś Muzeum Chemii w Polsce, ale nigdy nie było na to pieniędzy ani zainteresowania innych – nawet Zarządów PTCh, które nie chciały brać na siebie jeszcze jednego kłopotu. Nigdy przy tym nie byłem ani członkiem, ani sympatykiem partii komunistycznej, ani jej satelitów; wręcz przeciwnie, nie ukrywałem moich sądów o ustroju i władzy. Dopiero od 1976 r. zaczęliśmy – wraz z Anką (Fot.77, 78) – zdanie swoje wypowiadać publicznie. Był to okres narastającego protestu – przeciwko „ścieżkom zdrowia”, na których bito robotników, manifestujących w Radomiu czy Ursusie, przeciwko „poprawkom do konstytucji” legalizującym dominującą rolę partii i wierność Związkowi Sowieckiemu, itp. Poznałem wtedy wspaniałego człowieka, Jana Józefa Lipskiego, który wywarł na mnie ogromny wpływ. Byliśmy w 1978 r. pewien czas obaj w Mądralinie i miałem okazję prowadzić z nim długie, niezapomniane rozmowy o przeszłości i przyszłości Polski, o tym, jaką drogę teraz obrać. Podpisałem list przezeń kolportowany. Po tem czasami występowaliśmy z Anką z inicjatywami własnymi.

Gdy powstał KOR, w jego działalność włączyła się nasza córka Urszula, wówczas studentka malarstwa na ASP. Jeździła do Ursusa, by rodzinom aresztowanych i prześladowanych po strajku robotników przekazywać od KOR-u składkowe pieniądze. Akcją tą kierował Dariusz Kupiecki.

Po aresztowaniu członków KOR-u napisaliśmy z Anką list protestacyjny do władz:

**Warszawa, 29 maja 1977 Do Przewodniczącego Rady Państwa
Do Ministra Sprawiedliwości – Prokuratora Generalnego PRL**

Czując się współodpowiedzialnymi za losy naszego kraju, gorąco protestujemy przeciw aresztowaniu grupy członków i sympatyków KOR (J.Kuronia, J.J.Lipskiego, P.Naimskiego, A.Macierewicza, A.Michnika, M.Chojeckiego, W.Ostrowskiego, W.Arkuszewskiego,...)

Doraźne inicjatywy obywatelskie, takie jak KOR, z jednej strony są przejawem istnienia w kraju podstawowych swobód demokratycznych, z drugiej zaś – dają władzom szanse racjonalnego korygowania posunięć błędnych lub odczuwanych w poczuciu społecznym jako niesprawiedliwe lub niesłuszne. Niezależne inicjatywy społeczne, nie lękające się wypowiedziania nawet gorzkiej prawdy, winny mieć nieocenioną wartość dla Rządu, który – jak to wynikało np. z wypowiedzi Premiera 25.VI.1976 – opiera się czasem i w ważnych decyzjach na fałszywej opinii publicznej. Tłumienie tej opinii siłą lub zastraszaniem kończy się przemianami typu katastrof, jak doświadczyliśmy tego niestety w roku 1956, 1968, 1970...

Członkowie KOR działają w celach humanitarnych, uczciwie, otwarcie i jawnie; nie tylko nie są wrogami socjalizmu, ale wielu z nich walczyło przez dzie-

siątki lat o sprawiedliwość społeczną, o socjalizm. Ci z nich, których znamy osobiście, zasługują na najwyższy szacunek. Są oni ofiarnymi i bezinteresownymi społecznikami, kontynuatorami tradycji „niepokornych”, dzięki którym niegdyś odżyła Rzeczpospolita.

Piętnowanie tych ludzi w imię postulowanej „jedności narodu” jest głęboko niesłuszne. Jedność najważniejszych celów narodowych nie oznacza mechanicznej jednomyślności w wyborze dróg ich realizacji. Nigdy żaden żywy naród jednomyślnym być nie może. Każda władza popełnia błędy, a im bardziej jednolita władza, im mniej słucha ona głosów zawsze istniejącej opozycji – tym te błędy popełnia łatwiej i tym tragiczniejsze bywają ich skutki.

Represje w stosunku do KOR i jego sympatyków wywołują protest oraz poważnie szkodzą Polsce nazewnątrz i wewnątrz kraju. Również akcje zastraszania w miejscach pracy, na uczelniach itp. wywołują efekt przeciwny do zamierzonego. Społeczeństwo polskie ma wyrobione historycznie uwarunkowane odruchy obronne na tego rodzaju postępowanie. Protest wywołuje też obecna zorganizowana kampania prasowa, nawiązująca do haniebnego marca 1968 r.

Protest opinii publicznej nie ma niestety innego sposobu wyrażenia się, niż w takich jak ten listach do władz; listy w tych sprawach do prasy nie są publikowane. Dlatego, w imię sprawiedliwego i spokojnego rozwoju życia społecznego naszego kraju, wzywamy Władze do zastosowania pełnej amnestii wobec pozostających dotychczas w więzieniach a niezwykle surowo skazanych uczestników demonstracji robotniczych w Radomiu i Ursusie, oraz do zwolnienia aresztowanych ostatnio członków i sympatyków Komitetu Obrony Robotników.

Doc.dr hab. Anna Grabowska **Prof.dr Zbigniew Ryszard Grabowski**
ul. Kaliska 20 m.6, Warszawa
do wiadomości: Episkopatu Polski **Komitetu Obrony Robotników**

Przez Krzysztofa Wolickiego, który miał najlepsze kontakty, przekazaliśmy treść tego listu do *Radia Wolna Europa*. *Wolna Europa* nadała to kilkakrotnie, a my byliśmy zdumieni, jak wielu ludzi – których częstokroć wcale nie podejrzewaliśmy o sympatie opozycyjne – zaczęło się do nas uśmiechać, wyrażać solidarność lub uznanie.

Przed głosowaniem w Sejmie „poprawek do konstytucji” z gorącym apelem o to, by przeciwko temu zaprotestować, udałem się do posłów, co do których miałem pewną – choć słabą – nadzieję, że wykażą odwagę cywilną i patriotyzm. Przeszukując listę posłów wyszukałem takich dwóch.

Prof. Janusz Groszkowski, prezes PAN, marionetkowy przewodniczący *Ogólnopolskiego Komitetu Obrońców Pokoju*, ogromnie się zdenerwował i oświadczył mi, że niczego w Sejmie nie powie, bo właśnie złożył swój mandat poselski. I to złożył go nie na znak protestu w sprawie zmian w konstytucji, tylko protestując wobec władz z powodu ich bierności a nawet popierania pewnego naukowego szalbierza.

Innego posła, dziennikarza i pisarza Edmunda Osmańczyka – zastałem półprzytomnego. Był pijany. Wysłuchał, a następnie oświadczył mi, że właśnie dlatego pije, by mieć odwagę nazajutrz wystąpić w Sejmie jak Rejtan. Niestety – wręcz przeciwnie – w Sejmie wystąpił za tymi poprawkami!

W tym czasie rozwinęły się zakonspirowane czasopisma, broszury i książki drugiego obiegu. Nasz niedoszły doktorant Grzegorz Boguta³³⁹ stał na czele najważniejszego podziemnego wydawnictwa, „Nowa”. Mieszkający niedaleko nas aktywista „Nowej” Konrad Bieliński stworzył z naszego mieszkania punkt przetrzutowy wydawnictw. Wielkie paczki broszur i książek upakowywaliśmy gdzie się dało, a co kilka dni z Wrocławia przyjeżdżał Mariusz Wilk³⁴⁰ lub ktoś z jego ludzi i zabierał to w wielkim plecaku lub torbach. Czytaliśmy coraz więcej czasopism i książek drugiego obiegu, chodziliśmy czasem na wykłady *latającego uniwersytetu*³⁴¹, słuchaliśmy – gdy przebijiała się przez zagłuszanie – *Wolnej Europy*. Telewizji programowo, ze względów pedagogicznych, nie mieliśmy.

Z początkiem roku 1980 zbliżały się kolejne wybory. Nasz Janek, już w klasie maturalnej, wraz ze swymi kolegami podjął akcję ulotkową – wtykając pod wycieraczki samochodów wykonane przez nich ulotki ze stadem baranów idących na wybory. Zamknęli go, szukaliśmy go z Anką na próżno – nikt nie chciał nam udzielić informacji. Wróciliśmy do domu i nocą przenieśliśmy cały magazyn z paczkami wydawnictw do dalszej piwnicy (mieliśmy dwie, jedną w naszym domu, drugą – w sąsiednim). Nazajutrz, gdy w domu była tylko Urszula, milicja, przyprowdziwszy ze sobą Janka, przeprowadziła rewizję. Zabrali tylko z biblioteki trochę książek wydanych na emigracji lub z drugiego obiegu, a następnie zapytali o piwnicę. Urszula dyskretnie pokazała Jankowi palcem w dół – i on ich zaprowadził do naszej zupełnie czystej piwnicy. Wrócił po 24 godzinach.

Gdy jednak doszło do matury, okazało się, że on – w swojej klasie z polskiego bardzo dobry – nie zdał z języka polskiego! Wyjaśniło się, że nauczycielka polskiego była sekretarzem szkolnej komórki partyjnej. Dyrektor szkoły długo nie chciał nam pokazać tego rzekomo *niedostatecznego* zadania maturalnego. Wił się jak piskorz, aż przykro było go tak męczyć jak diabła święconą wodą, ale w końcu przyznał, że taki był nakaz ze strony milicji, a co więcej – że Janek nie dostanie się i tak na żadną uczelnię, bo wszędzie pójdzie za nim podyktowany przez milicję *wilczy bilet*. Wystąpiliśmy do Kuratorium o egzamin komisyjny – i ten egzamin nasz syn zdał bez trudu. Na uczelnie państwowe miał drogę zamkniętą, ale na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim (KUL) ten *wilczy bilet*

³³⁹ Partia, a ściślej: czołowa partyjna jędrza na oba chemiczne instytuty PAN, Feliksa Zamojska, uniemożliwiła przyjęcie go na studium doktorskie. Podobne *veto* założyła m.in. w stosunku do Andrzeja Bierzyńskiego. Obaj wyładowali w końcu w Instytucie Biochemii i Biofizyki PAN, Boguta dzięki opiece Magdaleny Fikus, Bierzyński – dzięki gwarancjom, udzielonym przez Kazimierza (Leszka) Wierzchowskiego.

³⁴⁰ Mariusz Wilk po 1989 roku i wędrownkach po świecie osiadł w Rosji, pisząc do paryskiej „Kultury”, a teraz do „Rzeczpospolitej” swe reportaże i opowieści z Wysp Sowieckich i znad jeziora Onega.

³⁴¹ *Towarzystwo Kursów Naukowych (TKN)* – nazywane *uniwersytetem latającym* przez analogię z nielegalną uczelnią za czasów carskich. Zajęcia odbywały się w mieszkaniach prywatnych, ale informacja gdzie i kiedy – nie była zakonspirowana.

był nawet pewną rekomendacją (Fot.81). Tam zaczął studiować historię, by potem, już w czasach „Solidarności”, przenieść się na UW.

„SOLIDARNOŚĆ” I STAN WOJENNY

Technika badań naukowych rozwijała się szybko, a my – bez dewiz, nieodzwonnych do zakupienia choćby części wymiennych – pozostawaliśmy w tyle. Jednym z urządzeń niezwykle nam potrzebnych był *laser excimerowy*, umożliwiający impulsowe wzbudzenie w ultrafiolecie. Starałem się przez parę lat usilnie o odpowiednie dewizy, uzasadniałem, pisałem memoriały. Wreszcie w 1979 r. dostaliśmy przydział dewiz na zakup lasera. Zaraz potem przyszło jednak uzupełnienie: w tym roku dostaniecie tylko połowę tej sumy, a resztę – zaraz po Nowym Roku, już z przyszłorocznego budżetu. Lasera nie można pokroić na pół, a tymczasem przyrząd musi przejść odprawę celną... Na szczęście producentem była firma optyczna niezwykle szanująca doc. Jasnego – postanowili przysłać nam narazie atrapę, a gdy będziemy w stanie zapłacić – wymienić ją na prawdziwy laser, pod pozorem naprawy. Przyszła ta atrapa, wpłaciliśmy połowę ceny, a zaraz z początkiem stycznia zacząłem szturm o przydzieloną nam resztę. Dotarłem w końcu do dyrektora departamentu inwestycji w Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego, który decydował o wszystkich zakupach dla nauki. Tłumaczył mi katastrofalną sytuację finansową Polski – o której zresztą wszyscy wiedzieliśmy – gdy zadzwonił telefon. Byłem świadkiem tej rozmowy. Dzwonił wiceminister Handlu Zagranicznego Długosz. „Najwyższe władze zakazują wszelkich zakupów dewizowych dla wszystkich uczelni i instytutów. Tylko, gdyby przyszło zamówienie podpisane przez prof. Adama Gierka – proszę realizować!”. Nie tylko ja, ale i ów dyrektor departamentu, obaj byliśmy wstrząśnięci. Z zakupem lasera przyszło nam poczekać ok. 10 lat, aż nadeszły nowe czasy. A ja zrozumiałem, że nie tylko Polska się zapada, ale i władze naszego kraju są już do kości przeżarte zgnilizną. Typowa sytuacja przedrewolucyjna!

Nadeszło lato strajków, roznoszących się po całej Polsce. Strajk w Stoczni Gdańskiej, porozumienia sierpniowe i powstanie „Solidarności” stało się dla nas i dla całego naszego otoczenia niesłychanym świętem wyzwalania się z pęt reżimu komunistycznego. Zaraz z początkiem września 1980 r. cały kraj organizował *niezależne, samorządne związki zawodowe*. W Warszawie powołaliśmy najpierw związek o długiej nazwie, który zwaliśmy „7-literowcem”³⁴². Na tłumnym zebraniu organizacyjnym w IPPT³⁴³ wybieraliśmy władze tego związku. Ale nawet tu, w atmosferze entuzjazmu, uwidoczniły się już zarysy przyszłych konfliktów.

³⁴² Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Nauki, Oświaty i Kultury – NSZ-ZNOW.

³⁴³ Instytut Podstawowych Problemów Techniki PAN.

Każdy wysuwany do zarządu mówił parę słów o sobie, swej przeszłości i działalności. Gdy ktoś mówił, że był współpracownikiem KOR-u – rozlegały się gwizdy i głosy: „nikogo z KOR-u nie wybierać!” Był to wynik uprzedniej propagandy komunistycznej, która zaszczepiła ludziom przekonanie, że KOR to coś strasznego. Wkrótce potem przekształciliśmy „7-literowiec” w „Solidarność”. Hanuszkiewicz udostępnił nam w tym celu salę Teatru Narodowego, a ogromnemu zebraniu przewodniczyliśmy wspólnie, Bronisław Geremek i ja.

W panującym nastroju podniosłego narodowego święta – odradzania się potrzeby wolności – szczególnie ciekawe były reakcje naszych sowieckich gości naukowych. Przyjechał w tym czasie Roman Iwanowicz Personow (por. przypis 161), chciał wiedzieć jak najwięcej o tym, co się u nas dzieje. Z trudem załatwił dla niego jeden bilet na gorący jeszcze film o strajku w Stoczni Gdańskiej „Robotnicy 80”³⁴⁴. Wyszedł z kina jak pijany: „czy to może być prawda? Ci modlący się robotnicy?”.

Jakow (*Jasza*) Małkin, który przyjechał od Emanuela, był równie jak Personow oszołomiony, a nadto zaskoczony tym, że pozwolono mu tu i teraz przyjechać. Gdy na Uniwersytecie w marcu 1981 r. urządzono obchody rocznicy *marca 1968*, byłem wraz z nim na odsłonięciu tablicy pamiątkowej. Przemawiał – znakomicie – młodzieńki Zbyszek Bujak. Jasza bardzo wiele rozumiał i pytał mnie potem: czy to możliwe, żeby to był *robotnik*? Rola polskich robotników – w porównaniu z rosyjskimi – była dla nich obydwu najbardziej niepojęta.

Niezwykła była urządzona w Auditorium Maximum sesja marcowa. Przytaczano przypadki indywidualnych szykan i represji, wyciągano wnioski ogólne, wysuwano postulaty na przyszłość. Ktoś mówił: „jestem z rodziny żydowskiej...” ktoś inny: „miałem matkę Żydówkę...” albo: „mój mąż był Żydem...”. Zasłużony działacz opozycji demokratycznej, matematyk prof. Jerzy Łoś, z hrabiowskiej rodziny Łosiów, oświadczył, że i jego babcia była *Żydówką*. Następny mówca zaczął od usprawiedliwienia: „ja niestety nie miałem nawet babci Żydówki...”.

W „Solidarności” pełniłem różne funkcje *eksperta*, szczególnie dużo pracowałem w grupie przygotowującej projekt ustawy o PAN (która została w stanie wojennym zarzucona na wiele lat).

„Solidarność” skierowała mnie jako swego przedstawiciela do powołanej przez prezydium PAN *Komisji Kielan-Jaworowskiej*, która miała starać się naprawić krzywdy, wyrządzone w PAN w poprzednim okresie, od 1968 r. Była to ważna działalność, choć nie zawsze skuteczna, bo minęły lata i nie zawsze był możliwy powrót do dawnych sytuacji. Ja referowałem m.in. sprawę usuniętego za to, że był członkiem KOR-u, doktoranta Antoniego Macierewicza³⁴⁵, usuniętej w 1968 r. doktorantki Heleny Datner³⁴⁶, dr Hanny Rybickiej – usuniętej z In-

³⁴⁴ Cenzura skreślała to w programach kin; zamiast tytułu, w gazetach podawano: „seanse zarezerwowane” (!)

³⁴⁵ Mowa o tym w rozdz. CHEMIA ORGANICZNA.

³⁴⁶ Późniejszej przewodniczącej warszawskiej Gminy Wyznaniowej Żydowskiej.

stytutu Nenckiego córki Józefa Rybickiego, bohaterskiego dowódcy warszawskiego Kedywu AK podczas okupacji, a później – członka KOR-u³⁴⁷. Komisja nie zdążyła zakończyć swych wszystkich prac i zrealizować postanowień, gdy nadszedł stan wojenny³⁴⁸.

13 grudnia 1981 r. wprowadzono stan wojenny. Próba złamania ducha narodu, zniszczenia „Solidarności”, cofnięcia wstecz biegu historii, uwięzienie („internowanie”) elity kraju – wszystko to wzbudziło rozpacz zawiedzionych nadziei, i chęci przeciwstawienia się temu, strajki, protesty.

W poniedziałek 14 grudnia Instytuty chemiczne PAN – jak prawie wszystkie inne miejsca pracy – wrzały. „Co robić? Manifestować? Strajkować?”. Byliśmy na peryferiach miasta, było nas niezbyt wielu. Zaproponowałem podpisanie ostrego protestu i mój projekt, po licznych debatach i poprawkach, zebrał 351 podpisów:

Warszawa, 14 grudnia 1981

PROTEST

Niżej podpisani pracownicy Instytutów Chemii Fizycznej i Chemii Organicznej PAN oraz Zakładu Doświadczalnego „Chemipan” protestujemy uroczystie i stanowczo przeciw wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego, przeciw zawieszeniu praw obywatelskich, przeciwko próbie zdławienia siłą spontanicznego ruchu społecznego SOLIDARNOŚCI i umów społecznych wywalczonych przez klasę robotniczą, inteligencję i studentów.

Żądamy niezwłocznego odwołania stanu wojennego!

Żądamy niezwłocznego uwolnienia internowanych działaczy Solidarności i intelektualistów!

Przekleństwo na tych, którzy ogłaszają wojnę z własnym narodem!

Jesteśmy gotowi nasze ręce i umysły oddać sprawie wyprowadzenia Polski z obecnego tragicznego położenia.

(następuje 351 podpisów – oryginały złożone u ks. Prymasa Polski)
za zgodność:

(–) Dr Zofia Dunin-Borkowska (–) Prof. dr Zbigniew R. Grabowski

³⁴⁷ Dr Hannie Rybickiej przywrócono możliwość pracy w Instytucie, a my mieliśmy zaszczyt gościć ją i jej Ojca. Spośród opowieści dra J.R. Rybickiego przytoczę tu jedną. W marcu 1968 r. prorektorem UW (później rektorem), który wezwał przeciw studentom milicję, był Zygmunt Rybicki – bratanek Józefa Rybickiego. Równocześnie z gigantyczną akcją antysemicką, władze wszczęły propagandę, jak to Polacy podczas okupacji ratowali Żydów. Ponieważ dowódca Kedywu miał tu wybitne zasługi, zgłosiła się do niego ekipa telewizyjna z prośbą o wywiad. Dziennikarka zapytała: „dlaczego pan ratował Żydów?”. A dr Rybicki odpowiedział: „to proste. Nasza rodzina Rybickich nazywała się uprzednio Fiszman. Ja po prostu ratowałem swoich!”. Ekipa TV natychmiast zamknęła kamery i mikrofony i znikła. Wiadomość szybko rozniosła się po Warszawie. I zaraz odezwał się przerażony rektor Zygmunt Rybicki, promotor akcji antysemickiej na Uniwersytecie: „jak stryj mógł mi taką krzywdę wyrządzić, taką kompromitację?...”.

³⁴⁸ Por. wydrukowane dopiero 8 lat później: Z. Kielan-Jaworowska: *Sprawozdanie Komisji Prezydium PAN ds. odwołań od krzywdzących decyzji z lat 1968–1980*. „Nauka Polska” 1989 nr 6 s. 83–92.

Otrzymują: Gen.Wojciech Jaruzelski; Przew.Rady Państwa prof.Henryk Jabłoński; Marszałek Sejmu PRL; Uniwersytet Warszawski; Politechnika Warszawska; Zakłady Mechaniczne im. Świerczewskiego i inne wojskie zakłady pracy

Potem pojechaliśmy z Anką naszym maluchem w Aleje Ujazdowskie i ona wręczyła ten protest – za pokwitowaniem – w sekretariacie gen.Jaruzelskiego. W parę dni potem zostałem zawieszony:

POLSKA AKADEMIA NAUK
Pałac Kultury i Nauki
Skrytka pocztowa 24, 00-901 Warszawa
L.dz.BKN-III/Os-142-433/81

Warszawa, dnia 19 grudnia 1981 r.

Obywatel
 Prof.dr Zbigniew R. Grabowski
 Instytut Chemii Fizycznej, Warszawa

W oparciu o art.51 ustawy o Polskiej Akademii Nauk na wniosek Pełnomocnika Komitetu Obrony Kraju przy PAN³⁴⁹ – zawieszam Obywatela w czynnościach profesora zwyczajnego w Instytucie Chemii Fizycznej PAN za działalność naruszającą postanowienia dekretu z dnia 12 grudnia 1981 r. o stanie wojennym.

(Pieczęć okrągła PAN z orłem) SEKRETARZ NAUKOWY (-) /Zdzisław Kaczmarek/

Zakazano mi wstępu na teren naszego Instytutu. Przygotowałem więc małą walizeczkę z piżamą i szczoteczką do zębów – i rzeczywiście, zadzwonili do drzwi i zawieźli mnie do ponurego budynku kontrwywiadu, czy też prokuratury wojskowej przy ul.Chałubińskiego. Tam wojskowy prokurator przesłuchiwał mnie – ja zresztą się swego podpisu ani autorstwa nie wypierałem. W sąsiednim pokoju przesłuchiowano moją dobrą koleżankę Zosię Dunin-Borkowską. Po kilku godzinach nas zwolniono na skutek interwencji Prezesa PAN prof. Aleksandra Gieysztor. Prokurator mi to tłumaczył: „zwalniamy was, bo nie chcemy mnożyć waszych męczenników”.

28.XII *odwieszono* mnie: „wobec odstąpienia Prokuratury Wojskowej od wszczęcia ... postępowania karnego ... anuluję pismo ... zawieszające ...”

Ale wniosek Rady Naukowej naszego Instytutu o nadanie tytułu profesorskiego mojej żonie Annie, zaakceptowany przez Centralną Komisję Kwalifikacyjną, w Radzie Państwa czekał przez 7 lat – aż do czasu zamierania komunizmu.

Jeszcze śmieszniej było ze mną. W 1976 r. wysunięto moją kandydaturę na członka-korespondenta PAN. Zostało to utracone, bo *trzeba było* wybrać dyrektora naszego Instytutu, bardzo partyjnego Wojciecha Zielenkiewicza. Z ponownym wnioskiem wystąpili moi koledzy przed wyborami do PAN w 1983 r. *Partia* bardzo ostro wystąpiła przeciwko temu, mój niegdysiejszy przyjaciel Jan Michalski (por. przypis 265) perorował podobno na posiedzeniu Prezydium

³⁴⁹ Pełnomocnikiem tym, komisarzem wojennym rządzącym Polską Akademią Nauk, był gen.bryg. R.Dżipanow.

PAN, że „Grabowski w ogóle się nauką nie zajmuje, tylko polityką”, a następnie Prezydium uchwaliło, że jest przeciwko tej kandydaturze. Wszystko to mi chyba pomogło – zostałem wybrany do PAN!³⁵⁰ Ale wybór musiał zostać zatwierdzony przez Radę Państwa. Dotychczas nigdy nie trwało to dłużej niż 2 tygodnie. Tymczasem pozostali z wybranych zostali zatwierdzeni, a ja – nie. Prezydium PAN interweniowało w Radzie Państwa, ale bezskutecznie. Po blisko roku otrzymałem pismo:

PREZES POLSKIEJ AKADEMII NAUK *Warszawa, dn.27 lutego 1984 r.*
Obywatel Prof. dr Zbigniew Grabowski, Instytut Chemii Fizycznej PAN,
Warszawa

Uprzejmie informuję Obywatela Profesora, że na podstawie art.... ustawy... o PAN oraz ... regulaminu ... Rada Państwa na posiedzeniu w dniu 23 stycznia 1984r. postanowiła nie zatwierdzić – dokonanego przez Zgromadzenie Ogólne PAN w dniu 27 maja 1983r. – wyboru Obywatela Profesora na członka korespondenta Polskiej Akademii Nauk.

PREZES (-) /Jan Kostrzewski/

Dopiero w 1988 r. otrzymałem pismo, że Rada Państwa zatwierdziła (bez daty) uchwałę Zgromadzenia Ogólnego z 1983 r. o wybraniu mnie na członka-korespondenta PAN.³⁵¹ W grudniu 1988 r. wystąpiłem po raz pierwszy na Zgromadzeniu Ogólnym PAN, a pomimo sprzeciwów ze strony partyjnej Zgromadzenie przyjęło mój wniosek, domagający się zniesienia cenzury³⁵².

W tym czasie działałem w nielegalnej wciąż jeszcze, ale już nie ukrywającej się „Solidarności”. Zostałem vice-przewodniczącym tymczasowej komisji „S” w PAN. Miałem z tym sporo pracy, jeździłem po różnych instytutach, działając nieraz jako rozjemca między związkowcami a dyrekcjami instytutów.

³⁵⁰ O tym, jakie motywy rządziły w tych czasach wyborami w PAN, mogą świadczyć dwa przykłady. (1) W tych samych wyborach członków-korespondentów w maju 1983 r. w Wydziale I (nauk humanistycznych) wysunięto kandydaturę niezwykle popularnego i aktywnego w opozycji logika Klemensa Szaniawskiego, wybranego przedtem rektorem UW, ale niedopuszczonego do tej godności przez władze; oraz przeciwstawionego mu ks. Mieczysława Krapca, rektora KUL. Za Krapcem zagłosowali partyjni, lojaliści i katolicy – Szaniawski przepadł. (2) W tymże 1983 r., w grudniu, miały się odbyć wybory prezesa PAN. Po wielu dyskusjach kandydatem został Leonard Sosnowski – wybitny fizyk, wprawdzie partyjny, ale bardzo porządny człowiek, powszechnie szanowany. Byłby został wybrany, gdyby nie to, że w dzień wyborów w gazetach ukazała się notka: „Gen. Jaruzelski przyjął wczoraj przyszłego prezesa PAN ...”. W Akademii oczywiście zawrzało i Sosnowski w wyborach przepadł.

³⁵¹ Por. (E. Hałoń, red.) *Polska Akademia Nauk – kalendarium 1952–2002*. Warszawa 2002; s. 159-160.

³⁵² Wystąpienie: „Nauka Polska” 1989 37 nr 3 s. 46–47; wniosek: *ibid.* s. 92.

Z „S” wystąpiłem jednak w 1990 r., gdy Wałęsa rozpoczął *wojnę na górze*, a „S” poparła go przeciwko Mazowieckiemu.

Przez szereg lat otrzymywałem odmowy wydania mi paszportu, nawet na konferencję, którą miałem w Japonii otwierać. Napisałem więc pismo do Sekretarza Naukowego PAN prof. Z.Kaczmarka:

Szanowny Panie Profesorze,

W związku z mającym nastąpić moim wyjazdem do Japonii na trzy międzynarodowe konferencje, z trzema referatami plenarnymi, na koszt organizatorów – komunikuję uprzejmie, że z powodu nieotrzymania do dziś paszportu przesyłam organizatorom konferencji wiadomość, że nie mogę przybyć. Sprawa tego wyjazdu wyszła z PAN dopiero w 4 miesiące po jej wniesieniu przeze mnie, a w ciągu dalszych 2 miesięcy MSW nie udzieliło odpowiedzi.

Jest to już siódma, ósma i dziewiąta konferencja, na którą jestem zaproszony, a w której nie mogę z tych samych powodów wziąć udziału od r. 1982 (1982 – konferencja międzynarodowa teoretycznej chemii organicznej w Dubrowniku).

Zbigniew R. Grabowski

Dostawszy odpowiedź, że to nie PAN, tylko MSW nie daje zgody, napisałem wtedy pismo do gen.Kiszczaka, Ministra Spraw Wewnętrznych. Poszedłem do ministerstwa na Rakowiecką, tam skierowano mnie do biura przepustek – a ja, sam już nie wiem jak ja to zrobiłem – ominąłem różne straże i kontrole i dotarłem aż do sekretariatu ministra. Tu mnie już dalej nie puszczono, ale sekretarka zgodziła się zanieść moje pismo Kiszczakowi. Po powrocie od niego oświadczyła mi: „Gen. Kiszczak przeczytał to pismo i kazał powiedzieć, że odmowa pańskich wyjazdów to jest *jego osobista decyzja!*”.

Z końcem 1985 r. zaczęto mi jednak wydawać zgody na wyjazdy.

TPKN

Jesienią 1980 r. na fali sprzeciwu wobec instytucji decydujących o nauce – przede wszystkim PAN, mającej w swym składzie w dużej mierze, a we władzach prawie wyłącznie posłusznych *partyjnych*, powołaliśmy nowe stowarzyszenie, któremu po wielu sporach nadano nazwę *Towarzystwo Popierania i Krzewienia Nauk* (TPKN). Chcieliśmy stać się czymś w rodzaju elitarnego klubu ludzi niezależnych, uczciwych, a przy czym wartościowych naukowo i zainteresowanych społeczną rolą i organizacją nauki. Chcieliśmy (oczywiście bez otwartego deklarowania tego celu) stać się przeciwwagą – i to lepszą – Akademii. Marzyliśmy o tym, by nagradzani, wyróżniani, wybierani na czołowe stanowiska w świecie akademickim okazywali się nasi członkowie. I przez dłuższy czas to się tak właśnie działo!

Pierwszym naszym prezesem został Grzegorz Białkowski, fizyk, poeta, rektor UW, a w 1989 r. senator RP – przez krótki czas, bo niebawem zmarł. Dużą

rolę odgrywali w Towarzystwie Jerzy Szacki, Ryszard Herczyński, Witold Karczewski, Andrzej Ziabicki i wielu innych. Powołano też Radę TPKN. Zostałem wybrany na pierwszego przewodniczącego tej Rady. Miałem znakomitych Sekretarzy Rady – byli to Bohdan Paczyński, potem Marcin Król, Michał Głowiński...

Jednym z głównych zadań Rady było przyjmowanie nowych członków. Kandydat musiał mieć trzech członków wprowadzających, którzy pisali o nim opinię, a następnie Rada rozpatrywała dotychczasową działalność i charakterystykę kandydata. Narastające problemy wartościowania naszych kandydatów wywoływały zażarte dyskusje. Czy możemy uznać za uczciwego wybitnego uczonego, który zdradza żonę? Uzgodniono w końcu, że to nie może być przeszkodą do przyjęcia go. Najdłuższą polemikę wywołał wniosek Stefana Żółkiewskiego o przyjęcie go do TPKN. Przeciwno niemu przemawiała złowroga sława promotora marksizmu w polskiej humanistyce; za nim przemawiały liczne przypadki pomagania ludziom, przeciwstawienie się *linii partii* w marcu 1968 r. i późniejsze patronowanie poczynaniom opozycyjnym. W końcu przeważyły dobre strony jego działalności i został przyjęty. Ale niektórzy humaniści wycofali wtedy swoje wnioski o przyjęcie.

TPKN organizował referaty i dyskusje, zwoływane tradycyjnie na Fizyce UW przy ul. Hożej 69. A spotkania te i wspólne dyskusje pozwoliły ludziom nauki z bardzo różnych dziedzin poznać się, rozumieć, nabrać do siebie zaufania i zaprzyjaźniać się. Okazało się to bardzo ważne w godzinach próby. Zaraz po ogłoszeniu stanu wojennego, podobnie jak wiele innych źle widzianych stowarzyszeń, TPKN został przez władze wojskowe rozwiązany. Tę delegalizację przyjęliśmy jako dopust, który należy przetrwać – i w różnej formie, w mniejszych gronach, prowadziliśmy swą działalność.

Rychło po zwolnieniu mnie przez prokuraturę wojskową zebraliśmy się u nas w domu – gdzieś około 10 osób, w tym Andrzej Trzebski, Andrzej Bogucki i inni – i debatowaliśmy, co robić w tym ponurym okresie stanu wojennego. Prof. Stefan Kieniewicz, wielki znawca Powstania Styczniowego, ukazał nam analogię z tamtym okresem popowstaniowym i zalecał pozytywistyczną pracę u podstaw. Wszystkim wydawało się, że ta nowa niewola potrwa bardzo długo, tak, że uznaliśmy za rzecz pierwszorzędną pracę wśród nauczycieli, by ci przekazywali ten etos młodzieży i w ten sposób zapewnili jakąś ciągłość myśli i tradycji. Staraliśmy się to czynić.

Inna grupa opracowała kodeks etyczny pracownika nauki na okres stanu wojennego.

Szczególnie ważne okazało się w tym czasie, że w TPKN zaistniała duża grupa ludzi nauki, którzy mogli na sobie polegać. Nadchodzące zza granicy fundusze – często od pracujących tam polskich uczonych – przydzielano najbardziej potrzebującym, przekazywano sobie najrozmaitsze nielegalne materiały. A gdy reżim komunistyczny zaczynał się rozpadać, wszczęliśmy akcję o ponowną legalizację

TPKN. Wraz z naszym czołowym prawnikiem Leszkiem Kubickim (późniejszym ministrem sprawiedliwości) chodziłem po sądach, aż do wznowienia naszej legalnej działalności. W ten sposób przewodniczącym Rady byłem aż do 1992 r.

Po zgonie Grzegorza Białkowskiego prezesem TPKN obraliśmy Witolda Karczewskiego, wielce zaangażowanego w projekty reformy systemu badań naukowych – i potem pierwszego przewodniczącego Komitetu Badań Naukowych (KBN). Nasze Towarzystwo w ogóle odegrało ogromną rolę w nowej organizacji nauki, po 1989 r. Wiele naszych projektów zdołano zrealizować, wiele niestety nie oparło się niszczącemu zderzeniu z realiami – zwłaszcza finansowymi – *okresu transformacji* i szybkiemu zanikowi *etosu „Solidarności”*, w który wówczas wierzyliśmy.

Ja byłem prezesem TPKN w latach 1992–1994. Z ważniejszych osiągnięć w tym nowym okresie, po legalizacji, było stworzenie nagród za najlepsze w Polsce prace doktorskie: im. Aurelii Baczko – z medycyny (nagroda ufundowana przez prof. Bronisława Baczkę dla upamiętnienia jego zmarłej żony); oraz dwie nagrody, upamiętniające naszych wybitnych kolegów: im. Grzegorza Białkowskiego, z nauk ścisłych, oraz im. Klemensa Szaniawskiego – z nauk humanistycznych. Regularne comiesięczne dyskusje, nagrywane i wydawane potem drukiem w zeszytach TPKN, dotyczyły spraw ogólnych okresu transformacji ustrojowej, spraw organizacji nauki lub aktualnych problemów naukowych. Anka była mi wielką pomocą w doborze tematyki. Ku mojemu zdumieniu, tematy naukowe, nawet najciekawsze i najdonioślejsze, wzbudzały – wśród ludzi nauki innych specjalności – dużo mniejsze zainteresowanie, niż moim zdaniem dość jałowe dyskusje o organizacji i finansowaniu nauki.

Po przedwczesnej śmierci Romana Zimanda – niezwyklego człowieka, którego ogromnie szanowałem i podziwiałem – zostałem z ramienia TPKN na jego miejsce członkiem zarządu Polskiej Fundacji Upowszechnienia Nauki. Fundacja ta, tyleż pełna dobrych chęci, co uboga, ożywiona jest przez inicjatywy niestrudzonego prof. Janusza Hamana. Za swoją zasługę uważam inicjatywę dorocznych nagród za popularyzację nauki – nagrody im. Hugona Steinhausa – przyznawanej wspólnie przez PFUN i TPKN.

W TPKN z biegiem lat dyskusji jest coraz mniej, coraz częściej pojawiają się pytania: czy Towarzystwo jest nadal potrzebne? Stało się to zresztą pytaniem, stojącym przed wieloma różnymi towarzystwami naukowymi. *Tempora mutantur...*

KOŚCIÓŁ I LUDZIE KOŚCIOŁA

Całe życie jestem niewierzącym, agnostykiem, ale przez całe życie Kościół, księża, religie i ich historia, ludzie głęboko wierzący – byli i są jakoś blisko mnie, odgrywają istotną rolę w moim życiu. Tu wspomnę o kilku epizodach.

W połowie lat 70. byliśmy zaprzyjaźnieni z krakowskimi kolegami, Jerzym i Janiną Janikami (on – fizyk, ona – fizykochemiczka). Bywaliśmy czasem u nich w Krakowie, a oni byli od młodości zaprzyjaźnieni z ks. Karolem Wojtyłą – jeździli z nim na wycieczki, on chrzczył ich córki, święcił z nimi Wigilie. Od czasu, gdy został biskupem, nazywali go „Wujek”. Kiedyś, chyba w 1976 r., zaprosili nas na kolację razem z kard. Wojtyłą. Ponieważ nikogo więcej nie było, toczyła się bardzo szczerą rozmowa, o prawie jawnych już niesprawiedliwościach reżimu, o „ścieżkach zdrowia”, o napadach „nieznanych sprawców” nawet na księży z najbliższego otoczenia Kardynała. Pierwszy raz rozmawiałem z dostojnikiem Kościoła, podziwiając, jak on ważył wypowiedane słowa.

Janikowie urządzali też u siebie, lub w uniwersyteckim domu w Mogilanach, seminaria i dyskusje z udziałem Kardynała, poruszające różne aspekty współczesnej nauki i jej stosunku do wiary. On słuchał uważnie i dyskutował. Kiedyś ja na takim zebraniu mówiłem o etyce i odpowiedzialności badacza Przyrody, o roli prawdy w jego skali wartości.

Prof. Janik zapytał na takim seminarium o dzisiejszy stosunek Kościoła do Galileusza, pioniera współczesnej nauki, i jego procesu. Kardynał, odwołując się do ówczesnego stanu wiedzy i poglądów, dodał zaraz: „gdybym miał w Kościele coś do powiedzenia w tej sprawie – wróciłbym do niej!”. Jest zaskakujące, że już wkrótce po wyborze na papieża Jan Paweł II wszczął rewizję procesu Galileusza. I chyba nie jest przypadkiem, że pierwsze swe podróże odbywał samolotem o imieniu Galileo Galilei.

Wiadomość o wyborze kardynała Wojtyły na tron papieski doszła nas na Mazurach i wprawiła nas w nieopisany entuzjazm³⁵³. Wielkim przeżyciem stała się też jego wizyta w Warszawie w 1979 r., niosąca w sobie zapowiedź mogących nadejść przemian. A w 1982 r. oboje z Anką otrzymaliśmy zaproszenia papieskie do Castel Gandolfo, gdzie odbywały się co 2 lata seminaria, przeniesione z Krakowa! Jako jedyni wśród zaproszonych z Polski nie dostaliśmy paszportów, a mój niewy ogłoszony referat ukazał się drukiem (por. przypis 227)³⁵⁴ podobnie, jak i następny – po odmowie paszportów w 1984 r.³⁵⁵ Udało

³⁵³ Tika Schröderowa (por. przypis 33), bliska miarodajnym sferom katolickim Krakowa, mówiła mi jeszcze na długo przed poprzednim *conclave*, że kard. Karol Wojtyła jest *papabile*.

³⁵⁴ We wstępie do tego tomiku wymienieni są wszyscy pozostali uczestnicy seminarium, a następnie: „Nie mogli wziąć udziału w seminarium Prof. Zbigniew Grabowski z żoną doc. Anną Grabowską (chemicy z Warszawy) /—/ (Ustawa z dn 31. VII. 81 r., O kontroli publikacji i widowisk art.2, pkt.1 [Dz.U. nr 20, poz. 99, am.: 1983 Dz.U. nr 44, poz.204])” [„Ustawa...” oznacza skreślone przez cenzurę słowa „wskutek odmowy wydania paszportów”]

³⁵⁵ Z. R. G r a b o w s k i : *Życie na Ziemi. Próba ekstrapolacji*. [W:] *Nauka-Religia-Dzieje (III Seminarium Inter-dyscyplinarne w Castel Gandolfo, 6–9 sierpnia 1984)*. (red. J. A. J a n i k i P. L e n a r t o w i c z) Kraków 1986 Wydział Filozoficzny Towarzystwa Jezusowego s. 115–125 (+ dyskusja: s. 141–151).

nam się dopiero skorzystać z zaproszenia w 1986 r. i wtedy mieliśmy możliwość przebywać często w bliskości Papieża (Fot.90, 91), jadać z nim przy jednym stole, rozmawiać, uczestniczyć w odprawianych przezeń mszach św.³⁵⁶.

Głównym tematem dyskusji była przepaść, która rozwarła się w ostatnich paruset latach między przyrodniczymi naukami ścisłymi, empirycznymi a nauczaniem Kościoła. Poruszyły to referaty ks. prof. Józefa Życińskiego, a przede wszystkim ks. prof. Michała Hellera. Uczeni dziś stali się skromniejsi, ale trwa niezrozumienie współczesnej nauki przez ludzi Kościoła. Głęboko zaangażowane wypowiedzi Papieża pozwoliły nam wierzyć, że sytuacja ta ulegnie zmianie. W tej sprawie, w ciągu lat, które nadeszły, doznałem niestety zawodu. Z Janem Pawłem II wymieniliśmy jeszcze kilkakrotnie listy – pisałem do niego m.in. w sprawie sytuacji Żydów w Polsce – i uzyskiwaliśmy odeń błogosławieństwa.

Szczególnie silne wrażenie wywarły na mnie stany głębokiej cichej modlitwy Papieża, gdy zmieniał się na twarzy, jakby w bólu, jakby duch zeń uchodził – a potem nagle otwierał oczy radośnie, uśmiechał się i z nowymi siłami wracał do kontaktu z obecnymi.

Na placu św. Piotra w Rzymie zrozumiałem, jak inny jest punkt widzenia Kościoła na świat, w odróżnieniu od naszego europejskiego zakątka. Tłumy wiernych o wszelkich kolorach skóry – Meksykanie, Kongijczycy, Filipińczycy, Wietnamczycy, śpiewający Papieżowi każdy w swoim języku i w narodowym stroju – to dopiero dawało naoczny obraz powszechności i odpowiedzialności Kościoła.

Wśród wielu rozmów i spotkań w Castel Gandolfo utkwiała mi mocno w pamięci dłuższa rozmowa z ks. Dziwiszem, sekretarzem i najbliższym pomocnikiem papieskim. Gdy wspomniałem coś o komunizmie, ks. Dziwisz machnął ręką z lekceważeniem – „komunizm upada, to już nie jest poważny przeciwnik Kościoła. – Któż zatem jest?” – zapytałem. Ks. Dziwisz odparł z naciskiem: „masoni!” po czym przedstawił mi ponurą wizję świata rządzonego przez masonerię, na przykładzie Francji i Ameryki Łacińskiej. Wysłuchałem tego z przerażeniem; najbliższy człowiek Papieża, prawdopodobnie filtrujący informacje do niego płynące, wierzy w spiskową teorię świata?? Próby dyskusji były daremne, zresztą ja za mało wiedziałem o masonerii.

Jeszcze w Stuttgarcie, w 1959 r., poszedłem kiedyś na *dzień otwarty* do loży masonskiej. Wysłuchałem prelekcji, z której wynikała głęboka chrześcijańska religijność masonów... Poźniej czytałem czasem to i owo o masonach. Gdy się dowiedziałem, że współczesnymi wybitnymi masonami byli jakoby Andrzej Strug, Antoni Słonimski, Klemens Szaniawski i Jan Józef Lipski – najszlachetniejsi ludzie pod słońcem – doszedłem do wniosku, że masoneria jest widocznie

³⁵⁶ Więcej na ten temat w mej wypowiedzi: *Prof. Zbigniew Ryszard Grabowski, chemik [W:] Moje spotkania z Janem Pawłem II.* (red. ks. W. A. N i e w ę g ł o w s k i) Warszawa 1991 Wyd. ROK Corp. s.39–42; oraz wyd. II: Warszawa 1995 Wydawnictwo Salezjańskie, s. 59–63.

godna uznania, a nie potępienia. Tym większe było moje przerażenie na myśl o ks.Dziwiszu. Na szczęście Papież ma swój własny pogląd na świat, a zapewne i inne źródła informacji...

W czasie stanu wojennego, czy też wkrótce potem, dostałem zaproszenie od ks. Wiesława Niewęgłowskiego, *duszpasterza środowisk twórczych*. W jego kościele na Nowym Mieście znalazłem się w otoczeniu może 10 osób, na ogół znajomych, wśród których byli Włodek Kołos, Grzegorz Białkowski, Władysław Golfinger-Kunicki, Klemens Szaniawski. Ks.Niewęgłowski, po pewnym wstępie, oświadczył nam, że będziemy stanowili *duszpasterstwo środowisk naukowych*. W trakcie dyskusji szybko wyszło na jaw, że niektórzy z nas nawet w Boga nie wierzą – ale i to nie przeszkodziło ks.Wiesławowi, który odparł: „nic nie szkodzi, ale Kościół ma do was zaufanie!”.

Był to okres, gdy Kościół otworzył się w Polsce dla intelektualistów, artystów, dał gościnę niecenzurowanej trybunie, szkole, teatrowi. Zdarzyło mi się kiedyś wykładać od ołtarza w kościele św. Ducha. Było nas trzech prelegentów: znakomity aktor Gustaw Holoubek, który mówił o swoim spotkaniu z Papieżem, ogromnie wzruszony, ze łzami w oczach; wybitny krytyk sztuki Janusz Oseka, mówiący o złożonych relacjach między sztuką a Kościołem od mecenatu, poprzez promocję kiczu i wzajemną niechęć w latach międzywojennych, po obecną próbę zbliżenia. A ja mówiłem o wierze i poznaniu naukowym, o tym, jak trudno rzetelnemu uczonemu być dobrym katolikiem. I nikt na mnie nie zagrzmiał!

Ogromny wpływ wywarli na mnie: ks. Romek-Jakub Weksler-Waszkinel, który całym swym życiem łączy judaizm z chrześcijaństwem, o.Stanisław Musiał SJ, ks.prof. Michał Czajkowski, o.Stanisław Obirek SJ, bp.prof. Tadeusz Pieronek – którzy swe szlachetne i głęboko ewangeliczne poglądy głoszą mimo oporu swego kościelnego środowiska, hierarchii, rzekomo katolickiej opinii.

Wielokrotnie spotykałem się przy różnych okazjach z abp.prof. Józefem Życińskim, człowiekiem, który habilitował się z filozoficznych aspektów teorii względności. Mieliśmy z nim dyskusję w TPKN. A szczególnie ciekawe było dla mnie zaproszenie ze strony studentów KUL do Lublina na dyskusję w auli na temat „Między światopoglądem naukowym, a doświadczeniem mistycznym”, w której miałem występować (jako ten ateusz) obok abp. Życińskiego i rektora KUL ks.prof. Szostka. Przeczytałem więc wiele o poznaniu mistycznym i zaciekało mnie porównanie go z poznaniem racjonalnym, chciałem o tym dyskutować. Okazało się to jednak niemożliwe. Abp. Życiński uznał, zdaje mi się, że nie mnie dyskutować o mistycyzmie, że dyskusja winna iść w innym kierunku i skierował ją, trochę anegdotycznie, raczej w stronę konfliktów ideologicznych, tak, że ja mówiłem niejako w próżnię.

PROFESSEUR INVITÉ

Gdy przez szereg lat odmawiano mi paszportów, kilkudziesięciu francuskich fotochemików i chemików, w tym laureat Nobla, zainspirowanych przez mego przyjaciela Jeana Kossanyi (Fot.79), złożyło podpisy pod listem protestacyjnym, przesłanym do francuskiej Akademii Nauk i do ambasady polskiej w Paryżu. Byłem moim francuskim kolegom bardzo wdzięczny. Wkrótce doszły mnie echa z naszej Akademii Nauk, a – z pewnym opóźnieniem – protesty te okazały się skuteczne. Gdy mogłem znów wyjeżdżać – czekały na mnie zaproszenia z kilku uniwersytetów francuskich, szwajcarskich i belgijskich.

Złożyłem wizytę w Szwajcarii, jako zaproszony przez *Universités Romandes en Suisse*; wykłady miałem mieć we Fryburgu Szwajcarskim i na Politechnice Federalnej w Lozannie.

Uniwersytet we Fryburgu Szwajcarskim, wysoce zasłużony dla Polaków w okresie zaborów i II wojny światowej, jest uniwersytetem katolickim. Wyraża się to w tym, że uniwersytetowi patronuje biskup – ale mało w czym więcej. Gdy do Fryburga, bodajże w 1992 r., przyjechał uznawany tam za *wsteczniaka* Papież, dziekan wydziału teologii ogłosił swój wykład, obowiązkowy dla wszystkich studentów teologii, na tę samą godzinę, gdy Papież miał mieć kazanie do studentów Uniwersytetu!

Pobyt we Fryburgu, poza wykładami, był okazją do ważnych kontaktów naukowych z tamtejszymi uczonymi, autorytetami w mojej dziedzinie pracy – Edwinem Haselbachem, Paulem Suppanem (Fot.83) i Thomasem Bally. Najśmieszniej było w Lozannie. W wyniku przeziębienia – zaniemówiłem. Wydobywałem z siebie tylko szept, a i to z trudem. Wykład trzeba było odwołać. Po znakomicie wyposażonych laboratoriach Politechniki Federalnej oprowadzał mnie wybitny znawca zastosowań fotochemii, André Braun. Jako bardzo bogata uczelnia chcieli oni wspomóc Egipt, pytali co by im można zaoferować. Egipcjanie, zapragnęli baterii słonecznej, fotochemicznego przetwarzania światła słonecznego w energię elektryczną. W Lozannie aż furczało od twórczej pracy – wymyślili, skonstruowali, wypróbowali. Demonstrowali mi to piękne urządzenie na dachu uczelni. Jedyne kłopot okazał się w tym, że Egipcjanie nie wykazali już więcej żadnego zainteresowania, nie odebrali tej pracy, i teraz bateria słoneczna będzie tylko pokazywana studentom na dachu w Lozannie.

We Fryburgu złożyłem dłuższą wizytę niezwykle ciekawemu człowiekowi, byłemu rektorowi tamtejszego Uniwersytetu, o. Józefowi (*Innocentemu*) Bocheńskiemu³⁵⁷. Dominikanin, profesor logiki, postać niezwykle barwna (Fot.85). Odwiedzałem go i przy okazji późniejszych wizyt, ostatni raz – na kilka miesięcy przed jego śmiercią. Poznałem go, gdy miał już 84 lata i narzekał: „moją

³⁵⁷ O. Józef Maria *Innocenty* Bocheński (1902–1995), autor licznych książek i audycji, polemista, duchowny nieortodoksyjny. Por. też; moja notatka: *Uczony i fantast*. „Tygodnik Powszechny” 2005, nr.17 (24.IV) s. 20.

główną radością było latanie. A teraz odebrali mi licencję pilota, że wiek... Prosiłem, by mnie zbadali, że jestem w pełni sprawny – ale licencję zabrali. I co mi zostało? Już tylko szybkie samochody; na torach wyścigowych staram się wyciągnąć 500 km/godz”.

Bardzo ważne były jego wypowiedzi (i liczne książki) na temat logiki, filozofii – szczególnie marksizmu – i polityki. Ale dla mnie naprawdę interesujące były jego poglądy religijne. W ostatnich latach swego życia studiował porównawczo religie, zwłaszcza religię starożytnego Egiptu. „W każdej religii można się doszukać rdzenia, wszystkim religiom wspólnego – wiary w nieśmiertelność. Obawa przed śmiercią jest najważniejszym źródłem wiary. Ot – Ozyrys, jego śmierć i zmartwychwstanie – toć to pełna analogia Jezusa. Tu jest ten rdzeń, ta potrzeba. A reszta – to te ozdobniki, które różnią poszczególne religie między sobą. Usiłowałem mówić o tym z Papieżem – ale nie, nie jest to człowiek, z którym możnaby dyskutować...”.

Praca o.Bocheńskiego o religii egipskiej nie ukazała się przed jego śmiercią. Ponieważ jego całe archiwum zostało przejęte przez dominikanów w Krakowie, zwróciłem się o dostęp do tego archiwum – odmówiono mi³⁵⁸. Jest to dla mnie dowód obawy Kościoła katolickiego przed zasadniczą dyskusją podstaw wiary, nieodzowną w każdym dialogu ekumenicznym – a więc postępowanie sprzeczne z ideami, głoszonymi przez Jana Pawła II?

W 1993 r. zostaliśmy z Anką zaproszeni nieoczekiwanie do Fryburga – na *dies academicus* Uniwersytetu, w programie którego było nadanie mi doktoratu *honoris causa*. Występowaliśmy w tej roli dwaj – obok mnie mój wielki przyjaciel, znakomity czeski chemik kwantowy Rudolf Zahradník³⁵⁹. Obu nas wyróżniono – obok zasług naukowych – za postawę w trudnych czasach reżimów komunistycznych w naszych krajach... Byłem wzruszony nie tylko zaszczytnym wyróżnieniem, ale i tym, że na uroczystość przyjechał z Berna polski ambasador, Marek Łatyński, ostatni dyrektor Radia *Wolna Europa*.

Jako *professeur invité* przebywałem w latach 1986–1989, od paru tygodni, do 3 miesięcy, na *Université Paris-Sud w Orsay*, *Université de Bordeaux I w Talence* i na *Katholieke Universiteit Leuven*. W Orsay i w Talence zetknąłem się z francuską lewicą, – a może raczej z polaryzacją polityczną, tak wśród profesorów, jak i studentów. Jedni byli prawnicowo-katolicy i czytali tylko „Le Figa-

³⁵⁸ Również Jerzy G i e d r o y ć napisał w *Notatkach Redaktora*: „... archiwa o.Bocheńskiego znalazły się w gestii polskich dominikanów. Prowincjał tego zakonu natychmiast po przejęciu archiwów podjął decyzję o zamknięciu ich dla badań naukowych na 50 lat. Jest to chyba pierwszy wypadek w Europie zamknięcia w całości spuścizny naukowej wybitnego filozofa. ...” „Kultura” 1997, nr 9/600, s. 151.

³⁵⁹ W Pradze przez wiele lat szykanowany za nieprawomyślność. Po *aksamitnej rewolucji* praskiej, rozwiązaniu starej i utworzeniu nowej Akademii Nauk – przez dwie kadencje prezes Czeskiej Akademii Nauk.

ro”, inni kładli mi na biurku socjalistyczną „Libération”. Niesamowite wrażenie wywarł na mnie w Bordeaux dzień Kanaków. Kanakowie to tubylcy Nowej Kaledonii, domagający się niepodległości. Kanakowie o potężnej budowie, z wielkimi głowami i ogromnymi czuprynymi, byli niemal noszeni na rękach przez francuskich studentów. A manifestację za niepodległością Nowej Kaledonii studenci prowadzili pod wciąż powtarzaniem hasłem: „*à bas la France!*” Hasło tego typu trudne jest do wyobrażenia dla Polaka.

W Talence gościłem w gabinecie Philémona Kottisa, lewicowego Greka, który uszedł spod dyktatury greckich pułkowników (Fot.75). Wiele z nim dyskutowałem o Francji i o historii. Zaintrygowany słowami ks.Dziwisza,³⁶⁰ spytałem go o masonerię, o której prawie nic nie wiedziałem. Spojrzał na mnie zupełnie zdumiony: „mnie o to pytasz? Przecież ty chyba sam wiesz najlepiej!”. I wskazał na moje biurko, a na nim, obok książek i notatek stał niewielki amulet, który mi dała na drogę moja córka, Urszula: drewniany trójkącik, a na nim *Oko Opatrzności*. Kottis dodał: „przecież gdy ty wychodzisz, to tu się zbiegają różni pracownicy laboratorium, oglądają to i cmokają – ależ ten Grabowski musi być ważnym masonem!”.

Będąc we Francji odwiedziłem Maisons-Laffitte, odbyłem dłuższą rozmowę z Jerzym Giedroyciem, podziwiając nie tylko jego samego i „Kulturę”, ale przede wszystkim to, że o ile więcej on wie o aktualnej sytuacji w Polsce, niż ja.

We Francji, a potem w Belgii, miałem ciekawe lekcje egzotyki. O ile w Paryżu spotykało się po trochu cały świat, to Bordeaux zawsze nastawione było na Afrykę. Tu był przez wieki centralny punkt handlu niewolnikami. Kiedyś przyszło mi zanoć w uniwersyteckim domu gościnnym dla przyjezdnych z Afryki. Bardzo głupio się czułem jedząc przy dużym stole jako jedyny „biały” w otoczeniu kilkunastu mężczyzn o różnych odcieniach czerni. A w saloniku leżały gazety z kilkunastu krajów *Afrique francophone*. Co mię zdumiało, to strony tytułowe: w każdej gazecie, z każdego z tych krajów, widniała wielka fotografia odpowiedniego prezydenta, cesarza lub dyktatora – w uroczystym stroju lub mundurze, z orderami i szarfami. Różnili się tylko twarzami.

Pewnego razu zostałem jednym z egzaminatorów doktoratu miłej Saidy z Marokka. Nic nie umiała, byłem przerażony – ale pozostali egzaminatorzy uspokoili mnie, że tu już nic nie można zrobić, bo praca jest zaliczona, ogromna rodzina doktorantki koczuje już przed oknami, a po powrocie do kraju Saída zostanie profesorem na jednym z marokańskich uniwersytetów. Po czym dołączyliśmy do tej rodziny, częstowani arabskimi przysmakami.

W Leuven spotkałem zupełnie czarnego, inteligentnego doktoranta, który mi opowiadał, że wróci teraz do Konga, ale prawdopodobnie go zabiją ludzie dyktatora – chyba, że zmienią się rządy, bo wtedy on będzie miał szansę zostać profesorem, a może nawet ministrem?

³⁶⁰ Patrz w rozdziale poprzednim, rozmowa w Castel Gandolfo.

Jadąc z Talence na znakomitą konferencję na Capri (!)³⁶¹ wysiadłem w Marsylii, odwiedzając prof. Józefa Hurwicę, który tu osiadł po opuszczeniu Polski i oprowadzał mnie jak wytrawny przewodnik po Marsylii i Aix-en-Provence. W Neapolu odwiedziłem Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, którego proza wywierała na mnie duży wpływ. Dostałem od niego *Inny świat*, a potem pisywał do Warszawy karteczki pocztowe podpisywane anonimowo „G”.

JAPONIA

Pierwsze 3 miesiące 1988 r. spędziliśmy w *Institute for Molecular Science* w Okazaki. Byłem już raz w Japonii, latem 1975 r. – i ledwie przeżyłem tamtejsze upały. Teraz więc wybraliśmy zimę. Wspaniały instytut, znakomici uczeni, z którymi byliśmy w kontakcie – teoretyk Saburo Nagakura i eksperymentator Keitaro Yoshihara – osobny wygodny bungalow tuż obok Instytutu. Przyjechaliliśmy ze swoimi związkami by je zbadać niedostępnymi w tym czasie u nas najnowszymi laserowymi technikami pikosekundowymi. Ku naszemu zdumieniu nasz gospodarz Yoshihara znajdował wszelkie możliwe powody, dla których nie mogliśmy przeprowadzać tych najważniejszych dla nas doświadczeń. A to aparatura była zajęta, a to trzeba ją było modyfikować, a to załatwiał nam terminowe zaproszenia na wykłady do różnych uniwersytetów. Gdy już wściekli zbieraliśmy się do odjazdu – na ostatni tydzień dostaliśmy aparaturę do naszej wyłącznej dyspozycji i wtedy pracowaliśmy z Anką na zmianę, *round-o-clock*, korzystając z pomocy bardzo zdolnego Naoto Tamai (Fot.87). Wyjaśnił nam, skąd te utrudnienia: japońscy profesorowie byli bardzo niezadowoleni, że znani europejscy profesorowie chcą *własnymi rękami* prowadzić doświadczenia – to mogło być niedobrym przykładem dla Japończyków! Ale przez ten tydzień zrobiliśmy bardzo dużo (bo doświadczenia były od dawna przemyślane i przygotowane). Owocem tego tygodnia pomiarów – uzupełnionych w Warszawie – stało się kilka prac (por. przypis 300)³⁶².

³⁶¹ Prace konferencji są w książce: *Supramolecular Photochemistry* (V. Balzani, ed.) Dordrecht 1987 D.Reidel Publ., m.in. Z. R. Grabowski: *Molecular structure in the electron-localized states and the radiative electron transfer*. s. 319–328.

³⁶² A. Grabowska, A. Mordziński, N. Tamai, K. Yoshihara: *Reversible Intramolecular Proton-Transfer Reactions of Electronically Excited „Double” Benzoxazoles: A Direct Observation of the Effect of Intrinsic Barrier*. „Chem. Physics Lett.” 1990 **169** s. 450–456. J. Herbich, J. Karpiuk, Z. R. Grabowski, N. Tamai, K. Yoshihara: *Modification of the intramolecular electron transfer by hydrogen bonding: 4-(dialkylamino)pyrimidines*. „J. Lumin.” 1992 **54** s. 165–175. Z. R. Grabowski, J. Dobkowski: *Time-resolved spectrometry of the transient species: the case of TICT states*. „SPIE Proc.” 1992 1711 (*High-Performance Optical Spectrometry*) s. 111–116.

Styl pracy w Instytucie był zupełnie inny, niż w Europie. Laboratoria wyposażone w kosztowne, często jedyne w świecie aparatury, pracowały przez całą dobę. Poznaliśmy pracę wielkiego synchrotronu, superkomputera, a najbardziej zdumiały nas komputery używane do pisania tekstów chińskimi znakami *kanji*. W sekretariacie każdego z laboratoriów stały leżanki, na których sypiali zmęczeni pracownicy, oraz lodówki i podręczne kuchenki, co umożliwiało młodym pracownikom i doktorantom pracę o dowolnej porze i dowolnie długo. Profesorowie, szefowie laboratoriów, pracowali w swoich gabinetach od rana do wieczora, pozwalając sobie na luksus powrotu do domu na kolację – okazja, by spotkać żonę i dzieci – ale potem wracali do instytutu, pracując tam aż do północy. A o ósmej rano są tam znowu. Gdy rozmawiałem o tym z pracującym w Instytucie młodym Koreańczykiem (południowym) – ten rzekł z oburzeniem: „oni – pracowici? U nas tych wszystkich Japończyków wyrzucilibyśmy z pracy za lenistwo!”.

Jeszcze ważniejsze od badań, które mogliśmy tam przeprowadzić, było dla mnie zetknięcie z kulturą zupełnie odmienną od judeo-chrześcijańskiej kultury Zachodu. Pierwszym takim zetknięciem był krótki pobyt na konferencji w 1975 r., gdy spotkany tam nasz znakomity japonista Henryk Lipszyc (mąż mej ówczesnej współpracownicy Kasi, a po obaleniu komunizmu – ambasador w Tokyo) wprowadzał mnie w konwencje japońskiego teatru *kabuki*. Niezwykle ciekawe były dla mnie tutejsze obyczaje, wierzenia, tradycje (a Okazaki jest niewielkim miastem, w którym tradycje odgrywają dużą rolę). Różnił się w poglądach na to z moją żoną. Ja z entuzjazmem poznawałem tę nieznaną mi egzotykę, Ance to wydawało się sztuczne i śmieszne.

Zaczął się to już pierwszego dnia pobytu. Zaprowadzono nas do dyrektora Instytutu. Wchodzimy do jego gabinetu, on wychodzi nam na przeciw z wyciągniętą ręką, ja przepuszczam Ankę pierwszą przez drzwi; on, zaskoczony, opuszcza tę wyciągniętą rękę, okrąża Ankę, wita się ze mną, potem dopiero jakby dostrzeżga Ankę...³⁶³.

Nie ma tam pojęcia religii w naszym sensie. Japończyk rodzi się i bierze ślub w świątyni *shinto*, ale pogrzeb już ma buddyjski. Znajomi mówili nam, że są niewierzący – ale gdy w japoński Nowy Rok poszliśmy do niedalekiej świątyni *shinto*, zastaliśmy tam większość znanych nam pracowników Instytutu. U wejścia kupowało się ziarenka ryżu, a w czasie ceremonii wszyscy rozrzucali ten ryż na cztery strony świata, odpędzając w ten sposób złe duchy. A więc i my je odpędziliśmy.

Niełatwe były rozmowy na tematy abstrakcyjne, bo angielski dla nas i dla nich był językiem obcym. Rozmowy te jednak uzupełniałem lekturami, a nadto znalazł się rodak – Tomek Berezowski, który jeszcze w szkole nawiązał korespondencję z Japonką, spotkali się, pokochali, wzięli ślub, zamieszkali w Oka-

³⁶³ Mój przyjaciel Józef Koszewski po swej wizycie w Japonii mawiał: „okropne w Japonii jest to traktowanie przez nich kobiet, jakby były jakimś gorszym gatunkiem człowieka... Ale skądinąd, to jest piękne, gdy żona przynosi ci herbatę, sunąc na kolanach!”.

zaki. Jej rodzice przez miesiąc odbywali żałobę po takim shańbieniu rodziny. Ale miałem kogoś, kto mógł mi wiele wytłumaczyć. Najbardziej zdumiała mnie ich skala wartości. U nas pierwszym takim kryterium wyboru jest *dobrze* lub *złe* (a więc kryteria etyczne). Nie mogłem uzyskać adekwatnego tłumaczenia tego na japoński, oni myślą inaczej. Dla nich na czele skali wartości stoi rozróżnienie: *piękne* czy *brzydkie*? (a więc kryterium estetyczne!).

Piękno uczono się rozpoznawać w rzeczach najprostszych, w buddyjskim przysłowiowym ziarnku piasku, w ceremonii picia herbaty, w estetyce podawanych potraw. A już uderzało ono w domowych ołtarzykach i zestawach symbolicznych lalek (Fot.88), a przede wszystkim w kobiecych kimonach, noszonych w dni uroczyste, dziedziczonych przez pokolenia – bo będących w cenie samochodu.

Rozmowy o historii, o wojnie i dokonanych po niej przemianach kraju pozwoliły mi często usłyszeć coś, co było dla nas zdumiewającym skojarzeniem: „*blessed American occupation*”. Okupacja amerykańska była błogosławiona w skutkach, bo kierowali nią mądrzy znawcy kultury japońskiej, dała im nową konstytucję, nowy system i programy szkolne, nauczyła demokracji.

Prof. Saburo Nagakura – jeden z najwybitniejszych japońskich uczonych – był jednym z doradców Cesarza. Opowiadał nam czasem coś ze sfer dworu, czy rządu. Był to okres wielkiej japońskiej *prosperity* (kraj był niezwykle bogaty, ale ludzie na ogół biedni i bardzo skromnie żyjący). Ponieważ Ameryka osiągnęła sukces techniczny i militarny w dużej mierze dzięki gościnie, udzielonej europejskim uczonym i inżynierom – teraz ktoś zasugerował, by Japonia podjęła aktywny *brain draining*, wysokimi płacami i funduszami na badania ściągając najzdolniejszych z całego świata. Zostało to jednak zdecydowanie odrzucone – bo Japonia ma pozostać Japonią, w której obcy może być pewien czas gościem, ale nie powinien w Japonii zostać... Inną propozycją dyskutowaną w tych sferach było, by Japonia zawarła z głodującym światem ugodę, że Japonia będzie produkować wszystkie potrzebne światu produkty przemysłowe – bo Japonia może całe światowe zapotrzebowanie w tej mierze zaspokoić – a niech reszta świata produkuje żywność!

Odwiedziliśmy kilka miast, w tym piękne stare Kyoto, gdzie zaprosił nas na noc do swego domu – co jest wyjątkiem – świetny uczyony, Hiroshi Masuhara. Dzięki temu poznaliśmy niektóre obyczaje domowe. Zdumiało nas m.in. że cała rodzina kąpie się kolejno w tej samej wannie, bez nalewania nowej wody; woda tylko cały czas pomału przepływa. Jest to oszczędność i wody i energii – a bogata Japonia na każdym kroku oszczędza wyjątkowo tam drogiej energii, bo wszystkie surowce energetyczne są importowane z daleka. Nasz przywilej polegał na tym, że kąpaliśmy się pierwsi. Okolice pokazywało nam kilku studentów Masuhary, którzy traktowali mnie jak starego bożka. Wjeżdżając na zalesioną górę dostrzeżliśmy jakiś nowy znak drogowy, z małpą: uwaga – małpy! I rzeczywiście

na parkingu obskoczyły nas małpy, domagając się bananów lub innych smakołyków, ciesząc się nimi, a okazując nam pogardę, gdy ich nie mieliśmy.

W Osaka odwiedziliśmy czołowy japoński ośrodek badań w naszej dziedzinie fotofizyki – laboratoria słynnego uczonego Noboru Matagi (Fot.80). Gdy miałem referat na uniwersytecie, prof. Mataga uprzedził mnie, żebym się nie dziwił, gdyby nie było dyskusji. „Dlaczego? – zapytałem – czy ze względu na trudności językowe?”. On mi wyjaśnił: „nie, to jest sprawa gościnności. Można by zadać gościowi pytanie, które wprowadziłoby go w zakłopotanie. To byłoby niegrzeczne, więc Japończycy często wolą wcale nie pytać...” Po moim referacie Mataga zadał mi grzecznościowo jakieś pytanie, dyskusja się skończyła, Mataga wyszedł. A wtedy okrzyki studenci, zadając różne sensowne pytania. Odpowiadałem im, a potem spytałem, dlaczego nie pytali w czasie dyskusji. „W obecności profesora Matagi? Nie odważylibyśmy się!”

W mieście Kanazawa zobaczyliśmy dziwne twory: niektóre drzewa otoczone były jakimiś siatkami na linach otaczających drzewo. Dowiedzieliśmy się, że zimy w tej okolicy bywają surowe i śnieżne, więc trzeba chronić sosny przed łamaniem się gałęzi pod ciężarem śniegu. „Dlaczego akurat sosny? – Bo po sosnach bogowie schodzą na ziemię”. (Fot.86)

Odwiedziliśmy – z potrzeby serca – Hiroshimę, pozostając na zawsze pod wrażeniem tamtejszej tragedii. Jedną niedzielę spędziliśmy w maleńkiej rybackiej wiosce, gdzie dzieci przyglądały się ze zdumieniem pewnie nigdy przedtem nie widzianym *dlugonosym*. By coś zjeść, wstąpiliśmy do małej knajpki, gdzie cała rodzina właściciela zbiegła się, by zrobić sobie z nami pamiątkowe zdjęcia. A właściciel lokalu łamaną angielszczyzną wyjaśnił nam, że trochę rozumie, bo był w amerykańskiej niewoli. Pytał skąd jesteśmy. „*Porando? Porando?*” – myślał z natężeniem, wreszcie skojarzył: – „Wajda!”.

Tak, czy inaczej – wyjechałem pod wrażeniem japońskich map świata, na których Japonia jest w środku, a Europa jest maleńkim półwyspem, na skraju pola widzenia.

IZRAEL

Mimo mojego agnostycyzmu i racjonalizmu, prawie każdy krok w Izraelu przypominał mi, że jest to *Ziemia Święta*. Święte miejsca chrześcijaństwa, judaizmu, islamu, religii Bahai... Gdy w Tel-Awivie mój brat stryjeczny Witek (Fot.96) mówił: „tu nie warto iść, tam niczego ciekawego nie ma”, napotykalismy zaraz wykopaliska starszej od tych wszystkich religii świątyni kanaanejskiej, z przed 2000 lat przed Chrystusem. Byliśmy tam z Anką dwukrotnie, w latach 1988 i 1995, a wrażenie to miałem zawsze. Wiele zwiedziliśmy, obwożeni przez mego stryjecznego brata, używając często *Biblii* zamiast turystycznego przewodnika po Izraelu.

Izrael zdumiał nas jako cud wskrzeszenia martwego języka, stworzenia narodu z imigrantów ze wszystkich stron świata, różnych kultur, języków i kolorów skóry, a przede wszystkim uczynienia z pustyni i bagien kwitnącego kraju najnowszej techniki, nauki na najwyższym poziomie, armii najpotężniejszej w tej części świata. Odwiedzaliśmy mego współautora Michaela Ottolenghi (por. przypis 321) na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie i jednego z najwybitniejszych chemików-teoretyków Joshuę Jortnera (fot.68) na Uniwersytecie w Tel-Awivie. Michael jest wnukiem włoskiego naczelnego wodza z początków XX wieku. Joshua, prezes Izraelskiej Akademii Nauk, pochodzi z Tarnowa i pięknie mówi po polsku. Na obu uniwersytetach nie tylko poszczególne budynki, czy laboratoria, ale każda sala, każda klatka schodowa, każda alejka – ma swoją nazwę, upamiętniającą fundatora. Jest to wspaniała rzecz, móc liczyć na bogatych sponsorów z całego świata. Polskim uczelniom bardzo tego brak – może nawet nie ewentualnych sponsorów z całego świata, co tego rodzaju tradycji i ofiarności.

Najlepiej pamiętam wspaniały Instytut Weizmanna w Rehovot i cudowny, unoszący się nad całymi obszarami kraju niepowtarzalny zapach kwitnących gajów pomarańczowych. W czasie pierwszego tam pobytu, po terenie Instytutu oprowadzał nas niezwykle serdeczny Ernst Fischer, wybitny fotochemik³⁶⁴. Oprócz laboratoriów podziwialiśmy tam gigantyczną strukturę pieca słonecznego – mnóstwo sterowanych zwierciadeł nacelowuje promienie słoneczne na obiekt, nagrzewany do kilku tysięcy stopni.

Gdy byliśmy tam drugim razem³⁶⁵, po Rehovot oprowadzał nas już Jasza Małkin (Fot.82), słyszało się wszędzie język rosyjski, a na terenach arabskich bywało już niebezpiecznie – trwała *I intifada*.

W Izraelu po kilkudziesięciu latach spotkałem mą stryjeczną siostrę Alinę (Fot.94), która – po przejściu przez góry – uratowała się na Węgrzech. Poznałem też kilku dalszych krewnych, którzy wyemigrowali do Palestyny przed wojną i od których dowiedziałem się sporo o mojej rodzinie.

W Jerozolimie byliśmy gośćmi pochodzących z Polski Renaty Reisfeld, profesora spektroskopii na Uniwersytecie Hebrajskim, i jej męża. Mieszkali niedaleko ultraortodoksyjnej dzielnicy żydowskiej, *Mea Szarim*. W piątek wieczorem wstąpiłem tam do jednej z licznych synagog. Była pełna rozmodlonych, śpie-

³⁶⁴ Czołowy badacz zjawiska fotochromii. Jego 65. leciu dedykowaliśmy jedną z ważniejszych moich prac: C. R u l l i E r e , Z. R. G r a b o w s k i , J. D o b k o w s k i : *Picosecond absorption spectra of carbonyl derivatives of dimethylaniline: the nature of the TICT excited states*. „Chem. Physics Letters” 1987 137 s. 408–413. Praca ta była dla mnie ważna nie tylko ze względu na pionierskie wyniki, ale i dlatego, że prawie całą wykonałem jeszcze własnymi rękami.

³⁶⁵ Braliśmy udział w sympozjum w Jerozolimie, a ja ponadto byłem w Tel-Awivie jednym z delegatów Stowarzyszenia Żydów-Kombatantów II wojny światowej na uroczystościach 50. lecia oswobodzenia więźniów obozów hitlerowskich.

wających chóralnie mężczyzn – wszyscy w lisich czapach, złocistych kontuszach i obcisłych spodniach do kolan, białych pończochach. Poczułem się jak na kostiumowej sztuce historycznej w teatrze. Ale to było samo życie! Po zakończonych modłach przechodzili koło mnie, spoglądając na mnie z pewnym zdziwieniem, ale bez niechęci – jak na osobliwe zwierzę. Wszyscy byli jakoś radosni, roześmiani. Przed synagogą łączyli się z żonami i dziećmi i rozchodzili się całymi rodzinami w tym samym radosnym nastroju. Nigdy nie spotkałem ludzi wychodzących w takim nastroju z kościoła.

ROK PRZEŁOMU

Z początkiem lat 80. na seminarium na Fizyce UW przy ul. Hożej ogłoszono wykład prof. Henryka Samsonowicza – rektora UW, usuniętego przez władze w stanie wojennym – pod tytułem: „Wzrost i upadek imperiów”. Aula była wypełniona po brzegi, wykład znakomity, każda aluzja przyjmowana entuzjastycznie. A jednak wszystkim wydawało się to mrzonką, co najwyżej daleką perspektywą.

W 1985 r. w ZSRR doszedł do władzy Gorbaczow, zaczęła się *перестройка*, a przede wszystkim rozkładająca system komunistyczny – nawet ta fragmentaryczna i niekonsekwentna – *гласность*. Pojawiały się coraz to liczniejsze sygnały niedowładów imperium. Mnie interesowały nabyte przypadkiem informacje o nauce i technice.

.. Gdy wchodziłem w problematykę chemii materii międzygwiazdnej, prowadziłem wstępne rozmowy na temat możliwości obserwacji satelitarnych. Myślałem o umieszczeniu na jednym z satelitów stworzonego przez nas instrumentu pomiarowego. Ze względu na słabość sygnałów pomiar musiałby trwać długo, wiele minut. Kluczową sprawą było, na ile możnaby utrzymać stałe nacelowanie obserwacji na danym obiekcie, t.j. jaka stabilność kątowna może być utrzymana pomimo ruchu satelity w tym czasie. Okazało się, że sowieckie satelity oferowały dokładność tę o 2 rzędy wielkości gorszą, niż satelity amerykańskie. Nie wzięliśmy w końcu udziału w żadnej misji kosmicznej, ale uzyskane informacje ukazały, że w sferze techniki militarnej Rosjanie beznadziejnie ustępują Amerykanom.

W zupełnie innej dziedzinie było podobnie, a może jeszcze gorzej. Już przed około 10 laty Roman Personow (por. przypis 161) odkrył zjawisko „wypalania wąskich dziur widmowych”. Od kolegów z Holandii wiedziałem, że w laboratoriach IBM w San José w Kalifornii pracują intensywnie nad wykorzystaniem tego zjawiska do zapisu sygnałów. Mogłoby ono zwiększyć pojemność pamięci optycznych około 10000 razy! Pytałem Personowa, dlaczego w ZSRR nie próbowali dokonać takiego przełomu technicznego, dlaczego Amerykanie ich

wyprzedzają w wykorzystaniu jego wynalazku? Odrzekł mi zmartwiony, że sowieckiej produkcji lasery są o niebo gorsze od amerykańskich – myśląc przy tym nie o laboratoryjnym pojedynczym laserze, ale o produkcji seryjnej. To był drugi argument – w okresie budowy instrumentacji „wojen gwiazdnych” – że przewaga techniczna Amerykanów jest ogromna.

Odwiedził mnie w Warszawie znany fotochemik sowiecki Michaił W. Alfimov i chwalił się, że jest przewodniczącym komisji Akademii Nauk zajmującej się niekonwencjonalną fotografią i zapisem sygnałów. Zapytałem go więc o to, dlaczego w ZSRR nie próbowano wykorzystać do tego celu odkryć Personowa. Był zmieszany, nie bardzo wiedział o co idzie. Gdy mu to wyjaśniłem, rzekł: „Personow i jego instytut należą do Wydziału Nauk Fizycznych Akademii, a my zbieramy dane tylko z Wydziału Nauk Chemicznych...”

Tak więc w ZSRR do przyczyn zapóźnienia można było zaliczyć wszechobecne tajemnice służbowe i nieudolność w redystrybucji informacji naukowych z jednej strony, a ociążałość przemysłu i pełne rozdzielanie produktów militarnych od cywilnych z drugiej. W USA natomiast droga od wyniku naukowego do jego wykorzystania w przemyśle bywała szybka i sprawna (głównie dzięki prężnym, małym przedsiębiorstwom), a wynalazki przemysłu zbrojeniowego szybko trafiały do produkcji cywilnej.

Stąd już w 1986 r. byłem przekonany, że nie nadążając za Ameryką w dziedzinie najnowszej techniki – a oznaczało to słabość militarną – ZSRR musi ustąpić; koniec musiał być bliski.

Trwało to jeszcze 2–3 lata, ale nadeszło! Okrągły Stół³⁶⁶, Powstanie jawnej, niezależnej prasy i radia, wyznaczenie na 4 czerwca 1989 r. częściowo wolnych wyborów – wszystko to oznaczało przełom w życiu całej Polski. 3 czerwca byłem jeszcze z moim bliskim współpracownikiem Jurkiem Herbichem w Lejdzie, na obchodach jubileuszu wielkiego uczonego Johanna Van der Waalsa (Fot.55). Gdy tylko było to możliwe, wsiedliśmy do mojego nissana (oczy pozwalały mi jeszcze wówczas prowadzić) i zmieniając się za kierownicą przejechaliśmy przez Europę, kilka granic, i dotarliśmy już koło południa 4 czerwca do swoich komisji wyborczych. Wyniki wyborów oznaczały koniec rządów komunistycznych w Polsce.

W małej skali naszego Instytutu odnotować mogłem rezygnację dotychczasowego dyrektora oraz przeznaczenie pokoiku, zajmowanego uprzednio przez partyjną *jaczejkę* – na mój gabinet.

Wkrótce potem, *metodą domina*, nastąpiło to kolejno w pozostałych krajach satelickich, a niewiele później w ZSRR. Dożyliśmy tego, o czym marzyliśmy przez dziesiątki lat. Zaczęła się nowa epoka – jak się wkrótce okazało – też wcale nie łatwa, choć z zupełnie innych względów.

³⁶⁶ Przy „stoliku” prawnym zasiadał nasz przyjaciel Adam Strzembosz, wkrótce już vice-minister sprawiedliwości, a potem I Prezes Sądu Najwyższego.

DZIECI HOLOCAUSTU

Po okresie *przełomu* – zwanego zwykle *transformacją* – wiele spraw ulegało odkłamaniu, stawało się czymś normalnym, wracało w życiu społecznym i gospodarczym na swoje miejsce. Stało się tak też ze sprawami polsko-żydowskimi – przestawały stanowić *tabu*. Ujawniały się postawy antysemickie, powstawały instytucje i organizacje żydowskie. Moja własna katolicka żona namówiła mnie, i poszliśmy razem do Żydowskiego Instytutu Historycznego, gdzie opisałem pokrótce moje losy wojenne, a zbierająca takie zeznania p. Małgosia Rutkiewicz namówiła mnie do zapisania się do Stowarzyszenia Dzieci Holocaustu i do Stowarzyszenia Żydów-Kombatantów II Wojny Światowej. W tym drugim stowarzyszeniu było na mój gust zbyt wielu komunistów i, prawdopodobnie, dawnych ubeków. Szanowałem tam natomiast bardzo zasłużonego prezesa, Arnolda Mostowicza, autora ważnych książek i filmu.

Zupełnie inaczej jest u „Dzieci Holocaustu”. Jestem tu seniorem, bo członkami mogą być tylko ci, którzy w chwili wybuchu wojny mieli nie więcej, niż 12 lat – to właśnie ja, inni są o parę lat młodszy. Prezesem był powszechnie lubiany i ofiarny prof. Jakub Gutenbaum – teraz Prezes Honorowy – a obecnie prezeską jest pełna inicjatywy Elżbieta Ficowska, żona poety. Comiesięczne zebrania, zwykle z jakąś ciekawą wypowiedzią i dyskusją, doroczne 3-dniowe zjazdy z bogatym programem – wszystko to sprawiło, że Stowarzyszenie stało się jakby jedną rodziną, gdzie wszyscy mówią sobie po imieniu. Jest to o tyle istotne, że większość z nas straciła rodziny, wielu nie wie nawet niczego o swoich rodzicach, opowieści o ich losach są tragiczne³⁶⁷.

Przed przyjazdem Papieża do Polski w 1999 roku napisałem do niego list:

Wasza Świątobliwość, Ojciec Święty,

Warszawa, 29.III.1999

Jestem Żydem. Należę do stowarzyszenia „dzieci holocaustu” – nielicznej grupy ludzi, którzy jako żydowskie dzieci przeżyli tutaj czas Zagłady, dzięki cudownym przypadkom i pomocy dobrych ludzi. Ponad emigrację wybraliśmy życie w Ojczyźnie. Wiele z nas to już ojcowie lub matki katolickich rodzin, są wśród nas nawet księża. Łączy nas pamięć przeszłości. Boli nas wszystkich – w Polsce niemal bez Żydów, po Zagładzie i powojennych pogromach, po ucieczce większości ocalałych – **antysemityzm oraz powszechna obojętność wobec jego przejawów.**

Wspaniałe słowa i czyny Ojca Świętego dotyczące *starszych braci* pozostają dotychczas w Polsce – wybiórczo – nie dosłyszane, nawet wśród znacznej części duchowieństwa... Zapewne na drodze pielgrzymki Waszej Świątobliwości zostaną pośpiesznie zamazane napisy typu „*ŻYDZI DO GAZU*” – ale my ciągle je widzimy na murach polskich miast i miasteczek. Mało kto dziś tu wie o wspólnej ty-

³⁶⁷ *Dzieci Holocaustu mówią...* Vol.1 (W. Śliwowska, red., z posłowiem Jerzego Ficowskiego), Warszawa 2003. Nakładem Stowarzyszenia, stron 291; Vol. 2 (red. J. Gutenbaum i A. Latała) Warszawa 2001; stron 268.

siącletniej przeszłości; dzieci się o tym nie uczą, a chłoną stereotyp *wroga*. Gdy ktoś chce wyrazić swą wrogość i pogardę wobec przeciwnika – choćby politycznego czy sportowego – krzyczy: „**ŻYD!**” A idzie o to, by *INNY* był też uznawany za *BLIŹNIEGO*. Czerwcową pielgrzymka Ojca Świętego jest tu naszą nadzieją. I w tym zawiera się moja gorąca i ufna prośba...

Z głębokim oddaniem –

(Zbigniew R. Grabowski)

Odpowiedź – Fot.89.

Jedną z ważnych form działalności Stowarzyszenia jest pamięć o żyjących *Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata* – tych, którzy z narażeniem swego życia (a często i swej rodziny) ratowali choć jedno życie – i opieka nad nimi. Inną – jest danie świadectwa. Jesteśmy już ostatnimi, którzy jeszcze mogą o tym strasznym czasie przekazać coś z własnych przeżyć

SZKOŁA NAUK ŚCISŁYCH

Ogólnym skutkiem przełomu stało się w każdej dziedzinie życia porzucanie dotychczasowej sztuczności, odkłamanie, dążenie do normalności. W nauce normalność oznacza równoległe badania naukowe i nauczanie. W instytutach Akademii Nauk byliśmy od nauczania odcięci. Postanowiliśmy – kilku inicjatorów, odczuwających boleśnie to odcięcie od uczelni – powiązać Instytuty z uczelniami, lub utworzyć uniwersytet przy Akademii Nauk. Dyskusje z przedstawicielami wielu instytutów i z władzami PAN wykazały, że zainteresowanie tym ze strony humanistów jest nikłe, a istniejące ustawy nie pozwalają Polskiej Akademii Nauk prowadzić uczelni. Rzecz ograniczyła się więc do nauk ścisłych, z możliwością rozszerzenia o biologię.

Przygotowaliśmy więc projekt nauczania na poziomie studenckim, w oparciu o możliwości laboratoryjne i kadrowe warszawskich instytutów PAN, programu *science*, a więc nauk ścisłych, integrującego matematykę, informatykę, fizykę i chemię. Wykłady i ćwiczenia miały być prowadzone przez wybitnych uczonych, w tym wielu członków PAN. Skoro nie można utworzyć uczelni przy Akademii, spróbujmy afiliować się przy Uniwersytecie. Udaliśmy się z tym – bodajże fizyk Iwo Białynicki-Birula, matematyk Czesław Olech i ja jako chemik – do Rektora UW. Rektor, a zarazem nasz kolega-fizyk Andrzej Kajetan Wróblewski, zniechęcił nas maksymalnie, przewidując odmowy ze strony poszczególnych Wydziałów. Nie, to nie – poszliśmy więc do Rektora Politechniki, proponując utworzenie przy Politechnice *Szkoły Nauk Ścisłych* na prawach autonomicznego wydziału. Rektor Marek Dietrich, z pełnym uznaniem dla nas stanowczo odmówił: „to byłby za silny wydział, za duża konkurencja dla naszych profesorów; gdybym się zgodził – zaraz przestałbym być rektorem!”.

Wynaleźliśmy więc jeszcze jedną uczelnię, od czasu wojny „uśpioną”, ale z punktu widzenia prawnego – istniejącą: Wolną Wszechnicę Polską. Ich to nawet interesowało, była to szansa wznowienia aktywności tej uczelni, która na razie prowadziła różne kursy, ale nie regularne studia. Tak, ale – postawili warunek – tradycja uczelni jest silnie antyklerykalna. Musielibyśmy podporządkować nasze programy ideologii ateistycznej. A my tymczasem mieliśmy dość *wszelkiej* ideologii; pożegnaliśmy się więc i z tą uczelnią.

Trzeba było utworzyć uczelnię *prywatną*. Uczelnię taką może stworzyć fundacja. Powstała więc Fundacja im. Stanisława Ulama, kilkanaście osób złożyło się na wymagany niewielki fundusz założycielski, zostałem prezesem Fundacji. Zalegalizowaliśmy Szkołę Nauk Ścisłych w Ministerstwie, uchwaliliśmy statut, powstał Senat, wybraliśmy Rektora, Prorektorów, Kanclerza. Pierwszym Rektorem został fizyk-teoretyk Jan Mostowski³⁶⁸. Zadeklarowaliśmy ze swej strony prowadzenie zajęć bez wynagrodzenia, starając się zarazem zdobyć fundusze na wynagrodzenie dla asystentów i adiunktów – częściowo z niewielkiego czesnego. Kontrola z Ministerstwa Edukacji Narodowej zabroniła nam jednak nauczania bez wynagrodzenia: „Polska podpisała konwencję międzynarodową o walce z niewolnictwem!”.

Zawarliśmy więc umowy z Instytutami PAN: Fizyki, Chemii Fizycznej, Matematyki, z Centrum Fizyki Teoretycznej, a także z przemysłowym Instytutem Technologii Elektronowej, które miały współuczestniczyć w prowadzeniu uczelni, które miały nas *delegować* do prac dydaktycznych. Utworzyliśmy w Instytutach pracownie studenckie, opracowaliśmy ćwiczenia. W 1993 r. Szkoła Nauk Ścisłych otworzyła swe podwoje. Studentów było niewielu, poziom nauczania wysoki. Wykłady z matematyki prowadził wybitny uczony, członek PAN; inny, również członek Akademii, prowadził ćwiczenia do tego wykładu... Ze względów formalnych – ponieważ ustawa nie przewidywała magisterium z nauk ścisłych – na trzecim roku program rozgałęział się na matematykę, fizykę i chemię. Na chemię decydowało się na ogół niewielu kandydatów, stąd wynikły trudności z organizowaniem dla nich zajęć. Jednego roku prowadziłem wykład chemii fizycznej dla dwojga studentów. Robiłem to w postaci kameralnej rozmowy u mnie w pokoju, przy herbatce i herbatnikach. Wydawaliśmy podręczniki³⁶⁹, (por. przypis 99) prowadziliśmy inspirujące seminaria humanistyczne z udziałem bardzo wybitnych dyskutantów. Absolwenci bez trudu znajdowali pracę, niektórzy już wybili się w nauce.

Nauki ścisłe nie cieszyły się jednak popularnością wśród garnącej się skądinąd do studiów młodzieży. Nie było trudności z dostaniem się na bezpłat-

³⁶⁸ Syn mego profesora logiki matematycznej (por. przypis 89).

³⁶⁹ *Laboratorium Chemiczne* (red. Z. Dunin-Borkowska, Z. R. Grabowski, J. Herbich, Ł. Kaczmarek, J. Taraszewska) Warszawa 2000 Szkoła Nauk Ścisłych, stron 215. Wyd. II, Warszawa 2005, Wyd. Uniw. Kard. S. Wyszyńskiego, stron 215.

ne studia dzienne nawet na dobrych uniwersytetach. Liczba studentów Szkoły Nauk Ścisłych malała. Nie utworzono wprawdzie przy PAN drugiego w Warszawie uniwersytetu, ale w trybie przyspieszonym powstał Uniwersytet im. kard. S. Wyszyńskiego. Uniwersytet ten nie miał nauk ścisłych – tylko matematykę. Nie miał też pełnych praw, ze względu na nazbyt małą liczbę „belwederskich” profesorów. Po licznych pertraktacjach w 1999 r. Szkoła Nauk Ścisłych weszła jako autonomiczna jednostka do Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego tego Uniwersytetu, studenci mogą studiować bezpłatnie. Ja wycofałem się ze wszystkiego; było to naturalne w przypadku emeryta. Nie chciałem mieć jednak nic wspólnego z uczelnią, która potrafiła potępiać wspaniałego ks.prof. Michała Czajkowskiego, a za prorektora miała ks.prof. Waldemara Chrostowskiego, który wstawił się w tych czasach swymi antysemickimi wypowiedziami.

W 1997 r. zostałem zaproszony przez posłów Unii Wolności jako ekspert na posiedzenia podkomisji Sejmu, dyskutującej projekt nowej ustawy o Polskiej Akademii Nauk. Pierwszy raz brałem udział w pracach sejmowych i wrażenia z Sejmu napełniły mnie goryczą i sceptycyzmem. Z jednej strony władze PAN (prezes Leszek Kuźnicki, wiceprezes-sekretarz naukowy Mirosław Mossakowski) walczyły o swoje przywileje i ministerialne uposażenia, z drugiej – trwały rozgrywki między ówczesną większością sejmową (SLD) a centrową opozycją. Punktem dla mnie symptomatycznym była sprawa etyki pracownika PAN. Projekt przewidywał, że karalność dyscyplinarna za naruszenie norm etyki naukowej przedawnia się po 3 latach. Usiłowałem wytłumaczyć posłom podkomisji, której przewodniczyła posłanka Łybacka z SLD, a zastępowała ją posłanka Jaruga-Nowacka z Unii Pracy, że normy etyki naukowej dotyczą samego *meritum* pracy naukowej: nie kłamać, nie fałszować wyników, itp., a dokonywanie tego wyklucza człowieka *na zawsze* ze świata nauki. Prezesi Akademii bronili swoich projektów, a p.Łybacka żarliwie argumentowała: „to byłby oręż polityczny przeciwko nam!”. Moja propozycja jednak w głosowaniu została przyjęta, bo na sali było więcej posłów opozycji niż koalicji rządzącej – ci ostatni po prostu prace podkomisji lekceważyli. Wytłumaczył mi to siedzący obok znawca spraw sejmowych: „to zupełnie nieważne, co się teraz uchwała. Na decydujące głosowania przyjdą posłowie SLD i uchwałą wszystko, co im Łybacka wskaże”. I tak rzeczywiście się stało.

Co gorsza, gdy podniosłem tę sprawę na Zgromadzeniu Ogólnym PAN – prezes Kuźnicki wezwał do głosowania przeciwko moim wnioskom i zebrani posłusznie go poparli...

Było mi bardzo miło, gdy Wydział Chemii – po kilkudziesięciu latach alienacji – poprosił mnie kilka lat temu o semestralny wykład monograficzny z wybranych działów chemii fizycznej, a parę lat później – o wykład inauguracyjny roku akad. 2002/2003. Uznałem to za *sui generis* zamknięcie mej działalności na uczelniach.

SAGA RODZINNA

W tej opowieści o moim życiu i działalności niemal przemilczałem tego życia aspekt bodaj najważniejszy – rodzinę. Gdy pomarli nasi rodzice, rodzina składała się z nas dwojga – związanych z sobą tak węzłem małżeńskim, jak i wspólnymi zainteresowaniami i otoczeniem zawodowym – i z naszych dwojga dzieci, Urszuli i Janka. Oboje jeszcze w wieku szkolnym stwierdzili, że są niepewni jeszcze, kim by chcieli zostać, jedno wiedzą na pewno – że nie będą chemikami! (Fot.45). Zdołaliśmy jednak oboje przymusić do nauki języków, co im się bardzo przydało, a Anka uczyła ich jazdy na nartach i na łyżwach – i osiągnęła pełen sukces w przypadku potomków płci męskiej.

Urszula (Fot.93) miała od dzieciństwa zdolności rzeźbiarskie i malarskie, fascynowała ją praca rzeźbiarska babci – Inki. Ma naturę delikatną, wrażliwą, uczuciową, *intravertens*. Wygrywała różne konkursy artystyczne, w końcu ukończyła malarstwo na ASP i po wielu przygodach i przemianach duchowych osiadła na wsi, malując, ucząc angielskiego przez wiele lat w szkole w pobliskim miasteczku, tłumacząc z angielskiego. Małżeństwo jej się rozpadło, a ona sama dzielnie i mądrze wychowała w bardzo trudnych warunkach dwoje dzieci, które są już dorosłe. Dwumetrowy Szymon studiuje leśnictwo, jest zapalonym ornitologiem, fotografikiem i działaczem ochrony przyrody. Młodsza odeń o 3 lata Helena jest subtelna i uczuciowa, odziedziczyła – jak sądzi, po matce i po prababce – zdolności plastyczne; kształci się w kierunku artystycznym. (Fot.95).

Janek – dwumetrowy, wciąż rozbijający czoło o różne framugi, studiował historię – najpierw na KUL, potem na UW. Gdy przyszło do specjalizacji, mówił: „połowa moich kolegów chce studiować polską mediewistykę, druga połowa – historię Żydów polskich. Nie lubię stadnych zainteresowań. Wybrałem amerykańską”. Wymęczony aktywnym udziałem w strajku studenckim na jesieni 1981 r., pojechał na parę dni do Szwecji. Następnego dnia ogłoszono stan wojenny. Wrócił pierwszym promem. Po wielu przygodach konspiracyjnych w latach 80., zdecydował się na studia doktorskie w Montréalu (Fot.81). Ożenił się z Hanią (Fot.92), koleżanką z liceum, został badaczem historii kontaktów Indian z kolonizatorami, głównie francuskimi. Jeszcze przed ukończeniem pracy doktorskiej zwyciężył w licznie obsadzonym konkursie i jest od tego czasu profesorem historii Kanady na Uniwersytecie Ottawskim. Mieszkając w Kanadzie, w Polsce spędza każdego roku parę miesięcy. Jesteśmy z nim w stałym, serdecznym kontakcie. W ostatnich latach zainteresował się (a nawet mnie – z jego inspiracji) historią okupacji niemieckiej w Polsce³⁷⁰, historią Żydów w czasach Holocaustu³⁷¹.

³⁷⁰ J. Grabowski, Z. R. Grabowski: *Germans in the Eyes of the Gestapo: the Ciechanów District, 1939–1945*. „Contemporary European History” 2004 13 nr 1 s. 21–43.

³⁷¹ J. Grabowski: „*Ja tego Żyda znam!*” – *Szantażowanie Żydów w Warszawie, 1939–1943*. Warszawa 2004 Wydawn. IFiS PAN, stron 136; *The Holocaust in*

Spoglądając na Urszulę malującą obrazy, uczestnicząc w wernisażach jej wystaw, czy w dyskusji nad Janka książką³⁷², czuję się tak, jak prawdopodobnie moi rodzice na spotkaniu w Jabłonnie z okazji mej profesury – jestem szczęśliwy i dumny, że nasze dzieci *wyszły na ludzi*.

A syn Janka i Hani, Dawid (Fot.92), jest dobrym uczniem, wysportowanym i w pełni trój-języcznym (polski – francuski – angielski), a ku naszej radości spędza każde wakacje z nami, na Mazurach, gdzie mamy domek letni z ogrodem i pomost na jeziorze.

GDY SIĘ CZŁOWIEK ROBI STARSZY...

W połowie lat 60. kilku młodych a znakomitych dyrektorów instytutów Maxa Plancka, m.in. Eigen, Mössbauer, Weller, ustaliło między sobą, że nie chcą powtarzać błędów *starszych panów*. Zobowiązali się wzajemnie, że w wieku 60 lat ustąpią ze stanowisk kierowniczych – a gdyby, doszedłszy do tego wieku zmieniali zdanie – inni powinni im to przypomnieć. Gdy do tego wieku dochodzili, niektórzy z nich nie mieli zamiaru rezygnować ze stanowisk (a moje przypomnienia lekceważono: „to były takie nierozumne postanowienia młodości!”).

Napisałem o tym kiedyś³⁷³ uznając słuszność tej zasady. Wywołało to reakcję znanego pediatry, prof. Brockmana, który przekonywał mnie w swoich listach, że mimo bardzo podeszłego wieku dobrze kieruje pracami młodszych. Pisaliśmy do siebie, było mi przykro, nie chciałem przecież nikogo urazić, ale rządy starców w nauce sowieckiej (nie mówiąc już o władzach politycznych w ZSRR czy w Chinach) były dla mnie przerażające. Doszedłszy wieku 60 lat przestałem przyjmować nowych doktorantów, wycofywałem się z kierowania pracami młodszych współpracowników, zdołałem – mimo różnych trudności formalnych – przekazać kierownictwo Zakładu bardzo zdolnemu i energicznemu Jackowi Walukowi (Fot.74), gdy tylko powrócił on z dłuższego stażu w USA, gdzie współpracował z jednym z najwybitniejszych amerykańskich chemików, Josefem Michlem (Fot.73)³⁷⁴.

Northern Mazovia (Poland) in the Light of the Archive of the Ciechanów Gestapo. „Holocaust and Genocide Studies” Winter 2004 18 nr 3 s. 460–476.

³⁷² A. B i k o n t : *Trudny temat – szmalcownicy. Klub Księgarza – Dyskusja o książce Jana Grabowskiego. „Gazeta Wyborcza Stołeczna” 10.XII.2004 str. 5.*

³⁷³ Z. R. G r a b o w s k i , E. B u l e w i c z - P a d l e y : *Nagrody Nobla 1967. Nowe dziedziny chemii. „Życie Warszawy” 1967 nr 268 (11.XI).*

³⁷⁴ Josef Michl jest Czechem, po zdławieniu „czeskiej wiosny” przez inwazję państw komunistycznych w 1968 r. pozostał w USA. Jako zupełnie młody doktorant przyjechał do nas z początkiem lat 60. w ramach wymiany naukowej, zadziwiając swą szeroką wiedzą i znajomością kilku języków.

Od tego czasu opiekowałem się jeszcze rozpoczętymi przedtem pracami, przekazując tematykę młodszym. Usiłowałem ponadto wejść w nową, ogromnie dla mnie ciekawą dziedzinę – chemię materii międzygwiazdnej. Tego typu przekwalifikowanie się wymaga jednak kilku lat intensywnej pracy. 40 lat wcześniej przeszedłem w ten sposób od elektrochemii do spektroskopii i fotochemii. Teraz zabrakło mi już do tego zdrowia i sił; tematykę tę jednak na szczęście nadal kontynuuję i rozwija Robert Kołos (Fot.74)³⁷⁵ (m.in. w swej habilitacji [por. przypis 377]).

Jak pisałem na początku, w połowie lat 50. oboje z Anką podjęliśmy decyzję, by pracować w jednej dziedzinie: w chemii cząsteczek wzbudzonych. Obok radości i pożytku z tego, że mogliśmy przez całe nasze aktywne życie zawodowe interesować się wzajemnie tym, co robimy, miało to jednak i swoje strony ujemne. Zbyt wiele różnych zasług, bardzo często niesłusznie, przypisywano mnie – zamiast Ance. Co więcej, będąc *szefem*, musiałem spychać na ostatni plan wszelkie zależne od moich wniosków nagrody, pochwały, wyróżnienia, na które zasługiwała. Było to wielce niesprawiedliwe.

Pracowaliśmy jednak przez kilkadziesiąt lat we wspólnym zespole. Wyniki tych prac znajdują wyraz w postaci 22 doktoratów (u kilku promotorów)³⁷⁶

³⁷⁵ R. K o ł o s , Z. R. G r a b o w s k i : *The chemistry and prospects for interstellar detection of some dicyanoacetylenes and other cyanoacetylene-related species*. „Astrophysics and Space Science” 2000 **271** s. 65–72. Rzecz charakterystyczna: część pracy, napisaną przeze mnie, trzeba było pod naciskiem recenzenta usunąć. Były to rzeczy dla recenzenta już oczywiste, choć mnie – nowicjuszowi w tej dziedzinie – wydawały się czymś nowym. To mnie ostatecznie przekonało, że nie czas już wchodzić w nową dziedzinę.

³⁷⁶ **Doktoraty. Promotor – W. Kemula: Anna Grabowska: Reaktywność benzenu selektywnie wzbudzonego do stanu tripletowego.** UW 1960; **Promotor – J. Matysiak: Jan Jasný: Wykorzystanie zjawisk częściowej polaryzacji światła odbitego od powierzchni granicznej dwóch środowisk do pomiaru współczynnika załamania.** Pol. lit. Warsz. 1968.

Promowani przeze mnie: Alina Vincenz-Chodkowska: Elektrochemiczne studium reakcji w układzie: benzyl – stylbendiol (cis- i trans-) – benzoina. UW 1964. **Józef Koszewski: Szybki pomiar spektrofotometryczny i możliwości jego zastosowania do badań kinetyki reakcji.** IChF PAN 1964. **Marek K. Kalinowski: Rola wolnych rodników ketylowych w elektrodowej redukcji ketonów aromatycznych.** UW 1965. **Andrzej Bylina: Kinetyka fotochemicznej izomeryzacji cis-trans pochodnych etylenu.** IChF 1967. **Krystyna Rotkiewicz: Równowagi protolityczne i rozkład gęstości elektronowej w stanach wzbudzonych aminoantracenów.** IChF 1967. **Nina Sadlej: Procesy naruszające regułę zachowania spinu w kinetyce chemicznej.** IChF 1971. **Elżbieta Nosarzewska: Katodoluminescencja pirofosforanu cyrkonu.** IChF 1972. **Józef Jesionek: Katodoluminofory berylowe emitujące w ultrafiolecie.** IChF 1975. **Jerzy Herbich: Spektroskopia i struktura elektronowa mono-kationu chinoksaliny w najniższych stanach elektronowo wzbudzonych.** IChF

i 9 habilitacji uzyskanych przez członków tego zespołu³⁷⁷. 5 osób zostało profesorami: Anna Grabowska, Elżbieta Bulewicz (na Politechnice Krakowskiej), Marek Kalinowski (na Uniwersytecie Warszawskim), Jacek Waluk (w IChF PAN), Krystyna Rotkiewicz (na Akademii Świętokrzyskiej). Nie liczyliśmy prac opublikowanych – ale jest ich co najmniej 300. Każdy z współpracowników w miarę rodzenia się własnych pomysłów i usamodzielniania się – często nawet przed doktoratem – publikował samodzielnie. Zależało nam na tym, by zespół stanowił team, żeby była wymiana myśli, wzajemna pomoc, zainteresowanie, wspólne (w różnych konfiguracjach personalnych) prace i cele poznawcze. Tak było przez długi czas. Obecnie przybyła nowa tematyka, zwłaszcza bliska Jackowi Walukowi fotofizyka porfiryń i ich analogów, liczne prace teoretyczne, wysokiej klasy spektroskopia molekularna. Jacek zyskał duże uznanie między-

1977. **Aleksander Siemiarzuk**: *Procesy relaksacji w stanach wzbudzonych antrylowych pochodnych dwumetyloaniliny*. IChF 1978. **Justyna Kotlicka**: *Przejścia promieniste i bezpromieniste w związkach typu dwupirydyłu*. IChF 1980. **Jacek Dobkowski**: *Procesy fotofizyczne i stany elektronowo wzbudzone p-dwumetyloamino-benzaldehydu*. IChF 1980. **Robert Kołos**: *Nowa metoda impulsowej fotolizy laserowej; rozdzielcze w czasie badania fotodysocjacji dwucyjano-acetyleny*. IChF 1991. **Jerzy Karpik**: *Photophysical and photochemical processes in lactones of some rhodamines*. IChF 1996.

Promowani przez Ankę: **Hanna Bulska**: *Stale równowagi kwasowo-zasadowej dwuazapochodnych aromatycznych w tripletowym stanie wzbudzonym*. IChF PAN 1974; **Jacek Waluk**: *Własności fotofizyczne orto-dwuazyn aromatycznych oraz ich form protonowanych*. IChF 1979; **Ewa Kirkor-Kamińska**: *Mechanizm populacji i depopulacji stanów wzbudzonych pochodnych acetofenonu*. IChF 1981; **Andrzej Mordziński**: *Procesy przenoszenia protonu w stanach elektronowo wzbudzonych*. IChF 1984; **Krzysztof Kownacki**: *Fotofizyka zasad Schiffa z wewnątrz-molekularnym wiązaniem wodorowym*. IChF 1994; **Paweł Borowicz**: *Fotofizyka związków z grupy bipirydylo-dioli*. IChF 1995.

³⁷⁷ **Habilitacje**: **Elżbieta Bulewicz-Padley**: *Chemi-ionization and chemiluminescence in flames*. IChF PAN 1969; **Anna Grabowska**: *Excited states of six-membered N-heterocycles*. IChF 1969; **Jacek Waluk**: *Intermolecular excited state double proton transfer*. IChF 1986; **Andrzej Mordziński**: *Excited state intramolecular proton transfer: the structural and dynamic aspects*. IChF 1990; **Krystyna Rotkiewicz**: *Relaksacja p-cyjano-N,N-dwualkiloanilin do stanów wzbudzonych z separacją ładunku. Kinetyka procesu i struktura produktu*. IChF 1989; **Andrzej Kapturkiewicz**: *Electrochemical generation of excited states*. IChF 1992; **Jerzy Sepioł**: *Multi-colour laser spectroscopy of molecular systems with hydrogen bonds: proton transfer dyes and van der Waals complexes*. IChF 1993; **Jerzy Herbich**: *Photoinduced intramolecular electron transfer in donor-acceptor molecules. Structural and environmental aspects*. IChF 1998; **Robert Kołos**: *Carbon-nitrogen chain molecules in the laboratory and in interstellar medium*. IChF 2003.

narodowe, został prezydentem *European Photochemistry Association* (2000–2004). Przybyło wiele znakomitej aparatury. Awanse naukowe prowadzą do tego, że każdy rozbudowuje i pogłębia własną problematykę, rosną ambicje, spontanicznie rozchodzą się drogi i cele. Chyba coraz trudniej będzie utrzymać wspólnotę, *team spirit*, zespołu.

Starzeć się w nauce można różnie.

Można starać się udawać, że nic się nie zmieniło. Skutki tego są jednak zwykle opłakane. Już o Marii Skłodowskiej-Curie pisała jej córka, że gdy źle widziała, nie chciała się z tym zdradzić i *udawała*, że czyta – a jej uczniowie, wiedząc o tym, *udawali*, że wszystko jest jak dawniej i opowiadali jej o swoich wynikach, tak aby mogła je z nimi dyskutować bez konieczności czytania.

Trochę podobnie było z innym wielkim uczonym, Mikołajem Siemionowem (por. przypis 160). Członkowie Akademii mogli być w ZSRR dyrektorami instytutów dożywotnio. Jak to działało w praktyce, opowiadał mi Jasza Małkin. Młody badacz chce rozpocząć pracę nad nowym tematem. Wymaga to zgody dyrektora Instytutu. Temat jest bardzo aktualny, ambitny, posługujący się najnowszymi metodami i teoriami. Dyrektorem Instytutu jest znakomity Siemionow, laureat Nobla, ale mający już powyżej 90 lat. Każe sobie zreferować projekt. Bardzo źle widzi, prawie nic nie słyszy – trzeba do niego głośno krzyczeć. A tam, gdzie już zobaczy i usłyszy – nie zna nowych metod lub nie pojmuje nowych poglądów. W końcu oświadcza: „ja tego nie rozumiem, więc nie mogę zaakceptować!...”

W Polsce mieliśmy przykład osoby niezwykle aktywnej, prof. Bogusławy Jeżowskiej-Trzebiatowskiej (1908–1991), dominującej nad całym stworzonym przez nią Wydziałem Chemii Uniwersytetu Wrocławskiego. Nie chciała ona uznać swego wieku. Gdy po przekroczeniu 70 lat przeniesiono ją, zgodnie z ustawą, na emeryturę – pojechała do Warszawy, do *tow.*Gierka (a była członkiem partii) i oświadczyła, że to chyba pomyłka. Podobno w drodze wyjątku przedłużono jej status aktywnego profesora. Jeździła też nadal na wszystkie możliwe zjazdy, wygłaszała referaty – czasem nie dostrzegając tego, jak mi opowiadali uczestnicy, że referat ilustruje przeżyciami z zupełnie innego wykładu. A gdy padały pytania w dyskusji – wzywała do odpowiedzi współautorów...

Drugą skrajność reprezentował prof. Mikołaj Łaźniewski, fizykochemik z Uniwersytetu Łódzkiego. Na emeryturze wycofał się z łódzkiego życia naukowego, przeniósł się do swej siostry do Leśnej Podkowy. Ktoś kiedyś zasygnalizował Polskiemu Towarzystwu Chemicznemu, że Łaźniewski umarł. Na najbliższym dorocznym zjeździe PTCh ówczesny prezes Lucjan Sobczyk wspominał o nim, obecni uczcili jego pamięć przez powstanie. Łódzki oddział PTCh zorganizował sesję naukową, poświęconą uczczeniu pamięci Mikołaja Łaźniewskiego i jego pracom. Ukazał się o tym artykuł w „Wiadomościach Chemicznych”.

I wtedy do PTCh zadzwoniła jego siostra – że on przecież żyje, że ona skonfiskowała ten numer „Wiadomości”, by nie dotarł do jego rąk...

Są więc różne modele starzenia się w nauce.

Anka przed emeryturą przez kilka lat działała jako vice-dyrektor Instytutu do spraw naukowych i zyskała duże uznanie. Nie powróciła już do Zakładu, współorganizując Centrum Laserowe, wspólne dla IChF oraz Wydziałów Fizyki i Chemii UW, i teraz – już na emeryturze – robi co może by dopomóc pracom młodych i zdolnych ludzi, głównie przybyłych zza naszej wschodniej granicy. Współpracuje z paroma laboratoriami, kontynuując badania przenoszenia protonów w stanach wzbudzonych BP(OH)₂ i zasad Schiffa, zwłaszcza najszybszych, femtosekundowych stadiów tych procesów (por. przypisy 298 i 301). Wycofała się natomiast ze zjazdów, konferencji, występów publicznych.

Ja wycofałem się bardziej. Kłopoty z okiem, ze słuchem, z sercem, spowodowały, że unikam zjazdów, zebrań, konferencji. Staram się pracować w domu. Bardzo dużo czasu i wysiłku kosztowała mnie praca nad naszym *opus magnum* (por. przypis 326). Do napisania monografii o chemii stanów wzbudzonych namawiał mnie jeszcze Theodor Förster, ale nigdy nie mogłem się przekonać do tak dużej pracy, gdy dokoła było tyle konkretnych zagadek, czekających rozwiązania. W 1979 r. redaktor najpoważniejszego chemicznego pisma przeglądowego „Chemical Reviews” a zarazem fotochemik Anthony Trozzolo zamówił u mnie artykuł przeglądowy na temat stanów wzbudzonych z separacją ładunków, obejmujący dopiero co przez nas tak nazwane stany TICT. Próbowałem – nie mogłem sobie poradzić z nawałem pracy. Po paru latach zmieniła się redakcja „Chemical Reviews”, a nowy naczelny redaktor – znakomity czesko-amerykański uczony Josef Michl (Fot.73) – ponowił zaproszenie do napisania *review*. Poprosiłem wtedy na współautora Wolfganga Rettiga. Przygotowywaliśmy kolejne rozdziały, ale wciąż to nie było to tak, jak być powinno i zarzuciłem tę pracę, tylko bardziej pracowity Wolfgang ogłosił kilka mniejszych artykułów przeglądowych na podobne tematy. W 1996 r., ponownie przynaglony przez Josefa Michla, postanowiłem tym razem doprowadzić pracę do końca. O udział w niej, obok Wolfganga Rettiga (Fot.72), poprosiłem jeszcze mą najbliższą współpracowniczkę – już profesor – Krystynę Rotkiewicz (Fot.57). Praca mnie przytłaczała, ale będąc już emerytem, mogłem nad tym pracować więcej i lepiej, niż wówczas, gdy kierowałem pracami laboratoryjnymi lub sam prowadziłem doświadczenia. Im byłem starszy, tym wolniej mi jednak szła praca. Przesyłałem wciąż między Warszawą i Berlinem teksty, rysunki, dyskutując i wciąż aktualizując przegląd, bo co tydzień ukazywały się nowe prace, zdołaliśmy go ukończyć. Jeszcze blisko rok zajęła nam dyskusja z recenzentem, którym był nasz główny naukowy oponent, a który zarzucał nam m.in., że artykuł przeglądowy zawiera wiele naszych oryginalnych, jeszcze gdzie indziej niepublikowanych wyników. W końcu artykuł ukazał się (por. przypis 326) w ćwierć wieku po

pierwszym zaproszeniu do napisania go! Na 133 stronach, z 835 odnośnikami i przypisami, 299 wzorami chemicznymi i 39 matematycznymi, 120 rysunkami, 21 tabelami i 14 schematami, stanowi to równoważnik nigdy przeze mnie nienapisanej książki. Uznałem to więc za dobrą formę zakończenia mej działalności w dziedzinie Chemii. (Fot.97).

Spoglądając wstecz, widzę, jak wierząc w swe siły (a to jest w nauce warunek konieczny!) i chcąc rozwiązywać prawdziwe Problemy – przez duże „P” – nie umiałem tego zrealizować. Zatrzymywałem się nad zagadnieniami, które mi się podobały, były ciekawe i nowe, ale te, na których mi najbardziej zależało: jakie mechanizmy leżą u podstaw procesów psychicznych? jak powstało Życie? jakie reakcje decydują o chemii materii międzygwiazdnej? – do nich nie docierałem albo nie umiejąc pokonać przeszkód zewnętrznych, albo zabierałem się do nich za późno, bo trzeba było się tym w pełni zajmować od młodości.

Nie wyjaśniłem więc żadnego z wielkich Problemów – ale dane mi było cieszyć się poznawaniem Przyrody w pewnych jej drobnych fragmentach, odczuwając jej piękno, jej tajemnice i moją radość ich zrozumienia zdobywanego własnym lub zespołowym wysiłkiem.

Tymczasem nasz syn Janek – historyk, zajmujący się dotychczas zupełnie inną epoką i częścią świata – zachęcił mnie do studiowania historii czasów okupacji niemieckiej w Polsce. Historia jest dla starego człowieka dziedziną właściwszą, niż praca laboratoryjna. Nauczyłem się nieco korzystać z archiwów, a następnie – wykorzystując moje własne doświadczenia wojenne – napisaliśmy pierwszą wspólną pracę (por. przypis 370). Umiejętności przy tym nabyte przydają mi się przy pisaniu niniejszej opowieści oraz spisywanych po trochu dziejów rodzinnych, gdzie udało mi się znaleźć ślady archiwalne moich antenatów (Szeraszewowie z Radziłowa) sięgające pierwszej połowy XVIII wieku.

A może ten nawrót do przeszłości, zainteresowanie tak historią, jak i własną minioną młodością, genealogia rodziny – a dostrzegam to u bardzo wielu starszych ludzi – ma swoje uzasadnienie? Dotarła do mnie pewna ważna refleksja. Świat zmienia się szybko. To, czego nauczyłem się w młodości, do czego byłem przyzwyczajony, co lubiłem – coraz częściej okazuje się nieaktualne, albo niemodne, albo zupełnie przestarzałe. Dotyczy to nie tylko najbardziej rzucającej się w oczy techniki, ale i muzyki, i malarstwa czy rzeźby, i poezji, i sposobów komunikowania się ludzi, i języka mowy potocznej czy literackiej, i norm moralnych, nowych pojęć, nowych metod działania w każdej dziedzinie, wreszcie gwałtownie rosnącego zasobu wiedzy, nie do nadążenia dla starzejącego się umysłu. A z drugiej strony – starzejąc się, staję się coraz bardziej konserwatywny. A gdy staję się konserwatywny – ten szybko zmieniający się świat dokoła staje mi się coraz bardziej obcy. Odejście z tego świata przestaje wydawać się czymś niemiłym. Co więcej, spoglądając wstecz, wydaje się, że nie jest to tylko moje odczucie, że nie jest to tylko odczucie obecnych czasów. Chyba i dawniej

tak było, na pewno w ostatnich 2–3 pokoleniach, tych, które znałem z własnej obserwacji. A może to jest taki efekt ewolucyjny, pomagający zejść z tego świata? Nie byłby to efekt ewolucji biologicznej, bo ta nie działa w wieku po prokreacyjnym, ale może coś nowego:³⁷⁸ efekt ewolucji cywilizacyjnej, kulturalnej, psychologicznej?

Żyłem więc długo i szczęśliwie. Tego, co przeżyłem – nie żałuję. Tego, czego mi się przeżyć nie udało – innym nie zazdroszczę. Świat, jakkolwiek piękny i pełen czekających rozwiązań zagadek, opuszczę bez żalu.

³⁷⁸ A może i nie nowego? „Trausorowie ... z noworodkami i zmarłymi tak postępują: dokoła noworodka siadają krewni i oplakują go, ile on nieszczęść musi zaznać, skoro się urodził, i wyliczają wszystkie ludzkie cierpienia; zmarłego natomiast wesoło i radosnie grzebią i mówią przy tym, że pozbył się wszystkich nieszczęść i żyje teraz w zupełnej błogości.” [Ryszard K a p u ś c i ń s k i : *Podróże z Herodotem*. Kraków 2004 Wydawn. Znak, s.148.].

SPIS RZECZY

Dom rodzinny	8
Przed wojną. Szkoła	11
Wojna, rok 1939	15
Okupacja sowiecka, Lwów 1939–41	17
Okupacja niemiecka we Lwowie	20
Na „aryjskich” papierach– Warszawa	23
Chemia wkracza w moje życie	25
Straszny rok 1943	27
Powstanie Sierpniowe	30
Po kapitulacji	32
Uwięziony	35
Wyzwolenie	40
Koniec wojny	41
Nowogard	44
Na studia	46
Prof. Antoni Łaszkiwicz	47
W Gmachu Chemii U.W.	49
Prof. Wiktor Kemula	50
Koło Chemików	53
Dania	56
Matematyka	60
Asystentura i moje bardzo tajne prace	62
Asystentura i studia	64
Chemia fizyczna	65
Chemia organiczna	68
Ideologia	71

Prywatne wycieczki mineralogiczne	73
Praca magisterska	74
Prof. Ignacy Złotowski	77
Moja towarzysząca życia	78
Nowi przyjaciele	81
Praca doktorska	82
Kolejne próby znalezienia swej drogi	87
Aleksander Frumkin i Moskwa	88
Beniamin Lewicz	94
Elektrochemia organiczna, wolne rodniki	96
Stany wzbudzone	100
Stuttgart i Theodor Förster	103
Ojcowie moich przyjaciół	108
Odeście z Uniwersytetu	110
Instytut Chemii Fizycznej	112
Spektrometry i „wdrażanie”	114
Getynga	117
Aleksander Terenin	117
USA	119
„Problemy” i rok 1968	122
Redakcje	125
Amsterdam, Lejda	128
Rozwój badań	130
Cambridge	132
Seminarium dyletantów	138
W państwie policyjnym	140
Komiwojażer naukowy	144
Piękno luminescencji i jej sekrety	146
NRD	148
Przenoszenie elektronu	154
Berlin i Wolfgang Rettig	157
Nagrody Nobla	158
Sowiecka Azja	160
W sferze publicznej	163
„Solidarność” i stan wojenny	167
TPKN	172
Kościół i ludzie Kościoła	174
<i>Professeur invité</i>	178
Japonia	181

Izrael	184
Rok przełomu	186
Dzieci holocaustu	188
Szkoła Nauk Ścisłych	189
Saga rodzinna	192
Gdy się człowiek robi starszy	193